

Robert Hugh Benson

II Władca

Świata



ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA

POWIEŚĆ

przekład z języka angielskiego: Corrado Raspini

PREZENTACJA

Ta prorocza powieść, którą angielski protestant, który przeszedł na katolicyzm, napisał, aby wychwalać Kościół i cywilizację rzymską, nie jest, jak mogłoby się wydawać powierzchownemu czytelnikowi, powieścią polityczną. Jest to raczej powieść religijna; jedna z wielu książek apologetycznych, które Roberto Ugo Benson napisał w obronie i na cześć katolicyzmu rzymskiego. Odniesienia do sytuacji politycznej na świecie oraz obraz wydarzeń społecznych nie mają żadnego związku z konkretną teorią polityczną wyznawaną przez Bensona, który w swojej twórczości był i pozostaje apologetą oraz mistykiem.

Tajemniczy bohater tej powieści, przywódca w końcu spacyfikowanych i ostatecznie sprowadzonych na manowce ludów, władca ludzkich mocarstw, człowiek o przejrzystym imieniu Giuliano Felsenburgh, uosabia ducha świata i dlatego jest Antychrystem. Ponad każdą teorią polityczną i każdą doktryną społeczną triumfuje on w tym stuleciu, ponieważ przez całą wieczność będzie pokonany. Partia nosi ogólną nazwę „humanitaryzmu”. A jeśli się dobrze przyjrzeć, nie jest to nawet partia.

Felsenburgh, duch świata, panuje i rządzi wszystkim, co należy do tego świata. Mógłby powiedzieć: „Moje królestwo jest z tego świata”. Oto dlaczego wszystko, co należy do świata, kłania się przed nim. Jedynie wyznawcy Tego, który twierdził coś przeciwnego, mówiąc, że Jego królestwo nie jest z tego świata, nie uginają się przed jego potęgą. A jest ich niewielu, a właściwie bardzo niewielu: garstka ludzi skupionych wokół ostatniego papieża. Wydają się pokonani, ocalali z umierającego społeczeństwa, podczas gdy duch świata w końcu odnajduje pod przewodnictwem Antychrysta swój spokój i zdrowie. Tyle że właśnie w chwili swojego pozornego triumfu świat przemija. Pełnia świata zbiega się z jego śmiercią. Używając wulgarnego wyrażenia, można by powiedzieć, że świat umiera z nadmiaru zdrowia. Uciekająca chwila w stylu Fausta oznacza koniec stworzenia. Jedyny, podczas gdy świat przemija, ocalały Namiestnik Chrystusa, wraz z Kościołem walczącym, zredukowanym do nielicznych członków, ale doskonałym i nieśmiertelnym, wkracza w chwałę i życie, które nie przemija.

*

Być może, aby w pełni zrozumieć znaczenie tej dziwnej powieści, należałoby przeczytać i przemyśleć kazanie Bensona, opublikowane w jego *Paradoksach katolicyzmu* (wkrótce ukaże się na Totustuus.net).

Z odwagą pełną równowagi i w duchu realistycznego paradoksu Benson porusza w swoim kazaniu problem wojny i pokoju. Dlaczego, zastanawia się, chrześcijaństwo, które głosi pokój i nazywa „dziećmi Bożymi” tych, którzy dążą do pokoju, tak często sprowadzało i sprowadza wojnę na świat! Kościół, odpowiada Benson, jest jednocześnie ludzki i boski. Będąc ludzkim, „*mieszka wśród królestw tej ziemi, które, przynajmniej w dzisiejszych czasach, opierają się wyłącznie na podstawach ludzkich. W dzisiejszych czasach rządzący i królowie nie opierają swojej polityki na przesądach; ich celem jest rządzenie poddanymi, promowanie pokoju i jedności między nimi oraz wypowiedzenie wojny tym, którzy by je zagrażali, kierując się wyłącznie kryteriami opartymi na zasadach naturalnych*”.

Gdyby Kościół był jedynie instytucją czysto ludzką, mógłby dogadać się z innymi instytucjami świeckimi, popierając ich dążenia do pacyfikacji i dobrobytu materialnego, tak jak w niniejszej powieści uczyni to potężny Felsenburgh, ucieleśnienie ducha świata. Ale Kościół jest również boski. „*Nie uważa ona świata za początek i koniec wszystkiego; przeciwnie, zdecydowanie przedkłada królestwo Boże nad królestwo świata, a pokój Boży nad harmonię między ludźmi. Dlatego też, ilekroć jej nadprzyrodzone zasady wchodzą w konflikt z zasadami naturalnymi, zmuszona jest stać się przyczyną niezgody*”.

W powieści Bensona wydaje się, że świat osiągnął swój spokój i szczęście poza katolicyzmem, a wręcz wbrew wszystkim religiom, ale jego spokój jest upokarzającym quietizmem, a szczęście – czysto naturalne. Świat jest zredukowany do ciała pozbawionego duszy, a przynajmniej gotowego do całkowitego wyparcia duszy ze swojego wnętrza. Ale kiedy dusza opuszcza ciało, ciało umiera. Pokój i szczęście promowane przez ducha świata nie mogą trwać. To iluzja świata, który ginie.

Tylko prawdziwi chrześcijanie, zgromadzeni w prawowitym Kościele, wiedzą, że naturalny pokój i szczęście, uzyskane dzięki sprytniej polityce Felsenburga, nie są oznakami życia, ale zapowiedzią śmierci. Pokój świata jest ulotny; szczęście w czasie jest przemijające. „*Pragniemy pokoju ponad wszystko – mówi Benson w swoim kazaniu – ale pokoju Bożego, a nie tego pokoju, który świat, skoro może dać, może też odebrać, nie pokoju, który zależy od harmonii natury z naturą, ale natury z Łaską!*”. I kończy z bezlitosną szczerością: „*Dopóki świat, czy to dzielnica, czy rodzina, czy nawet pojedyncza dusza, będzie opierał się na zasadach naturalnych sprzecznych z boskimi, nadprzyrodzona religia katolicka nie przyniesie pokoju, lecz wojnę. I tak będzie aż do końca świata, aż do katastrofy Armagedonu, która go zniszczy*”.

„Władca świata”, jak już wspomniano, jest powieścią religijną. Benson opisuje w niej z odważną, a nawet naiwną fantazją właśnie katastrofę Armagedonu.

*

Czy chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o autorze tej powieści?

Urodził się w Wellington College w 1871 roku. Jego ojciec, anglikański biskup Canterbury, znany teolog protestancki i kaznodzieja, wprowadził go w studia religijne i wyświęcił na diakona Kościoła anglikańskiego. Inny słynny kaznodzieja anglikański popchnął go jeszcze dalej w studia teologiczne, tak daleko, że wkrótce ten młody, nieskazitelny i niezwykle inteligentny człowiek dotarł do granic prawdy katolickiej.

Po śmierci ojca lekarze zalecili mu podróż na Wschód. Opuszczając Anglię, młody diakon doznał poważnego rozczarowania. To, co w ojczyźnie wydawało mu się doskonałe i godne podziwu, poza jego środowiskiem jawiło się jako ograniczone i godne pożałowania. Kościół anglikański, związany z interesami nacjonalistycznymi i filisterską mentalnością, nie miał w sobie nic z uniwersalności. Natomiast Kościół rzymski wznosił się ponad wszystkie sekty, będąc nauczycielem prawdy dla wszystkich narodów i latarnią cywilizacji dla wszystkich ludów.

Kiedy już toczył wewnętrzną walkę, obawiając się, że zdradzi religię swoich przodków, dotarła do niego wiadomość, że ojciec Maturin, którego czcił jak drugiego ojca, nawrócił się na katolicyzm. Długo się opierał, szukając wsparcia u rodziny i przełożonych, by nie rzucić się zbyt pochopnie w ramiona papieża rzymskiego. Jednak prawda wzywała go już imperatywnym głosem. Im więcej studiował, im więcej medytował, im więcej się modlił, tym bardziej rozumiał, że tylko w Kościele katolickim Chrystus nadal żyje i będzie żył wiecznie. Jego nawrócenie dokonało się jednak bez entuzjazmu, pozbawione duchowego pocieszenia. Nie było to łagodne wezwanie, lecz stanowczy rozkaz. „*Z jednej strony Kościół anglikański wzywał mnie patetycznymi i czułymi słowami, przywiązywał mnie wszelkimi więzami pokrewieństwa i przyjaźni; z drugiej strony ta, co już nie mogłem wątpić, że jest prawdziwą oblubienicą Chrystusa, władczą i dominująca, otoczona promieniem oślepiającego światła, jak przystało na niebiańską wizję, zbliżała się prosto do mnie*”. Syn biskupa Canterbury, aby przejść na stronę tych, których ojciec nazywał pogardliwie „włoskimi misjonarzami”, musiał pokonać opór więzów rodzinnych, przezwyciężyć ludzkie szacunki, stracić pozycję społeczną, zrezygnować z najdroższych przyjaźni. Z determinacją wyrzekł się wiary ojców i w 1903 roku wstąpił do Kościoła rzymskokatolickiego.

Wyjechał do Włoch, studiował w Rzymie, gdzie w 1904 roku przyjął święcenia kapłańskie. Następnie powrócił jako „misjonarz” do Anglii, gdzie rozpoczął swoją niestrudzoną i genialną działalność jako kaznodzieja, polemista oraz elegancki i skuteczny pisarz.

W 1914 roku jego budująca śmierć miała taką samą wartość jak jego dzieło apologetyczne.

*

Warto zaznaczyć, że najbardziej oryginalne dzieła Bensona to te o charakterze czysto doktrynalnym i wyrazisto polemicznym. Jego powieść, jak wspomniano na początku tej notatki, ma na celu przedstawienie w dramatyczny i fantastyczny sposób jednego z motywów, który często powraca w kazaniach, najpierw wygłaszanych, a następnie zebranych w tomie: duch świata wydaje się przeważać nad duchem Boga, ale jego zwycięstwo jest pozorne: to podstęp złowrogiego uwodziciela. Tylko Kościół Boga żywego, pokonany w czasie, zwycięży na wieki.

„*Ta książka – napisał Benson w przedmowie do faksymile, rozszyfrowanej przez tłumacza powieści – bez wątpienia wywoła uczucie przygnębienia i z tego powodu, podobnie jak z innych*

powodów, przedmiotem wszelkiego rodzaju krytyki. Jednak najlepszym sposobem wyrażenia zasad, które są mi bliskie i które uważam za nieomylnie prawdziwe, wydawało mi się przełożenie ich na fakty, które mogą głęboko poruszyć”.

Pierwsze wydanie „*Władcy świata*” ujrzało światło dzienne po wojnie światowej, w 1920 roku, kiedy wydawało się, że świat odnajdzie pokój właśnie w humanitaryzmie Wilsona. Drugie wydanie ukazuje się w czasie, gdy ziemia jest wciąż okrutnie rozdarta przez nową wojnę. Wzywa się do pokoju, ale Roberto Ugo Benson ostrzega, że prawdziwy i trwały pokój opiera się wyłącznie na prawdzie nauczanej przez Rzym.

PRZEDMOWA

– Proszę dać mi chwilę na zastanowienie się – rzekł starszy pan, rozsiadając się wygodnie. Percy natomiast, wyprostowawszy się na krześle, czekał z brodą opartą na dłoni.

W całkowitej ciszy panowała w pokoju, w którym siedzieli trzej mężczyźni, urządzonej z typową dla tamtej epoki rozwąga; nie posiadał on ani okien, ani drzwi, ponieważ od sześćdziesięciu lat, gdy ludzie na całym świecie uświadomili sobie, że przestrzeń nie ogranicza się do powierzchni globu, zaczęli budować pod ziemią. Stary pan Templeton mieszkał w domu położonym około piętnastu metrów poniżej poziomu Tamizy, co było całkiem wygodne ze względu na jego położenie. Wystarczyło mu bowiem przejść zaledwie sto kroków, by dotrzeć do stacji drugiej Centralnej Sieci Samochodowej, i pół kilometra, by dotrzeć do stacji samolotów w Blackfriars; tyle że, mając już ponad dziewięćdziesiąt lat, prawie nie wychodził z domu.

Pokój ten, pokryty w całości delikatną zieloną emalią krzemionkową, zalecaną przez Urząd Higieny, rozjaśniony sztucznym światłem słonecznym odkrytym czterdzieści lat wcześniej przez wielkiego Reutera, przypominał barwami wiosenny las; ogrzewany i wentylowany przez klasyczną żaluzję ścienną, utrzymywał stałą temperaturę osiemnastu stopni.

Pan **Templeton** był prostym człowiekiem, zadowolonym z życia, jakie prowadził jego ojciec; nawet jego meble były nieco przestarzałe zarówno pod względem wykonania, jak i wzornictwa, choć wykonane zgodnie z powszechną praktyką z emaliowanego żelaza z niezniszczalnym azbestem, przyjemnego w dotyku i wyglądem przypominającego mahoń. Dwie półki pełne książek stały po bokach elektrycznego grzejnika na brązowym cokole, przy którym siedziało trzech mężczyzn; a na końcach sali znajdowały się dwie windy hydrauliczne, z których jedna prowadziła do sypialni, a druga wjeżdżała osiemnaście metrów w górę do korytarza wychodzącego na nabrzeże.

Ojciec Percy Franklin, starszy z dwóch księży, był człowiekiem o niezwykłym wyglądzie. Nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat, a jego włosy były całkowicie siwe; jego szare oczy pod czarnymi brwiami wykazywały szczególną, niemal żarliwą żywiołowość; ale wystający nos i podbródek oraz ostry kształt ust zdradzały obserwatorowi silną i zdecydowaną wolę: był jednym z tych mężczyzn, na których nie można spojrzeć tylko raz.

Ojciec Francis, siedzący po drugiej stronie kominka, bardziej przypominał zwykłego człowieka. W rzeczywistości, pomimo łagodnego i pociągającego spojrzenia brązowych oczu

brązowych oczu, na jego twarzy nie było nic energicznego; wręcz przeciwnie, w nieokreślonych ruchach warg i w ospałości źrenic dostrzegało się kobiecą melancholię. Pan Templeton, czcigodny starzec o energicznej twarzy, pokrytej zmarszczkami i całkowicie ogolonej, jak wszyscy mężczyźni w tamtych czasach, odpoczywał na poduszce z gorącą wodą, z kocem na nogach.

W końcu przemówił, spoglądając najpierw na Percy'ego, który siedział po jego lewej stronie.

- Oczywiście! – powiedział – przypomnienie wszystkich wydarzeń to poważna sprawa, ale oto w skrócie, jak je sobie wyobrażam. W Anglii nasza partia stanęła w obliczu pierwszych niebezpieczeństw, gdy w 1927 roku wybrano Parlament Pracy; to pokazuje, jak głęboko herwizm przeniknął atmosferę społeczną. Już wcześniej byli socjaliści, ale nikt nie dorównywał Gustawowi Hervé, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia; a przynajmniej nikt o takiej samej wartości. Ten, jak być może pani czytała, nauczał absolutnego materializmu i socjalizmu, doprowadzonych do skrajnych konsekwencji. Dla niego ojczyzna była pozostałością barbarzyństwa, a jedynym prawdziwym dobrem – zaspokojenie zmysłów. Oczywiście wszyscy wyśmiewali go, mówiąc, że poza religią nic nie może uzasadnić zachowania najbardziej podstawowego porządku społecznego wśród mas; ale fakty dały mu rację. Po upadku Kościoła francuskiego na początku wieku i po masakrach z 1924 roku burżuazja przystąpiła do własnej reorganizacji; a ten niezwykle ruch, poważnie zapoczątkowany, przeniknął do klasy średniej, odrzucając ojczyznę, podziały klasowe i, w rzeczywistości, wszelkie instytucje wojskowe. Masoneria, jak się domyślacie, była tą, która kierowała całym ruchem. Rozprzestrzenił się on w Niemczech, gdzie autorytet Karola Marksa:....

- – Tak, proszę pana – rzekł spokojnym tonem Percy – ale, jeśli pan nie ma nic przeciwko, rozmawialiśmy o Anglii...

- Ach!... racja!... o Anglii!... A więc w 1927 roku Partia Pracy przejęła władzę i faktycznie zapoczątkowała komunizm. Wszystko to działo się na długo przedtem, zanim byłem w stanie to zapamiętać; ale mój ojciec zwykł przypisywać początek tych wydarzeń właśnie temu okresowi. Zdziwiał mnie tylko, że nie przebiegły one szybciej; przypuszczam, że wciąż fermentowała tam spora porcja starego „torysowskiego” zaczynu; ale z drugiej strony wieki zazwyczaj toczą się wolniej, niż się wydaje, zwłaszcza gdy poruszają się pod wpływem impulsu! W każdym razie wtedy rodził się nowy porządek rzeczy; a komuniści do tej pory nie ponieśli znaczących porażek, z wyjątkiem częściowo w 1935 roku. Blenkin założył „*Nowy Lud*”, a „*Times*” przestał się ukazywać; ale, co dość

dziwne, Izba Lordów upadła ostatecznie dopiero w 1945 roku. Kościół anglikański zniknął ostatecznie w 1939 roku.

- – A jakie skutki miało to dla religii? – zapytał szybko Percy, podczas gdy starzec, zatrzymując się na chwilę z powodu lekkiego ataku kaszlu, podniósł swój inhalator; ksiądz starał się trzymać tematu.

- „Był to raczej skutek niż przyczyna” – odparł drugi. „W rzeczywistości ci, których nazywano wówczas rytualistami, po desperackiej próbie przeniknięcia do ruchu robotniczego, przeszli na katolicyzm w następstwie zgromadzenia z 1929 roku, kiedy to porzucono Credo Nicejskie; i, proszę zauważyć, byli oni jedynymi, którzy zachowali jeszcze odrobinę gorliwości religijnej. Ocalali członkowie *Kościola Narodowego* – i to właśnie, jeśli w ogóle, było skutkiem jego upadku – połączyli się z członkami *Kościola Wolnego*, który wymagał jedynie przynależności w sensie duchowym. Biblia straciła wszelki autorytet po ponownych atakach niemieckiej krytyki w 1930 roku, a dzięki teorii kenotycznej z początku wieku sama boskość naszego Pana była niczym więcej niż pustym słowem. Jeszcze wcześniej dostrzegło się to krótkie i dziwne poruszenie wśród *Wolnych Kościelnych*, gdy duchowni, którzy nie robili nic więcej niż podążali za nurtem – i chętnie się nim kierowali – porzucili swój dawny stan. Ciekawe jest przeczytanie w kronikach tamtych czasów, jak nazywano ich *niezależnymi myślicielami*; było to dokładnie odwrotne!... o czym to mówiłem?..

Ach! oto: wszystko to przygotowywało grunt, tak że Kościół, na razie, poczynił niezwykle postępy; mówię niezwykle, biorąc pod uwagę okoliczności, ponieważ, jak dobrze pamiętacie, znajdował się w gorszej sytuacji niż dwadzieścia czy dziesięć lat wcześniej. Używając dosadnego słowa, sądzę, że zaczęło się oddzielanie owiec od kozłów. Wszyscy ludzie religijni byli katolikami i indywidualistami; ci niereligijni odrzucali en bloc to, co nadprzyrodzone, i od początku do końca stali się materialistami i komunistami. Ale nasz postęp zawdzięczaliśmy wciąż nielicznym ludziom wartościowym, takim jak filozof Delaney, filantropi Mc. Arthur, Largent i inni. Wydawało się, że Delaney i jego uczniowie muszą pokonać wszystkie trudności...Pamiętasz jego *analogię*? Och, tak; w podręcznikach jest to wszystko... Postępy były tak dobre, gdy po zamknięciu Soboru Watykańskiego, zwołanego już w XIX wieku i nigdy dotąd nie rozwiązanego, doświadczyliśmy licznych odstępstw z powodu ostatnich definicji: tego, co nazwano *Wyjściem Intelktualistów*.

- Z powodu decyzji biblijnych... – dodał tu młodszy ksiądz.

- Po części z tego powodu; po części z powodu wielkiej walki, która rozpoczęła się wraz z pojawieniem się modernizmu na początku wieku; ale przede wszystkim z powodu potępienia Delaney'a i nowego transcendentalizmu, tak jak był on wówczas powszechnie rozumiany. Delaney, jak dobrze wiadomo, nie pogodził się z Kościołem. Następnie potępiono dzieło Scotti'ego dotyczące religii porównawczych... Po tych wydarzeniach komuniści posuwali się naprzód wielkimi krokami, choć powoli. Jeśli wydaje się to pani nienormalne, powiem tylko, że nie potrafi pani sobie wyobrazić irytacji wywołanej przez *Projekt Przemysłów Niezbędnych*, który stał się prawem w 1960 roku. Masy ludowe widziały w tej nacjonalizacji rzemiosła koniec wszelkiej inicjatywy; ale, jak pani dobrze wie, nie ruszyły się wcale; z pewnością naród podążał za tym, nie wiedząc o tym.

- A w którym roku – zapytał Percy – uchwalono ustawę większością dwóch trzecich głosów?

- Och! Znacznie wcześniej: rok lub dwa po zniesieniu Izby Lordów. Była to konieczność; w przeciwnym razie indywidualistom oszalałoby... Oczywiście Projekt Przemysłów Niezbędnych był nieunikniony. Ludzie przyzwyczaili się do niego częściowo już dawno temu, kiedy to, to znaczy, kolej została sprywatyzowana. Na chwilę obserwowano nagłe ożywienie rzemiosła, ponieważ wszyscy indywidualistami je popierali; – wtedy powstała szkoła Tollera – ale wkrótce oni również zostali zatrudnieni w administracji rządowej, ponieważ limit sześciu procent dla każdego prywatnego przedsiębiorstwa nie był w rzeczywistości zachętą; a poza tym rząd dobrze płacił.

Percy potrząsnął głową.

- Tak, ale nie potrafię zrozumieć, przepraszam, jak sprawy doszły do tego punktu dzisiaj; czyż nie powiedział mi pan, że postępowały powoli?

- – Tak – odparł starzec – ale nie zapominaj o Prawie dotyczącym ubogich, które zapewniło komunistom nieprzemijającą stabilność. Och! Braithwaite świetnie prowadził swoje interesy!...

Młodszy ksiądz spojrzał na niego pytająco.

- ...zniesienie pracy chałupniczej – zakończył pan Templeton! – Dla was to oczywiście stara historia, ale ja pamiętam te wydarzenia, które doprowadziły do upadku monarchii i uniwersytetów, jakby miały miejsce wczoraj.

- – Ach tak? – rzekł Percy. – Chętnie wysłucham pana w tej sprawie, panie!...

- Zaraz do tego przejdę, ojcze. Proszę posłuchać, co zrobił Braithwaite. Podczas gdy w starym systemie wszyscy ubodzy byli traktowani na równi – i nie byli

zadowoleni – w nowym systemie zostali podzieleni na trzy kategorie, przy czym dwie pierwsze zostały uwolnione od podatków. Ci, którzy nie byli warci absolutnie nic, trafiali do trzeciej kategorii, traktowani mniej więcej jak przestępcy: oczywiście po dokładnym zbadaniu. Następnie zreorganizowano *emerytury*... Widzi Pani, jakie to były przejawy siły dla komunistów! Indywidualistom – kiedy byłem chłopcem, nazywano ich jeszcze torysami – od tamtej pory nie sprzyjało szczęście, a teraz są już tylko rozbitym wozem. Robotnicy, masowo, to znaczy dziewięćdziesiąt dziewięć procent, opowiedzieli się przeciwko nim.

Percy podniósł wzrok, a rozmówca kontynuował:

- Następnie za rządów Macpersona zreformowano więzienia, zniesiono karę śmierci, w 1959 roku oficjalnie ustanowiono świecką edukację, a wraz z reformą podatku od spadków praktycznie zniesiono dziedziczenie.

- A jak ten podatek był uregulowany w starym systemie?

- Jak to było uregulowane?... Wydaje się to niewiarygodne: wszyscy płacili w ten sam sposób! Najpierw pojawiła się *ustawa o majątku ruchomym*, zmodyfikowana następnie w taki sposób, że majątek odziedziczony podlegał opodatkowaniu trzykrotnie wyższemu niż majątek nabyty; i tak było aż do przyjęcia doktryn marksistowskich w 1989 roku. Pierwsza ustawa została jednak ogłoszona w 1977 roku... Cóż, wszystko to postawiło Anglię na równi z kontynentem, z którym do tej pory nie łączyło jej nic poza ostatnim schematem *Wolnego Przemysłu Zachodu*. To właśnie, pamiętasz, był skutek zwycięstwa socjalistów w Niemczech.

- A jak udało nam się uniknąć wojny ze Wschodem? – zapytał z niepokojem Percy.

- Och! To długa historia! Krótko mówiąc, to Ameryka nam to uniemożliwiła; straciliśmy Indie lub Australię. Od 1935 roku nie było żadnego innego wydarzenia, które zbliżyłoby komunistów tak blisko do upadku; ale Braithwaite wyszedł z tego z wielką zręcznością, zapewniając nam raz na zawsze protektorat nad Afryką Południową; był więc człowiekiem przebiegłym, nawet zbyt przebiegłym...

Pan Templeton znów zaczął kaszleć.

Francis w międzyczasie westchnął i zmienił pozycję na krześle.

- A Ameryka? – zapytał Percy.

- Och! W tej kwestii sprawa znacznie się komplikuje. W każdym razie, świadoma swojej siły, w tym samym roku przyłączyła do siebie Kanadę, co doprowadziło nas do skrajnego osłabienia.

Percy wstał.

- – Proszę pana – zapytał – czy nie ma tu jakiegoś atlasu porównawczego?

- – Tam jest – odpowiedział pan Templeton, wskazując na regał.

Percy przez minutę lub dwie przyglądał się mapom, rozkładając je na kolanach; następnie, porównując liczne kolorowe tabele XX wieku z trzema wielkimi akwarelami XXI wieku, powiedział cicho: – Oczywiście, teraz jest to o wiele prostsze! – I zaczął przesuwając palcem wskazującym po granicach Azji. Słowa „*Imperium Wschodu*” biegły przez bladożółty obszar od Uralu po lewej stronie aż do Cieśniny Beringa po prawej, łącząc się wielkimi literami przez Indie, Australię i Nową Zelandię; następnie skierował wzrok na kolor czerwony. Rozciągał się on na znacznie krótszym, ale nie mniej ważnym odcinku, obejmując nie tylko samą Europę, ale całą Rosję aż po Ural i Afrykę Południową. Republika Amerykańska, zaznaczona na niebiesko, rozciągała się nad całym kontynentem i stopniowo zniknęła po lewej stronie półkuli zachodniej w chmurze niebieskich kropek na białym tle morza.

- – Och! Tak, to o wiele prostsze – potwierdził bez wahania starszy pan.

Percy zamknął atlas i odłożył go na miejsce.

- A obecnie, panie, co nam zagraża? Stary konserwatywny polityk uśmiechnął się, a potem powiedział:

- Tylko Bóg to wie! Jeśli *Imperium Wschodu* ruszy, nie będziemy w stanie nic przeciwko niemu zrobić; i nie potrafię sobie wyjaśnić, dlaczego jeszcze się nie ruszyło.

Przypuszczam, że przyczyną są spory religijne.

- A czy jest szansa, że Europa się podzieli?

- Och! Nie, nie!... Znamy niebezpieczeństwo, które nad tym wisi. Ameryka, tak, bez wątpienia przybyłaby nam z pomocą... Ale mimo to, niech Bóg nas chroni, a raczej: niech Bóg was chroni, jeśli to imperium się poruszy, ponieważ dobrze wie, jak daleko sięga jego siła.

Nastąpiła chwila ciszy; ta podziemna sala lekko zadrżała, gdy po alei powyżej przejechała ogromna maszyna.

- Niech pan przepowie przyszłość – rzekł nagle Percy – mam na myśli przyszłość religii.

Pan Templeton wziął kolejny długi wdech ze swojego urządzenia, po czym kontynuował:

- Zasadniczo istnieją trzy siły religijne: *katolicyzm*, *humanitaryzm* i *religie Wschodu*. O tych ostatnich nie mogę nic powiedzieć, choć skłaniam się ku przekonaniu, że sufizm wyjdzie z tego zwycięsko. Ale... może się też stać inaczej; ezoteryka, na przykład, rozwija się w szybkim tempie, a jest to nic innego jak panteizm. Połączenie chińskiej i japońskiej dynastii może zniweczyć wszystkie nasze obliczenia; ale w Europie i w

Ameryce trwa otwarta walka między dwiema głównymi siłami; każda inna jest elementem pomijalnym. A moja myśl, jeśli chcesz poznać jej prawdziwą istotę, jest taka, że katolicyzm, mówiąc po ludzku, upada teraz z przerażającą szybkością. Nie ma wątpliwości, że protestantyzm umarł: w końcu trzeba było uznać, że religia nadprzyrodzona implikuje absolutną władzę, a prywatny osąd w sprawach wiary jest niczym innym jak tylko źródłem rozłamu. Prawdą jest również, że Kościół katolicki, jako jedyna instytucja, która rości sobie prawo do nadprzyrodzonej władzy, swoją nieodpartą logiką musi zdobyć sympatię wszystkich tych chrześcijan, którzy zawsze zachowują wiarę w nadprzyrodzone: nieliczni ocalali fadystowie tutaj i w Ameryce nie mają żadnego znaczenia. I dobrze! Ale z drugiej strony nie mniej prawdziwe jest to, że humanitaryzm, wbrew powszechnym oczekiwaniom, sam staje się religią, religią jednak antynadprzyrodzoną: jest panteizmem. Pod wpływem masonerii udoskonala swój rytuał i ma również swoje wyznanie wiary: człowiek jest Bogiem itp. itp. Może więc skutecznie zaspokajać aspiracje religijne; marzy o ideałach, nie wymagając jednak niczego, co wykraczałoby poza możliwości ducha. Co więcej, odebrali nam wszystkie kościoły i katedry, a my już zaczynamy promować religię serca. Ponadto mogą oni swobodnie wyjaśniać swoje symbole, czego my nie możemy zrobić. Uważam, że za kolejne dziesięć lat będzie to nowa, prawnie uznana religia. A my, katolicy, tracimy teraz grunt pod nogami, tak jak traciliśmy go nieustannie od ponad pięćdziesięciu lat. Będziemy, przynajmniej z nazwy, stanowić jedną czterdziestą części Ameryki, dzięki ruchowi katolickiemu z pierwszych lat XX wieku; ale z Francji i Hiszpanii zniknęliśmy, a w Niemczech pozostajemy niewielką mniejszością. Utrzymujemy wprawdzie naszą pozycję na Wschodzie, ale nawet tam, według statystyk, nie przekraczamy dwóch tysięcy: jest nas niewielu i jesteśmy rozproszeni. A we Włoszech? Owszem, odzyskaliśmy Rzym, ale to wszystko. Mamy tu całą Irlandię i być może jedną sześćdziesiątą część Anglii, Walencji i Szkocji, ale czterdzieści, siedemdziesiąt lat temu liczyliśmy się jako jeden na czterdziestu. Dodajmy do tego ogromny postęp psychologii, która przez całe stulecie była całkowicie przeciwko nam. Wcześniej mieliśmy do czynienia z czystym i prostym materializmem, coraz mniej skutecznym ze względu na swoją prymitywność; dopóki psychologia nie wkroczyła do akcji. Niestety, po zwycięstwie domaga się ona dla siebie całego królestwa Ducha, chce oczywiście wyjaśnić również dążenia do tego, co nadprzyrodzone. Taka jest jej pretenzja! Nie, ojcze, nie ma

Wątpię, jesteśmy niemal zagubieni i zmierzamy ku katastrofie, na którą, jak sądzę, powinniśmy być gotowi lada chwila.

- Jednak...

- Proszę posłuchać: u człowieka już na skraju grobu może to być efekt starczej słabości; niemniej jednak nadal uważam, że sytuacja jest beznadziejna. Prawdę mówiąc, katastrofa wydaje mi się bliska... nie, nie widzę promyka nadziei, dopóki...

Percy spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem...

- *Dopóki... nie powróci... Pan!* – zakończył stary mąż stanu.

Ojciec Francis westchnął ponownie; w pokoju znów zapadła cisza.

- A upadek uniwersytetów? – zapytał w końcu Percy.

- Ach, drogi ojcze, to sytuacja podobna do upadku klasztorów za panowania Henryka VIII, z tymi samymi skutkami, tymi samymi argumentami i tymi samymi wydarzeniami. Uniwersytety były bastionami indywidualizmu, podobnie jak klasztory papizmu, a mimo to traktowano je z nieufnością i strachem. Kiedy rząd zaczął badać liczbę tych, którzy w klasztorach upijali się winem z Porto, lud natychmiast orzekł, że zakonnicy przetrwali już swoje czasy i nie osiągają zamierzonego celu. A jednak istniało więcej niż jeden powód, by zachować domy zakonne; przyznając istnienie tego, co nadprzyrodzone, wynikają one, niemalże powiedziałbym, z koniecznej konsekwencji. Instytucje edukacji świeckiej muszą natomiast oferować coś konkretnego, widocznego pod względem ilości i jakości; a uniwersytety nie były w stanie wykazać, że wyprodukowały cokolwiek godnego uwagi pod jednym lub drugim względem. Ponieważ zatem rozróżnienie między tym, co fizyczne, a tym, co metafizyczne, nie jest celem samym w sobie, uniwersyteci XX wieku w Anglii nie przypadli mi do gustu. I nie potrafiłbym powiedzieć, że przypadli mi do gustu nawet mnie, zatwardziałemu indywidualisty, gdyby nie uczucie współczucia!

- Ach tak? – rzekł Percy.

- Och! To był żałosny widok! Szkoły w Cambridge wraz z oddziałem w Oksfordzie były ostatnią nadzieją, ale potem musiały ulec, tak jak inne. Starzy *nauczyciele* krążyli tu i tam ze swoimi książkami, ale nikt ich nie szukał, ponieważ zbyt głębiali się w spekulacje. Niektórzy z nich trafili do *przytułków* pierwszej lub drugiej kategorii, inni zostali przyjęci przez jakiegoś miłosiernego duchownego; a gdy nie powiodła się próba zgromadzenia ich ponownie w Dublinie, wkrótce lud całkowicie o nich zapomniał. Budynki służyły potem na wszelkie potrzeby. Oxford stał się na krótko zakładem inżynieryjnym, Cambridge – swego rodzaju laboratorium

rządowego. Ja, jak pani wie, przebywałem w Kolegium Królewskim i tam również działo się to, co można sobie wyobrazić jako najbardziej obrzydliwe, chociaż zgodziłem się przekształcić kaplicę w muzeum. Z pewnością nie był to przyjemny widok – ambony pełne preparatów anatomicznych; jednak sądzę, że nie było to o wiele gorsze niż przechowywanie tam sutann lub pieców!

- A jak Pani sobie poradziła?

- Och!... Ja szybko dostałem się do parlamentu i do tego miałem trochę pieniędzy; ale niektórzy z moich kolegów wypadli gorzej. Tylko tym, którzy nie mieli pracy, przyznano niewielką emeryturę; i przypuszczam, choć nie mam co do tego pewności, że nadal ją otrzymują. Rozpoznasz w nich mnie: byli niczym więcej niż malowniczymi ruinami, których ozdobą była religijna wiara!

Percy westchnął ponownie, patrząc na czcigodną twarz tego starca, pełną radości przy wspomnieniach dawnych czasów.

- A co pan sądzi o tym *Parlamencie Europejskim*?

- Och!... Nie wątpię, że stanie się faktem dokonany, o ile tylko znajdzie się człowiek, który nada mu skuteczny impuls. Ostatnie stulecie doprowadziło nas do tego: patriotyzm szybko dobiegł końca, ale powinien był umrzeć tak jak niewolnictwo i inne potworne rzeczy, z ręki Kościoła katolickiego. Zamiast tego, bez jego udziału, zabił go świat, który już staje przeciwko nam, tworząc coś w rodzaju antykościół katolickiego.

Demokracja społeczna zrobiła to, co powinna była zrobić boska monarchia. Gdy ta odniesie triumf w realizacji swojego programu, spodziewajmy się ponownie prześladowań... Ale, powtarzam, wojna na Wschodzie mogłaby nas uratować, gdyby wybuchła... kto wie?...

Percy milczał przez kilka minut; po czym nagle wstał i znów zaczął mówić w esperanto:

- Muszę już iść, bo jest już po dziewiątej. Na razie bardzo dziękuję, panie Templeton!

Francis również wstał, ukazując swój ciemnoszary strój kapłański, i wziął kapelusz.

- – Cóż, ojciec – dodał starszy pan – proszę przyjść jeszcze kiedyś, jeśli uważa pan, że dziś wieczorem byłem zbyt rozmowny. Musi pan jeszcze napisać ten list, prawda?

Percy skinął głową.

- Napisałem połowę dziś rano: czułem wielką potrzebę, by ponownie spojrzeć z lotu ptaka na wydarzenia, zanim zdobędę o nich odpowiednią wiedzę, i dlatego niezmiernie dziękuję za to, że mi pan to umożliwił...

To naprawdę ogromny wysiłek, pisanie codziennego listu do kardynała protektora, i zamierzam z tego zrezygnować, jeśli mi na to pozwolą.

- Ojcie, proszę się nie poddawać; pozwolę sobie powiedzieć, tak między nami, że ma pan niezwykle bystry zmysł obserwacji, a Rzym nie może nic zrobić bez dokładnych informacji. Nie sądzę, by pańscy koledzy byli aż tak...

Percy uśmiechnął się, unosząc czarne brwi, jakby chciał uniknąć tych pochwał; w końcu zwrócił się do Francisa:

- Chodźmy, Ojcie.

Obaj księża rozstali się na schodach przylegających do korytarza, ale Percy pozostał przez chwilę, wpatrując się w tę intymną jesienną scenę, próbując zrozumieć jej niemą mowę. To, co usłyszał w podziemnej sali starego Templetona, zdawało się rzucać dziwne światło na majestatyczny obraz dobrobytu, który rozciągał się przed nim. Powietrze lśniło jak w dzień, ponieważ sztuczne światło wyprzedziło zmierzch, a Londyn nie znał już różnicy między dniem a nocą.

Znajdował się w czymś w rodzaju szklanego krużganka, wyłożonym grubą warstwą gumy, która tłumiała odgłos kroków, a na dole, u podnóża schodów, w dwóch rzędach oddzielonych przegrodą, po prawej i po lewej stronie przechadzała się niezliczona rzesza ludzi, bez żadnego hałasu poza ożywionym i nieustannym szmerem w języku esperanto, towarzyszącym temu ruchowi.

Przez szybę publicznej galerii dostrzegł szeroką, gładką i czarną powierzchnię ulicy, poprzecinanej wzdłuż na wzdłuż, i, nie bez powodu, wolnej od pieszych. W rzeczywistości w tej samej chwili, ze strony starego Westminsteru, zbliżał się, narastając, dźwięk podobny do brzęczenia gigantycznego ula, a zaraz potem obiekt świetlisty przemknął szybko jak strzała, błyskając ze wszystkich stron; następnie dźwięk osłabł do poprzedniego brzęczenia, a potem całkowicie ucichł po burzliwym przejeździe wielkiego rządowego pojazdu pocztowego z południa na wschód. Była to droga zarezerwowana wyłącznie dla pojazdów państwowych, które nie mogły poruszać się po niej z prędkością większą niż sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

W tym wyciszonym mieście nie słychać było żadnego innego hałasu; tramwaje pasażerskie jeździły sto metrów dalej, a ruch podziemny odbywał się na tak dużej głębokości, że odczuwalny był jedynie jako drżenie ziemi. Eksperci rządowi przez ostatnie dwadzieścia lat pracowali nad wyeliminowaniem nawet tych wibracji i wyciszeniem zwykłych pojazdów!

Zanim jeszcze Percy ruszył, usłyszał dochodzący z nieba długi krzyk o przerażającej i rozdzierającej piękności: gdy tylko podniósł wzrok znad równomiernych fal Tamizy, jedynych, które opierały się wszelkim przemianom, ujrzał wysoko w górze, naprzeciwko złowrogo oświetlonych chmur, podłużny i smukły obiekt, rozświetlony czarującym blaskiem, przemykający na północ, a następnie znikający z rozpostartymi skrzydłami. Ta niebiańska muzyka, jak dobrze wiedział, była głosem europejskich samolotów, które w ten sposób zwiastowały przybycie do stolicy Wielkiej Brytanii.

- *Aż... powróci... Pan!*... – powtórzył do siebie P. Percy i przez krótką chwilę dawna udręka znów przytłoczyła jego serce. Jakże trudno było utrzymać wzrok utkwiony w tym odległym horyzoncie, podczas gdy świat leżał na tej równinie, przyciągnięty i zniewolony przez jego potęgę i blask! Och!... tak!... Niedawno, dyskutując z

P. Francisem, że złożoność mechaniczna nie jest synonimem prawdziwej wielkości i że w najbardziej okazałej zewnętrżności kryje się najsubtelniejsza pułapka. Tak! On, który wierzył we własne słowa, uciszał teraz ostatni słaby głos wątpliwości wielkodusznym wysiłkiem, wołając w duchu do Człowieka z Nazaretu, by uczynił jego serce podobnym do serca dziecka.

W końcu zacisnął usta, zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze ojciec Franciszek wytrzyma wpływ świata; po czym zszedł po schodach aż na dół.

KSIĘGA PIERWSZA ADWENT

ROZDZIAŁ PIERWSZY I.

Oliviero Brand, nowy poseł z Croydon, siedział w gabinecie przed maszyną do pisania, wpatrując się w okno. Jego dom wznosił się na północy, na skraju odgałęzienia wzgórz Surrey, obecnie tak poprzecinanych i podziurawionych, że nie można ich było w ogóle rozpoznać: tylko komunista taki jak on mógł czerpać pocieszenie z takiego widoku.

Tuż pod szerokimi oknami dobrze ukształtowana równina opadała gwałtownie przez około pięćdziesiąt metrów, kończąc się wysokim murem, za którym świat i dzieła ludzkie triumfowały na widoku. Dwie szerokie drogi, przypominające utwardzone tory wyścigowe, szerokie na trzysta metrów i wykopane około dwudziestu stóp w głąb ziemi, zbiegły się na odcinku mili, tworząc następnie majestatyczne skrzyżowanie. Ta po lewej była główną linią do Brighton, zaznaczoną małymi literami w przewodniku kolejowym; ta po prawej – drugą linią do dzielnic Tunbridge i Hastings. Każda z nich była wzdłuż podzielona betonową ścianą; po jednej stronie tej ściany, po stalowych prętach, jeździły tramwaje elektryczne, po drugiej stronie biegła trasa dla samochodów, podzielona z kolei na trzy sekcje: pierwsza dla samochodów rządowych o prędkości stu pięćdziesięciu mil na godzinę, druga dla samochodów prywatnych, nieprzekraczających sześćdziesięciu; trzecia dla tanich pojazdów publicznych, poruszających się z prędkością zaledwie trzydziestu kilometrów na godzinę, z przystankami co pięć mil. Przy tej ostatniej biegła droga przeznaczona dla pieszych, rowerzystów i zwykłych wozów, na której nie wolno było przekraczać prędkości dwunastu mil na godzinę.

Poza tymi głównymi liniami rozciągała się ogromna płaszczyzna dachów z małymi wieżami tu i ówdzie, wskazującymi budynki publiczne, od dzielnicy Caterham po lewej stronie, aż po Croydon z przodu: wszystko razem jasne i lśniące w tym bezdymnym powietrzu, a dalej na zachód i północ przedmiejskie pagórki wyróżniały się na tle brązowego kwietniowego nieba. Zaskakujący był brak głośnych odgłosów, mimo dużej gęstości zaludnienia. Poza zgrzytem stalowych prętów pędzących pociągów i harmonijnym dudnieniem wielkich statków powietrznych, które mijały się i oddalały, do pracowni Oliviero docierał jedynie

łagodny i cichy szept, który wypełniał powietrze, podobny do brzęczenia pszczoł w ogrodzie

Oliviero, który kochał wszelkie przejawy ludzkiego życia – we wszystkich dziedzinach i sektorach działalności – zdał sobie sprawę, nie bez lekkiego śmiechu z samego siebie, że zaczął wpatrywać się w powietrze; zacisnął więc usta, ponownie położył palce na klawiszach i kontynuował przygotowywanie swojego przemówienia.

Dom Oliviero Branda znajdował się w najkorzystniejszym położeniu: wzniesiony na rogu jednej z tych ogromnych sieci, które wówczas pokrywały dzielnicę, oferował mu wszystko, co mogło być korzystne dla jego zamierzeń. Ze względu na bliskie sąsiedztwo Londynu kosztowała bardzo niewiele, ponieważ wszyscy zamożni ludzie wycofali się co najmniej sto mil od zgiełku centrum Anglii; a jednocześnie była tak spokojna, jak tylko mógł sobie tego życzyć. Z jednej strony w dziesięć minut docierał do Westminsteru, w dwadzieścia – na drugą stronę, nad morze, a jego okręg wyborczy rozciągał się przed nim jak rozłożona mapa. Ponadto, ponieważ dworzec centralny w Londynie znajdował się zaledwie dziesięć minut dalej, miał do dyspozycji główne arterie komunikacyjne prowadzące do każdej stolicy Anglii.

Dla polityka o skromnym majątku, który miał przemawiać jednego wieczoru w Edynburgu, a następnego w Marsylii, mieszkanie to było równie wygodne, jak mieszkanie każdego innego szanowanego kolegi z Europy.

Oliviero był mężczyzną o przyjemnej aparycji, nieco ponad trzydziestolatkiem, o jasnej karnacji, z krótko przystrzyżonymi włosami w metalicznym brązowym odcieniu, małymi, brązowymi, męskimi i czarującymi oczami. Tego dnia wydawał się szczególnie zadowolony z siebie i ze wszystkiego innego. Pisząc, lekko poruszał ustami, zamykał i otwierał oczy ze wzruszenia, a także wielokrotnie przerywał pracę, rozglądając się rozkojarzony, uśmiechnięty i podekscytowany.

W międzyczasie drzwi się otworzyły i wszedł wyraźnie poruszony mężczyzna w średnim wieku z plikiem dokumentów, położył je bez słowa na stole i od razu przygotował się do wyjścia; ale Oliviero skinął na niego ręką, podniósł dźwignię, a potem powiedział:

- Co mamy nowego, panie Philipps?

- Wiadomości ze Wschodu, proszę pana – odpowiedział sekretarz.

Oliviero rzucił szybkie spojrzenie i położył dłoń na pliku.

- – Czy to kompletna wiadomość? – zapytał.

- Nie, panie; komunikacja znów została przerwana, ale pojawia się w niej nazwa Felsemburgh.

Oliviero udawał, że nie słyszy; szybko podniósł cienkie kartki i zaczął je rozkładać.

- - Na górze czwartej kartki, panie Brand – powiedział sekretarz.

Oliviero niecierpliwie potrząsnął głową, a ten drugi, jakby ten gest był skierowany do niego, natychmiast wyszedł. Czwarty arkusz, wydrukowany na zielonym tle czerwonymi literami, zdawał się całkowicie pochłaniać uwagę Oliviero. Przeczytał go bowiem dwa lub trzy razy, siedząc nieruchomo w fotelu; potem westchnął i znów zaczął patrzeć przez okno. W tym samym czasie drzwi ponownie się otworzyły i pojawiła się wysoka, elegancka młoda dama.

- - No cóż, mój drogi, co mamy nowego? – zapytała zaraz po wejściu.

Oliviero potrząsnął głową, zacisnął usta, a następnie odpowiedział:

- Nic konkretnego! A właściwie mniej konkretnego niż zwykle; posłuchaj! I, chwyciwszy zieloną kartkę, zaczął ją czytać na głos; podczas gdy młoda pani usiadła z boku przy oknie.

Była to istota naprawdę pełna wdzięku; wysoka i smukła, miała szare, surowe i płomienne oczy, pełne i czerwone usta oraz piękną postawę całej osoby.

Przeszła powoli przez pokój, gdy Oliviero miał właśnie ponownie wziąć kartkę, i już usiadła, otulona swoją brązową suknią, z postawą pełną wdzięku i godności. Można by pomyśleć, że słuchała z celowym spokojem, gdyby nie ciekawość, która przejawiała się w jej oczach. Komunikat brzmiał następująco:

„Irkuck – 14 kwietnia – Wczoraj – jak – w pozostałe dni – ale mówi się – o odejściu – z – partii – Suffita – Oddziały – nadal – zbierają się – w **Felsemburgu** – przemowa – do tłumu buddyjskiego – Zamach – na – Lamę – w miniony piątek – dzieło – anarchistów – Felsemburg – wyruszył do Moskwy – aby go aresztować...”.

- I to wszystko!.. – zakończył smutno Oliviero. – Komunikacja, jak zwykle, została przerwana.

Dziewczyna zaczęła kołysać się na jednej nodze.

- - Ja – powiedziała – zupełnie nic z tego nie rozumiem; ale kim w końcu jest ten Felsemburgh?

- - Moje dziecko, to pytanie zadają sobie wszyscy!... Wiemy o nim tylko tyle, że w ostatniej chwili dołączył do delegacji amerykańskiej. W zeszłym tygodniu „Herald” opublikował jego biografię, ale została ona zdementowana.

W każdym razie możesz być pewna, że Felsemburgh to naprawdę młody człowiek, który – przynajmniej do dziś – pozostawał całkowicie nieznany.

- Ale teraz już nie jest nieznany! – zauważyła młoda kobieta.

- Bez wątplenia! Wygląda na to, że to on wszystkim kieruje, skoro o innych nigdy się nie mówi. Wielkie szczęście, że jest z dobrej rodziny.

- A co ty o tym sądzisz?

Oliviero znów zaczął błąkać wzrokiem za oknem.

- – Myślę – rzekł – że coś się szykuje; ale dziwię się, że ma to nastąpić z ręki jednego człowieka: to zbyt wielkie, by można było to sobie wyobrazić.

Wschód, bez wątpienia, przygotowywał się przez ostatnie pięć lat do wyprawy przeciwko Europie: tylko Ameryka zdołała go powstrzymać, a oto kolejna próba, by go powstrzymać. Ale dlaczego Felsemburgh miałby stanąć na czele?

Tu przerwał.

- W każdym razie musi być znakomitym lingwistą; przemawiał w ponad pięciu językach i być może pełni rolę tłumacza dla Amerykanów. Chryste, bardzo jestem ciekawy, kim on jest!

- Nie ma innych imion?

- Giuliano, jak sądzę. Tak przynajmniej nazwano go w jednej wiadomości.

- A skąd pochodzą te informacje?

Oliviero potrząsnął głową.

- Z własnej inicjatywy. Europejskie agencje już nie działają. Każda stacja telegraficzna jest obserwowana dzień i noc, a nad każdą granicą rozciągają się całe linie samolotów. Imperium Wschodu sądzi, że może liczyć się bez nas.

- A jeśli poniesiemy porażkę?

- Ach! Moja droga Mabel, gdyby rozpętało się piekło... – i opuścił ręce, zasmucony.

- A co robi rząd?

- Pracuje dzień i noc, nawet w pozostałej części Europy. To będzie straszna Armageddon (1), jeśli wybuchnie wojna.

- Czy widzisz inne możliwe scenariusze?

- Są dwa scenariusze – odpowiedział spokojnie Oliviero –: albo Wschód, w obliczu Ameryki, powstrzyma się ze strachu, albo da się przekonać do zachowania pokoju dla dobra ludzkości. Gdyby tylko mogli raz zrozumieć, że solidarność jest jedyną nadzieją, jaka pozostała światu!... Ale z tymi przekłętymi religiami...

Młoda pani spojrzała z westchnieniem na ogromną przestrzeń dachów pod oknem.

Sytuacja była naprawdę poważniejsza niż kiedykolwiek. To rozległe imperium, powstałe z konfederacji państw pod panowaniem Syna Niebios (co stało się możliwe po połączeniu dynastii japońskiej i chińskiej oraz upadku Rosji), nabrało nowych sił i w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat, w pełni świadome swojej wartości, położyło swoje żółte i chude ręce na Australii i Indiach. I podczas gdy w innych częściach świata z satysfakcją żartowano z *szaleństwa wojny*, nawet po upadku Republiki Rosyjskiej pod ciosami koalicji ras żółtych, te ostatnie zawsze czaiły się w ukryciu.

Cywilizacja ostatniego stulecia groziła ponownym pogrążeniem się w chaosie.

Prawdę mówiąc, na Wschodzie nie budziły niepokoju ogromne rzesze ludności, ale przywódcy, którzy po wielu wiekach letargu podjęli się ich ekspansji; trudno było znaleźć sposób, by zatrzymać ich w tym momencie ich drogi. Szczególnie ponury wydawał się fakt, że za tym ruchem krył się fanatyzm religijny i że zarażony Wschód postanowił nawracać za pomocą współczesnych substytutów żelaza i ognia tych, którzy nie wyznawali innej religii poza religią ludzkości.

Dla Oliviero wszystko to budziło po prostu przerażenie. Kiedy, wychylając się przez okno, spoglądał na Londyn, rozciągający się spokojnie przed nim; kiedy, przemierzając w wyobraźni całą Europę, widział, jak niepodważalne są osiągnięcia zdrowego rozsądku i triumf faktów nad dzikimi bajkami chrześcijaństwa, wydawała mu się nie do zniesienia nawet sama możliwość, że świat zostałby zepchnięty z powrotem w barbarzyński chaos sekt i dogmatów; a właśnie do tego doprowadziłby atak Wschodu na Europę!...

Nawet katolicyzm, nie ukrywał tego przed sobą, nawet katolicyzm odrodziłby się: ta dziwna wiara, która rozpalala się coraz bardziej za każdym razem, gdy prześladowania ją gnębiły, by ją wygasić. A spośród wszystkich form wiary katolicyzm wydawał się Oliviero najbardziej groteskowy i tyrański; i jednak takie przecucie niepokoiło go znacznie bardziej niż materialna katastrofa, która wraz z interwencją Wschodu spowodowałaby krwawą rzeź na Europę.

Jak wielokrotnie powtarzał Mabel, z religijnego punktu widzenia można było mieć tylko jedną nadzieję: że panteizm quietystyczny, który w ostatnim stuleciu poczynił ogromne postępy na Wschodzie i na Zachodzie, wśród muzułmanów i buddystów, wśród hindusów i konfucjanistów, mógłby posłużyć do

stłumienie nadprzyrodzonego szaleństwa ich mistycznych braci. Panteizm, tak jak go rozumiał, był jego wiarą. Bóg był dla niego zbiorem istot żywych, w ciągłej ewolucji; jego istotą była bezosobowa jedność.

Zatem rywalizacja indywidualna stanowiła wielką herezję, która nastawiała jednych przeciwko drugim, hamując postęp, który według niego polegał na wchłonięciu jednostki przez rodzinę, rodziny przez naród, narodu przez kontynent, a kontynentu przez świat. A sam świat, w każdej swojej chwili, był niczym innym jak przejawem bezosobowego życia.

Była to w rzeczywistości idea katolicka, pomniejszona o element nadprzyrodzony; była to jedność dóbr ziemskich, porzucenie nadprzyrodzoności z jednej strony i indywidualizmu z drugiej: odwołanie się do Boga immanentnego zamiast do Boga transcendentnego było zdradą; nie istniał Bóg transcendentny: Bóg, o ile można Go było poznać, był człowiekiem.

Dlatego Oliviero i Mabel, modna para małżeńska, która zawarła ówczesne, uznawane przez państwo małżeństwo na czas określony, byli dalecy od podzielenia głupich i prymitywnych poglądów typowych dla czystych materialistów. Świat tętnił dla nich intensywnym życiem, które rozlewało się na kwiaty, zwierzęta, człowieka, niczym strumień cudownej siły tryskający z mrocznego źródła, aby nawodnić wszystko, co uczestniczy w ruchu i uczuciu; a jeszcze bardziej godna podziwu była boska epopeja Wszechświata, właśnie dlatego, że stała się zrozumiała dla umysłu wywodzącego się od Niego.

Pozostawały wprawdzie tajemnice, ale były to tajemnice, które schlebiali umysłowi, zamiast go wprawiać w zakłopotanie, wyjaśniając nowe chwały przy każdym odkryciu, jakiego dokonałby człowiek. Nawet rzeczy nieożywione, skamieniałości, prąd elektryczny, odległe gwiazdy były atomami poruszonymi przez ducha świata, który upaja nas swoją obecnością i opowiada nam o swojej naturze. Na przykład ogłoszenie, które dwadzieścia lat wcześniej wygłosił astronom Klein, że niektóre planety są bezsprzecznie zamieszkane, jakże wielką zmianę wywołało w poglądach na temat ludzkiego przeznaczenia!

Jednakże jedynym warunkiem postępu, budowania Jerozolimy na tej planecie, która przypadkiem stała się siedzibą człowieka, musiał być pokój, a nie miecz, który przyniósł Chrystus, a który Mahomet zbrutalizował; pokój, który rodzi się ze zrozumienia, zamiast je przewyższać, pokój, który wynika ze świadomości, że człowiek jest wszystkim i że może ewoluować jedynie poprzez współpracę ze swoimi bliźnimi.

Dla Oliviero i jego żony minione stulecie było niczym objawienie. W miarę jak stopniowo zanikały stare przesady, rozprzestrzeniało się już nowe światło; Duch świata przebudził się; słońce wschodziło na zachodzie. Dlatego też z przerażeniem i odrazą mieli wkrótce ujrzeć, jak chmury ponownie gromadzą się nad tą częścią świata, która była kolebką tak wielu przesądów.

W międzyczasie Mabel wstała, podeszła do męża i powiedziała:

– Nie trać odwagi, mój drogi! Zobaczysz, że wszystko skończy się tak jak dawniej. Wielkie szczęście dla nas, że Wschód we wszystkim podąża za radami Ameryki i że ten pan Felsemburgh jest, jak się wydaje, z dobrej rodziny.

Oliviero uściskał jej dłoń i pocałował ją.

II.

Pół godziny później, podczas śniadania, Oliviero wydawał się bardzo przygnębiony. Jego matka, starsza pani zbliżająca się do osiemdziesiątki, która nie pokazała się aż do południa, od razu to zauważyła i po tym, jak spojrzała na niego raz czy dwa i skierowała do niego kilka słów, usiadła w milczeniu przy stole. Mała jadalnia, przylegająca do gabinetu Oliviero, była naprawdę urocza w swoim ówczesnym, powszechnie stosowanym wystroju w jasnozielonym kolorze; okna wychodziły na mały ogródek, a wysoką ścianę pokrytą bluszczem wyznaczała granica. Meble były w zwykłym stylu: pośrodku stał duży okrągły stół, wokół którego stały trzy szerokie krzesła z podłokietnikami i wygodnymi oparciami, a środek stołu, widocznie oparty na szerokim cylindrycznym cokole, podtrzymywał talerze. Od trzydziestu lat panował zwyczaj umieszczania jadalni nad kuchnią, a podawanie potraw w górę i w dół za pomocą urządzenia hydraulicznego stało się powszechne w domach zamożnych. Podłoga była pokryta preparatem na bazie korka, zwanym azbestem, wynalezionym w Ameryce, cichym w dotyku i gładkim, przyjemnym zarówno dla stóp, jak i dla oczu.

Mabel pierwsza przerwała ciszę:

- – Wygłosisz jutro przemówienie? – zapytała Oliviero, podnosząc widelec.

Oliviero ożywił się nieco i zaczął mówić. W Birmingham narastały niepokoje, domagając się po raz drugi wolnego handlu z Ameryką, ponieważ nie wystarczały im ułatwienia handlowe z resztą Europy. A ponieważ powierzono mu zadanie uspokojenia ich, chciał przede wszystkim przekonać ich, że niepotrzebnie się burzą, dopóki spór między Europą a Wschodem nie zostanie zażegnany; po drugie, skłonić ich, by nie sprawiali kłopotów rządowi takimi drobiazgami; ale jednocześnie musiał im powiedzieć, że rząd ich poprze i że wolny handel jak najszybciej znów wejdzie w życie.

- To banda głupców! – dodał surowo; – głupi i samolubni jak dzieci, które krzyczą o chleb dziesięć minut przed obiadem: niech trochę poczekają, a na pewno go dostaną!

- I tak ich potraktujesz?

- Oczywiście! Powiem im, że są głupi!

Mabel rzuciła na pana młodego spojrzenie pełne uznania. Doskonale wiedziała, że popularność Oliviero opierała się przede wszystkim na jego szczerości oraz że zwykli ludzie z przyjemnością pozwalali się znęcać i maltretować przez

inteligentnej osoby, która podczas rozmowy podskakiwała i gestykulowała z tak fascynującym zapalem: to jej również bardzo się podobało!

- Jak zamierzasz odbyć tę podróż?

- Samolotem. Wsiądę do tego o osiemnastej w Blackfriars; więc odbędzie się o dziewiętnastej, a ja wrócę o dwudziestej pierwszej.

W tym momencie zaczął mówić z wielkim entuzjazmem o swoim nadchodzącym wystąpieniu, podczas gdy matka patrzyła na niego z łagodnym i spokojnym uśmiechem starszej kobiety. Mabel delikatnie stukała palcami w adamaszek...

- Pospiesz się, kochanie – powiedziała – o trzeciej muszę być w Brighton. Oliviero przełknął ostatni kęs, odstawił talerz na miejsce, sprawdził, czy wszystkie pozostałe talerze są na swoim miejscu, a następnie wsunął dłoń pod stół. Nagle schowek na talerze otworzył się bezgłośnie, a trzech biesiadnicy pozostali na swoich miejscach, obojętni na brzęk naczyń dochodzący z dołu.

Starsza pani Brand była kobietą o zdrowym wyglądzie, z rumieńcem w zmarszczkach, a na głowie miała welon, tak jak to było w zwyczaju pięćdziesiąt lat temu.

Tego wieczoru jednak ona również wydawała się nieco przygnębiona, sądząc, że występ jej syna nie odniesie wielkiego sukcesu; poza tym nie przypadły jej do gustu te sztuczne potrawy; były to drobiazgi z piasku, o czym miała później wspomnieć.

W międzyczasie, po delikatnym brzęku i odgłosie czegoś delikatnie popychanego, winda z obiadem pojawiła się ponownie na swoim miejscu, niosąc piękną imitację pieczonego kurczaka.

Po śniadaniu Oliviero i Mabel zostali sami na minutę lub dwie, zanim ona udała się na pociąg czwartej klasy o czternastej trzydziści, na głównej linii po lewej stronie.

- Co się dzieje z mamą? – zapytał Oliviero.

- – Posłuchaj: to przez to sztuczne jedzenie! Mówi, że nie może się do niego przyzwyczaić i że jej nie służy.

- I nic więcej?

- Nie, kochanie; jestem tego pewna, bo do tej pory nic nie powiedział. Oliviero, uspokojony tymi słowami, czekał na wyjście swojej żony.

Rzeczywiście, mama nieco go zaniepokoiła jakiś czas temu pewnymi słowami, które wymknęły się jej z ust. Wychowana przez kilka lat w chrześcijaństwie, wydawała się czasami zachowywać pewne resztki tej infekcji; tak bardzo, że lubiła trzymać przy sobie stary „*Ogród Duszy*”, choć protestowała, wyrażając pogardę dla takich absurdów. Jednak Oliviero wolałby

wolał, żeby wrzuciła go do ognia, bo przesąd to coś zgubnego, co, jeśli się go nie wypłeni, może odrodzić się w osłabionym umyśle. Chrześcijaństwo, jak wielokrotnie powtarzał, było religią barbarzyńską i głupią: barbarzyńską ze względu na niezaprzeczną dziwaczność i absurdalność, głupią ze względu na całkowite oderwanie od upajającego nurtu ludzkiego życia. Wiedział dobrze, że taka wiara wciąż się tu i ówdzie wlokła w półmroku jakiegoś małego kościoła, krzyczała z histeryczną sentymentalnością w katedrze westminsterskiej, gdzie, gdy raz tam wszedł, ogarnęła go wściekłość i mdłości; nie mogła być niczym innym jak zbiorem dziwnych i zwodniczych słów dla niekompetentnych, starych i naiwnych. Przerazała go sama myśl, że jego matka znów zacznie patrzeć na to z sympatią. Osobiście, o ile pamiętał, zawsze był przeciwny ustępstwom przyznanym Rzymowi i Irlandii, wydawało mu się nie do zniesienia, że te dwa kraje zostały pozostawione na pastwę tak głupiej i perfidnej bezsensowności, stając się siedliskami buntu i zgubnymi ogniskami na obliczu ludzkości: nigdy nie mógł się zgodzić z tymi, którzy uważali za lepsze skupienie trucizny Zachodu, niż jej rozprzestrzenianie. W każdym razie faktem było to, że Rzym został oddany temu staruszkowi w białym stroju w zamian za wszystkie kościoły parafialne i katedry we Włoszech; a tam, jak dobrze wiadomo, panował średniowieczny obskurantyzm; Irlandia natomiast, która trzydzieści lat wcześniej uzyskała autonomię i ogłosiła się katolicką, otworzyła ramiona na najbardziej gwałtowny indywidualizm. Anglia zgodziła się z uśmiechem, widząc się wolną od nie wiadomo ilu zamieszek, dzięki natychmiastowemu wyjeździe połowy swojej katolickiej ludności na tę wyspę; i zgodnie ze swoją kolonialną polityką w duchu komunistycznym, udzieliła wszelkich ułatwień indywidualizmowi, mając na celu stopniowe doprowadzenie go do spontanicznego sprowadzenia do absurdu. Tymczasem w Irlandii miały miejsce najdziwniejsze wydarzenia. Oliviero przeczytał z gorzką rozbawieniem o pewnych objawieniach... pani w niebieskim płaszczu oraz o ołtarzach wzniesionych w miejscach, gdzie postawiła stopy; ale, prawdę mówiąc, wcale nie bawiła go kapitulacja Rzymu, ponieważ przeniesienie stolicy do Turynu pozbawiło Republikę Włoską całego jej sentymentalnego prestiżu i uwieńczyło stare religijne szaleństwo uwodzicielską aureolą historycznych wspomnień. Sytuacja ta nie mogła zresztą trwać dłużej: świat w końcu otworzył oczy! Gdy żona wyszła, pozostał przez chwilę przy drzwiach, aby dla własnego spokoju rozkoszować się wspaniałym widokiem prawdziwego postępu, który rozciągał się

przed nim: niekończąca się przestrzeń dachów, szerokie przeszklone sklepienia łaźni publicznych i sal gimnastycznych, budynki szkolne zwieńczone kopułami, gdzie każdego ranka nauczano obowiązków obywatelskich; dźwigi przypominające gigantyczne pająki, rusztowania wyrastające tu i ówdzie; nie niepokoiły go nawet nieliczne szczyty dzwonnice. Tam, w ciemnej mgle Londynu, jako widok prawdziwego piękna, rozprzestrzenił się ogromny rój mężczyzn i kobiet, którzy w końcu nauczyli się pierwszej lekcji nowej ewangelii: że nie ma Boga, ale człowieka, nie ma kapłana, ale posła, nie ma proroka, ale pedagoga. Następnie powrócił do pisania swojego przemówienia.

Mabel również była nieco zamyślona, gdy siedząc z gazetą na kolanach, pędziła tramwajem po szerokich ulicach Brighton. Wiadomości ze Wschodu poruszyły ją bardziej, niż dała to do zrozumienia mężowi; niemniej jednak wydawało jej się niewiarygodne, by groziło realne niebezpieczeństwo inwazji: życie na Zachodzie wydawało się przecież tak rozsądne i spokojne!... i jeśli ludzie postawili teraz stopę na twardym gruncie, jak można było sądzić, że zostaną zepchnięci z powrotem w błotniste bagna? To zaprzeczało wszystkim prawom ewolucji i postępu! Mabel nie mogła nawet przyjąć, że katastrofy wchodzą w zakres metod natury...

Siedziała w milczeniu, patrząc na ten niewielki fragment wiadomości; potem przeczytała artykuł redakcyjny, który również wydawał się mieć przerażającą treść. W środku sąsiedniego przedziału dwóch mężczyzn rozmawiało na ten sam temat: jeden opisywał rządowe zakłady mechaniczne, które sam odwiedził, oraz gorączkę, jaka tam panowała bez chwili wytchnienia; drugi ograniczał się do zadawania pytań i formułowania wątpliwości. Wszystko to do pewnego stopnia budziło optymizm. Z drugiej strony, z powodu braku okien nie mogła wyrzeć na zewnątrz; a poza tym przy tak dużej prędkości nie byłaby w stanie skupić wzroku na niczym. Długi przedział, wyłożony eleganckimi szybami, zamykał więc cały jej horyzont; i obserwowała na białym sklepieniu pociągu urocze malowidła w dębowych ramach, potem wysokie fotele na sprężynach, kule rozpraszające z góry to mleczne światło... a potem mamę z dzieckiem, którzy siedzieli naprzeciwko niej. W końcu, gdy rozległ się głośny sygnał, lekkie drżenie stało się silniejsze, a chwilę później, gdy drzwi otworzyły się automatycznie, Mabel wyszła na peron stacji w Brighton.

Schodząc po schodach prowadzących na plac przed dworcem, dostrzegła przed sobą księdza, który na pierwszy rzut oka wydawał się krzepkim i dobrze zbudowanym staruszką, gdyż pomimo siwych włosów kroczył mocnym i zdecydowanym krokiem; gdy zatrzymał się u podnóża schodów i odwrócił się bokiem, ku jej wielkiemu zdziwieniu ukazał jej twarz młodzieńca o pięknych i energicznych rysach oraz żywe, szare oczy pod czarnymi brwiami.

Następnie Mabel przeszła przez plac, kierując się do domu ciotki.

W tym samym czasie, bez żadnego ostrzeżenia, poza ostrym świstem dochodzącym z nieba, nastąpiło wiele strasznych rzeczy.

Wielki cień zasłonił ziemię u jej stóp; w powietrzu rozległ się zgrzyt, jakby coś się rozrywało, a po nim huk przypominający sapanie giganta; i gdy zatrzymała się oszołomiona, z nowym hukiem, jakby tysiąc kotłów pękło, ogromny obiekt spadł przed nią na podłogę z gutaperki, zajmując połowę placu, a jego górna część wyginała się, gdy wielkie skrzydła wirowały i uderzały w powietrze niczym ramiona wymarłych, potwornych bestii; z każdej strony rozlegały się ludzkie krzyki i niemal natychmiast zaczęło się mrowienie złamanych istnień.

Zanim zorientowała się, co się stało, Mabel poczuła, jakby coś ją gwałtownie popchnęło do przodu, aż drżąc całym ciałem, natknęła się na coś przypominającego rozbite ciało mężczyzny, który jęczał, leżąc u jej stóp.

W wyraźnych słowach, które wydobywały się z tego ciała, usłyszała wyraźnie imiona Jezusa i Marii, a potem głos, który nagle szepnął do niej: – Proszę mnie przepuścić, pani; jestem księdzem.

Zatrzymała się jeszcze na chwilę, oszołomiona tym nieoczekiwanym wydarzeniem, i zobaczyła, choć nie rozumiała powodu, tego młodego księdza o siwych włosach, klęczącego, wyjmującego krzyż z rozpiętej z przodu sutanny, a następnie pochylającego się i szybko wykonującego gest ręką; po czym usłyszała ciche szepty w nieznanym języku.

Następnie ksiądz wstał z krzyżem w dłoni i wkroczył na zakrwawioną podłogę w tę lub inną stronę, jakby na jakiś znak. W międzyczasie ze schodów wielkiego szpitala po prawej stronie schodziło kilka postaci z odkrytymi głowami, z których każda trzymała coś w rodzaju starego miecha fotograficznego. Serce Mabel podskoczyło z radości, gdy rozpoznała w nich ministrów *eutanazji*; poczuła się wtedy, jakby ktoś chwycił ją za gardło; a

odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z krzyczącym, wzburzonym tłumem, za linią policjantów i cywilów, którzy utworzyli kordon, aby powstrzymać ludzi.

III.

Oliviero był strasznie zaniepokojony, gdy pół godziny później matka przybiegła do niego z wiadomością, że jeden z rządowych statków powietrznych rozbił się na placu przed dworcem w Brighton tuż po tym, jak pociąg o 14:30 wyładował pasażerów. Doskonale wiedział, co oznacza ta wiadomość, pamiętając podobne wydarzenie sprzed dziesięciu lat, które miało miejsce tuż po uchwaleniu ustawy przeciwko prywatnym wyborcom: oznaczało to, że zginęli wszyscy, którzy znajdowali się w statku, a wielu innych na placu, na który spadł... i co z tego wynikało? Przesłanie było więcej niż jasne: Mabel z pewnością była na placu o tej porze!

Wysłał zdesperowany telegram do ciotki z prośbą o informacje i drżąc, opadł na fotel, czekając na odpowiedź. Jego matka siedziała obok niego.

- Oby tak było!... – wykrzyknęła tylko raz; i zatrzymała się zdezorientowana, jakby Oliviero okazał jej niezadowolenie.

Los okazał się jednak łaskawy, ponieważ trzy minuty przed powrotem Philippsa z odpowiedzią do pokoju weszła sama Mabel, nieco blada, ale uśmiechnięta.

- Chryste!... – wykrzyknął Oliviero i gwałtownie szlochał, podskakując z krzesła.

Nie miała zbyt wiele do opowiedzenia, ponieważ do tej pory nie opublikowano żadnego raportu na temat katastrofy; mówiło się jednak, że skrzydła po jednej stronie całkowicie przestały działać. Opisała jednak ten cień, potem świst... upadek... po czym zamilkła.

- – No i co, moja droga? – zapytał Oliviero, siadając obok niej, wciąż blady, i biorąc ją za rękę.

- – Ale nie wiesz, że tam był ksiądz? – powiedziała Mabel. – Widziałam go już wcześniej na stacji.

Oliviero uśmiechnął się nerwowo.

- I był tam, klęcząc z krzyżem, jeszcze zanim przybyli lekarze. Ale, mój drogi, czy to naprawdę prawda, że ludzie wierzą w te wszystkie rzeczy?

- Na moją wiarę, przynajmniej tak im się wydaje!

- To było tak... tak nieoczekiwane; a jednak on tam był, jakby to przeczuł. Ale, Oliviero, jak to możliwe, że oni w to wierzą?

- Chodzi o to, że ludzie potrafią uwierzyć we wszystko, byle tylko przyzwyczaili się do tego odpowiednio wcześniej.
- A ten człowiek, to znaczy umierający, on też, wiesz, wierzył w to! Mówiły mi to jego oczy – Mabel zamilkła.
- Kochanie, no i co?
- Oliviero, co mówisz ludziom, kiedy umierają?
- Co mówię? Nic! Co mam powiedzieć? Zresztą nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział, jak ktoś umiera.
- Ja też nie, aż do dzisiaj – odparła młoda kobieta z lekkim dreszczem – Zwolennicy *eutanazji* natychmiast zabrali się do pracy. W tym momencie Oliviero czule uściskał jej dłoń.
- Moja droga, jak straszne to musiało być? Wciąż drżysz!
- Ależ nie... Posłuchaj mnie: gdybym miała coś do powiedzenia tym umierającym, chętnie bym to im powiedziała: stali tuż przede mną. Chciałam, ale zdałam sobie sprawę, że nie mam nic do powiedzenia; nie byłabym też w stanie zacząć mówić im o człowieczeństwie!
- Moja droga, to bardzo smutna sprawa, ale nie martw się zbytnio; wszystko już minęło.
- A dla nich... to już wszystko się skończyło?
- Oczywiście!...

Mabel lekko zacisnęła usta, po czym westchnęła.

W drodze powrotnej zaprzętała ją niepokojąca myśl i choć uznawała ją za zwykły efekt nerwów, nie potrafiła się jej jeszcze pozbyć: jak powiedziała mężowi, po raz pierwszy stanęła twarzą w twarz ze śmiercią.

- A ten ksiądz... ten ksiądz... czy on też wierzy, że wszystko się skończyło?
- Kochana, powiem ci, w co on wierzy; wierzy, że ten człowiek, któremu pokazał krucyfiks, nad którym wypowiedział kilka słów, wciąż żyje, mimo że jego mózg jest zniszczony; nie wie jednak, gdzie dokładnie się znajduje: czy w czymś w rodzaju pieca, gdzie powoli się pali, czy też, na szczęście dla niego, jeśli ten kawałek drewna zadziałał, w miejscu położonym za chmurami przed trzema osobami, które są jedną, choć jest ich trzy. Wierzy też, że mieszkają tam inni ludzie, zwłaszcza pewna pani ubrana na niebiesko, oraz wiele innych osób ubranych na białło, z głowami pod pachami, a jeszcze więcej z głowami pochylonymi na bok; i że wszyscy z harfami w rękach śpiewają i grają bez przerwy, spacerując po chmurach i czerpiąc wielką przyjemność z tego zajęcia. Wierzy również, że te urocze istoty nieustannie spoglądają w dół na tych z pieca

, błagając te trzy osoby o uwolnienie ich. Oto, w co wierzy ten ksiądz; widzisz dobrze, że to nieprawdopodobne! Powiem lepiej: może to być piękne i poetyckie, ale nie jest prawdziwe!

Mabel uśmiechnęła się wdzięcznie. Nigdy nie słyszała, by ktoś tak dobrze przedstawił podobną doktrynę.

- Masz rację, mój drogi! Nie... to nieprawda! Ale jak ten ksiądz, który wydawał się taki inteligentny, może w to wierzyć!

- No właśnie, kochanie; gdyby od kołyski mówiono ci, że księżyc to kawałek świeżego sera, i do dziś powtarzano ci to codziennie, to chyba nie uwierzyłbyś w to teraz! A jednak w głębi serca jesteś przekonany, że prawdziwi księża to bez wątpienia wykonawcy *eutanazji*!

Mabel, zadowolona, wstała z uśmiechem.

- Och! Oliviero, jakże dobrze znasz sekret pocieszenia i otuchy! Jakże jestem ci wdzięczna! Muszę jednak się wycofać: wciąż czuję, że cała drzę! Przechodząc przez pokój, nagle zatrzymała się i pokazała but.

- Co to znaczy? – zaczęła słabym głosem.

Na bucie widniała dziwna plama w kolorze rdzy. Oliviero, widząc, jak Mabel blednie, natychmiast podbiegł do niej.

- Moja droga, nie trać odwagi!

Spojrzała na niego, jakby chcąc mu to udowodnić, i wyszła.

Gdy Mabel wyszła, Oliviero pozostał przez chwilę w miejscu, w którym ją zostawił. Boże mój! Jakże był szczęśliwy! A czymże byłoby teraz jego życie bez tej istoty? Nie potrafił nawet o tym pomyśleć. Poznał ją jako młodą dziewczynę siedem lat wcześniej, a po roku małżeństwa wydawała mu się kimś niezbędnym do spełnienia jego życia. Oczywiście świat bez niej nadal by istniał; co do siebie, przypuszczał, że mógłby żyć tak samo, ale nie miałby odwagi, by to sprawdzić. Zgodnie ze swoimi poglądami na miłość, w więzi łączącej go z żoną widział jedynie podwójną sympatię ciała i ducha; ale w Mabel kochał bystry umysł, a przede wszystkim myśli, które tak dokładnie odzwierciedlały jego własne. Byli jak dwa płomienie, które połączyły się, tworząc trzeci, większy. Bez wątpienia jeden płomień może nadal płonąć bez drugiego – i faktycznie pewnego dnia tak by się stało – ale w międzyczasie ten żar i to światło były upajające! Och! Jakże cieszył się, że sterowiec oszczędził ją podczas upadku!

Nie zastanawiał się nad bardziej właściwym zrozumieniem doktryny chrześcijańskiej, uznając za bezdyskusyjne, że katolicy wierzą właśnie w

właśnie w ten sposób. W głębi serca nie uważał już za bluźnierstwo przedstawianie chrześcijaństwa tak, jak uczynił to wobec Mabel, za nic gorszego niż wyśmiewanie fidżyjskich bożków z oczami z masy perłowej i perukami z końskiego włosia; nie były to rzeczy, które należało traktować poważnie, i tyle! Tak, raz czy dwa w życiu próbował zrozumieć, jak istota obdarzona inteligencją może wierzyć w takie bzdury; ale z pomocą przyszła mu psychologia, ucząc go wyjaśniać wszystko sugestią. Tak! Ta ohydna doktryna była przez długi czas przeszkodą w szerzeniu się tej tak cudownie miłosiernej *eutanazji*!

Zmarszczył nieco brwi, przypominając *sobie* „*niech Bóg ma w opiece*” swojej starej matki, śmiał się z tej biednej kobiety i jej dziecinnego współczucia, i wrócił do pracy, myśląc – wbrew sobie – o zmartwieniu żony z powodu kropli krwi, która spadła jej na but... Krew? Ależ krew była czymś takim samym jak wszystko inne! A jak należy się zachować na jej widok? Tak, jak podpowiada nam wspaniała doktryna Ludzkości, tego wspaniałego Boga, który umiera i odradza się dziesięć tysięcy razy dziennie, który umierał każdego dnia jak stary, szalony i fanatyczny Paweł z Tarsu, odkąd świat jest światem; i zmartwychwstał nie tylko raz, jak syn stolarza, ale za każdym razem, gdy na świat przychodzi dziecko.

Oto odpowiedź; czyż nie była ona naprawdę więcej niż zadowalająca?

Pan Philipps wrócił godzinę później z kolejną paczką dokumentów.

- „Nie mamy jeszcze żadnych wiadomości ze Wschodu” – powiedział.

ROZDZIAŁ DRUGI I.

W korespondencji z kardynałem protektorem Anglii Percy Franklin poświęcał bezpośrednio dwie godziny, a pośrednio prawie cały dzień. Od ośmiu lat Stolica Apostolska zmieniała swoje zasady postępowania, dostosowując się do potrzeb czasów; tak więc każda ważna metropolia świata katolickiego miała, oprócz administratora, również przedstawiciela w Rzymie, którego zadaniem było utrzymywanie kontaktów z papieżem i z ludnością, którą reprezentował. Innymi słowy, centralizacja wzrosła zgodnie z prawami życia, a wraz z nią również swoboda działania i zakres władzy. Kardynałem protektorem Anglii był benedyktyński opat Martin, do którego Percy, wraz z dwunastoma innymi biskupami, księżmi i świeckimi, z którymi jednak zabroniono mu jakiegokolwiek prawdziwego porozumienia, musiał codziennie pisać list o najważniejszych wydarzeniach, o których mógł się dowiedzieć. Życie ks. Percy'ego było zatem niezwykle. Mieszkał w dwóch pokojach udostępnionych mu w arcybiskupstwie w Westminsterze, był przydzielony jako członek bez obowiązków do katedry, zachowując jednak zawsze jak największą swobodę. Wstawał wcześnie, a po godzinie medytacji odprawiał mszę; następnie pił kawę, odmawiał część liturgii godzin, a potem zabierał się za skrupulatne sporządzanie szkicu swojego listu. O dziesiątej przyjmował gości, a do południa zwykle przebywał z tymi, którzy przychodzili w sprawach własnych, lub z pięcioma lub sześcioma referentami, których zadaniem było dostarczanie mu fragmentów gazet wraz z komentarzami. Obiadował wspólnie w arcybiskupstwie, a po godzinie natychmiast wychodził, aby skonsultować się z osobami, których osąd budził największe zaufanie.

Wracał o szesnastej na herbatę, a po odwiedzeniu Najświętszego Sakramentu i zakończeniu modlitwy zabierał się za ostateczną redakcję listu, który, choć krótki, wymagał dużej uwagi i krytycznego rozeznania. Po kolacji sporządzał kilka notatek na następny dzień, przyjmował nowych gości i kładł się spać o dwudziestej. Ponadto dwa razy w tygodniu musiał uczestniczyć w nieszpórach, a w każdą sobotę śpiewać podczas Mszy św.: było to zatem życie surowe i nieustanne, niepozbawione niebezpieczeństw.

Kilka tygodni po wizycie w Brighton, pewnego dnia, gdy właśnie kończył pisać list, przyszedł lokaj, by mu oznajmić, że ojciec Franciszek czeka na niego na parterze.

- Za kilka minut – powiedział Franklin, nie podnosząc wzroku; napisał ostatnie linijki, rozłożył kartkę i zaczął ponownie czytać swój łaciński tekst, tłumacząc go w myślach na angielski.

Westminster, 14 maja.

Ekscelencjo,

Od wczoraj zebrałem tylko kilka wiadomości. Wydaje się już pewne, że projekt przyjęcia esperanto jako języka państwowego zostanie omówiony w czerwcu; tak mi powiedział Johnson.

To, jak już wcześniej zauważyłem, jest właśnie ostatnim kamieniem, który ponownie łączy Anglię z kontynentem... co w dzisiejszych czasach jest naprawdę godne ubolewania. Przewiduje się, że wielu Żydów wstąpi do masonerii; dotychczas trzymali się oni, do pewnego stopnia, z daleka, ale zniesienie idei Boga przyciąga tych spośród nich, których liczba rośnie z dnia na dzień, którzy odrzucili pojęcie osobistego Mesjasza: niestety to ludzkość toruje sobie drogę! Dzisiaj słyszałem w mieście, jak rabin Simeon mówił na ten temat, i byłem zdezorientowany oklaskami, jakie otrzymywał. Wśród innych coraz większą wiarę zyskuje nadzieja, że należy teraz znaleźć człowieka zdolnego do kierowania ruchem komunistycznym i zjednoczenia wszystkich jego sił w zwartą całość.

Załączam w tej sprawie obszerny artykuł z gazety „Nuovo Popolo”, który odzwierciedla poglądy większości. Mówi się, że sama ta sprawa musi wyłonić takiego człowieka, po tym jak przez setki lat mieliśmy proroków i prekursorów, którzy dziś całkowicie zniknęli. Dziwne jest, choć powierzchowne, podobieństwo tych idei do idei chrześcijańskich *Wasza Eminencjo zechce*

zauważyć, że podobieństwo to, dotyczące nowego nurtu, jest wykorzystywane ze szczególną elokwencją.

Dowiedziałem się, że Wargraves, starożytna katolicka rodzina z Norfolk, wyrzekła się katolicyzmu wraz ze swoim kapłanem Miklem, któremu przypisuje się całą tę apostazję. Gazeta „L'Epoca” ogłasza to wydarzenie z wielką satysfakcją ze względu na jego szczególne okoliczności... ale niestety takie przypadki są dalekie od rzadkości!.....Wielki niepokój wśród świeckich. W ciągu ostatnich trzech miesięcy opuściło nas siedmiu księży z diecezji Westminster; z drugiej strony z przyjemnością informuję Waszą Ekscelencję, że arcybiskup przyjął do wspólnoty katolickiej biskupa anglikańskiego z Carlisle wraz z sześcioma członkami jego duchowieństwa; czego oczekiwaliśmy od kilku tygodni. Załączam fragmenty z „Tribuny”, „London Trumpet” i „Osservatore” wraz z moimi uwagami. Wasza Ekscelencja zobaczy, jak wielkie oburzenie wywołało to ostatnie wydarzenie.

P.S. Wargraves i ośmiu księży powinni zostać objęci formalną ekskomuniką odpowiednio w Norfolk i Westminsterze, bez czekania na dalsze wiadomości.

Percy odłożył kartkę, zebrał pozostałe sześć lub siedem kartek zawierających wyciągi i swoje krótkie uwagi, podpisał ostatnią z nich i włożył wszystko do koperty z nadrukiem.

Następnie, chwyciwszy czapkę, skierował się w stronę windy.

Gdy tylko wszedł przez szklane drzwi do sali rozmów, zdał sobie sprawę, że kryzys już nadszedł, a może nawet minął.

Ojciec Francis wyraźnie cierpiał, ale w jego oczach i na ustach, gdy czekał, widać było również pewną gorycz. Gwałtownie potrząsnął głową i powiedział:

- Ojcie, przyszedłem się z panem pożegnać; nie mam już siły!...

Percy starał się nie okazywać swojego zmieszania, wskazał mu krzesło i sam również usiadł.

- – To już koniec! – wtrącił drugi stanowczym tonem. – Nic nie wierzę, ale już od roku w nic nie wierzę!

- Czy to znaczy, że nie czujesz, że nie doświadczasz już niczego? – zapytał Percy.

- – Nie, to nie to, ojcie – odparł ten drugi. – Mówię panu, że nic mi już nie pozostało; nie mógłbym nawet teraz dyskutować; pozostaje mi tylko powiedzieć: Żegnaj!

Percy nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozmawiał z P. Francisem przez ponad osiem miesięcy, odkąd ten zwierzył mu się, że traci wiarę; rozumiał gorzką walkę, która musiała go dręczyć, i współczuł tej biednej istocie, porwanej przez zawrotny wir nowej ludzkości.

Wydarzenia tamtych czasów wywierały straszliwą siłę przyciągania: wiara, z wyjątkiem tych, którzy byli przekonani, że wola i łaska są wszystkim, a emocje niczym, znalazła się w sytuacji dziecka, które wślizgnęło się między tryby ogromnej maszyny i nie wiadomo było, czy wyjdzie z tego żywe, ale w każdym razie potrzebowało nerwów ze stali, by się nie poruszyć.

Trudno mu było ocenić, na ile jego przyjaciel był winny, choć w głębi serca był przekonany, że ten naprawdę powinien czuć się winnym. W wiekach głębokiej wiary nawet najsłabsze zrozumienie doktryn religijnych może wytrzymać próbę; ale w czasach krytycznych dociekań jedynie ludzie o pokornym i czystym sercu mogą

długo wystawiać się na próbę, chyba że chroni ich cudowna niewiedza. Podczas gdy psychologia i materializm, opierając się na jednostronnym spojrzeniu, wydawały się w stanie wyjaśnić wszystko, większości brakowało rygorystycznego doświadczenia faktów duchowych, by zrozumieć praktyczną nieadekwatność takich doktryn. A jeśli chodzi o osobistą odpowiedzialność o. Franciszka, nie można było ukryć, że w religii jego kolegi zbyt duże znaczenie przywiązywano do ceremonii, a zbyt małe do modlitwy.

To, co zewnętrzne, pochłaniało to, co wewnętrzne.

W ten sposób Percy postąpił tak, by nie okazać w swoich żywych szarych oczach współczucia, które odczuwał w głębi serca.

- „Myślisz, jak się domyślam, że to wszystko dzieje się z mojej winy” – powiedział Francis dość szorstkim tonem.

- – Drogi Ojcie – odparł Percy, siedząc nieruchomo na krześle – wiem, że to twoja wina! Posłuchaj mnie: twierdzisz, że chrześcijaństwo jest absurdalne i niemożliwe, a przecież wiesz, że tak nie jest. Być może nie jest prawdziwe – pomijajmy to, choć jestem przekonany o jego absolutnej prawdziwości – ale nie może być absurdalne, skoro uczeni i cnotliwi ludzie wciąż w nie wierzą. Twierdzenie, że jest absurdalne, wynika z pychy, jest jak przyznanie, że wszyscy, którzy się do niego przyłączają, są nie tylko oszukani, ale pozbawieni inteligencji, a nawet...

- W porządku! – przerwał jej drugi; – niech więc uzna, że wycofuję to słowo i mówię, iż wierzę, że to nieprawda!

- Ale pan niczego nie wycofuje – odparł spokojnie Percy – i nadal wierzy, że to absurd: powiedział mi to już z dwadzieścia razy. Tak! Powtarzam panu, to pycha... i to wystarczy, by wszystko wyjaśnić. To skłonności moralne liczą się przede wszystkim; być może są też inne powody...

Ojciec Francis podniósł głowę.

- Och! Stara historia! – powiedział, udając pogardę.

- Jeśli da mi pan słowo honoru, że w tej sprawie nie ma udziału żadna kobieta i że nie dąży pan do osiągnięcia jakiegoś innego przewrotnego celu, jestem gotów panu uwierzyć! Ale... ma pan rację, to stara historia!...

- A ja przysięgam, że to nieprawda! – wykrzyknął ten drugi.

- – Niech więc Bóg będzie pochwalony! – rzekł Percy. – To o jedną przeszkodę mniej na drodze do powrotu do wiary!

Nastąpiła chwila ciszy.

Percy naprawdę nie mógł powiedzieć nic więcej. Wielokrotnie opowiadał mu o tym wewnętrznym życiu, w którym objawia się prawda, gdzie akty wiary znajdują swoje potwierdzenie; zalecał modlitwę i pokorę, aż zdał sobie sprawę, że te słowa nudzą ojca Franciszka, który zarzucał swojemu koledze, że radzi mu działania oparte wyłącznie na autosugestii.

Ten ostatni tracił już nadzieję, że uda mu się oświecić człowieka, który nie dostrzegał, iż choć miłość i wiara z jednego punktu widzenia mogą być postrzegane jako zjawiska autosugestywne, z innego punktu ujawniają się jako prawdziwe rzeczywistości, takimi jak na przykład zdolności artystyczne, i wymagają tych samych udoskonaleń; oraz że miłość i wiara rodzą pewność ich obiektywnej rzeczywistości, a także realizują i doświadczenia rzeczy, które po zrealizowaniu i doświadczeniu okazują się o wiele bardziej realne i obiektywne niż same rzeczy zmysłowe. Dla tego człowieka dowody straciły wszelką wartość.

Zamilkł przygnębiony i zszokowany tym kryzysem; spojrzał roztargnionym wzrokiem na starą, pustą salę odwiedzin, jej przysadziste okna z okiennicami z plecionej maty, ogarnięty myślą o rozpaczach z powodu tego biednego brata człowieka, który miał oczy, a nie widział, miał uszy, a nie słyszał. I pragnął, by po pożegnaniu się z nim, ten odszedł: co jeszcze pozostało mu do zrobienia?

Ojciec Francis, który siedział w bezwładnej pozie zagubionego człowieka, zdawał się odgadnąć myśli rozmówcy i nagle wstał, mówiąc:

- Nudzi cię moja obecność, więc odejdę!

- „Och! Mój drogi bracie, nie jestem znudzony” – odparł szczerze Percy – „po prostu strasznie boli mnie myśl, że wszystko, czemu pan zaprzecza, jest prawdą!”.

Ten drugi spojrzał na niego wprost, a potem odparł:

- A ja wiem, że to nieprawda! Może to być piękne, może chciałbym w to nadal wierzyć, myślę, że nie będę już szczęśliwy, ale... ale tak właśnie jest...

Percy westchnął.

Wielokrotnie powtarzał mu, że serce jest darem boskim, tak jak umysł, i że nie biorąc tego pod uwagę w poszukiwaniu Boga, naraża się na błąkanie się pośród ruin. Ale ksiądz nigdy nie chciał odnieść tych słów do siebie, zawsze powołując się na oklepany psychologiczny argument sugestii, który wyjaśnia wszystko.

- „Przypuszczam” – dodał ten ostatni – „że całkowicie ze mną zerwie!”.

- – To pani mnie denerwuje! – odparł P. Franklin. – Czy mam panią słuchać, skoro upiera się pani przy swoich poglądach?

- Ale czy nie moglibyśmy pozostać przyjaciółmi, tak jak wcześniej?
- Przyjaciele? Czyż przyjaźń nie jest zjednoczeniem uczuć? Jaki rodzaj przyjaźni może zatem pozostać między nami?

Twarz rozmówcy stała się jeszcze smutniejsza.

- A jednak nie wydaje mi się to niemożliwe...
- Giovanni!... – wykrzyknął Percy – sprawa jest zbyt jasna: czy możemy oczekiwać, że pozostaniemy przyjaciółmi, skoro ty, z jednej strony, nie wierzysz już w Boga? Dlatego jestem przekonany, że nawet ty nie uważasz tego za możliwe!

Francis wstał.

- No cóż, niech będzie tak, jak chcesz!
- Odchodził. Francis skierował się w stronę drzwi.

- Giovanni! – dodał Percy – i odchodzi w ten sposób, nawet nie podając mi ręki?

Ten drugi odwrócił się, wyraźnie oburzony.

- Dlaczego twierdzisz, że nie możesz być moim przyjacielem! Percy wtedy zrozumiał i uśmiechnął się.
- Och!... to wszystko, co rozumiesz przez przyjaźń, prawda?... Tak, możemy traktować się uprzejmie, jeśli tego chcesz.

I wstał spokojnie, podając mu rękę; Francis patrzył na niego przez chwilę, a jego usta drżały; potem znów odszedł, nie mówiąc ani słowa.

II.

Percy pozostał nieruchomy, dopóki nie usłyszał, jak automatyczny dzwonek na zewnątrz zwiastował, że ojciec Franciszek rzeczywiście wyszedł; wtedy on również wyszedł, kierując się długą uliczką prowadzącą do katedry. Przechodząc przez zakrystię, usłyszał dźwięk organów, a wchodząc do kaplicy, gdzie odprawiano nabożeństwa parafialne, zauważył, że nieszpory w wielkim chórze jeszcze się nie zakończyły. Zszedł prosto pod nawę, skrzył w prawo i, przechodząc przez środek, uklęknął.

Zbliżał się zmierzch. Rozległe i ponure wnętrza kościoła rozjaśniały tu i ówdzie smugi czerwonego światła, które przenikało z zewnątrz i odbijało się od majestatycznego marmuru oraz złożonych elementów, ukończonych w końcu dzięki hojności bogatego nawróconego. Przed nim wznosił się chór z rzędem kanoników po obu stronach, ubranych w kamizelki i futra; pośrodku rozciągał się ogromny baldachim, pod którym, tak jak już od ponad wieku, płonęło sześć świec, a nieco dalej wznosiła się szeroka linia absydy, kończąca się w ciemnym sklepieniu z wielkimi oknami, z którego w całej swojej majestatyczności górował wizerunek Chrystusa.

Percy rozejrzał się przez chwilę, zanim rozpoczął modlitwę, kłaniając się przed wspaniałością tego miejsca, rozbrzmiewającym chórem, melodyjnym brzmieniem organów oraz delikatnym i łagodnym głosem celebransa. Po lewej stronie migotały czerwone światła lamp zapalonych przed Najświętszym Sakramentem, po prawej stronie dwanaście świec migotało tu i ówdzie u stóp surowych wizerunków, a wysoko w górze wisiał gigantyczny krzyż z tym wychudzonym i wykrwawionym Biednym Człowiekiem, który wszystkich, którzy na niego patrzyli, zapraszał do swojego boskiego uścisku. Następnie zakrył twarz dłońmi, wydał dwa długie westchnienia i przygotował się do modlitwy.

Zgodnie ze zwyczajem rozpoczął swoją **modlitwę wewnętrzną** od zdecydowanego aktu wyrzeczenia się świata zmysłów: wyobrażając sobie, że musi zanurzyć się w głębi, zmusił się do zejścia w głąb swojego ducha; aż rytm organów, odgłos kroków, twardość ławki – wszystko to wydało mu się zewnętrzne i obce, a w swojej osobie czuł jedynie bijące serce, umysł, który tworzył wciąż nowe obrazy i budził emocje zbyt mdłe, by mogły przejawiać się w czynach. Zstąpił następnie głębiej, rezygnując ze wszystkiego, czym był, ze wszystkiego, co posiadał; i wydawało mu się, że nawet jego własne ciało znika, a intelekt i serce, drżące w boskiej obecności, w której odnajdywały siebie, łączą się intymnie, uległe woli Tego, który był ich opiekunem i panem.

Wypuścił kolejne westchnienia, czując, jak boska obecność otacza go swoim tchnieniem, powtórzył mechanicznie kilka słów i pogrążył się w tym spokoju, który następuje po całkowitym wyrzeczeniu się samego siebie. Tak pozostał przez jakiś czas.

Z góry dobiegały echa boskiej muzyki, dźwięk trąb, świst fletów, ale były to tylko próżne odgłosy ulicy, które nie niepokoją tego, kto pogrążony jest we śnie.

Znajdował się teraz w zasłonie rzeczy, poza granicami zmysłów i refleksji, w tej kryjówce, do której droga kosztowała go tyle wysiłku! W tej cudownej krainie, gdzie każda rzeczywistość jawi się jako oczywista, gdzie percepcje pojawiają się i znikają z prędkością światła, gdzie siła woli chwyta teraz ten akt, to ten, nadaje mu kształt i wykonuje go, gdzie wszystkie rzeczy się spotykają, gdzie prawda jest poznawana, realizowana i smakowana, gdzie Bóg immanentny i Bóg transcendentálny jednoczą się, gdzie zewnętrzny aspekt świata objawia się poprzez swój wewnętrzny aspekt, gdzie Kościół wraz ze swoimi tajemnicami ukazuje się od wewnątrz w obłoku chwały.

Pozostał przez kilka chwil pogrążony w tym stanie, a następnie, powróciwszy do siebie, tak przemówił do Boga:

„Oto jestem, Panie, przed Tobą; znam Cię!... Nie ma nikogo poza Tobą i mną... Wszystko oddaję w Twoje ręce: Twojego wyrzutka-kapłana, Twój lud, świat i samego siebie... wszystko, wszystko rozkładam przed Tobą!...”. Tu zamilkł, aby rozważyć swoje czyny, aż wszystko, o czym myślał, wydało mu się leżeć niczym równina u stóp wysokiej góry.

„...ja sam, o Panie, bez Twojej łaski znalazłbym się w ciemnościach i udręce; tylko Ty mnie wyzwalasz! Zachowaj więc i dokonaj swojego dzieła w mojej duszy, podtrzymuj mnie, abym nie zachwiał się; bo jeśli cofniesz swoją rękę, oto znów pogrążę się w otchłani nicości!”.

Tak błagał, trzymając przez chwilę w duchu wyciągnięte ramiona, pełen nadziei i ufności. W tym momencie wydawało mu się, że jego wola się chwieje, i powtórzył, aby ją umocnić, akty wiary, nadziei i miłości; potem wydał z siebie nowe, długie westchnienie, czując, jak Boska Obecność porusza się i unosi wokół niego; potem zaczął od nowa:

„Panie, spójrz na swój lud; wielu ucieka od Ciebie. *Ne in aeternum irascaris nobis, ne in aeternum irascaris nobis!* Łączę się ze świętymi, z aniołami, z Maryją, królową nieba; spójrz na nich, spójrz na mnie i wysłuchaj nas; *emitte lucem tuam et veritatem tuam!* Światło, prawda! Nie obciążaj nas ciężarem, którego nie możemy unieść, dlaczego nie odpowiadasz, o Panie?”.

Skręcił się z niecierpliwością w geście pełnym pragnienia i oczekiwania, czując, jak mięśnie pękają pod wpływem tego wysiłku.

W końcu opanował się i rozpoczął szybki ciąg niemych gestów, o których dobrze wiedział, że stanowią istotny element modlitwy. Oczy duszy wędrowały z jednego miejsca do drugiego, od Kalwarii do Raju, a potem z powrotem na niespokojną i wstrząśniętą ziemię. Widział Chrystusa umierającego w opuszczeniu, podczas gdy ziemia drżała i jęczała; Chrystusa, wielkiego Kapłana, panującego ze swojego tronu w płaszczu światła; Chrystusa cierpliwego w niezmienniej ciszy sakramentalnych postaci, i wskazywał Go w różnych aspektach przed oczami Ojca Przedwiecznego. Potem oczekiwał rozmowy i usłyszał słowa tak czułe, ale przelatujące jak strzały, tak że wylewał łzy i krew, próbując je uchwycić, zrozumieć i na nie odpowiedzieć. Widział Ciało Mistyczne w agonii, rozpostarte nad światem jak na krzyżu, milczące w swoim bólu, z rozszarpanymi i skręconymi nerwami, aż męka ukazała mu ten obraz niczym jasny błysk: żywa krew spływała kropla po kropli z głowy, rąk i stóp; a świat zgromadził się, śmiejąc się i żartując: Uratował innych, a nie może uratować samego siebie. Niech Chrystus zejdzie z

krzyża, a uwierzemy w Niego. W oddali, za żywopłotami i w jaskiniach, przyjaciele Jezusa podglądali i szlochali; sama Maria milczała, przebita siedmioma mieczami; nawet uczeń, którego On miłował, nie miał słowa pocieszenia. Widział, że nawet z Nieba nie nadejdzie żadne słowo: samym aniołom nakazano odłożyć miecze i czekać na wieczną moc Boga, gdyż agonია dopiero się rozpoczęła, a tysiące błędów musiało się jeszcze wydarzyć, zanim nadejdzie koniec, ostateczna kulminacja ukrzyżowania.... Musiał czuwać w oczekiwaniu, nie robiąc nic więcej: zmartwychwstanie musiało mu się jawić niemal jak nadzieja zrodzona we śnie. Sobota jeszcze nie nadeszła, a Mistyczne Ciało musiało leżeć odcięte od światła, a sama godność krzyża musiała schronić się w ciemności wraz ze świadomością, że Chrystus wciąż żyje. Ten wewnętrzny świat, do którego droga kosztowała go tyle wysiłku, był cały rozpalony udręką, gorzki jak żółć, oświetlony bladym blaskiem, ostatnim wylewem cierpienia, i wydawał w jego uszach dźwięk, który narastał w krzyk... a ten krzyk go przytłaczał, przeszywał, rozciągał jak na szubienicy....

Potem poczuł, że jego wola jest przygnębiona, wyczerpana. – O Panie – szepnął – to zbyt wiele, to dla mnie zbyt wielkie ciężar!...

Po kilku chwilach znalazł się w stanie sprzed chwili, wydając długie i bolesne westchnienia. Obliznął spierzchnięte usta i otworzył oczy w kierunku absydy, ponieważ robiło się coraz ciemniej.

Organy zamilkły, chór zakończył śpiew, zgasły świece; nawet światło zmierzchu zniknęło ze ścian, a tylko ponure i lodowate twarze spoglądały z sklepienia i ścian. Powrócił więc na powierzchnię życia i pamiętał tylko mgliście to, co widział.

Czuł jednak, że ma obowiązek zebrać te wątki, postarać się ponownie połączyć je ze sobą; ponownie złożyć hołd Panu, który oddał się jego zmysłom i duchowi. Wstał więc wyczerpany i przygnębiony i skierował się ku Kaplicy Najświętszego Sakramentu. Kiedy pojawił się wyprostowany spośród stosu krzeseł, z czapką na białych włosach, dostrzegł starszą panią, która uważnie go obserwowała. Zawahał się przez chwilę, niepewny, czy nie jest to jakaś pokutniczka; pani to zauważyła i podeszła do niego.

- Przepraszam, proszę pana... – zaczęła.

Z pewnością nie była katoliczką. Percy w międzyczasie zdjął czapkę.

- W czym mogę służyć?

- Przepraszam, proszę pana, ale... czy to pan był w Brighton podczas tego wypadku dwa miesiące temu?

- Tak, proszę pani!...

- Ach! To dobrze trafiłam... Moja synowa widziała go tego dnia!

Percy poczuł się niezręcznie; martwił się nieco, że łatwo go rozpoznają po siwych włosach i młodzieńczej twarzy.

- Czy pani też tam była?

Spojrzała na niego z mieszaniną wątpliwości i ciekawości, przyglądając mu się od stóp do głów; po chwili zebrała się w sobie i odpowiedziała:

- Nie, proszę pana! To moja synowa. Przepraszam pana, ale...

- Proszę mówić!... – dodał Percy, robiąc wszystko, by ukryć choćby najmniejsze oznaki niecierpliwości w swoim głosie.

- Czy to pan jest arcybiskupem, proszę pana?

Ksiądz uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

- Och! Nie... proszę pani! Jestem tylko skromnym księdzem.

Arcybiskupem jest dr Cholmondely. Ja jestem ojcem Percy Franklinem.

Starsza pani nie dodała ani słowa, ale patrząc na niego, skłoniła się w starym stylu.

Percy wszedł do ciemnej i majestatycznej kaplicy, aby dokończyć modlitwę.

III.

Tego wieczoru w refektarzu księży toczyła się ożywiona dyskusja na temat rozprzestrzeniania się masonerii. Zjawisko to miało miejsce od wielu lat, a katolicy doskonale zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, ponieważ zawód masona i wiara katolicka były od kilku stuleci uznawane za nie do pogodzenia z powodu zdecydowanego potępienia masonerii przez Kościół. Każdy musiał dokonać wyboru między masonerią a swoją wiarą religijną.

W ostatnim stuleciu wyszło na jaw wiele niezwykłych faktów. Najpierw był zorganizowany atak na Kościół we Francji; to, co katolicy zawsze podejrzewali, stało się pewnikiem dzięki ujawnieniom z 1928 roku, kiedy to o. Gerolamo, dominikanin i były mason, ujawnił wiele tajemnic dotyczących Wolnomularzy. Katolicy mieli niewątpliwie rację; a masoneria, przynajmniej w wyższych stopniach, została uznana na całym świecie za odpowiedzialną za niezwykły ruch przeciwko religii. Tyle że o. Gerolamo zmarł w swoim łóżku i wszystko się skończyło. Wspaniałe darowizny we Francji i we Włoszech na rzecz szpitali, sierocińców i innych instytucji charytatywnych rozwiąły podejrzania, dzięki czemu masoneria przez ponad pięćdziesiąt lat mogła uchodzić w opinii publicznej za rozległe stowarzyszenie filantropijne. Teraz wątpliwości powróciły.

- Powiedziano mi, że Felsemburgh jest masonem – zauważył ks. Macintosh, administrator katedry – wielkim mistrzem czy coś w tym rodzaju.

- Ale kim jest Felsemburgh? – zapytał młody ksiądz.

Monsignor zmarszczył usta i potrząsnął głową. Był jednym z tych skromnych ludzi, tak dumnych ze swojej niewiedzy, jak inni mogą być ze swojej wiedzy; chwalił się nawet, że nie przeczytał żadnego dzieła, które nie miało *imprimatur*, ponieważ, jak mawiał, kapłan musi stawiać sobie za cel zachowanie swojej wiary, a nie zdobywanie światowej wiedzy. Percy niejednokrotnie niemal zazdrościł mu tego punktu widzenia!

- – Felsemburgh to zagadka – rzekł ktoś inny, ojciec Blackmore – ale wygląda na to, że wywołał ogólne poruszenie: dziś na nabrzeżu sprzedawano jego biografię.

- Trzy dni temu spotkałem amerykańskiego senatora – dodał tu Percy – i powiedział mi, że nawet tam o Felsemburghu znają jedynie jego cudowną elokwencję. Pojawił się na scenie świata rok temu, a już wydaje się,

wciąga wszystkich za sobą w naprawę oryginalny sposób; jest też świetnym lingwistą i właśnie z tego powodu wysłano go do Irkucka.

- No cóż!... Wracając do masonów – kontynuował Monsignor – sprawa jest naprawdę poważna: w ciągu ostatniego miesiąca czterech moich penitentów opuściło Kościół, aby wstąpić do masonerii.

- „Werbowanie kobiet było prawdziwym mistrzowskim posunięciem” – mruknął o. Blackmore, nalewając sobie claret.

- – To dziwne, że tak długo zwlekali z podjęciem odpowiednich kroków – zauważył Percy. Dwaj inni księża potwierdzili te fakty; oni również stracili ostatnio penitentów z powodu masonerii. Mówiło się, że wkrótce ma zostać opublikowany list pasterski w tej sprawie.

Monsignor potrząsnął głową, jakby chciał wyrazić złe przeczucie, i powiedział:

- To za mało!...

Percy przypomniał sobie, że Kościół już kilka wieków temu wypowiedział ostatnie słowo, ekskomunikując członków wszystkich tajnych stowarzyszeń; i tym samym uczynił wszystko, co było w jego mocy.

- Poza nieustannym przypominaniem o tym zakazie swoim dzieciom – dodał Monsignor. – W najbliższą niedzielę wygłoszę kazanie na ten temat!

Po powrocie do pokoju Percy zaznaczył jedną z już sporządzonych notatek, uznając za stosowne dodać kilka uwag na temat masonerii w liście do kardynała protektora. Następnie otworzył swoją prywatną korespondencję, wybierając list, który rozpoznał jako wysłany przez kardynała. Dziwny zbieg okoliczności – wśród pytań, które zadał mu w niej kardynał Martin, znalazł jedno dotyczące właśnie tego samego tematu: „*Co się mówi o masonerii? Krążą pogłoski, że Felsemburgh jest masonem. Zbierz jak najwięcej informacji na jego temat. Prześlij mi jakąś jego amerykańską lub angielską biografię. Czy nadal trwają odstępstwa katolików z powodu masonerii?*”.

Przejrzał też pozostałe pytania; dotyczyły one głównie notatek wysłanych wcześniej, ale dwu- lub trzykrotnie pojawiało się w nich nazwisko Felsemburgh.

Odłożył list i zaczął się zastanawiać.

Dziwne, że imię tego człowieka było na ustach wszystkich, choć niewiele lub nic o nim nie wiadomo! Percy kupił z ciekawości trzy fotografie, które miały przedstawiać prawdziwy wizerunek tej niezwyklej postaci: jedna z nich mogła być autentyczna; wyjął je z segregatora i rozłożył przed sobą. Pierwsza przedstawiała potężnego mężczyznę

, brodatego jak Kozak i o wybałuszonych oczach. Najwyraźniej ta była fałszywa: musiała być jedynie wytworem prymitywnej wyobraźni, próbującej wyobrazić sobie człowieka, który sprawował tak wielką władzę na Wschodzie.

Drugi przedstawiał raczej otyłą twarz, z małymi oczami i bródką na brodzie; ten mógł być autentyczny, tym bardziej, że na odwrocie widniała nazwa nowojorskiej firmy.

W końcu przyjrzał się trzeciej. Miał ona podłużną twarz, całkowicie ogoloną, z parą okularów na nosie; twarz bez wątpienia inteligentna, ale mało energiczna, podczas gdy Felsemburgh musiał cechować się niezwykłą energią.

Percy skłaniał się ku przekonaniu, że najprawdopodobniej prawdziwa była ta druga; ale z pewnością nie można było niczego ustalić. Niechcący pomieszał je i odłożył na miejsce. Następnie, opierając łokcie na stole, zaczął się zastanawiać. Przypomniawszy sobie informacje o Felsemburghu przekazane mu przez pana Varhause, amerykańskiego senatora; ale nawet one nie były w stanie wyjaśnić faktów.

Felsemburgh, zgodnie z powszechną opinią, nie stosował zwyczajowych metod współczesnej polityki: nie kontrolował prasy, nikogo nie poniżał ani nie faworyzował, nie miał stałych podwładnych i był obcy korupcji. Krótko mówiąc, nie można mu było zarzucić żadnej z typowych wad polityków; wręcz przeciwnie, wydawało się, że jego oryginalność polegała bardziej na tym, że miał w tamtym momencie czyste ręce i nieskazitelną przeszłość, niż na jego czarującym charakterze. Można było powiedzieć, że był typem dawnego rycerza: czysty, szczery, uwodzicielski jak niewinne dziecko; zaskoczył narody, wyłaniając się jak wizja z mrocznych, wzburzonych wód amerykańskiego socjalizmu, z tych wód tak zaciekle powstrzymywanych w ich niszczycielskim wylewie po niezwykłym przewrocie społecznym wywołanym przez uczniów pana Harta sto lat temu. Wtedy właśnie plutokracja dobiegła końca. Słynna ustawa o starszych z 1924 roku opróżniła niektóre z najbardziej cuchnących pęcherzy tamtych czasów, a dekrety z 1926 i 1927 roku miały na celu zapobieżenie ich ponownemu napełnieniu się, by w jakiś sposób odzyskały dawną potęgę.

To niewątpliwie uratowało Amerykę, choć w sposób tak smutny i tak mało poetycki, że trudno to opisać. A teraz z socjalistycznych nizin wyłonił się ten legendarny bohater, który nie przypominał żadnego z poprzednich... Tak relacjonował senator...

Ale na razie była to sprawa zbyt skomplikowana, więc Percy zajął się innymi myślami.

Rozejrzał się wokół i pomyślał, że otaczający go świat jest zmęczony i wyczerpany; żaden człowiek nie budził w nim zaufania, nikt nie wykazywał się aktywnością, którą można by wziąć pod uwagę. Nie chciał krytykować swoich kolegów po święceniach... ale po raz kolejny nie mógł nie zauważyć, że nie byli to ludzie zdolni stawić czoła sytuacji. Nie żeby uważał się za lepszego! Wręcz przeciwnie, zdawał sobie sprawę ze swojej niedoskonałości i niestety miał tego dowody w swoich relacjach z o. Francisem i wieloma innymi, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat zwracali się do niego w duchowych kryzysach.

A nawet arcybiskup, święty na tyle, na ile to możliwe, z całą swoją dziecięcą wiarą, czy był człowiekiem zdolnym do przewodzenia angielskim katolikom i wprawiania w zakłopotanie ich wrogów?

Nie! W tym świecie skończyło się już z wielkimi ludźmi! Co więc z tym zrobić? Ukrył twarz w dłoniach.

Oto właśnie: Kościół potrzebował nowego zakonu. Dawne reguły były ograniczeniami mającymi na celu korygowanie i zapobieganie błędom; teraz potrzebny był zakon bez tonsury i specjalnego habitu, bez tradycji i zwyczajów; zakon, którego członkowie nie mieli się wyróżniać niczym innym, jak tylko całkowitym i serdecznym poświęceniem siebie, zakon obcy chwaleniu się nawet najświętszymi przywilejami i pozbawiony mniej lub bardziej chwalebnej przeszłości, w której można by znaleźć przychylne schronienie. Miał on stanowić swego rodzaju oddział snajperów Armii Chrystusa, tak jak byli nimi jezuita, ale bez tej fatalnej reputacji, wynikającej nie z ich win.....Ale potrzebny był założyciel... – Który, na litość boską? – Założyciel *nudus sequens Christum nudum*... tak, snajperów, księży, biskupów, świeckich i kobiet z trzema ślubami oraz specjalną klauzulą, która przede wszystkim i na zawsze zakazywała posiadania wspólnego majątku. Każdy dar należało przekazać biskupowi tej diecezji, w której został złożony, a do którego należało zapewnienie wszystkim tego, co niezbędne do życia i pracy. Och! Taki zakon, czego by nie mógł dokonać?...

Ale on żył poza rzeczywistością, w świecie poetyckich fantazji!Wtedy wracał do siebie i nazywał siebie szaleńcem! Czyż ten projekt nie był tak stary jak Wieczne Wzgórza i tak daremny, jeśli chodzi o praktyczne rezultaty? W rzeczywistości założenie tego zakonu było marzeniem każdego gorliwego chrześcijanina od pierwszego roku naszego zbawienia. Tak... był szaleńcem!Ale znów zaczął o tym myśleć.

Potrzebne było coś podobnego przeciwko masonom; a także kobietom!... Czyż nie było niezliczonych projektów, które zakończyły się fiaskiem, ponieważ zapomniano o wpływie, jaki może wywierać kobieta? Czyż to nie takie zaniedbanie zrujnowało Napoleona? Po tym, jak zaufał Józefinie, która go zawiodła, nie zaufała już żadnej innej kobiecie....

W Kościele katolickim kobiety nie powinny zajmować się sprawami kierowniczymi, lecz pracami domowymi i wychowaniem dzieci. Czyż nie było miejsca na żadne inne zajęcia poza tymi?.. Nie można było o tym nawet myśleć; takie sprawy nie należały do niego! Skoro papież *Angelico*, panujący obecnie w Rzymie, nie pomyślał o tym, dlaczego miałby się tym zajmować jakiś szalony i próżny ksiądz w Westminsterze?

W ten sposób po raz kolejny uderzył się w pierś i powrócił do brewiarza. Po zakończeniu, pół godziny później, nabożeństwa, powrócił do swoich myśli, tym razem o biednym ojcu Francisie: co on teraz robił? Czyżby odrzucił rzymski kołnierz sług Chrystusa? Nieszczęśnik!... A on sam, Percy Franklin, w jakim stopniu był odpowiedzialny za tę apostazję?

Kiedy po delikatnym pukaniu do drzwi pojawił się ojciec Blackmore, aby porozmawiać przed snem, Percy opowiedział mu o tej sprawie.

Ojciec Blackmore wyjął fajkę z ust i westchnął głęboko.

- Wiedziałem, że tak się skończy – powiedział.

- No cóż!...

- – Był dość szczery – wyjaśnił Percy – – osiem miesięcy temu powiedział mi, że dręczą go wątpliwości.

Ojciec Blackmore ponownie zapalił papierosa, zamyślony.

– P. Franklin, sytuacja jest naprawdę bardzo poważna; wszędzie jest tak samo. Co się dzieje na świecie?

Percy zamilkł, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Wydaje mi się, że tutaj wszystko przebiega falami...

- Tak pan uważa?

- A może jak?

P. Blackmore patrzył na niego uważnie.

- Mnie natomiast wydaje się, że panuje tu śmiertelna cisza. Czy kiedykolwiek znalazł się pan w środku tajfunu na morzu?

Percy pokręcił głową.

- No cóż! Cisza to najgorszy znak; morze jest gładkie jak lustro, czujemy się jakbyśmy umierali, nie możemy nic zrobić, a potem nadchodzi burza.

Percy z kolei przyglądał mu się uważnie. Ten sposób mówienia był czymś nowym w ustach jego rozmówcy.

- Historia uczy nas, że spokój poprzedzał największe burze: tak było przed wojną na Wschodzie, przed rewolucją francuską, przed reformą. Teraz wszystko jest spokojne pośród gładkich fal, tak jak osiemdziesiąt lat temu w Ameryce. P. Franklin, myślę, że coś wisi w powietrzu...

- Czy można się tego dowiedzieć? – zapytał Percy, pochylając się do przodu.

- Cóż, widziałem pana Templetona w tygodniu poprzedzającym jego śmierć... to on podsunął mi ten pomysł. Widzi pan, ojcze, może ta sprawa z Wschodem spadnie nam na głowy; ale, jakkolwiek by nie było, nie wierzę w to! Wydaje mi się raczej, że coś złowrogiego dojrzewa w kwestii religii... Ojcze, ale... na Boga, kim jest Felsemburgh?

Percy, zaskoczony nagłym powtórzeniem tego imienia, szeroko otworzył oczy i przez chwilę zaniemówił.

Na zewnątrz panowała cicha letnia noc; od czasu do czasu dochodziło lekkie drżenie z linii metra, przebiegającej jakieś dwadzieścia metrów dalej; ale na ulicach w pobliżu katedry panowała najgłębsza cisza. Tylko jeden krzyk rozległ się w oddali, jakby nieszczęsny ptak wędrowny przeleciał przestrzeń między Londynem a gwiazdami; a potem kolejny krzyk kobiety, cichy i przenikliwy, dobiegł ze strony świątyni. Poza tym panowała uroczysta, majestatyczna cisza, w której szmer nieustannie wypełniał godziny dnia i nocy.

- Tak, Felsemburgh!... – kontynuował P. Blackmore. – Ten człowiek nie chce mi wyjść z głowy. A zatem: co ja o nim wiem, co wiedzą inni?

Percy oblizał usta przed odpowiedzią i westchnął głęboko, by uspokoić bicie serca. Nie potrafił wyjaśnić sobie własnego wzruszenia... W końcu kim był ten stary Blackmore, który wprowadził go w konsternację swoimi obawami?

Ale stary Blackmore uprzedził odpowiedź.

- Spójrz, jak ludzie odchodzą od Kościoła: Wargravesowie, Hendersonowie, sir James Bartlet, lady Magnier, a potem wszyscy ci księża! I nie są to wcale ludzie pospolici; gdyby tak było, łatwiej byłoby to powiedzieć. Ten sir James Bartlet... człowiek, który na Kościół wydał połowę swojego majątku i nie żałuje tego; mówi tylko, że posiadanie religii jest lepsze niż jej brak, ale sam nie może wierzyć w żadną. Co to wszystko ma znaczyć?... Ojcze, coś się szykuje, mówię ci... Bóg jeden wie!... A tymczasem ten Felsemburgh nie chce mi wyjść z głowy... Ojcze Franklin....

- Proszę mówić!...

- Czy nie widzisz, jak niewielu spośród nas to naprawdę wielcy ludzie?

Cofnij się o czterdzieści, a nawet trzydzieści lat, kiedy mieliśmy Marona, Selborna, Sherbrocka i wielu innych! I arcybiskupa Brightmana! Teraz mają ich komuniści. Braithwaite, który zmarł piętnaście lat temu, był bez wątpienia człowiekiem dość nadętym: na szczęście zawsze mówił o przyszłości, a nigdy o teraźniejszości! Ale od tamtej pory mieliśmy zupełnie innych ludzi, a teraz ten nowy człowiek, którego nikt nie zna, który dopiero miesiąc temu ugruntował swoją pozycję w Ameryce, jest dziś na ustach wszystkich. Dokładnie tak!

Percy zmarszczył czoło i powiedział:

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem wszystko, co mi pani powiedziała!

P. Blackmore potrząsnął fajką, po czym wstał i odpowiedział:

- Ale właśnie o to chodzi: nie mogę pozbyć się myśli, że Felsemburg zamierza coś zrobić; co, tego nie wiem; dla nas czy przeciwko nam, tego nie potrafię stwierdzić. Ale... proszę to dobrze zapamiętać, on jest masonem... No dobrze, dobrze! Teraz wyzywam pana, by udowodnił, że jestem starym dziwakiem; dobranoc!

- Chwileczkę, ojcie!... – odparł spokojnie Percy. – Mój Boże! Co pan ma na myśli?

Zatrzymał się w progu i spojrzał na niego. Stary ksiądz miał wybałuszone oczy pod gęstymi brwiami i Percy'emu wydawało się, że mimo tej niezwykle gadatliwości coś go przerażało, ale nie dał po tym poznać. Percy stał, dopóki drzwi nie zostały zamknięte; potem wrócił na swoje klęczniki.

ROZDZIAŁ TRZECI

I.

Z okna *Nowego Admiralicjum* na Trafalgar Square starsza pani Brand i Mabel czekały na przemówienie, które Oliver miał wygłosić z okazji pięćdziesiątej rocznicy uchwalenia *ustawy o ubogich*.

Widok ogromnego tłumu gromadzącego się wokół pomnika Braithwaithe'a w ten piękny czerwcowy poranek był ożywym widowiskiem. Słynny mąż stanu, który zmarł piętnaście lat wcześniej, został przedstawiony w swojej charakterystycznej pozie: z ramionami wyciągniętymi i lekko opadającymi, z podniesioną głową i stopą wysuniętą o pół kroku; a zgodnie z coraz powszechniejszym zwyczajem, na tę uroczystą okazję odziany we wszystkie swoje masonskie insygnia.

To właśnie on dał najsilniejszy impuls temu tajnemu ruchowi przeciwko religii, oświadczając zgromadzeniu, że klucz do postępu i powszechnego braterstwa leży w rękach zakonu masonskiego, dzięki któremu można było zwalczać fałszywą jedność Kościoła z jego fantastycznym duchowym braterstwem. Św. Paweł, orzekł Braithwaithe, miał rację w swoim pragnieniu zlikwidowania granic między narodami, ale mylił się, wywyższając Jezusa Chrystusa. Takimi oświadczeniami zapowiadał swoje przemówienie na temat ubogich, wskazując na prawdziwą miłość bliźniego, która istniała wśród masonów niezależnie od jakichkolwiek motywów religijnych, i odwołując się do znanych dobrodziejstw masonerii dla reszty Europy. W ten sposób, w atmosferze entuzjastycznego poparcia dla tego projektu, loża pozyskała znaczną liczbę nowych adeptów.

Starsza pani Brand czuła się tego dnia lepiej niż zwykle i z wyraźnym wzruszeniem obserwowała wielki tłum, który gromadził się, by wysłuchać słów jej syna. Wokół pomnika Braithwaithe'a wzniesiono podium na takiej wysokości, że sam pomnik, choć nieco wyższy, wydawał się jednym z mówców; podium to było ozdobione kwiatami, zwieńczone baldachimem niczym ambona i wyposażone w stół oraz krzesło.

Cały plac pękał w szwach od ludzkich głów i rozbrzmiewał szumem tysięcy głosów, przerywanym od czasu do czasu rykiem trąb i dudnieniem bębnow, gdy przechodziły *Stowarzyszenia Dobroczynne* i *Bractwa Demokratyczne*, z których każde poprzedzane było własną flagą, maszerujące ze wszystkich stron świata, zmierzające do miejsc zarezerwowanych dla nich wokół podium. W oknach roilo się od twarzy – wzdłuż fasady Galerii Narodowej i kościoła św. Marcina wzniesiono szerokie trybuny

wzdłuż fasady Galerii Narodowej i kościoła św. Marcina – ciemne tło za niemymi, białymi posągami, rozmieszczonymi na placu twarzą na zewnątrz, od Braithwaite'a, który pozostał z przodu (zniknęły posągi Wiktorii autorstwa Johna Davidsona, Johna Burnsa i innych) po Hampdena i de Montforta po stronie północnej. Starożytnej kolumny z lwami już nie było. Nelson nie znalazł łaski w *oczach Entente Cordiale*, podobnie jak lwy w nowej sztuce: w miejscu, które wcześniej zajmowały, rozciągał się szeroki chodnik, przerywany schodami prowadzącymi do Galerii Narodowej. Nad dachami rysowały się gęste fryz z ludzkich głów na tle fragmentu letniego nieba. Wieczorne gazety donosiły, że z trybuny można było na oko oszacować, iż na placu zgromadziło się sto tysięcy osób. Kiedy wybiła wyznaczona godzina, dwóch mężczyzn wyszło zza posągu i ruszyło naprzód; w tej samej chwili szmer głosów przerodził się w gromkie okrzyki radości. Na czele szedł lord Pemberton, starszy mężczyzna o dostojnej posturze i siwych włosach, którego ojciec sześćdziesiąt lat wcześniej tak wiele uczynił, by obalić tę Izbę, do której sam należał. Jako godny następcą ojca był członkiem rządu, reprezentował trzeci okręg wyborczy w Manchesterze i miał przewodniczyć uroczystościom z okazji tej radosnej rocznicy. Za nim, w obcisłym stroju i z odkrytą głową, szedł Oliviero; i pomimo odległości matka i żona mogły dostrzec jego swobodną postawę, spontaniczny uśmiech i wdzięczne pozdrowienie, gdy jego imię wyłoniło się z burzy głosów rozbrzmiewających wokół podium.

Lord Pemberton wyszedł na przód, skinął ręką, a w jednej chwili gęsty aplauz został zagłuszony przez nagły werbel; po czym zabrzmiały pierwsze nuty Hymnu Masońskiego. Bez wątpienia ci londyńczycy potrafili śpiewać: wydawało się, że głos giganta zaintonował ten dźwięczny motyw z entuzjazmem, który osiągnął najwyższy stopień, gdy zgromadzone zespoły muzyczne również włączyły się, towarzysząc śpiewowi niczym drzewce swojej fladze. Hymn, skomponowany dziesięć lat wcześniej, stał się popularny w Anglii. Starsza pani Brand odruchowo podniosła kartkę z tekstem i przeczytała pierwszą zwrotkę, którą знаła bardzo dobrze:

Panie, który panujesz nad ziemią i morzem...

Następnie przejrzał pozostałe wersy, napisane z żarliwością i umiejętnością z humanitarnego punktu widzenia. Ich religijny charakter był taki, że

niezbyt bystry chrześcijanin mógłby je śpiewać bez skrupułów; a jednak sens był wystarczająco jasny: starożytna ludzka wiara, że człowiek jest wszystkim. Znajdowały się w nich nawet niektóre sentencje Chrystusa, takie jak: *królestwo Boże mieszka w sercu człowieka; największą ze wszystkich łask jest miłość*.

Zwrócił się do Mabel i zobaczył, że śpiewa z całej duszy, wpatrując się w ciemną sylwetkę narzeczonego sto metrów dalej i wylewając oczami cały żar swojego ducha; potem również matka zaczęła poruszać ustami, dołączając do chóru o tak ogromnej mocy dźwięków.

Po zakończeniu hymnu, zanim ponownie rozległy się oklaski, lord Pemberton wychylił się z balkonu i delikatnym, dobrze intonowanym głosem wypowiedział jedno lub dwa zdania, przebijając się przez cichy szum fontann znajdujących się obok. Następnie cofnął się i pojawił się Oliviero.

Obie panie stały zbyt daleko, by usłyszeć jego słowa; dlatego Mabel, pozostawiając kartkę w rękach matki, z niepokojem i uśmiechem pochyliła się do przodu, nastawiając ucho. Tymczasem starsza pani Brand przeglądała ten wydruk, który zawierał streszczenie przemówienia Oliviero, zdając sobie sprawę, że nie będzie mogła usłyszeć jego słów.

Na początku podziękował wszystkim obecnym za uhonorowanie wielkiego człowieka, który z wysokości swojego piedestału przewodniczył obchodom tej pomyślnej rocznicy. Następnie spojrzał w przeszłość, porównując dzisiejszą Anglię z tą z dawnych czasów: pięćdziesiąt lat temu, jak powiedział mówca, ubóstwo uważano za hańbę, ale teraz już tak nie jest. Nie w ubóstwie samym w sobie, ale wyłącznie w jego przyczynach musi leżeć hańba lub zaszczyt. Kto nie powinien czcić człowieka, który poświęcił się, by służyć ojczyźnie, lub został pokonany przez nieszczęścia, których nie był w stanie przezwyciężyć?.. Następnie omówił reformy uchwalone pięćdziesiąt lat przed tym wielkim dniem, w którym naród raz na zawsze uświęcił honor ubóstwa i współczucie człowieka wobec wyrzutków.

Pierwszą część przemówienia zakończył hymnem pochwalnym na cześć szlachetnie znoszonego ubóstwa, dodając kilka zdań na temat ustawy o reformie więziennictwa.

Druga część była prawdziwym panegiryką Braithwaithe'a, przedstawionego jako prekursor ruchu idei, który właśnie się rozpoczynał.

Starsza pani opadła ciężko na fotel i rozejrzała się dookoła.

Panie siedziały przy oknie przeznaczonym dla nich w dwóch specjalnych fotelach, które zajmowały całą przestrzeń; ale tuż za nimi stały w milczeniu inne osoby, wśród których były dwie kobiety i jeden starzec, i wychylały się

ze wszystkich sił, a szef słuchał z otwartymi ustami. Ich wyraźna uwaga sprawiła, że starsza pani poczuła się nieco zawstydzona swoim roztargnieniem i zdecydowanym ruchem ponownie skierowała wzrok na plac.

Och!... panegiryk dobiegał końca! Ta mała, ciemnowłosa postać cofnęła się o kilka kroków w pobliże posągu i z rękami uniesionymi w górę krążyła po różnych punktach sceny, wskazując go widzom, podczas gdy burza oklasków natychmiast zagłuszyła jej delikatny, jasny głos. Potem pojawił się ponownie, wykonując jak dobry aktor pół ukłonu, podczas gdy salwy śmiechu rozchodziły się tu i ówdzie wśród tego roju ludzkich twarzy. Usłyszała niepewny gwizd za krzesłem i w tej samej chwili krzyk Mabel... Co się działo? Głośny huk: gestykulująca postać Oliviero zatoczyła się o krok do tyłu; stary Pemberton natychmiast podbiegł do niego, podczas gdy gwałtowne, groźne, wściekłe zamieszanie, niczym woda uderzająca z pianą o skałę, narastało w miejscu tuż poza przestrzenią zarezerwowaną dla orkiestr, dokładnie naprzeciwko sceny.

Pani Brand, zdezorientowana, oszołomiona, próbowała wstać, chwytając się krat okiennych, podczas gdy Mabel przytulała ją do siebie, mówiąc jej przez łzy coś, czego nie mogła usłyszeć. Ogromny hałas wypełnił plac, a głowy kołysały się to w tę, to w tamtą stronę, jak trawa na podmuchu wiatru.

Tymczasem Oliviero wysunął się jeszcze bardziej, gestykulując i krzycząc tak, że mogła dostrzec jego ruchy; po czym opadła na fotel, podczas gdy krew płynęła w jej starych żyłach, a serce waliło jej pod gardłem.

– Moja droga! Moja droga! Co się stało? – pytał łkając. Mabel jednak stała, patrząc na męża; za nimi dało się słyszeć szybki szmer słów i okrzyków, pomimo burzliwych krzyków dochodzących z placu.

II.

Tego wieczoru Oliviero opowiedział rodzinie całą historię, siedząc wygodnie w fotelu z ręką owiniętą bandażem na szyi.

W tej sytuacji obie kobiety nie miały szansy do niego pobiec: na placu panowało ogromne zamieszanie; poinformował je więc za pośrednictwem posłańca, że odniósł lekkie obrażenia i że na razie znajduje się pod opieką lekarzy.

- „Był katolikiem!” – wykrzyknął Oliviero z twarzą rozpaloną gniewem – „i zaplanował ten cios; dowodem na to jest fakt, że jego rewolwer został znaleziony naładowany, ale tym razem nie było miejsca dla księdza!”.

Mabel, po przeczytaniu na publicznych ogłoszeniach niektórych szczegółów dotyczących przygody Oliviero, potwierdziła jego słowa lekkim skinieniem głowy.

- Zabili go, depcząc go i dusząc w mgnieniu oka – dodał Oliviero. – Ja, jak widzieliście, zrobiłem wszystko, co mogłem, choć teraz uważam, że w ten sposób mniej cierpiał!

- Kochany... zrobiłeś dla niego wszystko, co mogłeś, prawda? – powiedziała z niepokojem starsza pani.

- Mamo, mimo że tak bardzo ich prosiłam, nie chcieli mnie posłuchać. Mabel pochyliła się do przodu...

- Oliviero, może to zabrzmiało głupio, ale... lepiej byłoby, gdyby go nie zabili.

Oliviero uśmiechnął się do niej; dobrze znał jej czułość.

- O ileż byłoby to bardziej ludzkie!...

Mabel zamilkła i wyprostowała się na krześle.

- Ale dlaczego – dodała po chwili – ten nieszczęśnik uderzył cię właśnie w tym momencie?

Oliviero spojrzał na mamę, która spokojnie robiła na drutach; po czym, dobierając słowa, odpowiedział:

- Właśnie wtedy mówiłem, że Braithwaithe jednym przemówieniem dokonał więcej niż Chrystus i wszyscy święci razem wzięci.

W tym momencie po raz drugi zobaczył, jak druty do robienia na drutach zatrzymały się w rękach matki; kiedy znów zaczęły się poruszać, dodał:

- Ale jego zamiarem było zabić mnie za wszelką cenę!

- A jak się okazało, że był katolikiem? – zapytała ponownie młoda dziewczyna.

- Po różańcu, który znaleziono przy nim; wtedy miał ledwie czas, by wołać swojego Boga!

- Co jeszcze wiadomo o nim?

- Nic więcej. Był zresztą bardzo dobrze ubrany.

Oliviero opadł nieco w fotelu, zamykając oczy, ponieważ ramię bolało go potwornie.

Mimo wszystko czuł się szczęśliwy; zraniony przez fanatyka, cierpiący w tak wielkiej sprawie, cieszył się naturalnie sympatią całej Anglii. W sąsiednim pokoju pan Philipps nie nadszedł z odpowiadaniem na wszystkie telegramy, które napływały co chwilę. Premier Caldecott, Maxwell, Snowford i setka innych osób natychmiast przesłała gratulacje, a z całej Anglii napływały wiadomości jedna po drugiej.

Wielka sprawa dla komunistów – ich mówca zaatakowany podczas wypełniania obowiązku, podczas przemawiania w obronie swoich zasad! Nie da się oszacować, jak bardzo na tym skorzystali, ze szkodą dla indywidualistów, którzy w końcu nie mogli już chwalić się, że męczennicy są wyłącznie w ich partii.

Ogromne elektroniczne billboardy wyświetlały w Londynie w języku esperanto zwięzłą relację z tego zdarzenia, gdy Oliviero, o zachodzie słońca, przygotowywał się do wejścia do pociągu.

„Oliviero Brand, ranny... Katolicki napastnik... Oburzenie obywateli... Zasłużony los mordercy”.

Był jednak zadowolony, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby uratować mu życie; nawet w tej chwili nagłego i ostrego bólu wzywał sprawiedliwego i rzetelnego procesu, ale było już za późno: widział dwie szeroko otwarte oczy, kręcące się w dołkach nad czerwoną twarzą przestępcy, oraz okropny grymas pojawiający się i znikający, podczas gdy sto rąk chwyciło go i rozrywało mu gardło. Potem nie widział już tej twarzy, ale gwałtowne tupanie w miejscu, gdzie zniknęła. Och! Entuzjazm i lojalność nie umarły w sercach Anglików! ...

W międzyczasie starsza pani Brand wstała i wyszła bez słowa; Mabel zwróciła się do Oliviero i położyła mu dłoń na kolanach.

- Kochanie, czy mówienie zbytnio cię męczy? Oliviero otworzył oczy.

- Nie, kochanie!... sama widzisz... Dlaczego?

- Jakie będą konsekwencje tego wszystkiego?

Oliviero ożywił się nieco, patrząc przez okiennicę na ten czarujący widok; wszędzie blask światła, morze spokojnych księżyców nad domami, a wysoko w górze tajemnicze, ciemne niebo letniego wieczoru.

- Konsekwencje?... ale... mogą być tylko dobre. Tak, coś musiało się wydarzyć; uwierz mi, moja droga, że czasami czułem

naprawdę brakowało mi odwagi, ale już tak nie będzie! Nieraz obawiałem się, że jesteśmy naprawdę bliscy utraty całego naszego prestiżu i że starzy torysi mieli trochę racji, przepowiadając upadek komunizmu. Ale po tym...

- No i co?...

- No cóż! Udowodniliśmy, że potrafimy przelać krew za naszą sprawę, i to w samą porę, w kulminacyjnym momencie kryzysu! Nie przesadzajmy jednak!... To tylko zadrapanie; ale liczy się ten zaplanowany cios i jego dramatyczny przebieg. Ten biedak nie mógł wybrać gorszego momentu; a lud nigdy nie zapomni takiego wydarzenia.

Oczy Mabel zabłyśły radością.

- Kochany – powiedziała – nadal odczuwasz ból?

- Trochę. Zresztą... Chryste! Co mnie to obchodzi? Oby tylko ta przekłeta sprawa na Wschodzie dobiegła końca!

Zdał sobie sprawę ze swojej gorączkowej irytacji i dołożył wszelkich starań, by odzyskać spokój.

- Och! Moja droga! – kontynuował, wciąż nieco podekscytowany – gdyby tylko nie byli tacy głupi, szaleni!... Ale oni nie rozumieją, nie chcą zrozumieć!

- Naprawdę, Oliviero?

- Nie rozumieją, jak wielką chwałą promieniają Ludzkość, Życie, Prawda; w końcu nie doceniają końca ludzkiego, wielowiekowego szaleństwa; przecież mówiłem im to już sto razy!

Mabel zwróciła się do Oliviero z żarliwością; pragnęła widzieć tę zawsze pogodną i pełną życia twarz, te niebieskie oczy płonące entuzjazmem; a jednak w obliczu jego cierpień czuła, jak przeszywa ją namiętność.

Nagle pochyliła się, by go pocałować.

- Mój skarbie!... Oliviero; dzięki tobie mogę być dumna!

Oliviero nic nie powiedział, ale Mabel odczytała z jego twarzy odpowiedź, której pragnęło jej serce. Siedzieli dalej w milczeniu, podczas gdy niebo ciemniało, a odgłosy pisania na maszynie w sąsiednim pokoju przypominały im, że świat wciąż żyje i że odgrywają w nim znaczącą rolę.

Oliviero wzdrygnął się.

- Moja kochana! Czy zauważyłaś coś u mamy, kiedy opowiadałam o moim zdaniu na temat dzieła Jezusa Chrystusa?

- Tak; na chwilę przestała pracować.

- Niestety, widziałaś to więc! Mabel, nie obawiasz się nawrotu?...

- Och! Czego ty chcesz?... Starzeje się, więc naturalne jest, że wraca do przeszłości!
- Ale nie sądzisz? To byłoby straszne!
- Nie, nie, kochany!... Jesteś podekscytowany i zmęczony; uspokój się, a przekonasz się, że to tylko odrobina sentymentu... Oliviero, ale ja nie mówiłabym w ten sposób w jej obecności.
- Ale... czyż nie słyszy się dziś wszędzie takich rozmów?
- Ona nie! Pamiętaj, że prawie nigdy nie wychodzi; poza tym takie wyrażenia ją drażnią: w końcu została wychowana w wierze katolickiej. Oliviero skinął głową na znak zgody; potem opadł z powrotem na fotel i patrzył jakby w transie przez okno.
- To naprawdę zadziwiające, jak ta sugestia się utrzymuje! Nie może jej wyrzucić z głowy nawet po pięćdziesięciu latach... No cóż!... Miej na nią oko, wiesz!... A propos...
- To znaczy?
- Mamy nowe wieści ze Wschodu; cała sprawa sprowadza się do podróży Felsemburga. Imperium Wschodu wysyła go wszędzie: do Tobolska, Berares, Irkucka, a nawet był w Australii. Mabel zerwała się gwałtownie i wykrzyknęła:
- Czyli jest nadzieja?
- Chcę w to wierzyć. Nie ma wątpliwości, że suffici odnoszą zwycięstwo, ale... jak długo to potrwa, to już inna sprawa. Poza tym oddziały pozostają zjednoczone.
- A Europa?
- Przygotowuje broń tak szybko, jak to możliwe. W przyszłym tygodniu udamy się do Paryża, aby naradzić się z mocarstwami; ja również tam będę.
- Mój drogi!... A co z twoim ramieniem?
- Moje ramię musi wyzdrowieć; i tak będzie musiało pójść ze mną.
- Powiedz mi coś jeszcze.
- Nie ma nic więcej. Ale z całą pewnością możemy powiedzieć, że nadeszła decydująca chwila. Jeśli Wschód i tym razem zdecyduje się nie podejmować działań, prawdopodobnie już nigdy ich nie podejmie; a to będzie oznaczało: wolny przemysł na całym świecie wraz ze wszystkimi wynikającymi z tego korzyściami. W przeciwnym razie...
- A wtedy?
- W przeciwnym razie nastąpi katastrofa tak wielka, że nie da się jej nawet wyobrazić; cała ludzkość w stanie wojny, i albo Wschód, albo

na Zachodzie, jedna ze stron zostanie po prostu zniszczona. Nowe materiały wybuchowe Benninscheima dają co do tego całkowitą pewność!...

- Ale czy to naprawdę prawda, że Wschód również je zna?

- To prawda!... Benninscheim sprzedał tę tajemnicę zarówno

Wschodowi, jak i Zachodowi, a potem zmarł – szczęściarz z niego!

Mabel słyszała już wcześniej o takich rzeczach, ale nie były one w stanie poruszyć jej wyobraźni. Pojedynek między Wschodem a Zachodem w tych nowych warunkach był czymś nie do pomyślenia. Nie pozostało żadne żywe wspomnienie o wojnie europejskiej; wojny na Wschodzie w minionym stuleciu toczono przy użyciu starych środków i metod. Teraz, jeśli to, co mówiono, było prawdą, całe miasta mogły zostać zniszczone przez jeden pocisk!

Nie dało się wyobrazić sobie nowego stanu wojny! Krytycy wojskowi snuli najdziwniejsze przepowiednie, zaprzeczając sobie nawzajem w naprawdę istotnych kwestiach: cała taktyka wojenna była przedmiotem czystej teorii, ponieważ brakowało jakiegokolwiek właściwego punktu odniesienia: zupełnie tak, jakby łucznicy zaczęli spierać się o skutki działania kordytu!...

Jedno było pewne: że Wschód dysponował osiągnięciami nowoczesnej inżynierii i że jeśli chodzi o jego ludność, połowa samych mężczyzn stanowiła dwukrotność liczby mieszkańców całego pozostałego świata razem wziętych. Wniosek, jaki można było wyciągnąć z tych przesłanek, nie był rzeczywiście taki, by uspokoić Anglię.

Sama myśl po prostu nie chciała się nad tym zatrzymać. Codzienne gazety zamieściły w każdym numerze krótki i ostrożny artykuł redakcyjny, złożony z fragmentarycznych wiadomości, wykradzionych z konferencji odbywających się w drugiej części świata; nazwa Felsemburgh pojawiała się coraz częściej, ale w innych kwestiach panowała swego rodzaju letarg: szkody jeszcze nie były widoczne, przemysł działał jak dotychczas, ceny towarów europejskich nie spadały, a ludzie nadal budowali domy, brali żony, mieli synów i córki, prowadzili swoje interesy... i chodzili do teatru z tego prostego powodu, że nie znajdowali rozrywki w niczym innym. Nie mogli ani uratować, ani przyspieszyć sytuacji, ponieważ ta znajdowała się zbyt wysoko! Czasami wydawało się, że oszaleli: ci jednak, którym udało się wznieść swoje rozumowanie na taką wysokość, z której można było jeszcze dostrzec przynajmniej przeblask rzeczywistości. W takim otoczeniu panowała atmosfera napięcia; ale... nie było nic więcej; na ten temat nie prowadzono wielu rozmów, uznając je za niestosowne. W końcu nie było nic do zrobienia, tylko czekać.

III.

Mabel, pamiętając o ostrzeżeniu męża, przez kilka dni pilnowała matki najlepiej, jak potrafiła, ale nie odkryła niczego niepokojącego. Starsza pani była może nieco milcząca, ale zajmowała się swoimi drobnymi sprawami tak jak dawniej. Czasami prosiła młodą kobietę, by jej coś przeczytała, słuchając bez trudu wszystkiego, co Mabel chciała jej zaproponować; codziennie zajmowała się kuchnią, decydowała o różnorodności potraw i okazywała zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło w szczególności jej syna.

Własnoręcznie spakowała mu walizkę, przygotowała futra na nagłą podróż, którą musiał odbyć do Paryża, i machała mu na pożegnanie z okna, gdy schodził krótką ścieżką w kierunku pociągu. Jak powiedział, miał być nieobecny przez trzy dni.

Wieczorem drugiego dnia starsza pani źle się poczuła. Powiadomiona przez pokojówkę, Mabel wbiegła przerażona na górę i zastała ją siedzącą, bardzo poruszoną i z dość zaczerwienioną twarzą.

- – Kochana, to nic takiego, wiesz! – powiedziała drżącym głosem i zaczęła opisywać jej objawy swojej dolegliwości.

Mabel położyła ją do łóżka, wezwała lekarza i usiadła obok niej, czekając. Kochała tę staruszkę z całego serca i zawsze, gdy przebywała z nią w tym domu, odczuwała rodzaj spokojnej rozkoszy; dla jej ducha była ona jak miękki fotel dla zmęczonego ciała: spokojna, dobra, skupiona na swoich drobnych zajęciach, chętna do powracania od czasu do czasu do dni młodości i nigdy nie okazująca nawet cienia urazy czy złego humoru. Dla młodej dziewczyny musiało wydawać się niezwykle wzruszające oczekiwanie, aż ten stary duch zbliży się do wygaśnięcia, a raczej, jak wierzyła, do utraty osobowości poprzez ponowne wchłonięcie przez Ducha Życia, który wypełniał wszechświat. Mniej trudności sprawiało jej wyobrażenie sobie końca życia pełnego wigoru; w tym przypadku wyobrażała sobie potężny strumień energii powracający do swojego źródła. Ale w tej spokojnej staruszce było tak mało energii!... Cały system, że tak powiem, składał się wyłącznie z tej delikatnej osobistej budowli, utworzonej z elementów tak słabych, że całość stanowiła jedność niewiele większą od sumy części składowych. Śmierć kwiatu, myślała Mabel, zasmucała bardziej niż śmierć lwa, a stłuczenie chińskiej porcelany było bardziej nieodwracalne niż zniszczenie pałacu.

- To omdlenie!... – powiedział lekarz, ledwie wyszedłszy z pokoju – może umrzeć z chwili na chwilę, jak i przeżyć jeszcze dziesięć lat.

- Czy należy wysłać telegram do pana Branda?

Lekarz wykonał krótki gest zaprzeczający.

- Nie jest pewne, że umrze, ale czy istnieje niebezpieczeństwo?

- Nie, nie! Może jeszcze przeżyć dziesięć lat. Dodał jeszcze kilka słów o tym, jak używać inhalatora tlenowego, i wyszła.

Starsza pani leżała spokojnie na łóżku, kiedy Mabel, wróciwszy na górę, uścisnęła jej pomarszczoną dłoń.

- No cóż, kochanie, co mi powiesz?

- To tylko chwilowe osłabienie, mamó... Proszę leżeć spokojnie i o niczym nie myśleć. Czy mam pani coś poczytać?

- Nie, kochanie, dziękuję!... Chcę trochę pomyśleć.

Mabel nie czuła się wcale zobowiązana do ostrzegania chorej o grożącym jej niebezpieczeństwie, ponieważ nie było przeszłości, którą należało naprawić, ani Sędziego, przed którym należało się stawić: śmierć oznaczała koniec, a nie początek. Taka była jej spokojna ewangelia; przynajmniej stawała się spokojna, gdy tylko nadchodziła śmierć. Młoda kobieta zeszła na dół z ukrytym smutkiem w sercu, który odbierał jej spokój.

- „Och! Jakże piękna, jakże cudowna jest śmierć!” – myślała Mabel – „to rozwiązanie akordów zawieszonych na trzydzieści, czterdzieści czy siedemdziesiąt lat!powrót do ciszy tego suwerennego instrumentu, który sam w sobie wystarczał! Te same nuty rozbrzmiewały i nadal będą rozbrzmiewać na całym świecie, choć z nieznacznie odmiennym tonem; zniknęła pewna szczególna emocja i szaleństwem było myśleć, że będzie ona wiecznie wibrować gdzie indziej, skoro tego „gdzie indziej” nie było. Ona sama również pewnego dnia zamilknie: niech więc pozwoli jej się poczekać, aby jej akcent pozostał czysty i dobrze zestrojony!

Philipps przybył następnego wieczoru, gdy Mabel schodziła z pokoju chorej, i zapytał ją, jak się czuje.

- Wydaje mi się, że czuje się nieco lepiej, ale musi cały czas leżeć spokojnie. Sekretarz skłonił się i udał się do mieszkania Oliviero, gdzie czekała na niego sarta listów wymagających odpowiedzi.

Dwie godziny później Mabel, wchodząc na górę, spotkała Philippsa, który z kolei schodził na dół; ta żółta twarz zdawała się nabrać nieco rumieńców.

- – Zadzwoiła do mnie – powiedziała – pani Brand, żeby zapytać, czy pan Oliviero wróci dziś wieczorem.

- Musi wrócić, prawda? Nie powiedziałeś jej tego?
- Powiedział, że będzie tu na kolacji; przyjedzie do Londynu o
dziewiętnastej.

- I... nie ma nic więcej
nowego? Philipps zacisnął
usta.

- Wie pan... to tylko plotki. Pan Oliviero wysłał mi telegram godzinę
temu. Wydawał się podekscytowany, a Mabel patrzyła na niego ze
zdziwieniem.

- Czy są jakieś wiadomości ze Wschodu? – zapytała
młoda kobieta. Philipps zmarszczył brwi.

- – Proszę mi wybaczyć, proszę pani – odpowiedział – nie mam prawa
wypowiadać się na ten temat.

Nie obraziła się, ponieważ darzyła męża wielkim szacunkiem, ale wróciła do
chorej z sercem bijącym mocno.

Również starsza pani była poruszona; leżała na łóżku z wyraźnym
rumieńcem na bladych policzkach i uśmiechnęła się lekko na powitanie
synowej.

- Widziałaś więc pana Philippsa?

Chora spojrzała na nią szybko i przenikliwie, nie mówiąc ani słowa.

- Spokojnie, mamu; Oliviero będzie tu dziś
wieczorem. Starsza pani westchnęła głęboko.

- Kochanie, nie martw się o mnie, czuję się teraz bardzo dobrze. Oliviero
będzie tu na kolacji, prawda?

- Jeśli kierowca się nie spóźni. Czy w międzyczasie zechce pani coś zjeść,
mamo?

Mabel spędziła popołudnie w stanie wielkiego niepokoju: bez wątpienia coś
musiało się wydarzyć. Nawet sekretarz, który zjadł lunch w salonie
przylegającym do ogrodu, wydawał się zaniepokojony. Powiedział jej, że
tego wieczoru będzie nieobecny i że otrzymał już polecenia od Oliviero;
unikał wszelkich rozmów na temat spraw Wschodu i nie przekazał żadnych
wiadomości dotyczących konwencji paryskiej. Powtarzał jedynie, że
Oliviero wróci wieczorem; pół godziny później wyruszył w wielkim
pośpiechu.

Stara, schorowana kobieta wydawała się drzemać, a Mabel, która wróciła do
niej później, nie chciała jej niepokoić; aby nie opuszczać domu, spacerowała
po ogrodzie, pełna myśli, nadziei i obaw, aż ujrzała powolny cień
rozciągający się wzdłuż ścieżki oraz postrzępioną linię dachów zanurzającą
się od strony zachodniej w ciemnozielonej mgle gęstej jak pył.

Gdy tylko dotarła, sięgnęła po gazety, ale znalazła w nich jedynie
informację, że Konwent kończy się tego wieczoru.

Wybiła dwudziesta godzina, a Oliviero wciąż nie było widać. Poczta z Paryża musiała dotrzeć już godzinę temu, a Mabel, spoglądając w stronę ciemniejącego nieba, widziała gwiazdy pojawiające się jedna po drugiej jak złote kropki, ale żadna z tych skrzydlatych ryb nie przeleciała przez powietrze.

Być może nie zauważyła tego i opóźnienie nie było jej winą; ale skoro tak często zdarzało się jej to już, nie mogła pojąć, jak tym razem mogła przeoczyć ten znak. Nie chciała jeść kolacji: biegała w górę i w dół w domowym stroju, podchodziła do okna i odchodziła, wsłuchując się w świszczący pęd pociągów, niepewne gwizdy torów kolejowych i harmonijne akordy elektrowni oddalonej o milę. W międzyczasie zapalały się światła, a rozległa panorama miasta wyglądała jak bajkowa kraina pomiędzy światłem ziemi a ciemnością nieba.

Dlaczego Oliviero nie wracał? Czy mogła przynajmniej dowiedzieć się, dlaczego nie wracał?

Weszła na górę, wciąż ogarnięta żalosnym niepokojem, by pocieszyć starą, chorą kobietę, i zastała ją bardzo senna.

- Nie wrócił, mamó; myślę, że zatrzymał się w Paryżu.

Ta wychudzona twarz, wtulona w poduszkę, ledwie poruszyła się i wymamrotała kilka słów. Mabel zeszła na dół; pora obiadowa minęła już dawno temu.

Oczywiście! Setki powodów mogło mu to uniemożliwić: to nie był przecież pierwszy raz, kiedy się spóźniał, a nawet dłużej! Być może przegapił powóz, konwent się przedłużył, albo, zmęczony, wołał zostać na noc w Paryżu, zapominając zadzwonić, albo też, zadzwoniwszy do pana Philippsa, ten zapomniał przekazać wiadomość.

W końcu w desperacji podbiegła do telefonu i zaczęła patrzeć na tę okrągłą, białą słuchawkę i krótki rząd oznaczonych przycisków, niemal zdecydowana naciskać je jeden po drugim, by uzyskać wieści o narzeczonym. Był tam numer do jej klubu, do jej biura w Whitehall, do domu pana Philippsa, do Parlamentu itp., ale zawahała się, nakłaniając się do dalszego czekania. Oliviero, który nie chciał ingerencji, z pewnością wkrótce uwolniłby ją od tego niepokoju.

Ledwie odsunęła się od aparatu, gdy rozległo się głośnie dzwonenie, a przed jej oczami zabłysła biała etykieta: *Whitehall*. Nacisnęła odpowiedni przycisk drżącą ręką, ledwo utrzymując słuchawkę przy uchu, i zaczęła słuchać.

- Halo! Z kim rozmawiam?

Serce jej zamarło, gdy usłyszała głos Oliviero, który delikatny i cichy dobiegał przez słuchawkę.

- To ja... Mabel! – odpowiedziała – jestem tu sama!...

- Och! Mabel... świetnie! Wracam; wszystko poszło wspaniale... słuchaj: dobrze mnie słyszysz?

- Tak, tak...

- Nie mogliśmy liczyć na lepsze rozwiązanie. Sprawa Wschodu została załatwiona dzięki staraniom Felsemburga. Słuchaj jeszcze: nie mogę wrócić dziś wieczorem. Za dwie godziny wydarzenie zostanie ogłoszone w Świątyni Pawła; właśnie zamierzamy poinformować o tym prasę. Przyjdź natychmiast, musisz tam być, rozumiesz?

- Tak, tak!...

- Ale przyjdź natychmiast: to będzie największe wydarzenie w historii. Nie mów jednak o tym nikomu! Przyjdź, zanim zacznie się tłok; za pół godziny ulica będzie zatłoczona.

- Oliviero...

- Tak!

- Mama jest chora; mam ją zostawić?

- Co jej jest?

- Na razie nie ma żadnego zagrożenia! Tak powiedział lekarz, który ją zbadał. Nastąpiła chwila ciszy.

- Przyjedź koniecznie. Wrócimy dziś w nocy; powiedz mamie, że wrócimy późno.

- W porządku.

– ... tak, musisz przyjechać; będzie tam Felsemburgh.

ROZDZIAŁ CZWARTY I.

Tego samego dnia po południu Percy otrzymał wizytę nieznajomego. Nie wyróżniał się on niczym szczególnym, a kiedy Percy, zszedł do salonu w stroju podróżnym i mógł przyjrzeć mu się w świetle wielkiego okna, nie mógł wywnioskować nic więcej na temat jego osoby i zawodu, poza tym, że nie był katolikiem.

- Potrzebuje mnie pan? – zapytał ksiądz, wskazując na krzesło – nie chciałbym jednak zbyt długo się zatrzymywać.

- – Och, proszę się nie obawiać! – odparł żywo nieznajomy – moja sprawa zajmie dziesięć minut.

Percy słuchał, spuszczać wzrok.

- Pewna... osoba wysłała mnie do ciebie; ta osoba była kiedyś katolikiem... a teraz pragnie powrócić do Kościoła.

Percy lekko potrząsnął głową: takie wiadomości stały się w tamtych czasach raczej rzadkością.

- Proszę pana, obiecuje mi pan, że przyjdzie pan się z nią spotkać?

Ten człowiek wydawał się bardzo poruszony, co widać było po kroplach potu na jego bladej twarzy i smutku w spojrzeniu.

- Dlaczego nie? – odpowiedział z uśmiechem Percy.

- W porządku, proszę pana... ale pan nie wie, kim jest ta osoba; a gdyby to wyszło na jaw, mogłoby dojść do zamieszania; nikt nie może się o tym dowiedzieć! Obiecuje mi pan to?

- Nie mogę złożyć takiej obietnicy – odparł grzecznie Percy – zanim nie dowiem się nieco więcej o tej sprawie.

Nieznajomy nerwowo oblizał usta.

- – A więc – odparł szybko – nie powie nic, dopóki nie zobaczy tej osoby; czy może mi przynajmniej to obiecać?

- – Och! Bez problemu – odpowiedział ksiądz.

- – Lepiej jednak, żeby pan nie znał mojego imienia; może to być korzystniejsze zarówno dla pana, jak i dla mnie. Niech pan jeszcze wie, że ta osoba jest chora; proszę więc o przybycie dzisiaj, ale nie przed nocą... – Dwudziesta dwanaście, panie, to dogodna pora dla pana!

- – A gdzie ta osoba się znajduje? – zapytał ostro Percy.

- Ta... osoba przebywa w pobliżu Coincydencji w Croydon; teraz zapiszę panu adres i... proszę, niech pan nie przychodzi przed dwudziestą drugą.

- Dlaczego nie od razu?

- Ponieważ są tam... inni; a o tej porze już na pewno wyjadą, jestem tego pewien. Sprawa budzi pewne podejrzenia, pomyślał Percy: niebezpieczne spiski miały miejsce już wcześniej; ale nie mógł od razu odmówić i zapytał:

- Dlaczego nie wezwała księdza?

- On nawet nie wie, kim ona jest!... Widział panią w katedrze i zapytał ją o imię. Pamięta pani starszą panią?..

Percy mgliście pamiętał wydarzenie, które miało miejsce miesiąc lub dwa temu, ale nie potrafił tego dokładnie określić.

- A więc, proszę pana, przyjedzie; to już postanowione?

- Najpierw muszę porozumieć się z ojcem Polanem – odpowiedział ksiądz –; jeśli mi na to pozwoli...

- Przepraszam, proszę pana; ojciec Polan nie powinien znać nazwiska tej pani; chyba mu go pan nie powie?

- Ale przecież ja sam jeszcze go nie znam! – odparł z uśmiechem Percy. Nieznajomy na te słowa wzdrygnął się, a jego twarz pociemniała.

- Cóż, proszę pana, niech pan przede wszystkim wie, że syn tej chorej staruszki jest moim przełożonym: jednym z najwybitniejszych komunistów; pani mieszka z nim i jego żoną, ale tej nocy ta dwójka będzie poza domem. Oto powód moich pytań! A teraz, proszę pana, czy mogę na pana liczyć?

Ten drugi spojrzał mu w twarz przez chwilę; oczywiście, gdyby chodziło o jakiś spisek, spiskowcy musieliby być ludźmi bardzo słabymi; więc Percy odpowiedział:

- Przyjdę, naprawdę to obiecuję! Proszę mi teraz podać imię.

Nieznajomy ponownie oblizał usta, rozejrzał się z niepokojem, po czym zebrał całą swoją odwagę, podszedł do Percy'ego i szeptem kontynuował:

- „Nazwisko tej starszej pani to Brand: matka pana Oliviero Branda...

Percy, słysząc to imię, zamarł: sprawa była zbyt niezwykła, by mogła być prawdziwa! Z reputacji znał Oliviero Brandę aż za dobrze; ponieważ z boskiej łaski robił on teraz w Anglii więcej przeciwko sprawie katolickiej niż jakakolwiek inna żyjąca osoba, zwłaszcza po tym, jak incydent na Trafalgar Square tak bardzo podniósł go w szacunku i sympatii ludu. A oto jego matka...

Rzucił więc na tego człowieka surowe spojrzenie i rzekł:

- Panie, nie wiem, kim pani jest, ani czy wierzy pani w Boga, czy nie; ale czy może mi pani przysiąc na swoją wiarę lub na swój honor, że wszystko, co mi pani właśnie powiedziała, jest prawdą?

Nieśmiałe i niezdecydowane spojrzenie nieznajomego spotkało się z surowym spojrzeniem księdza, ale zdradzało słabość, a nie perfidię.

- Przysięgam, panie, na Wszechmogącego Boga!
- Czy jest pan katolikiem? Ten drugi pokręcił głową.
- Ale wierzę w Boga – dodał – a przynajmniej wydaje mi się, że wierzę. Percy, wyprostowawszy się na krześle, próbował dokładnie ocenić sytuację; w głębi serca nie liczył już na sukces... to, co teraz odczuwał, nie było emocją słabości, ale pewnym niepokojem, pewnym zdumieniem, zagubieniem; a przede wszystkim rodzącą się radością ze świadomości, że jest narzędziem wszechmocnej łaski Pana. Jeśli ta docierała aż do serca tej kobiety, kto mógłby się od niej odwrócić lub uciec przed jej działaniem?... W tym momencie zauważył, że ten drugi patrzy na niego z niepokojem.
- Czy pan się może boi?.. Czyżby cofał swoją obietnicę: Te słowa wystarczyły, by go jeszcze bardziej uspokoić, a Percy z uśmiechem odpowiedział:
- Och! Nie, nie! O dwudziestą będę tam. Ale czy pani jest w poważnym niebezpieczeństwie?
- Właściwie nie, ale, proszę zrozumieć, chodzi o omdlenie; dziś rano trochę doszła do siebie. Ksiądz przetarł oczy i wstał.
- – Zrozumieliśmy się! – powiedział – A czy pan też będzie tam dziś wieczorem? Ten drugi, wstając, pokręcił głową.
- Ja – dodał – muszę towarzyszyć panu Brandowi na spotkaniu, które odbędzie się o północy; ale... nie mam prawa o tym mówić... Zapyta pan o panią Brand, powie, że ona go wezwała, a natychmiast zostanie wpuszczony do niej.
- Chyba nie będę musiał mówić, że jestem księdzem, jak sądzę!...
- Nie! To pańska uprzejmość, proszę pana. Wyciągnął notes, napisał coś na jednej ze stron, wyrwał ją i wręczył księdzu.
- Oto adres, proszę pana. Czy zechciałby pan zniszczyć to zaraz po skopiowaniu? Bo... nie chciałbym stracić pracy, jeśli to możliwe!... Percy stał nieruchomo, zwijając kartkę wokół palca.
- Dlaczego sam nie jest pan katolikiem? – zapytał. Mężczyzna potrząsnął głową, nie mówiąc nic; po czym, chwyciwszy kapelusz, skierował się w stronę drzwi.

Percy spędził ten wieczór w gorączkowym niepokoju. Od miesiąca lub dwóch nie wydarzyło się nic, co mogłoby mu przynieść pocieszenie: wręcz przeciwnie, musiał odnotować pięć lub sześć dość znaczących przypadków odstępstwa od wiary i zaledwie jedno nawrócenie:

Bez wątpienia fala sprzeciwu wobec Kościoła narastała w szybkim tempie. Ten szalony zamach sprzed tygodnia na Trafalgar Square wyrządził ogromną szkodę; ludzie mówili teraz częściej niż kiedykolwiek, że Kościół we wszystkich swoich publicznych działaniach zaprzecza tej wierze w nadprzyrodzone, którą sam tak ostentacyjnie głosi. „Zeskrob katolika, a znajdziesz mordercę” – tak napisał „*Nuovo Popolo*” w artykule wstępnym; sam Percy był zbulwersowany tym czynem. Arcybiskup, co prawda, wyraźnie potępił z ambony w katedrze zarówno sam czyn, jak i przyczynę, która do niego doprowadziła; ale niestety wszystko to posłużyło prasie do tego, by w złą wiarę zarzucić Kościołowi tę przewrotną politykę stosowania przemocy, mimo potępienia samych sprawców. Straszna śmierć tego nieszczęśnika nie wystarczyła, by uspokoić oburzenie ludu; sugerowano nawet, że przestępca wyszedł z pałacu arcybiskupa na godzinę przed makabrycznym morderstwem.

I oto, z dramatyczną szybkością, nadeszła wiadomość od matki bohatera, ogłaszająca, że chce ona pogodzić się z tym Kościołem, który próbował zamordować jej syna!

Wiele razy tego popołudnia, gdy spieszył się do Worcester, aby odwiedzić kolegę, a jeszcze częściej podczas powrotu wieczorem, gdy światła już zaczęły się zapalać, Percy zastanawiał się, czy za tym wszystkim nie kryje się jakiś spisek przeciwko niemu, jakaś zemsta lub próba podstępu. Jednak obiecał nic nie mówić i pojechać.

Jak zwykle, po obiedzie zakończył swój list z dziwnym przeczuciem fatalizmu; napisał adres, odbił pieczęć, a potem, w stroju podróżnym, zszedł na parter do pokoju ojca Blackmore'a.

– Ojcze – zaczął bez owijania w bawełnę – czy zechciałbyś mi udzielić spowiedzi?

II.

Stacja Vittoria, nazwana tak na cześć wielkiej Królowej XIX wieku, tętniła życiem tak samo jak zwykle, gdy Percy wszedł do niej pół godziny później. Rozległy plac, położony około dwustu stóp poniżej poziomu gruntu, był pełen pasażerów podzielonych na dwie odrębne grupy w zależności od tego, czy jechali tam, czy z powrotem. Ci z skrajnego skrzydła po lewej stronie, w kierunku którego Percy skierował się, aby wejść do już otwartej windy, byli znacznie liczniejsi; tłocząc się przy wejściu, zmusili Percy'ego do poruszania się raczej powoli.

W końcu dotarł, przechodząc przez miękkie światło, po czymś w rodzaju cichej, rowkowanej gumy, i zatrzymał się przy drzwiach szerokiego wagonu, który jechał prosto do Coincidenza. Był to ostatni z serii dwunastu lub więcej, z których każdy miał wyruszyć z minuty na minutę. Następnie, obserwując nieustanne krążenie wind, które zjeżdżały i wjeżdżały między przejściami na przednim końcu stacji, wszedł do wagonu i usiadł.

Teraz był naprawdę zadowolony, że wyruszył. Odprawił spowiedź, aby zapewnić bezpieczeństwo swojej duszy, choć nie było nawet cienia zagrożenia; siedział w szarym ubraniu i słomkowym kapeluszu, które nie wzbudzały żadnych podejrzeń co do jego statusu kapłana: władze kościelne udzieliły ogólnego pozwolenia na taki strój z uzasadnionego powodu.

Ponieważ nie groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, Percy nie zabrał ze sobą ani hostii, ani cyborium, tym bardziej że ks. Polan zadzwonił do niego i powiedział, że gdyby chciał, mógł je odebrać w kościele św. Józefa, znajdującym się o rzut beretem od stacji Coincidenza; miał przy sobie jedynie fioletowy sznur, jak to zwykle robił, gdy udawał się do umierających.

Biegł więc z wielką prędkością, zachowując względny spokój, spoglądając bez zainteresowania na puste siedzenia przed sobą, ale jego opanowanie zostało wystawione na próbę, gdy pociąg nagle się zatrzymał. Spojrzał na zewnątrz oszołomiony i z pokrytej białą glazurą trasy, dwadzieścia kroków dalej, zauważył, że pociąg dotarł do tunelu. Przyczyn tego zatrzymania mogło być wiele, ale nie zastanawiał się nad tym, a nawet inni pasażerowie nie wydawali się tym zbytnio przejmować; w rzeczywistości po kilku chwilach ciszy wznowiono tam, w przedziale, przerwane rozmowy.

W międzyczasie z daleka, odbijając się echem od ścian i narastając nieustannie, dobiegł zgiełk głosów zmieszanych z krzykami i harmonijnymi akordami; rozmowa znów ucichła. W tym momencie otworzyło się okno i od razu widać było pociąg pędzący szybko w drugą stronę, cofając się na linię startową.

– Zobaczmy – powiedział Percy – bez wątpienia musi się dziać coś nowego.

– I ruszył w pustym przedziale w kierunku drugiego okna. Znów dobiegły krzyki i sygnały; następnie z wielką prędkością przejechał pociąg, a zaraz za nim kolejny. Nastąpiło nagle wstrząśnięcie, po którym nastąpił krótki, spokojny i regularny ruch, a potem Percy zachwiał się i upadł na siedzenie, gdy jego własny pociąg zaczął cofać się.

Głośne okrzyki dochodziły teraz również z sąsiedniego przedziału. Percy przedarł się przez drzwi, by zapytać kilku mężczyzn wychylających się przez okno, którzy jednak nie zwracali uwagi na jego pytania; przekonany, że oni również niewiele więcej wiedzą, pozostał tam, czekając, aż ktoś inny wyjaśni mu sytuację: wielkie nieszczęście, pomyślał, gdyby przez jakiś wypadek doszło do awarii linii.

Pociąg zatrzymał się dwukrotnie i dwukrotnie ruszył ponownie po wielokrotnych okrzykach; w końcu cofnął się o jakieś dziesięć metrów, ale na ten sam plac, z którego wyruszył.

Ach! Bez wątpienia musiało się wydarzyć coś nowego! Gdy otworzył drzwi, do uszu dotarł mu zgiełk; wyskoczył na peron i patrząc w kierunku końca stacji, zaczął rozumieć.

Na rozległym wewnętrznym placu, od prawej do lewej strony, ogromna fala ludzi pędziła z ogromną siłą, a zgiełk z każdą chwilą narastał. Ogromne schody, które zapełniały się tylko w przypadku dużego tłumu, przypominały majestatyczny wodospad o wysokości stu stóp. Każdy wagon, zatrzymując się, wyrzucał na peron coraz większą rzeszę mężczyzn i kobiet, którzy roіło się jak mrówki w kierunku grupy swoich towarzyszy. Zgiełk był nie do opisania; krzyk mężczyzn, paplanina kobiet, hałas i gwizd wielkich maszyn, a trzy lub cztery razy beczelny dźwięk trąbki; wtedy wyłamano drzwi bezpieczeństwa i tłum wylał się przez nie w niewielkiej części na ulicę. Rozglądając się wokół, Percy został poruszony czymś, co uniemożliwiło mu zwracanie uwagi na ludzi: wysoko, pod zegarem, w

tablicy ogłoszeń, błyszczały potworne litery ognia, niosące w esperanto i po angielsku wiadomość, z powodu której cała Anglia pogrążyła się w delirium. Przeczytał to z dziesięć razy, zanim się ruszył, oszołomiony jak przed nadprzyrodzonym znakiem zwiastującym triumf nieba lub piekła:
„Konferencja na Bliskim Wschodzie zakończona – Pokój, a nie wojna –
Ogłoszono powszechne braterstwo, Felsemburg w Londynie tej nocy”.

III.

Percy dotarł do tego domu za Coincidenza z dwugodzinnym opóźnieniem. Pytał, wyrzucał, groził; ale urzędnicy państwowi wydawali się opętani. Wielu z nich zniknęło już w morzu miasta, gdy pomimo rządowych środków ostrożności wyciekła wiadomość, że Świątynia Pawła – dawniej Katedra św. Pawła – będzie wielką salą przyjęć Felsemburga. Inni wydawali się obłąkani. Jeden mężczyzna upadł martwy na peron z powodu załamania nerwowego, a nikt nie zwrócił na to uwagi; w tym zamieszaniu zwłoki stoczyły się pod siedzenie.

Niejednokrotnie Percy był porywany przez tłum, gdy szukał, przechodząc z peronu na peron, wagonu, który zawiózłby go do Croydon; ale żaden się nie pojawiał, podczas gdy pociągi stały tam stłoczone jak kawałki drewna na placach lub pędziły jak szalone po dzielnicy, załadowane szalejącymi i majaczącymi ludźmi, znikając jak dym na białej gumowej podłodze. Perony nieustannie się zapełniały, mimo że były nieustannie opróżniane, tak że dopiero pół godziny przed północą pociąg mógł ruszyć.

W całym tym chaosie nie potrafił już prawie nic zrozumieć; z pewnością wojna była sama w sobie czymś strasznym, a w jego wyobraźni taka wojna rysowała się jako jeszcze straszniejsza; jednak w myślach księdza pojawiały się inne, jeszcze gorsze rzeczy. Czymże była ta tak zwana powszechna pokój, która nie miała swojego fundamentu w Jezusie Chrystusie? Czy i tutaj należało dostrzec boską wolę? Rozproszone pytania! Felsemburgh był bez wątpienia bohaterem największego wydarzenia znanego dotychczas w historii cywilizacji; ale kim był ten człowiek? Jaki miał charakter, jakie motywy, jakie zamiary? I jak wykorzystałby swój sukces? Tak więc różne przypuszczenia migwały mu przed oczami jak iskry, z których każda była być może nieszkodliwa, ale każda równie zdolna do podpalenia całego świata. Tymczasem pewna starsza kobieta pragnęła pogodzić się z Bogiem przed śmiercią.

Nacisnęła trzy lub cztery razy dzwonek elektryczny i czekała; po świetle, które przebijało się z góry, zorientowała się, że ją usłyszano.

- - Wezwała mnie pani... – zaczął Percy, uspokajając zdumioną pokojówkę, która przyszła otworzyć drzwi. – Miałem tu być o dwudziestej, ale zatrzymał mnie tłum...

Dziewczyna od razu miała do niego pytanie.

- Tak, sądzę, że to prawda – odpowiedział Percy – mamy pokój, a nie wojnę. Proszę mnie zaprowadzić na górę.

Przeszedł przez salon z dziwnym poczuciem winy. Znajdował się w domu Oliviero Branda, tego żarliwego mówcy, tak gorzko przemawiającego przeciwko Bogu; on, ksiądz, wkradł się tam pod osłoną nocy. Tak, tak... ale te sprawy nie wchodziły w zakres jego zadania... Przed drzwiami sypialni na piętrze dziewczyna znów zaczęła:

- Jest pan lekarzem?

- Z zawodu! – odparł krótko Percy i otworzył drzwi.

Cichy, żalospny krzyk dobiegł z kąta pokoju, zanim jeszcze drzwi się zamknęły.

- Ach! Niech Bóg będzie błogosławiony!... Myślałam, że o mnie zapomniał... Czy jest pan księdzem?

- Tak, jestem księdzem; widziałam mnie w katedrze, pamięta pani?

- Tak, proszę pana. Ojciec, widziałam, jak się modlił. Och! Niech będzie błogosławiony Bóg, niech będzie mu dziękowane!

Percy przez chwilę wpatrywał się w tę starą, zaczerwienioną twarz, wtuloną w poduszkę, w te żywe oczy i drżące dłonie. Och, tak... to nie była gra!

- A teraz mów, moja córko.

- Ojciec, spowiedź.

Percy wyciągnął purpurowy sznur, zarzucił go na ramię chorej i usiadł przy łóżku...

.....
Nie chciała, żeby od razu odchodził.

- Powiedz, ojciec, a kiedy przyniesiesz mi świętą Komunię?

Percy się wahał.

- Czy to prawda, że pan Brand i jego żona nic o tym nie wiedzą?

- Ojciec, tak.

- Powiedz, czy ona naprawdę jest ciężko chora?

- Ojciec, nie wiem... nikt mi tego nie mówi... Tej nocy myślałem, że umrę.

- Kiedy mógłbym przynieść jej Komunię Świętą? Jestem gotów zrobić to, jak pani chce.

- Czy mogę wysłać po nią za dzień lub dwa?... i, ojciec, czy muszę powiadomić mojego syna?

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ale jeśli muszę, zrobię to chętnie.

- W takim razie proszę to przemyśleć, a potem dać mi znać... A propos: wie Pani, co się stało?

Skinęła głową, ale niemal obojętnie;

Percy poczuł lekkie wyrzuty sumienia. W końcu pojednanie duszy z Bogiem było sprawą o wiele ważniejszą niż zaprowadzenie pokoju między Wschodem a Zachodem.

- – To wydarzenie bardzo zainteresuje pana Oliviero – wtrącił Percy;

- – Wygląda na to, że wkrótce stanie się wielkim człowiekiem!

Spojrzała na niego w milczeniu z lekkim uśmiechem. Percy był zdumiony młodzieńczą żywiołowością tej starej twarzy.

- Ojczy, nie chciałbym pana dłużej zatrzymywać, ale proszę mi powiedzieć, kim jest ten człowiek?

- Kto, Felsemburgh? Nikt tego nie wie; może jutro dowiemy się czegoś więcej; tej nocy będzie w Londynie.

Spojrzenie chorej zmieniło się w tak dziwny sposób, że Percy obawiał się, iż to kolejny atak; wydawało się, że ogarnęło ją uczucie, częściowo tragiczne, a częściowo przerażające.

- No cóż, moja córko?..

- Ojczy, kiedy myślę o tym człowieku, ogarnia mnie strach; czy nie wyrządzi mi krzywdy? Czy jestem teraz bezpieczna? Bo... jestem teraz katoliczką.

- Moja córko, oczywiście, że jesteś bezpieczna! Czego się boisz? Jak ten człowiek mógłby cię skrzywdzić?

Ale przerażone spojrzenie nadal trwało; a Percy, zbliżając się do niej, pocieszał ją, mówiąc:

- Nie daj się ponieść wyobraźni; oddaj się w ręce błogosławionego Boga; ten człowiek nie wyrządzi ci żadnej krzywdy!

Mówił do niej teraz tak, jak mówi się do dziecka, ale bezskutecznie: jej usta były wyschnięte, a oczy unikały spojrzenia księdza, kierując się ku najciemniejszym zakątkom pokoju.

- Co się stało, moja córko? Co pani wie o Felsemburgu? Czy może miała pani sen? Skinęła głową szybko i zdecydowanie, a Percy poczuł w sercu lekki dreszcz niepokoju. Czy ta kobieta straciła rozum? Albo z jakiego powodu to imię wydawało się jej tak złowieszcze? I wtedy przypomniał sobie, że nawet ojciec Blackmore przemawiał kiedyś do niego tak samo jak ona.

- Powiedz mi szczerze: czy to był senco pan śnił

Podniosła się nieco na łóżku, wciąż rozglądając się po pokoju, i włożyła swoją rękę w dłoń księdza, który sam dziwił się, że pozwala jej na taki gest.

- Czy drzwi, ojczy, są zamknięte? Czy nikt nie podsłuchuje?

- Nie, nie, moja córko!... Ale dlaczego tak drżysz! Nie bądź przesadna!

- Oczywiście, ojciec! Sny to tylko złudzenia, prawda? Ale... w każdym razie oto, co mi się śniło: byłam w wielkim domu, ale nie wiedziałam, gdzie to jest, i nigdy wcześniej tego domu nie widziałam; był to stary i bardzo ciemny dom. Wydawało mi się, że jestem małą dziewczynką i bałam się... nie wiem czego. Korytarze były ciemne; krzyczałam w ciemnościach, szukając światła, a światła nie było; wtedy usłyszałam głos mówiący z daleka... Ojciec...

W tym momencie ścisnęła mocniej dłoń księdza i znów zaczęła rozglądać się po pokoju.

Percy z trudem powstrzymał westchnienie. Jak mógłby ją teraz zostawić? W domu panowała głęboka cisza; tylko od czasu do czasu z zewnątrz dochodził zgrzyt wozów, które przywoziły straż wiejską z ogarniętego chaosem miasta, oraz odgłosy radosnych okrzyków.

Percy spojrział z ciekawością, która to była godzina.

- – Czy ma mi teraz coś lepszego do opowiedzenia? – zapytał ją ze spokojną prostotą. – A... kiedy wrócą?

- Jeszcze nie – wymamrotała chora. – Mabel – powiedziała – nie wcześniej niż o drugiej: a teraz, ojciec, która jest godzina?

Wyciągnął zegarek wolną ręką i odpowiedział:

- Za chwilę wybije godzina!

- Och! No cóż!... Ojciec, proszę posłuchać... Byłam w tym domu i słyszałam te słowa, gdy błąkałam się po korytarzach; potem dostrzegłam światło pod drzwiami i wtedy się zatrzymałam. Podejdź bliżej, ojciec.

Percy zaczął, niechętny, odczuwać strach; ten głos nagle ucichł do szeptu, podczas gdy oczy chorej w dziwny sposób wpatrywały się w niego.

- Zatrzymałam się, ojciec, bo nie odważyłam się wejść; czułam rozmowy, widziałam światło, ale bałam się wejść... Ojciec, w tym domu... był Felsemburgh.

Na parterze rozległo się trzasknięcie drzwi, a potem odgłos kroków. Percy gwałtownie odwrócił głowę i w tej samej chwili usłyszał szybkie westchnienie starej pani.

- Cisza! – rzekła – kto tam jest?

W tym samym czasie w korytarzu na dole rozległy się dwa głosy, a na ten dźwięk chora puściła dłoń P. Franklina.

- – To... chyba on! – wyszeptała cichym głosem.

Percy wstał; przypuszczał, że ona nie zdawała sobie sprawy z sytuacji.

- Tak, moja córko – rzekł spokojnie – ale kto to jest?
- Mój syn z żoną – odpowiedziała chora, nagle błędąc. – No cóż, cóż...
ojcze...

Głos ugrzązł jej w gardle, gdy za drzwiami rozległy się pierwsze kroki. Nastąpiła chwila całkowitej ciszy, a potem usłyszała cichą, ale wyraźną rozmowę w dziewczęcym akcencie.

- Dlaczego światło wciąż się pali? Chodź, Oliviero, ale cicho.

Klamka obróciła się w drzwiach.

ROZDZIAŁ PIĄTY I.

Nastąpiło wykrzyknięcie, a potem chwila ciszy. W tym czasie wysoka i piękna, młoda dziewczyna o ożywionej twarzy, promienna, o szarych oczach, wyszła naprzód, zatrzymując się nagle; a za nią mężczyzna, którego Percy natychmiast rozpoznał, widziawszy jego zdjęcie wiele razy. Z łóżka dobiegł cichy jęk, a ksiądz instynktownie podniósł rękę, by go uciszyć.

- – A to? – zapytała Mabel, patrząc na mężczyznę o młodzieńczej twarzy i siwych włosach.

Oliviero, z twarzą wykrzywioną przez niezwykle wzruszenie, automatycznie otwierał i zaciskał usta; po czym zdecydowanym głosem rzekł:

- Kim jest ten człowiek?

- Oliviero – wykrzyknęła młoda kobieta, odwracając się gwałtownie – to jest ksiądz, którego widziałam...

- Ksiądz! – krzyknął drugi, robiąc krok do przodu. – Ale jak to?... przecież myślałem...

Percy wydał długie westchnienie, by powstrzymać konwulsyjne drżenie gardła; po czym powiedział:

- Tak, jestem księdzem.

Z łóżka znów dobiegły jęki, a Percy, odwracając się nieco, by ponownie je uciszyć, zobaczył, jak młoda kobieta, nie zwracając na niego uwagi, rozpina kłamry płaszcza, który miała na sobie, na białej sukni.

- To ona go wezwała, mamó? – powtórzył mężczyzna drżącym, szorstkim głosem, a całe jego ciało wzdrygnęło się nagle.

Ale dziewczyna wyciągnęła rękę, mówiąc:

- Uspokój się, mój drogi!... Panie, naprawdę...

- Tak, jestem księdzem – wtrącił Percy, mobilizując swoją wolę do desperackiego oporu i ledwie zwracając uwagę na to, co mówił.

- I przyszedł do mojego domu? – krzyknął Oliviero, robiąc krok do przodu i pół do tyłu. – I przysięgasz, że jesteś księdzem? I zostałeś tu całą noc?

- Od północy.

- I nie...

W tym momencie Oliviero zamilkł: wtrąciła się Mabel.

- – Oliviero – powiedziała młoda kobieta – przestań udawać tę powściągliwą pogardę; nie należy tu robić scen, choćby ze względu na biedną chorą. Proszę zejść do salonu, panie!

Percy skierował się w stronę drzwi, podczas gdy Oliviero szedł obok niego bez cienia skrupułów; po chwili zatrzymał się, zwrócił się do chorej i wyciągnął rękę.

- Niech Bóg cię błogosławi – powiedział po prostu, podczas gdy ona wciąż bełkotała kilka słów; po czym wyszedł na korytarz.

W tym czasie usłyszał dochodzące z pokoju najpierw ciche rozmowy, a potem współczujący ton młodej kobiety; Oliviero pojawił się ponownie, drżąc, z twarzą bladą jak popiół, i bez słowa skinął na księdza, po czym wyprzedził go na schodach.

Cała ta sytuacja wydawała się Percy'emu tak niewiarygodna jak sen, tak bardzo była nieoczekiwana i daleka od zwykłego porządku rzeczy.

Odczuwał straszliwy wstyd z powodu małostkowej postawy, jaką ogólnie przyjął, a jednocześnie czuł, że popełnił nieodwracalną lekkomyślność.

Stało się najgorsze i najlepsze: niczym innym nie mógł się pocieszyć!

Oliviero, pchnął drzwi i nacisnął przycisk elektryczny, wszedł do pokoju, który natychmiast się rozjaśnił, a za nim wszedł Percy, i bez słowa wskazał mu krzesło. Percy usiadł, podczas gdy Oliviero stał przed kominkiem, z rękami w kieszeniach marynarki i wzrokiem niegrzecznie skierowanym w inną stronę.

Percy uważnie przyglądał się różnym przedmiotom w tym pokoju, od sprężystego zielonego dywanu, który miękko uginał się pod stopami, po cienkie jedwabne zasłony, które opadały bez fałd, po pięć lub sześć stolików zastawionych kwiatami i tomami pokrywającymi ściany.

Całe pomieszczenie wypełniał intensywny zapach róż, mimo otwartych okien i nocnej bryzy, która nieustannie poruszała zasłonami.

Wydawało mu się, że znalazł się w damskiej toalecie. Następnie przyjrzał się smukłej i wyprostowanej sylwetce tego mężczyzny, ciemnoszarym ubraniu, niemal podobnym do jego własnego, eleganckiemu łukowi brody, bladej cerze, wąskiemu nosowi, idealistycznie podkreślonym łukom brwi i brązowym włosom; i dostrzegł w tej twarzy poety żywą i energiczną osobowość. Następnie odwróciła wzrok i wstała w chwili, gdy drzwi się otworzyły i weszła Mabel, starannie zamykając je za sobą.

Pobiegła prosto do męża; położyła mu dłoń na ramieniu, mówiąc:

- Słuchaj, Oliviero, musimy porozmawiać... Proszę usiąść, panie!

Cała trójka usiadła; Percy z jednej strony, Oliviero i jego żona na kanapie po przeciwnej stronie.

Młoda kobieta zaczęła:

- „Wyjaśnijmy to od razu, ale bez dramatycznych gestów, rozumiesz, Oliviero? Nie rób scen, ja się tym zajmę!”

Mówiła z niezwykłą radością, a Percy musiał ze zdumieniem przyznać, że nadal mówiła szczerze: w jej słowach nie było śladu sarkazmu.

- – Och, Oliviero – kontynuowała – proszę, nie rób takiej miny; wszystko się ułoży, zostaw to mnie!

Percy zauważył, że Oliviero patrzy na niego krzywo; zauważyła to również Mabel, która nie przestawała spoglądać swoimi płonącymi oczami to na jednego, to na drugiego. Położyła mu dłoń na kolanach i powiedziała:

- No już, Oliviero, dlaczego tak patrzysz na tego pana? Przecież on nic złego nie zrobił!

- Nic złego!... – wykrzyknął ten drugi.

- Nie, nie zrobił nic złego; jakie znaczenie ma dla nas to, co myśli i wierzy o tej biednej dziewczynie? ... Ale proszę, panie, powiedz, dlaczego tu przyszedłeś!

Percy znów westchnął; nie spodziewał się takich słów.

- Przyszedłem, aby ponownie przyjąć panią Brand do Kościoła katolickiego.

- I udało się?

- Tak, proszę pani!...

- Pana imię! Panie, wydaje mi się, że najlepiej zacząć od tego. Percy najpierw się zawahał, ale potem postanowił zmierzyć się z nią na jej własnym terenie.

- Och! Oczywiście! Nazywam się Franklin.

- Ojcie Franklin? – zapytała młoda kobieta, podkreślając to ostatnie słowo z lekką nutką ironii.

- Tak, ojciec Percy Franklin z arcybiskupstwa w Westminsterze – odpowiedział spokojnie ksiądz.

- No cóż, ojcie Franklin, proszę nam powiedzieć, dlaczego tu pan przyszedł, to znaczy, proszę nam powiedzieć, kto pana wezwał.

- Zadzwoiła do mnie pani Brand.

- Ale za pośrednictwem kogo?

- Nie mogę tego powiedzieć!

- Ach!... nic strasznego... A czy możemy dowiedzieć się, co zyskuje człowiek, gdy zostaje przyjęty do Kościoła?

- Przyjęty do Kościoła, jego dusza godzi się z Bogiem.

- No cóż!... (Oliviero, uspokój się). A ty, ojcie Franklinie, jak to zrobiłeś? Percy zerwał się gwałtownie.

- To bez sensu, proszę pani!... Po co te pytania?

Młoda kobieta patrzyła na niego z oczami pełnymi zdumienia, wciąż trzymając dłoń na kolanach Oliviero.

- Po co... Ojcie Franklinie, ale my chcemy być poinformowani; czyżby w Kościele istniało jakieś prawo, które zabrania jej mówić! Mam rację? Percy znów się zawahał; nie potrafił zrozumieć, do czego ona zmierzała tymi słowami; ale uznając, że lepiej zachować zimną krew, usiadł ponownie i odpowiedział:

- Och! Nie, oczywiście; żadnego prawa! I będę mówił, skoro tak pani pragnie. Spowiedziałem panią Brand i udzieliłem jej rozgrzeszenia.

- W porządku!... A jaki to ma skutek? A potem?

- Powinna otrzymać Komunię Świętą i namaszczenie chorych, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie śmierci.

Oliviero zaczął się wiercić.

- Chryste!... – powiedział cicho.

- – Oliviero – zawołała młoda dziewczyna – proszę, pozwól mi się tym zająć, tak będzie lepiej!...

- A więc, ojcie Franklin, pragnie pan również podarować te inne rzeczy mojej matce, prawda?

- Nie są one absolutnie konieczne – odpowiedział ksiądz, przekonany, choć nie wiedząc dlaczego, że gra już przegraną partię.

- Ach! Nie są konieczne?... Ale czy chętnie by je jej pan dał?...

- Gdybym tylko mógł! Ale to, co konieczne, zostało już zrobione.

Włożył w to całą swoją dobrą wolę, by zachować spokój; wydawało mu się, że jest podobny do wojownika, który uzbrojony w miecz zмага się z wrogiem subtelnym jak mgła. Nie miał nawet najdalszego pojęcia, jak to się skończy; kto wie, co by dał, byleby ten mężczyzna nie wstał i nie rzucił się mu do gardła, byleby ta młoda dziewczyna przestała sprawiać im obojgu tak wielki ból!

- – No dobrze! – dodała cicho Mabel – ale nie ma co liczyć, że mój mąż pozwoli jej tu wrócić; ja jednak bardzo się cieszę, że postąpiła tak, jak uznała za konieczne. To z pewnością będzie satysfakcją zarówno dla pana, ojcie Franklinie, jak i dla tej biednej dziewczyny, która jest na górze...

a my – i tu ścisnęła kolana Oliviero – my nawet o tym nie myślimy!... Ale jeszcze jedna rzecz!...

- Jak pan sobie życzy – powiedział Percy, zdziwiony tym, co się działo.

- Wy, chrześcijanie – proszę wybaczyć mi moje dosadne słowa – wy, chrześcijanie, macie reputację liczenia głów i przywiązywania wielkiej wagi do nawróceń; cóż, będziemy wam wdzięczni, ojcze Franklinie, jeśli dasz nam słowo, że nie opowiesz o tym... incydencie; to zasmuciłoby mojego męża i mogłoby nawet przysporzyć mu kłopotów.

- Ale, proszę pani... – wtrącił ksiądz.

- Chwileczkę! Widzi pani, jak ją potraktowaliśmy: nie użyliśmy przemocy; obiecujemy też, że nie będziemy robić scen przy mojej matce. Czy pani z kolei obiecuje to, o co prosiliśmy?

Percy, mając już czas na zastanowienie się, odpowiedział natychmiast:

- Oczywiście, że obiecuję!

Mabel westchnęła z zadowoleniem:

- W porządku! Jesteśmy wam wdzięczni, ojcze Franklinie... i myślę, że mogę wam również powiedzieć, że być może, po przemyśleniu sprawy... mój mąż zgodzi się, abyście powrócił tutaj, aby udzielić komunii, a potem... tej drugiej rzeczy.

Obok niej Oliviero znów zaczął się denerwować.

- Cóż!... w każdym razie – kontynuowała Mabel – to będzie nasza sprawa.

Znamy pański adres i poinformujemy pana... A propos, ojcze Franklin, wraca pan dziś wieczorem do Westminsteru?

Skinął głową, że tak.

- Ach! Miejmy nadzieję, że uda się panu przedrzeć; Londyn jest w kompletnym chaosie; może pan wie...

- Felsemburg? – zapytał Percy.

- – Tak, Giuliano Felsemburgh – kontynuowała spokojnym tonem młoda kobieta, a w jej oczach nagle pojawiło się niezwykle wzruszenie. – Giuliano Felsemburgh jest tutaj, jak dobrze pan wie, i pozostanie w Anglii przez jakiś czas.

Percy ponownie poczuł lekki strach na samą wzmiankę tego imienia.

Następnie dodał:

- Wygląda na to, że mamy pokój.

Mabel i Oliviero wstali.

- Tak – potwierdziła młoda kobieta, jakby z politowaniem – mamy pokój, pokój po tak długim czasie!

Podeszła nieco bliżej do Percy'ego z twarzą rozpaloną niczym ognista róża i wyciągając rękę, kontynuowała:

- Wróć do Londynu, ojcze Franklinie, i miej oczy szeroko otwarte. Sam zobaczysz, mam nadzieję, a potem wiele innych rzeczy. (W tym momencie drżał jej głos). Wtedy zrozumiesz, dlaczego tak cię potraktowaliśmy, dlaczego już się ciebie nie boimy i dlaczego pozwalamy naszej matce robić, co chce. Och! Zrozumie pan to, ojcze Franklinie, jeśli nie dziś w nocy, to jutro; jeśli nie jutro, to przynajmniej za kilka dni!

- Mabel!... – wykrzyknął Oliviero.

Młoda kobieta odwróciła się do niego, objęła go i pocałowała w usta.

- Och, Oliviero!... moja miłości, dlaczego miałabym się krępować? Proszę odejść i zobaczyć to na własne oczy! Dobranoc, ojcze Franklin!...

Gdy dotarł do drzwi, rozległo się dzwonięcie dzwonka, które sprawiło, że Percy odwrócił się, zaskoczony i oszołomiony, podczas gdy ta dwójka stała w tym delikatnym świetle, jakby przemieniona. Mabel, z ramieniem na ramieniu Oliviero, górowała nad nim, promienna jak płonąca kolumna, a na twarzy mężczyzny nie widać było już gniewu, lecz nadludzką śmiałość i dumę. Oboje się uśmiechali.

W końcu Percy wyszedł w spokojną letnią noc.

II.

Percy, siedząc w zatłoczonym pociągu, który miał go zabrać z powrotem do Londynu, czuł jedynie własny strach. Do jego uszu docierało niewiele lub nic z głośnej i nieustannej rozmowy toczącej się wokół niego, a to, co do niego docierało, nie interesowało go. Zrozumiał jedynie, że wydarzyły się podobne rzeczy, że Londyn nagle ogarnęło szaleństwo i że Felsemburgh przemawiał tej nocy w świątyni św. Pawła. Odczuwał strach, myśląc o tym, jak potraktowali go państwo Brand, i nieustannie zadawał sobie naiwnie pytanie, co mogło być przyczyną takiego traktowania. Wydawało mu się, że stoi przed faktem, którego nie potrafił w naturalny sposób wyjaśnić. Poczul lekki dreszcz i oznaki nieodpartej senności.

Było to dla niego co najmniej dziwne, znaleźć się w zatłoczonym wagonie o drugiej w nocy w letni dzień. Pociąg zatrzymał się trzy razy, a on ze zdumieniem przyglądał się śladom chaosu rozsianym wszędzie: postaciami mężczyzn, którzy w półmroku przebiegali przez tory, przewróconymi wagonami, zwitkami smołowanego płótna; i bezmyślnie nasłuchiwał krzyków i zgiełku, który unosił się ze wszystkich stron.

W końcu zszedł na plac i zastał go mniej więcej w takim samym stanie jak dwie godziny wcześniej: ten sam desperacki tłok, gdy pociąg wyładowywał swój ładunek, to samo zwłoki pod siedzeniem; a przede wszystkim, gdy biegł, porwany przez tłum, ledwo zdając sobie sprawę, czy biegnie i dlaczego, wysoko w górze płonęła ta wspaniała wiadomość pod zegarem. Znalazł się następnie w windzie, a minutę później był już na schodach za stacją.

Również stąd rozciągał się czarujący widok. Wysoko płonęły lampy, ale nad nimi pojawiały się pierwsze promienie świtu. Ulica prowadząca do starego Pałacu Królewskiego, łącząca się niczym w centrum ogromnej pajęczyny z tymi, które biegły z Westminsteru, z Młotem i z Hyde Parkiem, wyglądała jak solidna posadzka z ludzkich głów. Wszędzie, gdzie stały hotele i domy rozrywki, okna były oświetlone jak na uroczystość, jakby na przybycie króla, podczas gdy w górę, ku niebu, wznosił się ten wspaniały pałac, otoczony światłami i lśniący od środka jak wszystkie inne domy w pobliżu. Panował oszałamiający zgiełk. Nie dało się odróżnić jednego dźwięku od drugiego: ludzkie głosy, rogi, bębny, tupot tysięcy stóp na gumowej podłodze, ponure zgrzytanie kół z pobliskiej stacji,

wszystko to mieszało się w potężnym i przytłaczającym huku, na który nakładały się nieco wyższe tony. Nie dało się ruszyć!

Percy znalazł się w dość korzystnej pozycji: dokładnie na szczycie szerokich schodów prowadzących na dziedziniec starej stacji, gdzie była bardzo duża wolna przestrzeń, łącząca się po lewej stronie z szerokim bulwarem prowadzącym do Pałacu, a po prawej z Via Vittoria, która, podobnie jak wszystkie inne, wyglądała jak ożywiony obraz światła i twarzy. Po prawej stronie wznosił się ku niebu oświetlony szczyt dzwonnicy katedry, przypominający wizję czegoś znanego z innego życia. Automatycznie zrobił krok lub dwa w lewo, aż udało mu się złapać filar; następnie zaczął czekać, starając się nie analizować swoich emocji, ale wczuć się w nie.

Stopniowo jego zdolności parapsychiczne przedstawiły mu ten tłum jako widok znany mu już wcześniej, jako posiadający własną, wspólną życie. W powietrzu czuł magnetyzm; wydawało mu się, że odczuwa akt tworzenia w trakcie jego przebiegu, w którym tysiące pojedynczych komórek łączą się w coraz doskonalszy sposób w wielką, żywą całość, obdarzoną jedną wolą, jednym uczuciem, jednym obliczem.

Zgiełk tych głosów wydawał mu się mieć znaczenie jedynie jako przejaw tej twórczej mocy, która w ten sposób objawiała się. Tam leżała ta gigantyczna ludzkość, rozkładając przed jego oczami swoje żywe członki, tak by była widoczna ze wszystkich stron, czekając na swoje zjednoczenie...

rozprzestrzeniając się wciąż dalej, jak mu się wydawało w jego rozbitym umyśle, wzdłuż wszystkich arterii rozległej metropolii. Nawet nie zastanawiał się, na co czekają ci wszyscy ludzie: wiedział to, a jednak nie wiedział! Wiedział, że czekają na pewnego rodzaju objawienie, na coś, co uwieńczy ich aspiracje, ustalając raz na zawsze ich cel.

Był przekonany, że widział to już kiedyś i, niczym dziecko, zaczął się zastanawiać, gdzie; aż przypomniał sobie, że widział to we śnie, w dniu sądu ostatecznego... ludzkość zgromadzona przed Jezusem Chrystusem... Jezus Chrystus!... Och! jakże teraz ta postać się zmniejszała!... i jak się oddalała!... prawdziwa, owszem, ale dla niego nieistotna i jakby beznadziejnie odseparowana od tego strasznego życia! Spojrzał na dzwonnice: tam na górze znajdował się fragment prawdziwego Krzyża, na pewno! mały kawałek drewna, na którym dwadzieścia wieków temu zginął ubogi Człowiek... Cóż! był zbyt odległy!... Nie rozumiał już nic z tego, co działo się w nim. Och! Słodki Jezu! Nie bądź mi Sędzią, ale Zbawicielem! szepnął cichym głosem, ściskając granit filaru; ale chwilę później zdał sobie sprawę, jak daremna była

ta modlitwa: znikąca jak powiew wiatru w tej ludzkiej atmosferze intensywnego życia! Tego ranka odprawił mszę w białych szatach... na pewno!... i wtedy wierzył... desperacko, ale szczerze; a teraz....

Patrzenie w przyszłość było równie bezcelowe, jak patrzenie w przeszłość; nie było ani przyszłości, ani teraźniejszości, ale tylko jedna wieczna chwila, teraźniejsza i ostateczna... Wtedy przestał się tak napinać i zaczął patrzeć własnymi, fizycznymi oczami.

Na niebie pojawiała się zorza poranna o jednolitym, bladym blasku, który, choć pochodził od królewskiego ciała niebieskiego, wydawał się niczym w porównaniu z olśniewającym światłem ulic. „*Nie potrzebujemy słońca*” – wymamrotał ze smutnym uśmiechem – „*ani słońca, ani światła świecy, mamy nasze światło na ziemi... światło, które oświeca każdego człowieka*”. Dzwonnica wydawała się coraz bardziej odległa w upiornym blasku tej zorzy polarnej i z chwili na chwilę coraz bardziej opuszczona w obliczu żywego blasku ulic.

Percy nadstawił więc uszu i wydawało mu się, że z odległego punktu na wschodzie zapadła cisza; niecierpliwie potrząsnął głową, podczas gdy mężczyzna za nim mówił szybko i chaotycznie. Dlaczego ten człowiek nie milczał? Dlaczego uniemożliwiał mu wsłuchanie się w tę ciszę? Wtedy mężczyzna natychmiast zamilkł, a Percy usłyszał w pobliżu szmer łagodny jak przypływ letniej fali, unoszący się w jego stronę, unoszący się wokół niego, uderzający w jego uszy. Ale to nie był już głos człowieka, stał się jękiem giganta: on sam również wydał krzyk; nie wiedział, co mówi, ale nie mógł milczeć. Czuł, jak jego żyły i nerwy płoną od upojenia, a gdy patrzył ze zdumieniem na długą drogę, słysząc ogromny zgiełk, który wychodząc od niego, unosił się w kierunku pałacu, zrozumiał, dlaczego krzyknął i dlaczego teraz milczał.

Smukły obiekt w kształcie ryby, biały jak mleko, fantastyczny jak cień, piękny jak zorza, migotał na odległość pół mili; i wirując, zbliżał się do niego, wydając się unosić nad falami tej ciszy, którą tworzył jego widok; i w górę... w górę... z rozpostartymi skrzydłami nad szerokimi zakrętami ulicy, utrzymując się około dziesięciu metrów nad tłumem. Był to wspaniały widok, przed którym wszyscy milczeli. Kiedy Percy odzyskał zdolność refleksji (ponieważ jego wola była zdolna do wysiłku tak samo, jak zegar do oscylacji), ten dziwny, biały obiekt zbliżył się. Przyznał przed

, że widział już sto takich obiektów, a jednocześnie, że ten różnił się od wszystkich.

W międzyczasie obiekt zbliżał się coraz bardziej, sunąc powoli niczym alcyon nad wodami morza; Percy mógł wówczas dostrzec wygładzony dziób, niską balustradę, nieruchomą głowę sternika i usłyszeć łagodny szum śruby... w końcu ujrzał to, co zmusiło go do czekania.

W centrum statku wznosiło się obszerne, pokryte białym materiałem siedzisko, z kilkoma widocznymi insygniami z tyłu; a na nim samotnie i nieruchomo górowała postać mężczyzny. Pojawił się bez żadnego znaku; jego ciemny strój wyraźnie wyróżniał się na tle tej bieli. Trzymał głowę wyprostowaną, nieustannie delikatnie zwracając ją to w jedną, to w drugą stronę.

W głębokiej ciszy statek zbliżał się coraz bardziej; mężczyzna nadal poruszał głową; i przez chwilę ta twarz ukazała się w pełni w białym, promiennym świetle: twarz blada, o wyrazistych rysach, młoda z wyglądu, z czarnymi, mocno wygiętymi brwiami, wąskimi ustami i białymi włosami.

Twarcz ta odwróciła się ponownie; sternik skinął głową, a cudowny statek, wykonując krótki zwrot, minął róg ulicy i skierował się w górę, w stronę pałacu. W pewnym momencie rozległ się konwulsyjny jęk, pełen udreki krzyk; potem z tłumu ponownie wybuchło ryczenie przypominające burzę.

KSIĘGA DRUGA STARCIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY I.

Następnego wieczoru Oliviero Brand, siedząc przy stoliku, czytał artykuł wstępny z ostatniego wydania „*Nuovo Popolo*”:

«Mieliśmy czas, by nieco otrząsnąć się z emocji minionej nocy; jednak zanim zaczniemy snuć prognozy, warto przypomnieć sobie fakty. Jeszcze wczoraj wieczorem nie opuszczał nas niepokój związany z kryzysem na Wschodzie; a punktualnie o godz. 21:00 tylko czterdzieści osób w Londynie, a mianowicie delegaci brytyjscy, wiedziało na pewno, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. W ciągu następnego pół godziny rząd podjął odpowiednie kroki: przekazał wiadomość pewnej liczbie zaufanych osób, wezwał policję wraz z pół tuzinem pułków żołnierzy w celu utrzymania porządku, kazał oświetlić świątynię św. Pawła, powiadomił przedsiębiorstwa kolejowe, a dokładnie o godz. 21.30, za pomocą tablic elektronicznych, ogłoszono oficjalną informację o zdarzeniu we wszystkich dzielnicach Londynu i we wszystkich dużych miastach prowincji.

„Brakuje nam miejsca na szczegółowy opis tego, w jaki wspaniały sposób władze publiczne wywiązały się ze swojego zadania: wystarczy powiedzieć, że w całym Londynie odnotowano zaledwie 60 przypadków zgonów. Zresztą nie do nas należy ocenianie rządu za sposób, w jaki ogłosił tę uroczystą wiadomość.

O godz. 22:00 świątynia św. Pawła była dosłownie wypełniona: starożytny chór został zarezerwowany dla członków parlamentu i urzędników państwowych; galerie kopuły dla pań, a pozostała część świątyni była ogólnodostępna. Policja uliczna informuje nas teraz, że w promieniu mili od świątyni św. Pawła we wszystkich kierunkach ulice były zablokowane przez pieszych, a dwie godziny później, jak dobrze wiemy, wszystkie ulice Londynu znajdowały się w takim samym stanie.

„Wybór Oliviero na pierwszego mówcę był znakomity. Jego ramię było nadal zabandażowane, a uwaga, jaką przyciągał, oraz poruszający ton jego słów stanowiły podstawowy akcent całego wieczoru. W innej kolumnie zamieszczamy jego przemówienie. Jeden po drugim premier, pan Snowford, minister marynarki wojennej, sekretarz ds. spraw wschodnich oraz lord Pemberton wygłosili krótkie

słowa potwierdzające tę niezwykłą wiadomość. Kwadrans przed dwudziestą trzecią głośnie okrzyki radości zwiastowały na zewnątrz przybycie delegatów amerykańskich z Paryża, którzy jeden po drugim schodzili na podium przez południowe drzwi starego chóru. Oni również przemawiali po kolei. Nie da się oceniać przemówień wygłoszonych w tak wyjątkowych chwilach, ale być może nie będzie nieprzyjemnością wspomnieć tutaj o panu Markam jako o mówcy, który przyciągnął największą uwagę wszystkich, którzy mieli szczęście go słuchać. To właśnie on podkreślił to, co inni jedynie zasugerowali, a mianowicie, że sukces amerykańskiej mediacji zawdzięczamy wyłącznie panu Giuliano Felsemburghowi. Pan Felsemburgh jeszcze nie przybył, ale w odpowiedzi na lawinę pytań pan Markam ogłosił, że ten dżentelmen może pojawić się tutaj za kilka minut. Następnie opisał, na tyle, na ile to możliwe w kilku słowach, sposób postępowania, dzięki któremu udało mu się dokonać tego, co prawdopodobnie należy uznać za najwspanialsze osiągnięcie w historii. Z jego słów wynika, że pan Felsemburgh (którego biografię, w znanej nam wersji, zamieszczamy w innej kolumnie) jest być może największym mówcą, jakiego świat kiedykolwiek znał; używamy tego określenia z pełną świadomością! Zna każdy język; w ciągu ośmiu miesięcy trwania Konwencji Wschodniej wygłosił przemówienia w co najmniej 15 różnych językach. Musimy tutaj podać kilka szczegółów dotyczących charakteru jego elokwencji. Jak powiedział pan Markam, wykazał się on najbardziej zaskakującą znajomością nie tylko natury ludzkiej, ale także każdej szczególnej cechy, w której przejawia się boskość. Okazał się głębokim znawcą historii, uprzedzeń, obaw, nadziei i oczekiwań wszystkich niezliczonych sekt i kast Wschodu, do których musiał kierować swoje słowa. W rzeczywistości, jak zauważył pan Markam, jest on pierwszym prawdziwie doskonałym mówcą tego nowego, kosmopolitycznego tworu, nad którym świat pracował przez całą swoją historię. W co najmniej 9 miastach (Damaszku, Irkucku, Konstantynopolu, Kalkucie, Bellares, Nankinie) tłum muzułmanów witał go jako Mesjasza. W końcu w Ameryce, skąd wywodzi się ta niezwykła postać, nie było osoby, która by o nim źle mówiła. Nie popełnił tych przestępczych czynów – nikt nie może go oskarżyć o grzech – z żółtej prasy, korupcji, intryg handlowych i politycznych, które splamiły życie wszystkich mężów stanu z dawnych czasów, którzy uczynili z kontynentu brata to, czym jest on obecnie

*. Ale Felsemburgh nie tworzy partii: to on wygrał, a nie jego zwolennicy.
„Ci, którzy byli obecni w świątyni św. Pawła, nie będą mieli nam za złe, jeśli powiemy, że wrażenie, jakie wywarły te słowa, było nie do opisania.
„Gdy pan Markam skończył, nastąpiła chwila ciszy; następnie, aby uspokoić ponownie narastające poruszenie, organista zagrał pierwsze akordy Hymnu Masońskiego: do organów natychmiast dołączył śpiew, tak że nie tylko budynek rozbrzmiewał wewnątrz, ale także na zewnątrz lud oddawał echo; i miasto Londyn wydawało się przez kilka minut stać się żywą Świątynią Pana.
„W międzyczasie dotarliśmy do najbardziej drażliwej części naszego zadania: musimy przyznać, że rezygnujemy z jakiegokolwiek szczegółowego opisu z dziennikarskiego punktu widzenia: wielkie rzeczy nie potrzebują wielu słów.
„Właśnie kończył się czwarty wers hymnu, gdy zauważono mężczyznę ubranego skromnie na czarno, wchodzącego po schodach na podium. W tej chwili nikt nie zwrócił na to uwagi, ale wśród delegatów pojawiło się nagle poruszenie, śpiew zaczął cichnąć, a potem całkowicie ucichł, gdy mężczyzna, po lekkim ukłonie w prawo i w lewo, wszedł na ostatnie stopnie podium. Wtedy miało miejsce dziwne zdarzenie: organista niczego nie zauważył i grał dalej, podczas gdy z tłumu wydobyło się coś w rodzaju jęku, który wkrótce ucichł. Nie nastąpiły oklaski, ale przez krótką chwilę nad tłumem zapanowała najgłębsza cisza, która dzięki dziwnemu magnetyzmowi przeniosła się na tych, którzy zgromadzili się na zewnątrz, a kiedy pan Felsemburgh wypowiedział pierwsze słowo, wydawało się, że panuje tam sama cisza. Wyjaśnienie tego zjawiska należy do psychologów.
„O jego przemówieniu niewiele możemy powiedzieć: z tego, co udało nam się zauważyć, żaden z reporterów nie robił w tym momencie notatek. Powiemy tylko, że jego słowa, wypowiedziane w esperanto, były proste i krótkie; ograniczały się do ogłoszenia wielkiego Powszechnego Braterstwa oraz do pogratulowania wszystkim tym, którzy mogli żyć tak długo, by być świadkami jego spełnienia w historii; a na koniec do oddania hołdu Duchowi Świata! który właśnie objawił swoje wcielenie.
„Tyle możemy powiedzieć; ale brakuje nam słów, by opisać wrażenie, jakie wywarła na nas ta osobowość, która stała przed nami.*

„Na pozór jest to mężczyzna w wieku 33 lat, bez brody, wysokiego wzrostu, o siwych włosach, czarnych oczach i brwiach. Stał nieruchomo, opierając dłonie na poręczy; wykonał tylko jeden gest, wydobywając łkanie z każdej piersi, i przemówił cicho, wyraźnie i czystym głosem.

Kiedy skończył, pozostał przez chwilę w oczekiwaniu.

Odpowiedzią był jęk, który rozbrzmiał w uszach zgromadzonych jak pierwszy swobodny oddech wydany przez świat, po którym znów nastąpiła ta wstrząsająca cisza; wielu płakało w milczeniu, inni poruszali ustami, nie wypowiadając ani słowa, wszystkie twarze były zwrócone ku tej prostej postaci, jakby nadzieja każdej duszy była w niej złożona. W ten sam sposób, jeśli mamy w to wierzyć, dwadzieścia wieków temu oczy tak wielu zwróciły się ku człowiekowi znanemu w historii pod imieniem Jezus z Nazaretu.

„Pan Felsemburgh poczekał jeszcze chwilę, po czym zszedł po schodach, przeszedł przez scenę i wyszedł z sali.

„O tym, co działo się na zewnątrz, otrzymaliśmy od naocznego świadka następujące szczegóły: latająca biała postać, tak dobrze znana już wszystkim, którzy byli w Londynie poprzedniej nocy, zatrzymała się przed małą południową bramą od strony dawnego chóru, utrzymując się na wysokości około 20 stóp nad ziemią. W ciągu kilku chwil tłum zorientował się, kim była postać, która przybyła na tym latającym statku; a gdy ponownie pojawił się Felsemburgh, na Cmentarzu Temple rozległ się ten dziwny jęk, po którym znów zapadła cisza. Latający statek opadł, a gdy pan wsiadł na pokład, uniósł się na wysokość 20 stóp. Początkowo ludzie oczekiwali przemowy, ale nie była ona konieczna i po krótkim postoju statek powietrzny rozpoczął tę oszałamiającą podróż, której Londyn nigdy nie zapomni. Cztery razy Felsemburgh okrążył wielką metropolię tej nocy, nie wypowiadając ani słowa, wszędzie wywołując przy swoim przejściu przed sobą i za sobą ogromny jęk, po którym następowała cisza.

„Dwie godziny po wschodzie słońca biały statek przeleciał nad Hampstead, a następnie zniknął na północy; i od tamtej pory ten, którego z całą pewnością możemy nazwać Zbawicielem Świata, nie został już nigdy więcej widziany.

„A co nam teraz pozostaje do powiedzenia?

„Każdy komentarz byłby zbędny. Wystarczy powiedzieć tylko tyle: rozpoczęła się nowa era, na którą próżno czekali prorocy i królowie, cierpiący i umierający, udręczeni i uciskani; nie chodzi tylko o rywalizację między państwami (które przestały istnieć), ale nawet o niezgody i spory

wewnętrzne. O Tym, który był zwiastunem tej nowej epoki, nie możemy powiedzieć nic więcej: czas pokaże, co jeszcze pozostało Mu do zrobienia. „Oto zatem to, co już dokonał: żółte zagrożenie zostało na zawsze zażegnane; zarówno fanatyczni barbarzyńcy, jak i cywilizowane narody rozumieją już, że królestwo wojny dobiegło końca. «Nie pokój, ale miecz» – powiedział Chrystus; i jakże gorzko prawdziwe były Jego słowa! „Nie miecz, ale pokój” – mogą wreszcie powtórzyć wszyscy, którzy zrezygnowali z postulatów Chrystusa lub nigdy ich nie przyjęli. Zasady miłości i solidarności, nieśmiało głoszone w ostatnim stuleciu na Zachodzie, znalazły dobry oddźwięk na Wschodzie; nie będzie się już odwoływać do broni, ale do sprawiedliwości; nie będziemy też już zwracać się do Boga, który pozostaje w ukryciu, ale do człowieka, który w końcu poznał swoją boskość. To, co nadprzyrodzone, w ostatecznym rozrachunku umarło: a raczej wiemy, że nigdy nie żyło. Pozostaje nam tylko wprowadzić w życie tę nową lekcję i poddać każdą myśl, słowo i czyn sądowi Miłości i Sprawiedliwości. To będzie bez wątpienia zadaniem nadchodzących lat. – Każdy kodeks musi zostać zniszczony, każda bariera obalona; partie muszą się zjednoczyć, kraje z krajami, kontynenty z kontynentami. Nie będzie już strachu przed strachem, lęku przed przyszłością, który paraliżował działalność poprzednich pokoleń: człowiek wystarczająco długo płakał w bólach swojego narodzin, jego krew rozlała się jak woda przez jego własne szaleństwa! W końcu nadszedł dzień, w którym mógł osiągnąć pokój, ponieważ zrozumiał samego siebie. „Mamy zatem nadzieję, że Anglia nie pozostanie w tyle za żadnym innym narodem w tym dziele reform; i że jej izolacja, duma rasowa czy upojenie władzą nie powstrzymają jej przed tym wielkim dziełem. Odpowiedzialność jest wielka, ale zwycięstwo jest pewne. „Kroczy więc spokojnie, zjednoczeni świadomością naszych przeszłych błędów, ufni w przyszły sukces, ku nagrodzie, która wreszcie jest w zasięgu wzroku... nagrodzie tak długo ukrywanej przez ludzki egoizm, religijny mrok i tysiące bezowocnych sporów słownych... nagroda obiecana przez człowieka, który nie wiedział, co mówi, i zaprzeczał temu, co twierdził: «Błogosławieni cisi, pokojni, miłosierni, albowiem oni odziedziczą ziemię, będą nazwani synami Bożymi i znajdą miłosierdzie».

Oliviero, blady na twarzy, podczas gdy jego żona klękała obok niego, przewrócił stronę i przeczytał kolejny krótki akapit zatytułowany:

„Najnowsze wiadomości”:

„*Rozumie się, że rząd pozostaje w kontakcie z panem Felsemburghiem*”.

- Ach!... co za gazetowa paplanina! – wykrzyknął Oliviero, opadając w fotelu – To jak z farsy!... Niech to sobie idzie, ale... fakt! ..

Mabel wstała i usiadła przy oknie, próbowała raz czy dwa coś powiedzieć, ale brakowało jej słów.

- Kochanie, nic nie powiesz?

Spojrzała na niego przez chwilę, ogarnięta drżeniem, po czym odpowiedziała:

- Co mam powiedzieć? Każdy komentarz jest zbędny; czyż nie przeczytałaś tego właśnie?

- Posłuchaj, Mabel, ale czy to wszystko nie wygląda jak sen?

- Sen? Gdyby tylko były takie piękne sny!

Wstała ponownie, wzruszona, pochyliła się przed narzeczonym i uścisnęła mu dłoń.

- Nie, kochany, to nie jest sen; to jest to, co może być najbardziej realne!

Ja też tam byłam, pamiętasz? Czekaleś na mnie, kiedy wszystko dobrze się skończyło na konferencji... i pojawił się On... i widzieliśmy Go razem, ty i ja... Słyszeliśmy Go, ty ze sceny, a ja z galerii; i wśród tłumu widzieliśmy Go jeszcze, jak przelatuje nad nabrzeżem. Potem wróciliśmy do domu i zastaliśmy tam księdza.

Jej twarz zdawała się zmieniać, gdy mówiła, jakby miała przed sobą niebiańską wizję; a teraz mówiła cicho, bez cienia wzburzenia czy zdenerwowania.

Oliviero wpatrywał się w nią przez chwilę; potem pochylił się i pocałował ją czule.

- Tak, to prawda, moja radości! Ale chcę to usłyszeć raz, a potem powtórz to jeszcze raz: kogo widziałaś?

- Widziałam Syna Człowieczego. Zbawiciela świata, jak pisze twoja gazeta: nie ma innych imion, które by mu pasowały. Widzieć Go oczami i czuć w sercu było dla mnie jednym i tym samym, tak jak dla wszystkich, kiedy pojawił się na trybunie. Miał aureolę wokół czoła. Wtedy wszystko zrozumiałam; Ten, na którego tak długo czekaliśmy, przyszedł, niosąc pokój i dobrą wolę w swoich rękach; a kiedy przemówił, znów się przekonałam. Jego głos był podobny do szumu fal morskich... tak prosty... tak łagodny... tak... niesamowity; słyszałaś go?

Oliviero skinął głową.

- Mogę Mu zaufać we wszystkim – kontynuowała cicho młoda dziewczyna. – Nie wiem, skąd On pochodzi, ani kiedy powróci, ani co uczyni. Wielkie

Rzeczy, jak sędzę, którymi będzie musiał się zająć, zanim zostanie w pełni poznany: ustawy, reformy... o tym pomyślcie wy. My tymczasem nie możemy nic innego zrobić, jak tylko czekać, kochać i żyć szczęśliwie.

Oliviero skinął głową, patrząc jej w twarz.

- Mabel... kochana...

- Tak... wiedziałam o tym wszystkim już wczoraj w nocy, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do dzisiejszego ranka, kiedy to, zaraz po przebudzeniu, przypomniało mi się to. Całą noc śniłam o Nim. Oliviero, gdzie On teraz jest?

On potrząsnął głową.

- Wiem, gdzie On jest, ale to tajemnica... Mabel od razu zrozumiała i wstała.

- Tak, nie powinnam była zadawać ci tego pytania chętnie poczekamy, resztę.

Minęła minuta lub dwie w ciszy; potem Oliviero powiedział:

- Gioia, moja droga, co miałaś na myśli, mówiąc, że On nie jest w pełni poznany?

- Oto: na razie wiemy, co uczynił, ale nie wiemy, kim jest; jednak z upływem czasu dowiemy się również tego.

- A teraz...

- A teraz do dzieła, wy wszyscy! Reszta przyjdzie stopniowo. Och! Oliviero, bądź silny i wierny! Powiedziawszy to, pocałowała go i wyszła.

Oliviero pozostał nieruchomo na krześle, kontemplując, jak to miał w zwyczaju, rozległą panoramę, która rozciągała się przed oknami. Wczoraj o tej porze opuszczał Paryż, dobrze poinformowany o wielkim wydarzeniu, ponieważ delegaci przybyli godzinę wcześniej; ale nie znał jeszcze głównego bohatera. Teraz znał go dobrze... przynajmniej widział go, słyszał, pozostając jak zahipnotyzowany tą żarliwą osobowością. Nie potrafił tego lepiej wyjaśnić samemu sobie, niż potrafiłby to zrobić ktokolwiek inny, z wyjątkiem, być może, Mabel. Jego koledzy, podobnie jak on, byli przerażeni, zdumieni... a jednocześnie poruszeni w głębi duszy. Oni – Snowford, Cartwright, Pemberton i inni – wyszli na schody świątyni św. Pawła, śledząc wzrokiem tę tajemniczą postać, i być może mieli zamiar coś powiedzieć; ale zamilkli przed tym morzem ludzkich twarzy, przed tym jękiem, po którym nastąpiła cisza; i poczuli się porwani przez falę fascynacji, która rozbijała się, rozszerzając się jak coś materialnego, gdy lódź, wzbijając się w powietrze, rozpoczęła swój cudowny manewr.

Oliviero ujrzał go ponownie wraz z Mabel z pokładu łodzi elektrycznej, która zabierała ich do domu. Biała łódź unosiła się w powietrzu ruchem równomiernym i zdecydowanym nad ogromnym tłumem, niosąc Tego, którego nazwano – jeśli ktokolwiek miał do tego prawo – Zbawicielem świata. Gdy on i Mabel dotarli do domu, zastali tam księdza.

Oliviero był pod ogromnym wrażeniem tego spotkania: na pierwszy rzut oka ksiądz ten wydał mu się tym samym mężczyzną, który dwie godziny wcześniej wszedł na trybunę – tak wielkie było podobieństwo w młodszej twarzy i siwych włosach. Mabel, co zrozumiałe, nie dostrzegła tego szczegółu, widząc Felsemburga z pewnej odległości; jednak to wrażenie szybko minęło również u niego.

Jeśli chodzi o matkę, sytuacja była naprawdę przerażająca: gdyby nie interwencja Mabel, kto wie, jak gwałtowna byłaby scena zeszłej nocy! A jak mądrze i rozważnie postąpiła ona! Matkę należało na razie zostawić w spokoju; później, krok po kroku, można było coś podjąć. Później!... Ale to właśnie przyszłość go niepokoiła, a także urzekająca moc tej postaci, pod której panowaniem znalazł się poprzedniej nocy. Wszystko wydawało mu się teraz nieistotne: nawet wyrzeczenie się matki, nawet jej choroba; wszystko bledło w obliczu nowego świtu słońca, którego wcześniej nie widział. Wkrótce miał otrzymać jaśniejsze informacje na temat wydarzeń: posiedzenie plenarne parlamentu miało sformułować propozycje do przedstawienia Felsemburgowi, z zamiarem zaoferowania mu uprzywilejowanej misji.

Tak! Jak powiedziała Mabel, nadszedł dla nich czas, by zabrać się do pracy w celu urzeczywistnienia wielkiej zasady powszechnego braterstwa, zasady nieoczekiwanej ucieleśnionej w tym młodym Amerykaninie o białych włosach.

Ogromne zadanie! Należało zmienić stosunki z zagranicą; handel, polityka, metody rządzenia – wszystko wymagało radykalnej transformacji. Europa była dotychczas zorganizowana wewnętrznie w oparciu o wzajemną obronę; ta podstawa teraz upadała: obrona nie była już potrzebna, ponieważ nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Równie ogromne zadanie czekało na ludzi rządów w innej dziedzinie: należało sporządzić Niebieską Księgę zawierającą pełny raport z negocjacji przeprowadzonych na Wschodzie, wraz z tekstem traktatu, który miał zostać przedstawiony Zgromadzeniu w Paryżu, podpisany przez cesarza Wschodu, królów wasalnych, Republikę Turecką i kontrasygnowany przez

Amerykańscy pełnomocnicy. Wreszcie również polityka wewnętrzna wymagała reformy: dawne tarcia między prawicą, lewicą i centrum straciły rację bytu; teraz istniała tylko jedna partia pod przewodnictwem Proroka. Oliviero ogarnął strach, gdy rozmyślał nad tym rozległym programem, biorąc pod uwagę, że oblicze świata całkowicie się zmieniło i że samo życie na Zachodzie musiało zostać oparte na nowych podstawach. W perspektywie rysowała się zatem rewolucja głębsza niż ta, którą mogłaby przynieść inwazja ze Wschodu; rewolucja ta miała jednak doprowadzić do przejścia z ciemności do światła, z chaosu do ostatecznego porządku. Westchnął głęboko i usiadł, pogrążony w myślach.

Mabel zeszła na dół pół godziny później, ponieważ Oliviero musiał zjeść lunch przed udaniem się do Whitehall.

- – Mama jest spokojniejsza – powiedziała, wchodząc. – Wiesz, Oliviero, trzeba cierpliwości!... A jak postanowiłeś?... Sprowadzić z powrotem tego księdza?

Oliviero potrząsnął głową.

- – Teraz – powiedziała – muszę pomyśleć o tym, co naprawdę mam do zrobienia; o tym zdecyduj ty, kochana! Powierzam to całkowicie tobie.

Mabel zgodziła się.

- Za chwilę porozmawiam z nią ponownie... ponieważ do tej pory niewiele wie o tym, co się wydarzyło.

O której wrócisz do domu?

- Prawdopodobnie nie wcześniej niż jutro rano: będziemy czuwać całą noc.

- Rozumiem. A co mam powiedzieć panu Philippsowi?

- Zadzwoń do niego jutro rano... Mabel, pamiętasz, co ci mówiłam o tym księdzu?

- Że był podobny do tego drugiego?

- Tak!... Co o tym

sądzisz? Mabel

uśmiechnęła się.

- Ja? Nie wiem... dlaczego ci dwoje nie mieliby być do siebie podobni?

Oliviero wziął figę z miski, wziął ją do ust i wstał.

- Nie mówię nic więcej, tylko że to bardzo osobliwy przypadek! Dobranoc więc, moja droga.

II.

- Mamo – powiedziała Mabel, klękając przy łóżku – czy nie rozumiesz, co się stało?

Włożyła w to cały swój wysiłek, by uświadomić starszej pani niezwykłą zmianę, jaka zaszła na świecie, ale bez rezultatu. Uważała, że poinformowanie jej o tym ma ogromne znaczenie, ponieważ byłoby bardzo smutne, gdyby mama zeszła do grobu, nieświadoma tego wielkiego wydarzenia. To było tak, jakby chrześcijanin znalazł się przy łożu śmierci wiernego Żyda wczesnym rankiem po Zmartwychwstaniu; ale chora leżała w łóżku przerażona, ale nieczuła.

- – Posłuchaj mnie jeszcze, mamo – kontynuowała młoda kobieta. – Czy nie rozumie Pani, że wszystko, co obiecał Jezus Chrystus, już się spełniło, choć w innym sensie? Przed chwilą mówiła mi Pani, że pragnie przebaczenia grzechów; cóż, oto jest to przebaczenie: wszyscy je mamy, ponieważ nie istnieje nic takiego jak grzech, istnieje jedynie czyn przestępczy. Pragnęła Pani również Komunii, wierząc, że dzięki niej stanie się Pani uczestniczką samego Boga. Cóż, wszyscy mamy udział w Bogu, właśnie dlatego, że jesteśmy ludźmi! Czy nie widzisz, że chrześcijaństwo jest po prostu sposobem wyrażenia wszystkich tych rzeczy? Mogę przyznać, że kiedyś było jedynym, ale teraz zostało już wyparte przez inny, znacznie lepszy sposób.

Taka jest prawda, przekonaj się o tym, to jest prawda.

Zamilkł na chwilę, zbierając siły, by znieść widok tej zasmuconej twarzy, tych pomarszczonych, zaczerwienionych policzków, tych nagich dłoni, które wykrzywiały się na kocu.

- Proszę pomyśleć, jak upadło chrześcijaństwo, jak podzieliło narody; proszę pomyśleć o jego okrucieństwach: inkwizycja, wojny religijne, rozdzielenie mężów i żon, rodziców i dzieci; a potem nieposłuszeństwo wobec praw państwowych, zdrady... Och! Nie, nie może pani wierzyć, że chrześcijaństwo jest prawdziwe! Czymże byłby taki Bóg? A potem piekło!... ale jak mogłaś wierzyć w piekło? Wyrzucić to z głowy, mamo, taką okropną bzdurę...

przekonaj się, że tego Boga już nie ma – że nigdy nie istniał – i że nigdy nie był niczym innym jak tylko ohydny koszmarem. W końcu znamy prawdę! ...Mamo, pomyśl o wydarzeniu zeszłej nocy; On przyszedł... Człowiek, którego tak bardzo się boisz... mówiłam ci, że jest zupełnie podobny tak spokojny i silny! I jaka cisza wokół Niego! I jaki urok wywarł na szczęściu milionach ludzi, którzy mieli szczęście Go zobaczyć! Zastanów się, ile On uczynił: uleczył wszystkie uporczywe rany;

cały świat dzięki Niemu w końcu cieszy się pokojem; i do ilu cudownych rzeczy stworzył On drogę! Odrzuć, mamó, te stare i mroczne oszustwa, odwagi!... . tak jest!...

- „Ksiądz! Ksiądz!” – wymamrotała w końcu starsza pani.

- Och! Nie, nie! Jaki ksiądz?... On już nic nie może zrobić... a poza tym, on sam dobrze wie, że to wszystko bzdury.

- Ksiądz... ksiądz!... – kontynuowała druga – on może z tobą porozmawiać... on zna odpowiedź!

Jej twarz była wykrzywiona wysiłkiem, a smukłe palce chwyciły koc, splatając się z różańcem.

Mabel podniosła się przestraszona.

- Och! Mamó!... – powiedziała, pochylając się i całując ją – już nic więcej nie powiem. Tylko proszę, zastanów się spokojnie, a przede wszystkim nie bój się, bo nie ma ku temu absolutnie żadnego powodu. Wstała, rzucając jej czułe spojrzenie, i stała tam nieruchomo, ogarnięta uczuciem współczucia i tęsknoty. Ale nie! Teraz to było bez sensu: trzeba było poczekać do następnego dnia!

- Zaraz do niej wrócę, mamó, jak tylko zjem obiad. Och, mamó! Dlaczego tak na mnie patrzysz? Daj mi buziaka!

Nie można zrozumieć, myślała Mabel, jak ktoś może być tak ślepy; ale z drugiej strony, jakim wyznaniem słabości było to ciągle wołanie po księdza! To było śmieszne... to było absurdalne!.. Ona sama czuła się przepełniona niezwykłym spokojem; nawet śmierć jej nie przerażała: czyż śmierć nie była „pogrążona w zwycięstwie”? I porównywała egoistyczny indywidualizm chrześcijanina, który płacze i cofa się przed śmiercią lub idzie jej na spotkanie, traktując ją jako bramę do życia wiecznego, z wolnym altruizmem nowego wierzącego, który dla Ludzkości nie prosi o nic więcej, jak tylko o życie i rozwój, czekając, aż Duch świata objawi się; podczas gdy on, jako pojedyncza jednostka, zadowala się powrotem do zanurzenia się w tym ogromnym zbiorniku energii, z którego czerpał życie.

W tym momencie zniosłaby wszystko, spokojnie spójrzałaby nawet śmierci w twarz i czuła współczucie, myśląc o biednej staruszce, bo było jej bardzo smutno, że śmierć nie przywróciła jej do siebie i do rzeczywistości.

Czuła się jak w wirze spokojnego upojenia; wydawało jej się, że ciężka zasłona zmysłów opadła, odsłaniając przyjemny i rozległy krajobraz, krainę pokoju zawsze oświetloną słońcem, gdzie lew wraz z

barankiem, lampart z kozłem spali razem. Nie było już wojny! Krwawy widmo umarło, a wraz z nim potomstwo wszystkich zła żyjących w jego cieniu: przesady, rywalizacja, lęki, złudzenia. Bożki zostały zniszczone, a legendy przeminęły. Jehowa upadł, śniący Galileusz o dzikich oczach spoczywał w grobie, a królestwo kapłanów dobiegło końca!... Na ich miejsce wyłoniła się potężna, pokojowa postać o niepokonanej mocy i pogodnej czułości... Widział ją Syn Człowieczy, ten, którego nazwał Zbawicielem Świata.

Ten, który nosił teraz te tytuły, nie był już potworem, półbogiem i półczłowiekiem, który rościł sobie prawo do dwóch natur, a nie posiadał ani jednej, ani drugiej; który był kuszony bez pokusy i zwyciężył bez zasługi jak mówili

jego wyznawcy. Teraz na jego miejscu stał Ten, za którym mogła bezpiecznie podążać, Bóg i Człowiek, ale Bóg, ponieważ był człowiekiem, a Człowiek, ponieważ był boski.

Mabel nie odezwała się ani słowem tego wieczoru. Wróciwszy do pokoju na kilka minut, zobaczyła śpiącą mamę. Trzymała dłoń na kołdrze, a palce splecione w tę głupią koronę z ziaren. Podeszła powoli w półmroku i próbowała ją jej odebrać, ale pomarszczone palce wykrzywiły się i zacisnęły, a z półotwartych ust wydobyło się ciche westchnienie.

Jaka to nieszczęśliwa sytuacja! Jaka rozpacz! – myślała młoda dziewczyna – że dusza musi kroczyć w takiej ciemności, niechętna do tego niezwykle hojnego poświęcenia, jakim jest porzucenie życia na zawsze, jakby to było ofiarą, której samo życie wymaga!

Następnie udała się do swojego pokoju.

Była trzecia w nocy, a szary świt odbijał się nad doliną, kiedy Mabel się obudziła, dostrzegając przy łóżku kobietę czuwającą przy chorej staruszce. - „Proszę natychmiast przyjść” – powiedział do niej – „pani Brand umiera”.

III.

Gdy tylko dotarł do domu około szóstej rano, Oliviero pobiegł prosto do pokoju matki, by stwierdzić, że wszystko już się skończyło.

Światło i czyste powietrze nowego dnia wypełniały pokój, a z ogrodu dochodził śpiew ptaków. Mabel klęczała przy łóżku, trzymając w dłoniach pomarszczone ręce zmarłej i chowając twarz w ramionach. Oliviero nigdy nie widział tak spokojnej twarzy swojej matki: zmarszczki wyglądały jak delikatne cienie na alabastrowej masce, a usta były wygięte w uśmiechu; wpatrywał się w nią przez chwilę, aż minął ból, który ścisnął mu gardło. Wtedy, kładąc dłoń na ramieniu żony, zapytał:

- Czy to długo?

Mabel podniosła głowę.

- Oliviero! – odpowiedziała płacząc – godzinę temu... nie widzisz?

I uniosła dłonie zmarłej, wciąż splecione w różańcu; w ostatniej agonii pękł, a jedno z ziaren pozostało między palcami.

- – Ja – jęczała Mabel – zrobiłam wszystko, co mogłam, nie okazując jej okrucieństwa, ale na próżno; wzywała swojego księdza, dopóki starczyły jej siły.

- Kochanie... – zaczął Oliviero; po czym uklęknął obok żony, pochylił się i ucałował ten różaniec, skrapiając go łzami.

- Tak, tak! Zostawmy ją w spokoju! Nie odebrałbym jej tego za całe złoto świata: czyż nie była to jej zabawka?

Młoda kobieta patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Tak! – powiedział – Musimy być hojni, teraz, gdy cały świat należy do nas; a ona nic nie straciła: na to było już za późno! Zresztą zrobiłem, co mogłem.

- I dobrze zrobiłaś, moja droga: ale ona była zbyt stara i nie mogła tego zrozumieć.

Oliviero zamilkł.

- A co z „eutanazją”? – zapytał potem niemal czułym tonem.

- Tak – odpowiedziała Mabel – w ostatnich chwilach. Opierał się, ale wiedziałam, że tego właśnie pragnął.

Przez około godzinę rozmawiali w ogrodzie, zanim Oliviero się wycofał; opowiadał Mabel o wynikach ostatniej sesji.

- Nie chciał się zgodzić! Zaproponowaliśmy mu stanowisko konsultanta, ale odmówił; obiecał nam jednak, że będzie do naszej dyspozycji... Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest... Uważamy jednak, że wkrótce wróci do Ameryki, ale nie opuszcza nas; opracowaliśmy program i jednogłośnie postanowiliśmy przedłożyć go mu do oceny.

- A jaki jest ten program?

- Dotyczy on reformy wyborczej, ustawy o ubogich i handlu; nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Główne punkty podyktował nam On sam... Ale, czy uwierzysz, że nadal nie jesteśmy do końca pewni, czy dobrze to zrozumieliśmy?

-.... Mój drogi, przynajmniej w jednej rzeczy....

- Tak! W porządku!... Jest to człowiek niezwykły, jedyny w swoim rodzaju. Żadna z jego propozycji nie wymagała dyskusji!

- A czy lud to zrozumie?

- Miejmy nadzieję!... Trzeba będzie nas ostrzec przed możliwą reakcją; ponieważ mówi się, że katolicy są w niebezpieczeństwie, jak właśnie napisano dziś rano w krótkim artykule w *gazecie „L'Era”*, który przekazano nam do zatwierdzenia. Ta gazeta sugeruje środki, które należy podjąć, aby chronić katolików.

Mabel uśmiechała się.

– Jakie to ironiczne! – kontynuował Oliviero – nikt nie odbiera im prawa do życia; do jakiego stopnia będą mogli aktywnie uczestniczyć w rządzie, to już inna kwestia. Zajmiemy się tym, sądzę, za tydzień lub dwa.

- Opowiedz mi jeszcze o Nim!...

- Cóż więcej można powiedzieć? To najwyższa władza na ziemi! Nic więcej nie wiemy. Francja, w atmosferze ogólnego fermentu, zaproponowała Mu dyktaturę, ale On odmówił; Niemcy złożyli Mu taką samą ofertę jak my; Włochy – taką samą jak Francja, z tytułem trybuna dożywotniego. Ameryka jeszcze się nie zgłosiła, a w Hiszpanii opinie są podzielone.

- A Wschód?

- Sam cesarz mu podziękował!... Co jeszcze?

Mabel westchnęła głęboko, spoglądając na parną mgłę, która zaczynała unosić się nad miastem. Był to temat zbyt rozległy dla jej umysłu; jednak wyobrażała sobie Europę jako pracowity rój, który to leci naprzód, to cofa się w blasku słońca. Widziała poza błękitnym cieśniną, we Francji, w miastach Niemiec, w słonecznej Hiszpanii wszystkich ludzi skupionych na tym samym celu: mianowicie pragnieniu dla siebie postaci tego człowieka, powołanego, by zadziwić cały świat.

Nawet Anglia, która nie poddawała się tak łatwo, była tym zachwycona. Najlepszym, czego każdy kraj mógłby pragnąć, było panowanie tego człowieka; a on odrzucił wszystko.

- Odrzucił wszystko! – powiedziała Mabel, niemal tracąc oddech.

- Wszystko! Uważamy, że chce najpierw poznać opinię swoich rodaków; w Ameryce nadal zajmuje swoje stanowisko.

- A ile ma lat?

- Nie ma więcej niż trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy lata; a sprawuje urząd dopiero od kilku miesięcy. Wcześniej żył w odosobnieniu w Vermont; następnie zasiadał w Senacie, gdzie zabrał głos raz lub dwa; potem został wybrany na członka Delegacji. Wydaje się jednak, że nikt inny nie osiągnął takiej potęgi jak on; reszta jest znana. Mabel znacząco potrząsnęła głową i powiedziała:

- Ale my nic o tym nie wiemy; zupełnie nic! Gdzie nauczył się wszystkich tych języków?

- Przypuszcza się, że uczył się przez wiele lat, ale nikt nie wie, ile; a on sam nic nie powiedział.

Mabel szybko zwróciła się do męża:

- Ale co to znaczy? Jak wyjaśnić jego moc? Powiedz mi, Oliviero!

Uśmiechnął się niepewnie.

- Cóż!... Markam twierdzi, że wynika to z jego nieskazitelności połączonej z charyzmą oratorską; ale to również niczego nie wyjaśnia.

- „Nie! To niczego nie wyjaśnia” – powtórzyła młoda kobieta.

- Moim zdaniem to właśnie jego osobowość jest etykietką, która najbardziej do niego pasuje; ale nawet to, w gruncie rzeczy, jest tylko etykietką.

- Masz rację!... Tak właśnie jest; wszyscy to słyszeli w świątyni św. Pawła, a potem na ulicach.

- Ty też to nie czułeś?

- Oczywiście, że słyszałem! – wykrzyknął Oliviero, z promieniami w oczach. – Ale za tego człowieka oddałbym życie!

Ruszyli w stronę domu i nie rozmawiali o zmarłej staruszce, dopóki nie dotarli do drzwi.

- – Są u niej goście – powiedziała Mabel. – Mam rozesłać zawiadomienia?

- – Lepiej poczekajmy do po obiedzie – odparł poważnie Oliviero – Do czternastej zostało niecałą godzinę... A propos, Mabel, wiesz może, kto przekazał wiadomość księdzu?

- Myślę, że tak!

- Nie mylisz się, to był Philipps! Widziałam go dziś rano i powiedziałam mu, żeby więcej nie stawiał stopy w naszym domu.

- Przyznał się?

- Tak, wyznał to bez skrępułów.

Oliviero, z poruszoną miną, skinął głową żonie u podnóża schodów i udał się do pokoju matki.

ROZDZIAŁ DRUGI I.

Lecąc w kierunku Rzymu, szybując na wysokości pięciuset stóp przez bezchmurne niebo tego letniego świtu, Percy Franklin miał wrażenie, że zbliża się do bram raju; a nawet lepiej, czuł się jak dziecko powracające do ojcowskiego domu; ponieważ wszystko, co dziesięć godzin wcześniej pozostawił w Londynie, jawiło mu się jako wierna kopia wyższych kręgów piekła: świat, z którego sam Bóg się wycofał, pozostawiając go jednak w całkowitej samozadowoleniu, bez wiary i bez nadziei; w stanie, w którym życie było jeszcze możliwe, ale całkowicie pozbawione tego, co niezbędne do prawdziwego dobrobytu. Nie znaczy to, że panowała tu cisza bez oczekiwań... Londyn drżał wręcz aż po czubki palców. Krążyły najróżniejsze plotki: Felseburgh wracał, wrócił, nigdy nie wyjechał; miał zostać wybrany na premiera, przewodniczącego Rady; trybuna, w którym miały się idealnie łączyć demokratyczne rządy i święta nienaruszalność osoby; a nawet królem, jeśli nie cesarzem Zachodu. Angielska konstytucja miała zostać zreformowana poprzez całkowitą reorganizację jej rozdziałów. Zbrodnia miała zostać zniesiona przez tę tajemniczą Siłę, która pokonała wojnę; wszystkim zapewniono niezbędne pożywienie, odkryto klucz do życia; odtąd już nikt nie umierał...

Takie właśnie pogłoski krążyły... a jednak, zdaniem księdza, brakowało tego, co sprawia, że życie jest warte przeżycia.

W Paryżu, podczas postoju na wielkim dworcu Montmartre (dawniej kościół Sacré-Cœur), Percy usłyszał wrzawę tłumu, który za rozwiniętymi sztandarami po długim czasie wychwalał życie.

Przejeżdżając przez przedmieścia, widział długie kolejki pociągów, które niczym świetliste węże w jaskrawym blasku lamp elektrycznych napływały do miasta, przywożąc mieszkańców prowincji na posiedzenie Rady Narodowej, zwołane w tragicznej gorączce przez ustawodawców w celu omówienia warunków nowego apelu do Felsemburga. To samo działo się w Lyonie. Tej nocy, jasnej i ożywionej jak dzień, w końcu dotarł do południowych regionów Francji.

Zasnął, gdy świeże powietrze Alp zaczęło owiać statek, rzucając jedynie szybkie spojrzenie na szczyty górskie w oddali, na głębię przepaści, na odbicie srebrnych jezior, na spokojny

blask Rodanu. Raz, wbrew swojej woli, obudził się na widok przelatującego ogromnego niemieckiego samolotu, olśniewającej wizji złota i płomienia, podobnej do majestatycznej ómy o rozżarzonych czułkach; oba statki wymieniły pozdrowienie przez pół mili cichej przestrzeni powietrznej, wydając patetyczny dźwięk, niczym dwa dziwne nocne ptaki, którym trudno zatrzymać lot.

Mediolan i Turyn pozostawały w bezruchu, ponieważ Włochy rządziły się innymi zasadami niż Francja; a Florencja właśnie budziła się do życia. Tymczasem pięćset stóp niżej szybko mijał krajobraz, przypominający ogromny szaro-zielony dywan pełen pagórków i wzniesień. Rzym był już widoczny: wskaźnik prędkości wskazywał od stu do dziewięćdziesięciu mil. W końcu otrząsnął się ze snu i sięgnął po brewiarz; ale ledwie odmówił pierwsze modlitwy, jego uwaga była gdzie indziej; tak więc po zakończeniu pierwszej modlitwy zamknął książkę i przyjął wygodniejszą pozycję, owijając się futrem i wyciągając nogi na puste siedzenie przed sobą. Był sam w tym przedziale, ponieważ trzech mężczyzn, którzy wsiedli w Paryżu, wysiedli w Turynie.

Trzy dni wcześniej Percy poczuł prawdziwą ulgę, otrzymując od kardynała protektora wiadomość nakazującą mu przygotować się na długą nieobecność w Anglii i udać się do Rzymu tak szybko, jak to możliwe: zrozumiał z tego, że władze kościelne zaczynają się niepokoić wydarzeniami. Przypomniawszy sobie ostatnie dni, aby zobaczyć, jaką relację mógłby z nich sporządzić. Od czasu wysłania ostatniego listu do Rzymu w samej tylko diecezji Westminster miało miejsce siedem skandalicznych przypadków apostazji: dwóch księży i pięciu znaczących osób świeckich. Wszędzie mówiło się o buncie; on sam widział groźny dokument, petycję domagającą się zwolnienia z obowiązku noszenia stroju duchownego, podpisaną przez stu dwudziestu księży angielskich i walijskich. Sygnatariusze podawali jako pretekst, że zbliża się prześladowanie ze strony ludu, że rząd kłamie w swoich obietnicach obrony; sugerowali też, że wierność religii jest w złym stanie nawet u najbardziej gorliwych, a u pozostałych już zanikła. Percy wyraził się jasno w swoich komentarzach; dał do zrozumienia władzom, jak to wielokrotnie czynił, że to nie prześladowania były tym, co naprawdę go niepokoiło, ale raczej nowy i nieoczekiwany wybuch szaleństwa na rzecz Humanizmu, szaleństwa rozprzestrzeniającego się ze stuletnią gwałtownością po przybyciu Felsemburga i opublikowaniu wiadomości ze Wschodu, oraz że

rozpalając serca większości. Człowiek nagle zakochał się w człowieku. Ludzie porządni przecierali oczy, dziwiąc się, że mogli wcześniej wierzyć lub marzyć o istnieniu Boga, którego można kochać, i pytali się nawzajem, jakiej tajemniczej magii padli ofiarą przez tak długi czas. Chrześcijaństwo, a także teizm znikwały z umysłów ludzi, tak jak mgła rozplywa się o wschodzie słońca.

A co z propozycjami? Tak, miał je, i to jasne, i rozważał je w myślach z poczuciem rozpacz. Bo nawet on nie był do końca pewien, czy wierzy w to, co głosił: cała jego żarliwość zdawała się wygasnąć na widok białego pochodu, w obliczu grobowej ciszy tłumu w tę pamiętną noc. Było to straszne w swojej obiektywnej rzeczywistości: promienne nadzieje, miłosne uniesienia wydawały się cieniami w obliczu tego gorącego szaleństwa tłumu, które wstrząsnęło jego duszą.

Nigdy nie widziano niczego podobnego; żadne zgromadzenie ludzi rozpalonych żywym słowem najbardziej elokwentnego kaznodziei nie odpowiadało takim entuzjazmem, z jakim niereligijny tłum Londynu, przebudzony o zimnym świcie, witał na ulicach nadejście swojego Zbawiciela. A co do tego człowieka... Nie, Percy nie potrafił zdecydować, w czyich rękach znalazł się w chwili, gdy, wymawiając imię Jezusa, wpatrywał się w tę postać, która wyróżniała się na tle bieli i tak bardzo przypominała mu twarz i włosy. Czuł tylko, że dłoń ścisnęła mu serce – dłoń ognista, a nie lodowata – tłumiąc wszelkie poczucie religijnej przekonania. To tylko wysiłek, o którym nie mógł wspominać bez niepokoju, powstrzymał go przed poddaniem się, wysiłek tak dobrze znany tym, którzy kroczą ścieżkami ducha i dobrze wiedzą, co oznacza upadek. Tylko jedna twierdza zachowała nienaruszone bramy; wszystkie inne się poddały.

Każda z jego zdolności doświadczyła tego ataku: rozum uległ ośpieniu, pamięć o wieczności została zaciemniona, duchowa mdłość wywróciła mu duszę do góry nogami; ale skryta twierdza woli zdołała wytrzymać tę ostateczną próbę, odmawiając okrzyków i uwielbienia Felsemburga jako swojego Zbawiciela i Króla.

Och! Jakże modlił się w ostatnich tygodniach! Niemal nie robił nic innego, ponieważ pokusa nie dawała mu spokoju: nieustannie z każdej strony raniły go kolce wątpliwości, atakowały go zarzuty; on, zawsze czujny, nocą i dniem, odrzucał te i zaprzeczał tym, starając się utrzymać swoją pozycję na trudnym gruncie

nadprzyrodzonego, wołając i ponownie wołając do Pana, by przyszedł mu z pomocą. Zasypiał z krucyfiksem w dłoniach, a budząc się, pokrywał go pocałunkami. Pisząc, mówiąc, chodząc, jedząc czy siedząc w pociągu, jego życie wewnętrzne było całkowicie pochłonięte desperackimi aktami wiary w religię, której jego intelekt zaprzeczał i wobec której wszelkie emocje były wygaszone.

Doświadczył chwil uniesienia – na zatłoczonej ulicy, gdy uświadomił sobie, że Bóg jest wszystkim, że Stwórca jest kluczem do życia dla stworzenia, że skromny akt uwielbienia ma większą wartość niż najszlachetniejszy akt natury; że nadprzyrodzone jest początkiem i końcem istnienia –;

doświadczył ich ponownie w nocy, w cichej katedrze, przed migotaniem lamp, podczas gdy boska aura unosiła się z zamkniętego tabernakulum.

Wtedy fala napiętności opadła, pozostawiając go w suchości przygnębienia, ale utwierdzonego w przekonaniu (które mogło być zarówno wiarą, jak i zarozumiałością), że żadna siła z ziemi ani z piekła nigdy nie odwróci go od wyznawania chrześcijaństwa, nawet jeśli sam by go nie wyznawał. Tylko chrześcijaństwo mogło uczynić to życie znośnym.

Percy wydał głębokie, ciężkie westchnienie i zmienił miejsce, ponieważ jego oczy nieoczekiwanie dostrzegły odległą kopułę przypominającą kulę umieszczoną na zielonym dywanie; tu bieg jego myśli zatrzymał się na jednej jedynej myśli: Rzym!

Wstał, wyszedł ze swojego przedziału i idąc środkowym korytarzem, dostrzegł przez szyby po obu stronach współpasażerów, niektórych śpiących, innych z oczami skierowanymi na nowy widok, a jeszcze innych pochylonych nad lekturą. Spojrzał w stronę drzwi wejściowych i przez minutę lub dwie stał jak zahipnotyzowany przed imponującą postacią pilota, stojącego na swoim miejscu. Trzymał ręce na stalowym kole sterującym wielkimi skrzydłami, a wzrok utkwiony w anemometrze, który na czymś w rodzaju tarczy zegarka rejestrował siłę i kierunek wysokich prądów; ręce wykonywały od czasu do czasu szybkie ruchy, na które reagowały ogromne łopaty, raz podnosząc, raz opuszczając pociąg. Niżej, przed sobą, przymocowane do okrągłej tabliczki i chronione szklanymi kopułkami, miał różne przyrządy, których funkcji Percy nie znał; jeden wyglądał jak barometr, służący, jak przypuszczał Percy, do pomiaru wysokości, jaką należy osiągnąć, a drugi jak kompas. A tam, za łukowatymi oknami, rozciągało się niebo w nieskończoność. Bez wątplenia! Wszystko tutaj budzi podziw – pomyślał ksiądz – a to tylko jeden z aspektów tej siły, przeciwko której

gdzie siły nadprzyrodzone stoczą ostateczną bitwę. Westchnął ponownie i ruszył, by powrócić do swojej kabiny. Tymczasem przed jego oczami rozciągał się oszałamiający widok: piękny, ponieważ niezwykle i nowy, a tylko pozornie sztuczny, niczym ten, jaki mogłaby zaoferować tapeta. Z okna wejściowego dostrzegał po prawej stronie, w oddali, szarą linię morza, która stykała się z krańcem bezchmurnego nieba i opadała oraz wznosiła się, naśladując szerokie zawirowania tej łodzi, pozornie nieruchomej i nieznacznie kołysanej przez zachodnią bryzę. Nie dało się dostrzec żadnego innego ruchu, poza lekkim pchnięciem wielkiego śmigła wirującego na rufie. Po lewej rozciągała się bezkresna okolica, która za nieruchomymi skrzydłami statku znikała szybko jak ćma, wraz z nieregularnymi liniami wiosek rozrzuconych tu i ówdzie i spłaszczonych tak, że ledwo można je było rozróżnić, wraz z ciekami wodnymi, i gubiła się w oddali wśród niskich wzgórz Umbrii. Z przodu, raz widoczne, raz ukryte, w zależności od ruchów statku powietrznego, rysowały się jeszcze niewyraźne kontury Rzymu i wielkich nowych przedmieść, zwieńczone majestatyczną kopułą, która stawiała się coraz większa. Po bokach, w górze i w dole, jego oczy dostrzegały nieskończone przestrzenie atmosfery, u góry zabarwione na ciemny błękit lapis lazuli, przechodzący ku horyzontowi w bladą turkusową barwę.

Jedynym dźwiękiem, którego Percy już nie słyszał bezpośrednio, było ciągłe tarcie o powietrze, dość stłumione teraz, gdy prędkość statku stopniowo spadła do średnio pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nagle zabrzmiał dzwonek, a zaraz potem ogarnęło go lekkie mdłości, gdy konwój majestatycznie opadał pionowo; zachwiał się nieco i otulił się kocami. Kiedy podniósł wzrok, ruch ustał, a przed sobą dostrzegł wieże, rozległą powierzchnię dachów, a niżej dostrzegł przelotnie ulicę i kilka dachów pokrytych tu i ówdzie trawą. Dzwon zabrzmiał ponownie, a po nim rozległ się harmonijny okrzyk. Ze wszystkich stron usłyszał odgłos kroków w pobliżu; strażnik w mundurze przemknął szybko przez przeszkłony korytarz. Percy znów poczuł to lekkie mdłości; gdy podniósł wzrok znad bagażu, przez krótką chwilę ujrzał, niemal na wysokości swoich oczu, kopułę, teraz szarą i prążkowaną, majestatyczną pod bezchmurnym niebem. Ziemia miała już niewiele czasu, by kręcić się sama: Percy zamknął oczy, a kiedy znów spojrzał, ściany budynków wydawały się wznosić nad nim, zatrzymując go i dominując nad nim.

Ostatni sygnał, lekkie kołysanie i samolot dotknął dna stalowego hangaru; twarze kołysały się w rzędzie, wychylając się przez okno. Percy skierował się wtedy w stronę wyjścia z bagażem w ręku.

II.

Percy Franklin odczuł nieokreślone wzruszenie, siedząc samotnie kilka godzin później przy filiżance kawy w odległej sali Watykanu; ale wciąż czuł radość i ukojenie, gdy jego zmęczony umysł rozważał miejsce, w którym się znajdował. Szczerze mówiąc, wydawało mu się nieco dziwne, że jechał po dudniących bruku skromnym samochodem, dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu, kiedy wyjeżdżał z Rzymu po święceniach. Podczas gdy świat poszedł tak daleko, Rzym nie zmienił się: miał on na głowie zupełnie inne sprawy niż materialne ulepszenia, teraz, gdy duchowy ciężar całego chrześcijaństwa spoczywał w całości na jego barkach. Wydawał się nie zmieniać w niczym; a raczej powrócił do tych samych warunków, jakie panowały sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Historia głosi, że już od osiemdziesięciu lat, kiedy to miasto uzyskało niepodległość, zaczęto rezygnować z ulepszeń wprowadzonych przez rząd włoski. Tramwaje już nie jeździły, samolotom zabroniono przelatywać nad murami, a nowe budynki zachowano, przeznaczając je jednak na cele kościelne. Kwatera stała się siedzibą Czerwonego Papieża, pałace ambasad przekształcono w seminaria, a sam Watykan, z wyjątkiem ostatniego piętra, służył jako rezydencja Świętego Kolegium, które otaczało Najwyższego Papieża niczym gwiazdy otaczają słońce.

Antykwariusze mówili, że było to miasto wyjątkowe: jedyny żywy model dawnych czasów.

Panował tu taki sam brak wygód jak niegdyś; panowała tu przerażająca niechlujność: było to ucieleśnienie świata zagubionego w snach. Ożywała jednak dawna, kościelna pompa. Kardynałowie nadal jeździli w złoconych berlinach. Czerwony Papież jechał na swojej białej mułce. Najświętszy Sakrament przemierzał cuchnące ulice przy dźwiękach dzwonków i w towarzystwie wielkich lampionów. Wspaniale opisane te wydarzenia zachwycały przez co najmniej czterdzieści osiem godzin ożywiony świat; to potworne cofnięcie się w czasie dostarczyło niewyczerpanego materiału do gwałtownych oskarżeń ze strony wykształconych ludzi, a intelektualiści w końcu zgodzili się co do jednego: że przesąd jest wrogiem postępu.

Dlatego też, gdy Percy wracał ze Stacji Woźniców przy Porta del Popolo, nawet rzucając ukradkowe spojrzenia na ulice pełne wieśniaków ubranych w staroświeckie stroje, białe i czerwone wózki z winem, łądygi kapusty rozrzucone po chodnikach, przemoczone ubrania kołyszące się na sznurach, a potem muły i konie, to choć wszystko to wydawało mu się dziwne, w końcu odczuwał

ulgi, ponieważ przypominało mu to, że człowiek jest człowiekiem, a nie bogiem, jak wszyscy mówili; człowiekiem, a zatem nieco niedbałym i egoistycznym; człowiekiem, a zatem troskliwym o inne interesy poza szybkością, czystością i precyzją.

Pokój, w którym siedział Percy, przy oknie osłoniętym żaluzjami, ponieważ słońce było już wysoko, przenosił go o półtora wieku wstecz. Zniknęły dawne adamaszki i złocenia, co nadawało mu surowy charakter; wzdłuż stał stół z jodły, a wokół niego drewniane krzesła; podłoga była wyłożona czerwonymi kafelkami z pasami maty pod stopy. Białe ściany, pomalowane farbą akwarelową, nie miały żadnych innych ozdób poza dwoma starymi obrazami wiszącymi na ścianach, a wielki krucyfiks otoczony świecznikami wznosił się z ołtarza umieszczonego przy drugich drzwiach. Nie widać było żadnych innych mebli poza ławką między dwoma oknami, a na niej maszyną do pisania, której obecność w tym miejscu, wbrew wszelkim jego oczekiwaniom, bardzo zdziwiła księdza.

Po wypiciu kawy opadł na krzesło. Już czuł się, jakby spadł z niego ogromny ciężar, i dziwił się szybkości tej przemiany. Tutaj życie było prostsze; świat duchowy, przyjęty jako założenie, nie stanowił już przedmiotu dyskusji; tutaj narzucał się swoją rzeczywistością i w oczach duszy ukazywał w całej chwale te czcigodne postacie, które w innym przypadku stałyby się niewidoczne za zawrotnym biegiem ludzkich spraw. Tutaj pozostawał sam cień Boga i nie było już trudności w przyznaniu, że święci czuwają i wstawiają się za nami, że Maryja zasiada na swoim tronie i że w białym dysku na ołtarzu obecny jest Jezus Chrystus. Nie znaczy to, że Percy cieszył się całkowitym spokojem: w końcu był w Rzymie dopiero od godziny, a otoczenie, choć przepełnione łaską, nie mogło na niego wpłynąć bardziej niż dotychczas.

Czuł się jednak mniej nieswojo, nie był już tak rozpaczliwie niespokojny, przypominał nieco bardziej dziecko, był bardziej skłonny zaufać tej Władzy, która domagała się praw bez podawania powodów i twierdziła, że świat wykazuje zarówno zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi dowodami, iż jest stworzony w ten, a nie inny sposób, i stworzony w tym, a nie innym celu. Jednak w swoim postępowaniu zachował te konwenanse, które tak bardzo mu przeszkadzały. Opuściwszy Londyn zaledwie dwanaście godzin wcześniej, przebywał obecnie w miejscu, które mogło być albo ogrodzeniem wodnym poza biegiem życia, albo prawdziwym centralnym nurtem tego życia.

Usłyszał na zewnątrz odgłos kroków; klamka w drzwiach obróciła się i wszedł kardynał protektor.

Percy nie widział go od czterech lat i początkowo z trudem go rozpoznał. Był to sędziwy starzec, zgarbiony i słaby, o twarzy pokrytej zmarszczkami, z głową otoczoną gęstymi siwymi włosami pod czerwoną czapką; miał na sobie czarny habit benedyktynów i prosty krzyż opactwa na piersi; poruszał się chwiejnym krokiem, opierając się na lasce.

Jedynymżywionym elementem jego wyglądu były małe, bystre oczy, poruszające się pod opadającymi powiekami. Wyciągnął uśmiechniętą dłoń, a Percy, pamiętając, że znajduje się obecnie w Watykanie, uklęknął, by ucałować ametystowy pierścień.

- „Witamy w Rzymie... ojcze!” – powiedział starzec z nieoczekiwaną świeżością w głosie. „Pół godziny temu poinformowano mnie o pańskim przybyciu, ale uznałem, że lepiej pozostawić panu swobodę, aby mógł się odświeżyć i napić kawy”.

Percy wymamrotał kilka słów.

- – Tak, z pewnością jest pan zmęczony – kontynuował kardynał, podając mu krzesło.

- Nie tak bardzo, Eminencjo! Spałem wspaniale.

Kardynał zaprosił go, by usiadł.

- Muszę z wami chwilę porozmawiać, a Ojciec Święty pragnie was widzieć o jedenastej.

Percy był nieco zaskoczony.

- W dzisiejszych czasach musimy się spieszyć, drogi ojcze... nie ma ani chwili do stracenia. Wie pan, że na razie musi pan pozostać w Rzymie?

- Wszystko przygotowałem, Wasza Eminencjo.

- W porządku!... Jesteśmy z pana zadowoleni, ojcze Franklin. Ojciec Święty był pod wielkim wrażeniem naszych uwag; znakomicie przewidział pan rozwój sytuacji.

Percy zarumienił się z zadowolenia: była to pierwsza oznaka zachęty.

Kardynał Martin kontynuował:

- Mogę zapewnić, że uważa się was za najlepszego z naszych angielskich korespondentów i właśnie dlatego was zaprosiliśmy. W przyszłości musicie być naszym doradcą; każdy może bowiem relacjonować fakty, ale nie każdy potrafi je ocenić... Ale wy, ojcze, jesteście bardzo młody; ile macie lat?

- Trzydzieści trzy lata, Eminencjo.

- Ach!... ale... wasze siwe włosy dodają nam otuchy... A teraz, ojcze, zechciałbyś przejść do mojego pokoju? Zatrzymam cię do dziewiątej, nie dłużej; potem odpoczniesz chwilę, a o jedenastej przedstawię cię Jego Świątobliwości.

Percy wstał, przepełniony niezwykłym podekscytowaniem, i pobiegł otworzyć drzwi przed kardynałem.

III.

Było kilka minut przed jedenastą, kiedy Percy, ubrany w sutannę, z nowym paskiem i butami z klamrami, wyszedł z pokoju i zapukał do drzwi kardynała.

Czuł się teraz bardziej panem siebie. Już wcześniej rozmawiał z kardynałem z wielką swobodą i energią, opisując ogromne wrażenie, jakie Felsemburg wywarł na Londynie, nie ukrywając duchowego paraliżu, jaki sam odczuwał. Wyraził przekonanie, że świat znajduje się u progu tak wielkiego przewrotu, jakiego nie ma precedensu w historii; opisał drobne sceny, których był naocznym świadkiem: grupę ludzi klęczących przed portretem Felsemburga, umierającego, który wzywał jego imienia, a także widok tłumu zgromadzonego w Westminsterze, by usłyszeć wynik ofiary złożonej temu obcokrajowcowi. Pokazał pół tuzina wycinków z gazet, z których najbardziej wyłaniał się histeryczny fanatyzm; a nawet odważył się na przepowiednię, oświadczając, że jego zdaniem prześladowania nie mogą być daleko.

- Świat wydaje się być zarażony jakąś przewrotną energią, która zatruwa i dezorientuje wszystko!

Kardynał skinął głową na znak aprobaty.

- – My też – powiedział – my też niestety to odczuwamy!

Podczas tej rozmowy kardynał patrzył na niego swoimi bystrzymi oczami, od czasu do czasu prosząc o wyjaśnienia, i słuchał go z największą uwagą.

- „Jeśli chodzi o wasze rady, ojcze...” – tu przerwał. „Nie... jest zbyt wiele rzeczy, o które trzeba zapytać; porozmawiasz o tym ze Świętym Ojcem”.

W tym miejscu pochwalił jego dobry łacinę, ponieważ podczas drugiej rozmowy posługiwał się tym językiem.

A Percy wyjaśnił, jak lojalnie angielscy katolicy zastosowali się do wydanego rok wcześniej rozkazu, aby łacina znów stała się dla Kościoła tym, czym esperanto stawało się dla świata.

- – To wspaniała rzecz – rzekł starzec – i sprawi Jego Świątobliwości wielką radość.

Po uderzeniu w drzwi kardynał wyszedł, trzymając księdza pod ramię, i bez słowa skierował się wraz z nim w stronę windy.

Percy zaryzykował uwagę podczas tej cichej podróży do apartamentów papieża.

- Zastanawiam się, Ekscelencjo, nad tą windą i tą maszyną do pisania w przedpokoju!

- A dlaczego, ojcze?

- Ponieważ we wszystkich innych sprawach Rzym powrócił do czasów prymitywnych. Kardynał spojrzał na niego z zakłopotaniem.

- Naprawdę?... Ech! Być może, ale nie zwróciłem na to uwagi.

Szwajcarski strażnik uchylił drzwi windy, zasalutował i poprowadził ich prostym, wyłożonym parketem korytarzem, aż do miejsca, gdzie czekał jego kolega; po czym ponownie zasalutował i odszedł. Szambelan ubrany w surową czerń i purpurę, z hiszpańskim kołnierzem, gdy tylko dostrzegł ich w drzwiach, pospieszył, by je otworzyć. Wydawało się niemal niewiarygodne, że takie rzeczy wciąż się zdarzają!

- „Proszę Waszą Eminencję o chwilę cierpliwości” – powiedział szambelan po łacinie.

Znaleźli się w małym kwadratowym pomieszczeniu z sześcioma drzwiami; było to ewidentnie fragmentem wielkiej starej sali, ponieważ było nieproporcjonalnie wysokie, a z dwóch stron w białych ścianach znikła w linii prostej poczerniała złota ramka. Również ściany działowe musiały być cienkie, ponieważ gdy obaj mężczyźni siedzieli w oczekiwaniu, słysząc było z drugiej strony szmer głosów, szuranie stóp i nieustanne stukanie tej wiecznej maszyny do pisania, od której Percy sądził, że się uwolnił. Byli sami w tym pomieszczeniu, które, urządzone z taką samą prostotą jak pokój kardynała, prezentowało osobliwy wygląd ascetycznej ubóstwa i godności w czerwonych ceglanych podłogach, białych ścianach oraz ołtarzu, który podtrzymywał na stole dwa brązowe świeczniki o nieocenionej wartości. Okienne były uchylone i nic innego nie mogło odwrócić uwagi Percy'ego od wewnętrznego wzruszenia, które zaczynał odczuwać.

Miał stawić się przed papieżem Angelikiem, tym wspaniałym starcem, który pół wieku wcześniej, mając zaledwie trzydzieści lat, został wybrany sekretarzem stanu i od dziewięciu lat zasiadał na Stolicy Piotrowej. To właśnie on zrealizował ten niespotykany plan przekazania rządowi wszystkich kościołów we Włoszech w zamian za władzę świecką nad Rzymem, zamierzając już wtedy uczynić z tego miasta miasto świętych. Nie zważając na opinie świata, zapoczątkował politykę dość prostą, o ile można to nazwać polityką. W licznych encyklikach oświadczył, że celem Kościoła jest oddawanie chwały

Boga i pielęgnowanie w duszach cnót nadprzyrodzonych; że nic na świecie nie miało znaczenia i wagi, jeśli nie odnosiło się do osiągnięcia tego celu. Ustalając następnie, że Piotr był wielką skałą, wynikało z tego, że miasto Piotra było stolicą świata i dlatego musiało służyć za przykład dla miast zależnych: co nie mogło mieć miejsca, gdyby Piotr nie panował nad Rzymem. Właśnie z tego powodu poświęcił tak wiele kościołów i innych świętych budowli.

Dlatego też, będąc królem, postanowił panować naprawdę: twierdził, że wszystkie współczesne odkrycia mają na celu odwrócenie uwagi ludzi od rozważania prawd wiecznych; nie dlatego, że same w sobie były złe, gdyż ujawniały mądre prawa ustanowione przez Boga w naturze, ale dlatego, że obecnie służyły jedynie podgrzewaniu umysłów. W ten sposób zlikwidował tramwaje, samoloty, fabryki i warsztaty, twierdząc, że te rzeczy mogą znaleźć swoje miejsce poza Rzymem; i dlatego wygnał je na przedmieścia, wznosząc w ich miejsce kaplice, domy zakonne i kalwaria.

Ale jeszcze lepiej zadbał o dusze swoich poddanych. Rzym zajmował ograniczoną powierzchnię; a ponieważ świat mógłby go zepsuć, gdyby nie użyto *solis ziemi*, nikomu poniżej pięćdziesiątego roku życia nie pozwolił przebywać w obrębie murów dłużej niż trzydzieści dni w roku bez specjalnego zezwolenia.

Mogli oczywiście mieszkać poza miastem i faktycznie mieszkali tam dziesiątki tysięcy osób; ale jasne jest, że w ten sposób postępowali bardziej zgodnie z literą niż duchem papieskich życzeń. Ponadto podzielił miasto na dzielnice narodowe; ponieważ każda nacja posiadała swoje szczególne cnoty, musiała nieustannie szerzyć ich światło we własnym miejscu.

Gdy ceny czynszów zaczęły rosnać, zarządził temu za pomocą ustawy, w której zarezerwował dla każdej dzielnicy pewną liczbę ulic z czynszami o stałych cenach, ogłaszając *ipso facto* ekskomunikę dla tych, którzy ją naruszali. Całe Miasto Leonine zarezerwował dla siebie.

Z tą samą pogodną powagą, z jaką w innych sprawach rozbawiał oświecony świat, przywrócił karę śmierci, twierdząc, że jeśli życie ludzkie jest święte, to cnota jest jeszcze świętsza; do przestępstwa zabójstwa dodał jako czyny podlegające karze śmierci cudzołóstwo, bałwochwalstwo i apostazję. W ciągu ośmiu lat jego pontyfikatu nie doszło zresztą do więcej niż dwóch egzekucji, ponieważ przestępcy, o ile nie byli prawdziwie pobożnymi poddanymi

prawdziwie pobożni, udawali się na przedmieścia, wymykając się w ten sposób jurysdykcji papieskiej.

Ale na tym się nie skończyło. Wysłał jeszcze ambasadorów do wszystkich krajów świata, informując różne rządy o ich przybyciu.

Oczywiście traktowano to jedynie jako powód do śmiechu, ale on, niewzruszony, nadal domagał się swoich praw; jednocześnie powierzał legatom ważną misję propagowania swoich zamierzeń. Od czasu do czasu w każdym mieście pojawiały się encykliki, przedstawiające powody papieskich żądań, jakby były one wszędzie uznawane. Wydano formalne potępienie masonerii i wszelkiego rodzaju idei demokratycznych; ludzi przywołano do ich nieśmiertelnego przeznaczenia, do myśli o majestacie Boga, do refleksji, że za kilka lat wszyscy będą musieli zdać sprawę ze swoich czynów przed Stwórcą i Władcą wszechświata, w imieniu Jego Namiestnika na ziemi Benedykta XVI, którego podpis i pieczęć znajdowały się na dokumencie. Takie postępowanie wywołało na całym świecie ogromne zdziwienie. Ludy spodziewały się wielkodusznego oburzenia, ostrych dyskusji, gorących wezwań, a potem tajnych wysłanników, spisków i protestów. Nic z tego! On założył, że postęp jeszcze się nie rozpoczął, że nie nadeszła jeszcze godzina latających statków, a cały świat nadal wierzy w Boga, zamiast odkryć, że to on jest Bogiem.

Ten stary głupiec trwał w swoim śnie: i wygłaszał kazania o krzyżu, życiu wewnętrznym, przebaczeniu grzechów, tak jak robili to od dwóch tysięcy lat jego poprzednicy: wyraźny znak, że Rzym stracił nie tylko swoją władzę, ale także zdrowy rozsądek. Nadszedł właśnie czas, aby z tym skończyć!

Oto ten człowiek, *papież Angelico*, którego Percy miał ujrzyć za kilka chwil. Kardynał położył dłoń na kolanach księdza, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się prałat w purpurowej szacie, kłaniając się.

- - Tylko jedno! – rzekł – Mówcie z całą szczerością! Percy wstał, cały drżący, i poszedł za swoim opiekunem w stronę wejścia.

IV.

W półmroku tego pokoju, przy wielkim biurku, siedziała biała postać papieża, dokładnie naprzeciwko drzwi, przez które obaj weszli. Tyle właśnie dostrzegł Percy, wykonując pierwsze pokłon; następnie, zbliżając się z opuszczonymi oczami, pokłonił się po raz drugi. Poruszył się jeszcze i uklęknął po raz trzeci, zbliżając do ust wychudzoną i śnieżnobiałą dłoń, już wyciągniętą w jego stronę. Drzwi zamknęły się, gdy wstał.

- – Ojciec Franklin, Wasza Świątobliwość – powiedział kardynał do papieża, zbliżając się do jego ucha.

Ramię ubrane na biało wskazało na dwa krzesła stojące obok, na których goście natychmiast usiedli.

Podczas gdy kardynał, prostym łaciną, przypominał papieżowi o angielskim księdzu, który wysłał tak ważne listy, Percy zaczął patrzeć z największą uwagą. Znał papieża z setek fotografii i filmów; znał jego gestykulację: lekkie pochylenie głowy w geście zgody oraz szybkie i wymowne ruchy rąk towarzyszące przemowie; ale Percy, choć przekonany, że wyraża banał, musiał przyznać sobie, że żywa obecność papieża ukazywała mu inną fizjonomię.

Przed sobą ujrzał starszego mężczyznę o wyprostowanej postawie, średniej postury i wzrostu, z rękami opartymi na podłokietnikach, emanującego z całej osoby atmosferą świadomej godności; jednak największe wrażenie wywarła na nim twarz, którą wielokrotnie przyglądał się, podczas gdy oczy papieża wpatrywały się w niego; te oczy o szczególnej żywiołowości przypominały mu to, co historycy mówili o oczach papieża Piusa X: dzięki wyraźnemu zarysowi powiek miały surowy wyraz, który jednak nie znajdował odzwierciedlenia w pozostałych rysach twarzy. Nie było w tej twarzy żadnej surowości: ani zbyt pulchnej, ani zbyt chudej, o eleganckim owalnym kształcie, miała dwie cienkie, lekko namiętne usta. Nos opadał w kształcie orlego dzioba, kończąc się delikatnie wyrzeźbionymi nozdrzami; podbródek był mocny i wklęsły w środku, a głowa w całości prezentowała się cudownie młodzieńczo: twarz emanowała wielką hojnością i łagodnością, połączonymi w jednym z wyrzeczeniem i najgłębszą pokorą, twarz kapłańska od ucha do ucha i od podbródka do rzęs. Czoło, nieco ściśnięte przy skroniach, nosiło nad białymi włosami białą czapkę.

Dziewięć lat wcześniej wielką wesołość wywołał obraz znanych księży, wyświetlany na ekranie w kawiarniach-koncertowych obok wizerunku papieża: prawie nie dało się ich odróżnić od siebie!

Percy, podsumowując swoje wrażenia, znalazł jedno słowo, które je wszystkie streszczało: Ksiądz! *Ecce sacerdos magnus*! I zdumiał się na widok młodości, jaką prezentował osiemdziesięcioletni papież, wyprostowany jak pięćdziesięcioletek, o mocnych ramionach, z głową wystającą z nich jak u sportowca, z twarzą ledwie pokryta kilkoma zmarszczkami.

Papież Angelicus, powtarzał sobie Percy.

Kardynał, zakończywszy swoje wyjaśnienia, skinął na niego lekko. Percy ocknął się wówczas i zebrał siły ducha, aby odpowiedzieć na pytania, które miały mu zostać zadane.

- „Och! Witaj, mój synu!” – rzekł łagodny, donośny głos. Percy, wzruszony, wykonał głęboki ukłon.

Papież spuścił wzrok, lewą ręką chwycił przycisk do papieru i zaczął nim spokojnie żonglować, jednocześnie przemawiając.

- A teraz, mój synu, oto trzy punkty, które proponuję: co się wydarzyło, co się dzieje, co się wydarzy, wraz z peroracją na temat tego, co należy uczynić.

Percy westchnął głęboko, oparł się plecami o krzesło, splótł palce jednej dłoni z drugą, wpatrywał się w haftowany krzyż na bucie przed sobą i rozpoczął przemowę, którą dzień wcześniej wygłosił co najmniej sto razy. Najpierw określił swój temat: siły świata cywilizowanego skupione w dwóch przeciwstawnych obozach: świat i Bóg. Do dziś siły świata, niespójne i burzliwe, wdzierały się różnymi drogami: wojny i rewolucje były, niczym ruchy tłumu, niezdyscyplinowane, nieokiełznane, niepohamowane. Kościół przeciwstawił im swoją katolickość, bardziej nastawioną na rozszerzanie niż na intensyfikację własnego działania; przeciwko snajperom wystawił innych snajperów. Jednak w ciągu ostatnich stu lat pojawiło się więcej niż jedna wskazówka, że taktyka wojenna powinna ulec zmianie. Europa była jednak rozdarta przez walki wewnętrzne; najpierw organizacja pracy, potem kapitału, a następnie sojusz między kapitałem a pracą, co ilustruje tę zmianę od strony ekonomicznej; pokojowy podział Afryki od strony politycznej, wreszcie rozwój ludzkości od strony religijnej. W obliczu tej koncentracji sił świata Kościół musiał z kolei skoncentrować swoje siły. Dzięki mądrości papieży i pomocy wszechmocnego Boga coraz bardziej zacieśniał swoje szeregi. Percy podał jako przykład

zniesienie wszystkich lokalnych zwyczajów, w tym tych, których Wschód zawsze tak pilnie strzegł; ustanowienie w Rzymie kardynałów protektorów, obowiązkowe połączenie wszystkich zakonników w jeden zakon, przy zachowaniu ich nazwisk rodowych, pod zwierzchnictwem najwyższego przełożonego; wszystkich mnichów, z wyjątkiem kartuzów, karmelitów i trapistów, w drugi zakon; tych trzech ostatnich w trzeci, oraz klasyfikację zakonnic według tego samego planu. Następnie przypomniał sobie niedawny dekret, który wyraźnie określał granice papieskiej nieomyślności, kodyfikację prawa kanonicznego, wielkie uproszczenie metod rządzenia, hierarchii, rubryk, spraw dotyczących misji oraz nowe i znaczące przywileje przyznane zwykłym księżom misjonarzom. W tym momencie zdał sobie sprawę, że traci wątek: towarzyszył więc słowom powściągliwym gestem i nieco podniósł głos, próbując połączyć te fakty z wydarzeniami ostatnich miesięcy. Wszystko, co dotychczas się wydarzyło – mówił – prowadzi nas do tego, co dzieje się teraz, to znaczy: do pojednania całego świata na zupełnie innej podstawie niż boska prawda.

Wolą Boga i Jego Namiestnika było zjednoczenie wszystkich ludzi w Jezusie Chrystusie; ale kamień węgielny został po raz kolejny odrzucony, i zamiast chaosu, który przepowiadali pobożni ludzie, oto powstaje cudowna jedność, która nie ma sobie równych w historii. I łatwo jest, by przyczyniło się do jej powstania wiele elementów o niepodważalnej dobroci. Wojna, jak się wydaje, umarła, ale to nie chrześcijaństwo ją zabiło. Ludzie przekonali się, że jedność jest cenniejsza i lepsza od niezgody, ale tej lekcji nauczyli się poza Kościołem. W rzeczywistości cnoty naturalne zaczęły nieoczekiwanie bujnie rozkwitać. Filantropia zajęła miejsce miłosierdzia, zadowolenie – nadziei, a kultura – wiary.

Percy przerwał, zdając sobie sprawę, że przybrał nieco kaznodziejski ton.

- I tak, mój synu! – powiedziała łagodnym głosem. – Co jeszcze?

- Jeszcze jedno, Wasza Świątobliwość – kontynuował Percy – ruchy podobne do tego budzą ludzi: a człowiekiem tego ruchu jest Giuliano Felsemburgh. Dokonał on dzieła, które z ludzkiego punktu widzenia jest cudem. Położył kres odwiecznej przepaści między Wschodem a Zachodem, pochodząc z tej części świata, która jako jedyna jest w stanie stworzyć takie cnoty; dzięki wyłącznie własnemu prestiżowi pokonał dwie największe tyranie ludzkości: fanatyzm religijny i partie polityczne. Jego

działalność wśród tak mało wrażliwych Anglików jest kolejnym cudem, mimo że rozniecił on ogień entuzjazmu we Francji, Niemczech i Hiszpanii. W tym miejscu Percy opisał kilka scen, w których Felsemburgh pojawiał się jako boska wizja, i swobodnie cytował epitety przypisywane temu człowiekowi przez dobrze przygotowane, poważne i wcale nie fanatyczne gazety. Felsemburgh był nazywany Synem Człowieczym ze względu na swoje kosmopolityczne wykształcenie; Zbawicielem świata za to, że pokonał wojnę, a nawet... – tu głos księdza zaczął drżeć – nawet... Bogiem Wcielonym, jako najdoskonalszym przykładem boskiego człowieczeństwa. Spokojna twarz księdza, który słuchał po drugiej stronie, pozostała nieruchoma; Percy kontynuował więc:

- Prześladowania są nieuchronne. Podjęto już pewne próby, ale nie należy się ich obawiać. Bez wątpienia spowodują one, jak zawsze, odstępstwa, ale należy je ubolewać raczej z indywidualnego punktu widzenia. Z drugiej strony utwierdzą one prawdziwych wiernych i oczyści Kościół z osób o słabej wierze. Już w czasach pradawnych atak szatana skupiał się na ciałach za pomocą kul, ognia i dzikich zwierząt; w XVI wieku na umysłach, w XX wieku na samych źródłach życia duchowego i moralnego; ten ostatni jest potrójnym atakiem na ciało, umysł i serce. Jednak tym, co budzi największy strach, jest pozytywny wpływ humanitaryzmu; zbliża się on, niczym królestwo Boże, z wielką potęgą, podnosi na duchu umysły wizjonerskie i romantyczne, głosi swoje prawdy bez ich dowodzenia, dusi poduszkami zamiast pobudzać i ranić bronią dialektyki: i wydaje się, przynajmniej z tego, co widzimy, że otworzyła się droga do najskrytszych zakamarków ludzkiego serca. Ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o nim, wyznają jego maksymy; księża przyswajają je tak, jak kiedyś przyswajali Boga w Komunii – tu wspomniał o najnowszych odstępstwach – dzieci upajają się nimi tak, jak kiedyś upajały się katechizmem. Dusza z natury chrześcijańska wydaje się stać duszą z natury niewierną. Prześladowania – zawołał ksiądz – należy przyjąć z radością, błagać o nie, przyjąć je jak koło ratunkowe; i miejmy nadzieję, że władze nie będą na tyle przebiegłe, by rozdawać antidotum razem z trucizną; będą więc pojedynczy męczennicy, będzie ich wielu, ale wbrew świeckim władzom, a nie z ich powodu. W końcu należy się spodziewać, że humanitaryzm przybierze szaty liturgii i ofiary; a potem, jeśli Bóg nie wkroczy, sprawa Kościoła będzie stracona! Percy oparł się o krzesło, drżąc.

- Tak, mój synu! I co nam pozostaje do zrobienia?

Percy opuścił ręce.

- Ojcze Święty, Msza Święta, modlitwa, różaniec: to są rzeczy najważniejsze. Świat zaprzecza ich mocy, a właśnie w nich chrześcijanie powinni szukać oparcia i schronienia. Wszystko w Jezusie Chrystusie, w Jezusie Chrystusie teraz i na zawsze; żadne inne środki nie mogą tu pomóc: On musi wszystko uczynić, ponieważ my nie możemy już nic zrobić!

Biała głowa pochyliła się w geście aprobaty.

- Tak, mój synu!... Ale dopóki Jezus Chrystus raczy się nami posługiwać, musimy być prorokami, królami, kapłanami. Jaka będzie nasza przepowiednia i nasze królestwo?

Na te słowa Percy zadrżał, jakby usłyszał nagły dźwięk trąby.

- Oto, Ojcze Święty!... Jako prorocy mamy głosić miłość, jako królowie będziemy mieli na krzyżu nasz tron: kochać i cierpieć, i tu łkanie przerwało mu oddech. Wasza Świątobliwość zawsze głosił miłość; niech więc miłość jaśnieje w naszych czynach, starajmy się być pierwszymi na jej drogach, wprowadzając prawość w interesach, czystość w rodzinie, uczciwość w rządzie. A co do cierpienia... och! Wasza Świątobliwość...

W tym momencie przypomniał sobie swój dawny plan i tym razem pozostał on w jego umyśle jasny, przekonujący, nieodparty.

- Tak, mój synu!... Mów śmiało.

- Wasza Świątobliwość, mam stary projekt... tak stary jak Rzym. To pomysł szaleńców! Nowy porządek... nowy porządek – mówił Percy drżącym głosem.

Biała dłoń opuściła przycisk do papieru. Papież pochylił głowę i wpatrywał się w młodego księdza.

- Naprawdę, mój synu?

- Percy upadł na kolana.

- Nowy zakon, Wasza Świątobliwość, bez specjalnego habitu ani odznaki, podlegający wyłącznie Waszej Świątobliwości, bardziej wolny od jezuitów, bardziej pokutny od kartuzów, bardziej ubogi od franciszkanów, złożony z mężczyzn i kobiet, składających trzy śluby, do których dodaje się zamiar poddania się, w razie potrzeby, nawet męczeństwu. Panteon będzie jego kościołem, każdy biskup będzie nadzorował jego członków w granicach swojej jurysdykcji, a w każdym kraju będzie zastępca... (Wasza Świątobliwość, to pomysł szaleńca...) a Chrystus Ukrzyżowany będzie jego patronem.

Papież wstał gwałtownie, tak gwałtownie, że kardynał Martin również zerwał się na równe nogi, oszołomiony. Wyglądało na to, że młody ksiądz posunął się nieco za daleko! Ale papież ponownie usiadł i podnosząc rękę, powiedział:

- Niech Bóg cię błogosławi, mój synu! Teraz możesz się wycofać. Czy mógłbyś, Eminencjo, zostać tu jeszcze chwilę?

ROZDZIAŁ TRZECI

Tego wieczoru, po ponownym spotkaniu z Percy'm, kardynał skierował do niego kilka słów, poza gratulacjami za postawę, jaką przyjął podczas audiencji u Ojca Świętego; jego zdaniem ksiądz postąpił słusznie, mówiąc z największą szczerością. Następnie wyjaśnił mu, jakie będą odtąd jego obowiązki. Percy mógł dysponować dwoma przydzielonymi mu pokojami, miał odprawiać mszę w kaplicy kardynała, o dziewiątej stawiać się na przyjęcie poleceń; w południe jadł obiad z kardynałem, a potem miał wolne do modlitwy „Ave Maria”. Od tej pory pozostawał do dyspozycji przełożonych aż do kolacji. Jego praca polegała głównie na czytaniu angielskiej korespondencji i sporządzaniu codziennego raportu.

Percy uznał nowe życie za bardzo przyjemne i spokojne; czuł, że z dnia na dzień staje się mu coraz bardziej znane. Miał wiele wolnych godzin, które nieustannie poświęcał na rekreację. Od ósmej do dziewiątej zwykł spacerować ulicami Rzymu, spokojnie oddając się swoim wrażeniom, odwiedzając kościoły, obserwując ludzi, powoli chłonąc niezwykłą naturalność tego życia w starym stylu: czasami wydawało mu się to historycznym snem, innym razem jedyną rzeczywistością, prawdziwie istniejącą. Sztywna i skomplikowana współczesna cywilizacja stawała się widmem w obliczu naturalnej prostoty, która tu odżywała.

Nawet lektura angielskiej korespondencji go nie poruszała: wielka rzecz, ponieważ fala jego myśli zaczynała rozprzestrzeniać się w tym starym i spokojnym strumieniu; a on czytał, wycinał, analizował i rozważał z największym spokojem. Wiadomości zresztą nie napływały obficie; po burzy nastąpiła swego rodzaju cisza. Felsemburgh nadal pozostawał w swoim odosobnieniu po odrzuceniu 19 ofert Francji, Włoch i Anglii; i choć nie można było uznać tej informacji za pewną, wydawało się, że na razie zamierza przyjąć postawę zwykłego obserwatora. Tymczasem parlamenty Europy były zajęte wstępnymi pracami nad rewizją kodeksów.

Prawdopodobnie nic poważnego nie wydarzy się przed ponownym otwarciem jesiennych sesji.

Życie w Rzymie było zatem czymś wyjątkowym; miasto to nie stało się jedynie centrum wiary, ale stanowiło w pewnym sensie mikrokosmos samej wiary. Podzielone było na cztery dzielnice: anglosaską, łacińską, germańską i wschodnią, nie licząc Trastevere, niemal w całości zajmowanego przez papieskie urzędy,

szkołami i seminariami. Anglosasi zajmowali dzielnicę południowo-zachodnią, obejmującą Aventyn, Celio i Testaccio. Łacinnicy zamieszkiwali najstarszą część Rzymu między Corso a Tybrem; Niemcy dzielnicę północno-wschodnią, ograniczoną od południa Via San Lorenzo; a Wschodni pozostającą dzielnicę, której centrum stanowił Lateran. W ten sposób rzymianie w Rzymie ledwo odczuwali obcą ingerencję: mieli wiele własnych kościołów, mogli bawić się na swoich wąskich i krętych uliczkach oraz swobodnie prowadzić handel. Właśnie tutaj Percy odbywał swoje zwyczajowe spacer, upajając się historycznymi wspomnieniami. Jednak pozostałe dzielnice wydawały się jeszcze bardziej intrygujące. Można było na przykład dostrzec liczne kościoły gotyckie, w których odprawiali msze księża z północy, powstałe spontanicznie w dzielnicach Germanic i Anglo-Saxon; a także szerokie, szare ulice, zadbane chodniki i domy o surowym stylu: pewna oznaka, że ludzie z północy nie przyjęli zwyczajów południa. Wschodniacy natomiast byli bardziej podobni do Latynosów; ich ulice były wąskie i ciasne, z tymi samymi dusznymi wyziewami, kościoły równie brudne i brzydkie, ale w wesołych i żywych kolorach.

Poza murami panował nieopisany chaos. Jeśli miasto wyglądało jak starannie wycięta miniatura świata, przedmieścia przedstawiały ten sam wzór, rozbity na tysiące kawałków, wrzuconych do worka, a następnie wysypanych przypadkowo. Na przestrzeni, jaką można było ogarnąć wzrokiem we wszystkich kierunkach od szczytu Watykanu, rozciągała się niekończąca się płaszczyzna dachów, poprzecinana iglicami, wieżami, kopułami i kominami, pod którymi żyli ludzie każdej rasy, jaka istnieje pod słońcem. Tutaj, pod jurysdykcją świecką, wznosiły się wielkie fabryki. Potworne budynki nowego świata, stacje, urzędy publiczne, szkoły, otoczone populacją sześciu milionów dusz, które przeniosły się tam z miłości do swojej wiary. Byli to zdesperowani ludzie współczesnego życia, zmęczeni ludzkimi perypetiami i nieustannymi napięciami, którzy, uciekając przed nową cywilizacją, znaleźli schronienie w cieniu Kościoła, choć nie mogli mieszkać w samym Rzymie. A nowe domy powstawały we wszystkich kierunkach. Gigantyczny cyrkiel, z jedną końcówką przytwierdzoną do Rzymu i o rozpiętości pięciu mil, obracając się, obejmowałby swoim okręgiem zabudowania skupione wzdłuż ulic. A dalej w nieskończoność rozciągały się rozrzucone domy. Jednak Percy nie potrafił pojąć znaczenia tego wszystkiego, co widział, aż do dnia imienin papieża, obchodzonych pod koniec sierpnia.

Wczesnym, chłodnym porankiem, jako kapelan, podążał za swoim protektorem szerokimi korytarzami Watykanu, w kierunku sali, gdzie gromadzili się papież i kardynałowie.

Patrząc przez okno na plac, wydawało mu się, że tłum stał się jeszcze gęstszy – o ile to w ogóle możliwe – niż godzinę wcześniej. Ogromny owalny plac pękał w szwach od ludzi, przez których przebiegał długi korytarz, utrzymywany przez oddziały papieskie dla swobodnego przejazdu powozów; a po tej swego rodzaju wielkiej wstędze, rozjaśnionej wschodzącym słońcem, sunęły okazałe powozy, lśniące złotem i jaskrawymi kolorami. Tu i ówdzie rozlegały się oklaski, towarzyszące zapałowi i hałasowi kół, przypominającym trzask kamyków na plaży uderzanej przez fale.

Czekając w przedpokoju, zatrzymywany przez nieustanny ruch dostojników w szkarłatnych, białych i purpurowych płaszczach, Percy ponownie wyrzwał na zewnątrz i upewnił się co do tego, co przypuszczał: gromadziły się tam królewskie mości starego świata. Wokół schodów bazyliki rozstawiały się wachlarzowo wielkie, ośmiokonne powozy galowe; białe z Francji i Hiszpanii, brązowe z Niemiec, Włoch i Rosji, kremowe z Anglii; a w pierwszym półkolu ustawione były powozy mniejszych mocarstw: Grecji, Norwegii, Szwecji, Rumunii i krajów bałkańskich. Brakowało tylko jednej: tureckiej. Na niektórych widoczne były herby: orły, lwy, lamparty trzymające królewskie korony nad dachem każdej karocy. Od pierwszego do ostatniego stopnia biegł wielki szkarłatny dywan, wzdłuż którego ustawiała się szpaler żołnierzy.

Percy, opierając się o okiennice, pograżył się w myślach: oto ostatnie pozostałości po Suwerennej Majestacie. Znał już pałace królewskie, zbudowane w różnych dzielnicach, z ich flagami powiewającymi na wietrze i szkarłatnymi strażnikami przy bramach; setki razy podnosił kapelusz na Corso, gdy przejeżdżały hałaśliwe landy; widział lilie Francji i lamparty Anglii, maszerujące razem w uroczystych paradach na Pincio. W ciągu ostatnich pięciu lat od czasu do czasu natrafiał w gazetach na wiadomości o rodzinach królewskich, które jedna po drugiej udawały się do Rzymu za zgodą Ojca Świętego. Co więcej, kardynał ogłosił mu właśnie dzień wcześniej, że król Wilhelm z Anglii wraz z małżonką wylądował rano w Ostii: w ten sposób seria władców była kompletna. Ale Percy nigdy nie wyobrażał sobie tego niewiarygodnego faktu, że królowie ziemscy zgromadzili się w cieniu tronu Piotra, ani nie myślał o ciągłym niebezpieczeństwie, jakie stanowiło ich zgromadzenie w oczach świata rządzonego demokracją. Wiedział, że ten świat

pogardą i wyśmiewał podobne szaleństwa i dziecinady, a zwłaszcza tę nieprawdopodobną komedię boskiego prawa, do którego rościły sobie prawo obalone i pogardzane rodziny królewskie; ale wiedział również dobrze, że dawne uczucia były raczej uśpione niż wygasłe w sercach ludzi: wystarczyło tylko, by się obudziły.

W końcu znalazło się dla niego trochę miejsca; a Percy, wyłaniając się jakby z kryjówki, mógł podążać za powoli poruszającym się orszakiem.

Pół godziny później stał na swoim miejscu wśród duchownych, gdy procesja papieska, przechodząc przez ciemną kaplicę Sakramentu, wkroczyła pod nawę ogromnego kościoła; ale jeszcze zanim dotarła do kaplicy, usłyszał cichy szmer wiernych i dźwięki trąb witających Najwyższego Papieża, gdy wkraczał do sedis gestatoria, poprzedzany białymi flabellami. A gdy chwilę później wyszedł, trzymając się w szeregu, widok tego wiwatującego tłumu przypomniawszy mu z nagłym skurczem serca inny widok z Londynu, widziany kilka miesięcy wcześniej o letnim świetle.

Tam, wysoko, jakby torując sobie drogę wśród głów wyprostowanych niczym rufa starożytnego statku, posuwał się tron, na którym zasiadał Ojciec wiernych; a między nim a kapłanem poruszała się okazała procesja protonotariuszy apostolskich, generałów zakonów i wielu innych osobistości, niczym ślad samego statku, spieniony to na białe, to na złote, to na srebro, to na szkarłat, między ożywionymi brzegami po obu stronach. Nad tym statkiem zwisała z góry wspinały baldachim, a nieco dalej, przed miejscem boskiego ołtarza, wznosiły się potężne kolumny, pod którymi lśniły złote gwiazdy niczym latarnie świętości. Był to widok cudowny, ale jednocześnie tak wielki i imponujący, że budził w obserwatorze jedynie świadomość własnej niczości. Rozległe mury, gigantyczne sale, ciemne sklepienia, nieskończona różnorodność dźwięków (od tupotu kroków po niewyraźny szum tysięcy głosów, od potężnych akordów organów po łagodne, niebiańskie śpiewy), delikatny zapach kadzidła oraz zmiażdżonych liści lauru i mirtu; a przede wszystkim atmosfera, tętniąca ludzkimi emocjami, które wznosiły się ku nieziemskiemu ideałowi wraz z przejściem Tego, który był Nadzieją świata, Wicekróla Najwyższego, pośrednika między Bogiem a człowiekiem – wszystko to poruszyło księdza niczym eliksir, który jednocześnie pobudza i przygnębia, który zaciemnia oczy i rozjaśnia je nowym światłem, zamyka uszy ciała i otwiera te duszy, który wywyższa ducha i zanurza go w najgłębszej pokorze.

Oto więc sformułowana została inna odpowiedź na problem życia: oto mu z kolei przedstawiono dwa miasta św. Augustyna; jedno – świat nie stworzony, autonomiczny i samowystarczalny, objawiony przez takich ludzi jak Marks i Hervé, socjalistów, materialistów, a co za tym idzie epikurejczyków, wywodzących się z Felsemburga; drugie miasto rozciągało się przed nim w tym spektaklu i mówiło o Stwórcy i Stworzeniu, o boskim planie, o Odkupieniu, o świecie transcendentnym i wiecznym, skąd wszystko pochodziło i dokąd wszystko powracało. Jeden z nich: Jan był Namiestnikiem, drugi, Julian, podróbką Boga... A Percy, w najwyższym przypiływie wiary, odnowił swój wybór.

Ale najpiękniejszy moment jeszcze nie nadszedł. Przy ołtarzu i konfesjonale pozostawała szeroka, zarezerwowana przestrzeń, która, o ile Percy mógł to dostrzec ze swojej strony, rozciągała się aż do punktu, który wyznaczał początek ramion wielkiego krzyża łacińskiego. Przez ten punkt przebiegały w linii prostej balustrady pokryte czerwienią; widać było ułożone w kolejności różne postacie z opuszczonymi głowami, o bladych twarzach i nieruchome. Na końcu ogrodzenia płonął miecz, a nad nim, na wysokości jednej trzeciej nawy, wznosił się majestatyczny rząd tronów. Były one szkarłatne jak trony kardynalskie, ale na niebie nosiły lśniące zbroje, podtrzymywane przez symboliczne bestie i ozdobione koronami. Pod każdym tronem siedziało w wspaniałej izolacji jedna lub dwie z tych postaci; a między tronami pojawiały się inne osoby o surowych twarzach i spuszczonej głowach,

Serce mu podskoczyło, gdy obrócił wzrok i ujrzał ten sam obraz, jakby w lustrze, również po stronie prawego ramienia.

Oto relikty tej dziwnej klasy ludzi, którzy jeszcze pół wieku wcześniej panowali jako doczesni zarządcy Boga i z woli swoich poddanych. Nikt już ich nie rozpoznawał, z wyjątkiem Tego, od którego czerpali swoją władzę: prawdziwe szczyty spadające z kopuły, której zabrakło solidnego fundamentu. Ci mężczyźni i kobiety w końcu zrozumieli, że wszelka władza pochodzi z góry, a prawo do panowania nie wynika z poddanych, lecz od najwyższego Króla, który wszystkim rządzi: pasterze bez stada, dowódcy bez żołnierzy! Był to smutny, strasznie smutny, ale pouczający obraz: ten akt wiary był wzniosły, a serce Percy'ego zabiło mocniej na ten widok. Ci ludzie, mężczyźni i kobiety, istoty podobne do niego, nie wstydzili się odwoływać się od człowieka do Boga, przywdziewać tutaj szaty, które świat uważał już za zabawki, ale które dla nich były symbolami nadprzyrodzonej misji. Czyż nie odzwierciedla to, pomyślał Percy, obrazu Tego, który

jechał na osiołku wśród drwin wielkich tego świata i radosnych okrzyków dzieci?

Jednak scena stała się jeszcze bardziej poruszająca podczas mszy, kiedy władcy, zstąpili, by uczestniczyć w nabożeństwie, krążyli między tronem a ołtarzem, imponujące postacie, z odkrytymi głowami, milczące i pełne szacunku. Król Anglii, ponownie stawszy się *Fidei Defensor*, pełnił rolę akompaniatora w miejsce starego króla Hiszpanii, jedyne, który wraz z cesarzem Austrii nieprzerwanie podtrzymywał ciągłość wiary. Stary król, pochylony nad swoim baldachimem, drżał i jęczał, otwierając usta w żarliwej modlitwie, jak Symeon, gdy ujrzał w świątyni Zbawiciela Izraela. Cesarz Austrii pełnił funkcję ministranta przy umywalce; cesarz Niemiec, który dziesięć lat wcześniej stracił tron i niemal życie z powodu swojego nawrócenia, z nowego przywileju kładł i podnosił poduszkę, gdy jego pan klękał przed Tym, który był prawdziwym Panem obu.

Tak, akt po akcie, rozgrywał się ten wspaniały dramat. Po szeptach głosów zapadła cisza pełna cichej modlitwy, gdy delikatny Biały Dysk został uniesiony w białych dłoniach, a pod kopułą rozbrzmiewała boska muzyka... Ponieważ pobożny tłum widział swoją jedyną nadzieję w tym Dysku, tak małym i tak potężnym, niczym niegdyś Dzieciątko Jezus w żłobie. Nie było już nikogo, kto by walczył za nich, jak tylko Bóg. Jeśli więc krew mężczyzn i płacz kobiet nie wystarczyły, by wyrwać z milczenia Tego, który wszystko widzi i wszystko osądza, to z pewnością śmierć Jego Syna, która już na Kalwarii zaciemniła niebiosy i wstrząsnęła ziemią, odnawiając się teraz bezkrwawą, z tak wzruszającą wspaniałością nad tą opuszczoną wyspą chrześcijańskiej wiary, pośród fal szyderstwa i nienawiści, przyniosłaby przynajmniej swój owoc.

.....
Percy siedział, odpoczywając po długiej ceremonii, gdy nagle drzwi się otworzyły i kardynał, wciąż ubrany w swoje uroczyste szaty, wszedł szybkim krokiem, zamykając za sobą drzwi.

– Ojciec Franklin – rzekł słabym głosem – przynoszę najgorszą z wiadomości. Wybrali Felsemburga na prezydenta Europy!

II.

Późną nocą Percy udał się na spoczynek, wyczerpany zmęczeniem. Przez kilka godzin przebywał z kardynałem, zajmując się otwieraniem telegramów, które napływały ze wszystkich stron Europy i były nieustannie dostarczane do cichej sali.

Tego popołudnia kardynał został wezwany trzy razy: raz przez papieża, a dwa razy do Kwirynalu.

Wiadomość ta była bez wątpienia prawdziwa. Mówiono przy tym, że Felsemburgh celowo odrzucił wszystkie poprzednie oferty, aby przyjąć wyłącznie tę jedną.

Mocarstwa, które osobno nie były w stanie pozyskać tego wielkiego człowieka, doszły do porozumienia, wycofując swoje indywidualne oferty; wysłały wspólną wiadomość i obdarowały go przywilejami wręcz niespotykanymi w systemie demokratycznym: pałacem w każdej stolicy Europy, prawo weta na trzy lata w stosunku do każdej uchwalonej ustawy, moc ostatecznego prawa dla każdego jego projektu, który w ciągu trzech lat zostałby przyjęty trzy razy z rzędu, i wreszcie tytuł Prezydenta Europy; podczas gdy od niego samego wymagano jedynie odmowy przyjęcia jakiegokolwiek stanowiska, które nie uzyskałoby zgody wszystkich mocarstw. Wszystko to, jak dobrze zauważył Percy, zwielokrotniało niebezpieczeństwo związane z już zjednoczoną Europą. Był to socjalizm z całą swoją potężną siłą, postawiony pod kierownictwem człowieka wartości: było to najgenialniejsze połączenie dwóch przeciwstawnych metod rządzenia. I ta oferta została przyjęta przez Felsemburga po ośmiu dniach namysłu. Warto jeszcze zwrócić uwagę na to, jak wiadomość ta została przyjęta w obu częściach świata: Wschód przyjął ją z entuzjazmem, podczas gdy w Ameryce opinie były podzielone; ale Ameryka i tak nie miała znaczenia, ponieważ szala światowa przechylała się zdecydowanie na drugą stronę.

Percy upadł na łóżko, drżąc mocno w nadgarstkach, z zamkniętymi oczami i z niepokonaną rozpaczą w sercu. Świat wznosił się niczym gigant nad horyzontem Rzymu, a święte miasto wyglądało jak zamek z piasku pośród fal morskich. Zbyt dobrze o tym wiedział. Jak dokładnie nastąpi katastrofa, w jakiej formie, w jakim kierunku – tego nie wiedział i nie zadawał sobie trudu, by się tego dowiedzieć; był jedynie przekonany, że nie da się jej uniknąć.

Przyzwyczajony do introspekcji, przenikał najgorzszym spojrzeniem zakamarki swojej świadomości, niczym lekarz, który, dotknięty śmiertelną chorobą, przystępuje beznamiętnie do przerażającej diagnozy własnych objawów; nie

mówiąc, że odczuwał pewną ulgę, zamykając oczy na potworny mechanizm świata, by rozważać mikrokosmos ludzkiego serca, które nie ma już nadziei. Ze względu na swoją wiarę nie miał już się czego obawiać: z taką samą pewnością, z jaką można poznać kolor własnych oczu, widział ją ponownie w bezpiecznym miejscu, z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa. W Rzymie, podczas nowego pobytu, trujące fale wątpliwości rozjaśniły się, a dno strumienia znów było widoczne; a raczej, ta rozległa budowla dogmatów, obrzędów, tradycji, zasad, w których został wychowany i na które przez całe życie wpatrywał się, ogarniając wzrokiem ich fragmentaryczną całość, przed którą umysł gubił się jak przed niepewnym i migotliwym światłem pojawiającym się w ciemnościach; budowla ta stopniowo rozjaśniała się, objawiając się w cudownym blasku boskiego ognia, który z niej emanował. Te najwyższe zasady, niegdyś tak zaskakujące, a nawet odrażające, znów stały się jasno widoczne. Percy dostrzegał na przykład, że religia humanitarna dążyła do wyeliminowania cierpienia, podczas gdy religia boska chciała, by je się przyjmowało; tak więc nawet ślepe cierpienia istot nierozumnych mieściły się w planie ustanowionym przez Wolę Stwórczą. I podczas gdy pod jednym aspektem ogromnego płótna życia widoczny był tylko jeden kolor – materialny, intelektualny lub artystyczny – pod innym aspektem nawet to, co nadprzyrodzone, rzucało się w oczy.

Religia humanitarna mogła być prawdziwa jedynie pod warunkiem, że pomijała co najmniej połowę ludzkiej natury, wraz z jej dążeniami i nieszczęściami; podczas gdy chrześcijaństwo akceptowało je jako fakt i nadawało im sens, nawet jeśli nie potrafiło ich w pełni wyjaśnić; uważało je za elementy niezbędne do doskonałej integracji całości. Wiara katolicka była dla niego pewniejsza niż samo życie, prawdziwa i żywa; mógł się mylić, ale Bóg panował; mógł oszaleć, ale Jezus Chrystus był Słowem, które stało się ciałem, objawiło się nam poprzez śmierć i zmartwychwstanie; a Jan był Jego namiestnikiem na ziemi. Te rzeczy stanowiły kręgosłup Wszechświata; były faktami przewyższającymi wszelkie wątpliwości; a jeśli nie były Prawdą, to wszystko inne nie mogło być niczym innym jak tylko snem.

A trudności? Och! Oczywiście, było ich ogromna liczba. Nie rozumiał na przykład, dlaczego Bóg stworzył ten świat właśnie taki, ani jak piekło mogło być dziełem boskiej miłości, ani jak chleb zamieniał się w ciało Chrystusaale nawet te

tak właśnie było. Wyznawał, że podąża teraz w kierunku przeciwnym do tego, kiedy marzył, że boskie prawdy można udowodnić światłem naturalnym, rozumem! Wiedział teraz – choć nie rozumiał jak – że natura domagała się nadprzyrodzonego, historycznego Chrystusa, Chrystusa wiary; że czysty rozum nie mógł zaprzeczyć tajemnicom wiary, choć nie mógł odpowiednio udowodnić ich istnienia, chyba że przyjmując objawienie jako fakt; i że postawa moralna bardziej niż intelektualna mogła zagwarantować pewność słowa Bożego.

Był teraz przekonany, tak jak już wcześniej nauczał i uważał, że wiara, podobnie jak sam człowiek, posiada ciało i ducha, historyczny wymiar i wewnętrzną prawdę, i przemawia do nas raz jednym językiem, raz innym. Ten człowiek, na przykład, wierzy, ponieważ widzi; akceptuje Wcielenie i Kościół ze względu na ich wiarygodność: cóż, biorąc pod uwagę, że są to fakty porządku duchowego, całkowicie ufa przesłaniu i autorytetowi Tej, która jako jedyna je głosi, a także ich manifestacji na innej płaszczyźnie historycznej. W ciemnościach trzyma się Jej ramienia, to znaczy, w końcu widzi, bo uwierzył.

W ten sposób Percy badał z pewną wyuczoną beznamietnością różne rany swojej duszy.

Najpierw intelekt, niezmiernie zakłopotany, pytał: Dlaczego?... dlaczego?... dlaczego? Dlaczego pozwala się na to wszystko? Dlaczego Bóg nie interweniował? Dlaczego Ojciec ludzi pozwalał, by świat, choć tak bardzo kochany, rzucał się przeciwko Niemu? I co zamierzał zrobić? Czy nigdy nie dałby usłyszeć Swojego słowa? Czy wierzący nie byłiby o wiele lepsi bez tej nieskończonej rzeszy ludzi, którzy leżeli na dole, zadowoleni ze swoich bluźnierstw? Czyż nie byli oni również Jego synami i owcami Jego stada? Po co została założona Kościół katolicki, jeśli nie po to, by nawrócić świat? Dlaczego więc Wszechmogący Bóg pozwolił najpierw, by Kościół ten został zredukowany do garstki wyznawców, a potem, by świat znalazł pokój z dala od Niego?

Następnie przeanalizował swoje emocje, ale nie znalazł w nich nic, co mogłoby go pocieszyć lub dodać mu otuchy. Tak, mógł się jeszcze modlić, wypowiadając te suche i zimne słowa, które dobry Bóg i tak przyjmował; mógł powtarzać: *adveniat Regnum tuum, fiat voluntas tua*, nawet tysiąc razy dziennie, jeśli Bóg tak chciał; ale żadnego zapachu, żadnego wzruszenia, żadnego drżenia strun, które jego wola napinała aż do tronu Najwyższego. Czego więc Bóg od niego chciał na tym świecie? Oto tego: powtarzać formuły, siedzieć, otwierać depesze, słuchać przez telefon i cierpieć! A potem

świat... i to szaleństwo, które opętało narody... oraz niewiarygodne historie, które tego samego dnia rozeszły się po Paryżu, o mężczyznach upojonych delirium niczym bakchantki, którzy nago na Place de la Concorde rozdzierali sobie ciało i przebijali serca, krzycząc wśród oklasków tłumu, że są zmęczeni życiem, bo było ono zbyt piękne; o tancerce, która poprzedniej nocy oszalała, a potem zmarła, śpiewając, śmiejąc się i konwulsyjnie śliniąc się w kawiarni-koncertowej w Sewilli; o katolikach ukrzyżowanych tego ranka w Pirenejach... o apostazji trzech biskupów w Niemczech... i o tym... a potem o tym... a potem tysiące błędów, na które pozwolono, a Bóg nie dał o sobie znać!

Na uderzenie w drzwi Percy wstał, a do pokoju wszedł kardynał. Wyglądał on strasznie wyczerpany; w jego oczach widniał głęboki błysk, który zdradzał gorączkę. Krótkim gestem zaprosił Percy'ego, by usiadł wygodnie, a sam zajął miejsce w fotelu, drżąc nieco i chowając stopy, wciąż ozdobione srebrnymi klamrami, pod sutanną z czerwonymi guzikami.

- – Przepraszam, Ojcze – powiedział – martwię się o bezpieczeństwo biskupa, ponieważ powinien już tu być o tej porze.

Percy przypomniał sobie, że chodziło o biskupa Southwark, który wyruszył z Anglii wczesnym rankiem.

- Czy ma przyjechać bezpośrednio do Rzymu, Ekscelencjo?

- Tak; powinien był przybyć już o dwudziestej trzeciej, a teraz jest, jak sądzę, już po północy.

Właśnie gdy mówił, zegary wybiły pół godziny. W tej chwili panowała cisza. W ciągu dnia powietrze rozbrzmiewało złowieszczymi odgłosami; ludzie wylegli na przedmieścia, a bramy miasta zostały zamknięte, choć w rzeczywistości nie było to niczym innym jak jedynie pierwszą zapowiedzią tego, co miało nastąpić później, gdy świat w pełni zrozumiał sam siebie.

Kardynał wydawał się ożywić po kilku minutach ciszy.

- – Ojcze, wydajesz się zmęczony – powiedział czułym głosem. A Percy, uśmiechając się:

- A Wasza Eminencjo?

Na te słowa kardynał również się uśmiechnął.

- O tak, ojcze! Ale ja tu już niedługo będę, a wtedy to wy będziecie musieli cierpieć. Percy podskoczył nagle, czując ucisk w sercu.

- – Tak – kontynuował kardynał. – To Ojciec Święty tak postanowił; ty będziesz moim następcą; nie ma potrzeby tego ukrywać.

Percy wzdychał i drżał.

- Ależ, Ekscelencjo!... – zaczął ze smutkiem w głosie. Ten drugi przerwał mu, podnosząc w jego stronę wychudzoną, bladą dłoń, i spokojnie rzekł:
- Rozumiem cię: wolałbyś umrzeć w spokoju, prawda? Tego pragnie tak wielu! Ale my musimy być pierwszymi, którzy cierpią: *et pati et mori*. Ojcie Franklinie, nie możemy się wahać!

Nastąpiła długa cisza.

Ta nieoczekiwana wiadomość nie mogła nie wywołać bolesnego wstrząsu u księdza. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że on, mając nieco ponad trzydzieści lat, mógłby zostać wyznaczony na następcę tego starego, mądrego i cierpliwego prałata; co do zaszczytu, to nawet w najmniejszym stopniu o tym nie myślał. Przed sobą widział tylko jedną perspektywę: długą i męczącą podróż po trudnej i stromej ścieżce, z ciężarem zbyt wielkim dla jego ramion.

Dlatego pogodził się z nieuniknionym. Wiadomość ta została mu przekazana jako pewna; tak właśnie było i nic nie mógł na to poradzić; wydawało mu się jednak, że u jego stóp otwiera się nowa przepaść, w którą już zaglądał z bezsensownym, męczącym, niewyraźnym przerażeniem.

Jako pierwszy ciszę przerwał kardynał.

- Ojcie Franklin, dzisiaj widziałem zdjęcie Felsemburga. Nie wie pan, za kogo je na początku wziąłem?

Percy uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ależ tak, ojcie, wziąłem ją za waszą! Hej! Co o tym sądzicie?

- Nie rozumiem, Ekscelencjo.

- Dzisiaj w mieście popełniono morderstwo. Katolik dźgnął nożem bluźniercę – Percy podniósł wzrok na swojego rozmówcę. – Tak, morderca nawet nie próbował uciekać i teraz przebywa w więzieniu.

- A potem?

- Potem zostanie skazany. Jutro odbędzie się proces. Och! To bardzo smutne! Pierwsze morderstwo od ośmiu miesięcy!

Percy dostrzegał ironię tej sytuacji, siedząc pogrążony w głębokiej ciszy gwiazdzistej nocy. Myślał o tym biednym mieście, które trwało jakby nic się nie działo, w swoich śmiesznych postępowaniach karnych, podczas gdy na zewnątrz skupiały się siły świata, by położyć kres wszystkiemu. Jego niedawny zapał wydawał się uśpiony. Nie podniecała go już myśl o wielkodusznej pogardzie dla spraw materialnych, której Rzym dawał teraz niewielki przykład, ani myśl o tej wręcz oszałamiającej odwadze i tej

olimpijskiej obojętności. Czuł się jak człowiek, który patrzy na muchę próbującą wyssać się z cylindra maszyny: wielka masa stali płynie, niosąc kruche życie ku okrutnej śmierci; jeszcze chwila, a ta już będzie nad nią, a obserwator nie będzie mógł nic na to poradzić. W ten sposób pozostawało nadprzyrodzone, doskonałe i wiecznie żywe, ale zredukowane do maleńkiej kropki. W ruchu były ogromne siły, cały świat się podnosił, a Percy nie mógł nic zrobić, tylko patrzeć i drżeć z przerażenia!

Dlatego, jak już powiedzieliśmy, nie było już cienia wątpliwości co do jego wiary; wiedział, że mucha, jako istota żywa, jest czymś wyższym od maszyny: można było więc zmiażdżyć muchę, ale ostatnią, która uległaby, nie byłoby życie. Tyle wiedział; ale poza tym pozostawała tajemnica.

W międzyczasie usłyszał kroki na zewnątrz, a potem pukanie do drzwi; pojawił się lokaj, mówiąc:

- Eminencjo, Jego Ekscelencja już przybył!...

Kardynał z trudem podniósł się, trzymając się stołu; przez chwilę stał nieruchomo, jakby próbował coś sobie przypomnieć, a potem sięgnął do kieszeni.

- Proszę spojrzeć, ojcze – powiedział, podając księdzu małą srebrną monetę – Ale jeszcze nie teraz; kiedy już wyjdę.

Percy zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce z małym białym krążkiem w dłoni.

Była to zupełnie nowa moneta; z jednej strony miała zwykły wieniec z napisem: *pięćdziesiąt centów*, wygrawerowanym pośrodku w języku angielskim i esperanto, a z drugiej profil mężczyzny z następującym napisem: *Julian Felsemburgh, Prezydent Europy*.

III.

O dziesiątej rano następnego dnia kardynałowie zostali zaproszeni na audiencję do papieża.

Percy ze swojego miejsca wśród konsultorów widział wchodzących kardynałów, mężczyzn różnych narodowości, temperamentów i wieku: Włosi gestykulowali wszyscy razem, pokazując białe zęby; Anglosasi poruszali się dostojnie i surowo; stary kardynał francuski, opierając się na lasce, szedł ramię w ramię z angielskim benedyktynem. Sala była jedną z wielkich sal, które wówczas tworzyły budynek Watykanu, ułożoną wzdłużnie w kształcie kaplicy. Na końcu, z pozostawionym przejściem pośrodku, znajdowały się miejsca dla konsultorów; na szczycie baldachim z tronem papieskim. Trzy lub cztery ławki z odpowiednimi krzesłami, po drugiej stronie miejsc konsultorów, były zarezerwowane dla księży i prałatów, którzy przybyli do Rzymu dzień wcześniej ze wszystkich zakątków Europy po ogłoszeniu tych przerażających wydarzeń.

Percy nie miał pojęcia, jaki był powód tego przemówienia; mogło chodzić tylko o sprawy, które nie wykraczały poza zwykłą rutynę: co innego można było powiedzieć, biorąc pod uwagę niepewność sytuacji? Wszystko, co do tej pory wiadomo było, sprowadzało się do wyboru Prezydenta Europy, faktu potwierdzonego przez małą srebrną monetę; do próby prześladowań, energicznie stłumionej przez władze, oraz do podróży Felsemburga przez stolice miast: spodziewano się go w Turynie pod koniec tygodnia. Z każdego ośrodka świata katolickiego napływały wiadomości z prośbą o instrukcje w tej sprawie. Mówiono, że apostazja narastała jak przypływ, że wszędzie groziły prześladowania i że nawet biskupi zaczynali się wahać. O poglądach Ojca Świętego nie wiadomo było nic na pewno. Ci, którzy mogli coś powiedzieć, milczeli; wyciekła jedynie plotka, że papież spędził całą noc na modlitwie przy grobie Apostoła...

Rozmowa natychmiast ucichła, zamieniając się w cichy szmer, by w końcu zniknąć w ciszy. Przez rzędy siedzeń widać było niejasne poruszenie głów, które pochylały się w geście czci, podczas gdy otwierały się drzwi za baldachimem i Giovanni *Pater Patrum* zasiadał na tronie.

Percy początkowo był zdezorientowany. W rozproszonym świetle wpadającym przez okna uwagę przyciągały mu jedynie dwa szkarłatne pasy, kończące się po obu stronach pod purpurowym baldachimem, oraz biała postać

, która tam siedziała. Z pewnością ci południowcy mieli wycucie efektu: tak żywy i uroczysty mógł go wywołać konsekrowany hostia w monstrancji ukoronowanej rubinami. Każdy element wystroju był okazały: ogrom sali, kolor szat, łańcuchy, krzyże; podczas gdy wzrok, kierując się ku najwyższemu punktowi, napotykał tę białą postać tak mało olśniewającą, jakby chwała tego świata dała wszystko, nie mogąc jednak ujawnić swojej najwyższej tajemnicy. Szkarłat, purpura, złoto dobrze pasowały do tych, którzy stali przy schodach: potrzebowali ich! Ale dla Tego, który zasiadał na tronie, nie były one konieczne. Niech znikną kolory i wygasną dźwięki przed namiestnikiem Boga! A jednak, jaka doskonałość postawy na tej pięknej, owalnej twarzy, na tym dostojnie uniesionym czole, w tych łagodnych i żywych oczach, w wyraźnym łuku warg, z których musiało wydobywać się tak potężne słowo. W sali nie słysząc było żadnego szumu, żadnego szeptu, żadnego oddechu. A nawet na zewnątrz sam świat wydawał się czekać, aż to, co nadprzyrodzone, wygodnie się przygotuje, zanim zdefiniuje i ogłosi spustoszenie.

Percy z wielkim wysiłkiem ponownie skupił uwagę i zaczął słuchać:

„... sprawy doszły do takiego punktu, najdrożsi synowie, że wymagają od nas odpowiedzi. Nie walczymy już, jak mówi Doktor Narodów, przeciwko ciału i krwi, ale przeciwko zwierchnościom i władzom, przeciwko władcom świata ciemności, przeciwko duchowi zła, który zasiada w wyższych sferach. Dlatego, kontynuuje Apostoł, przyobleczcie się w zbroję Bożą. I wyjaśnia nam istotę tej zbroi: pas prawdy, pancerz sprawiedliwości, obuwie pokoju, tarcza wiary, hełm zbawienia i miecz Ducha.

„W tej zbroi Słowo Boże nakazuje nam zatem walczyć, nie używając broni tego świata, gdyż Jego królestwo nie jest z tego świata. I właśnie po to, by przypomnieć wam o zasadach tej walki, zgromadziliśmy was w naszej obecności”.

Głos ucichł, a wśród zgromadzonych rozległy się westchnienia; następnie głos przemówił ponownie, tym razem wyższym tonem:

„Nasi poprzednicy zawsze mądrze postępowali, zgodnie ze swoim obowiązkiem, zachowując milczenie w niektórych sytuacjach, a w innych swobodnie głosząc całe słowo boskiej rady. Niech nie odwraca nas od wypełnienia tego obowiązku świadomość naszej słabości i naszej niewiedzy; ufamy raczej, że Pan, który umieścił nas na tym tronie, raczy przemówić naszymi ustami i sprawić, by zabrzmiały słowa ku Jego chwale.

„Przede wszystkim konieczne jest, abyśmy wydali nasz wyrok w sprawie tak zwanego nowego ruchu, który został niedawno zainicjowany przez światowych władców. Daleko nam do nieuznawania dobrodziejstw pokoju i zgody, ale nie możemy zapomnieć, że ich nadejście jest owocem zbyt wielu rzeczy, które potępiliśmy. Jest to pokój iluzoryczny, który uwiódł tak wielu, skłaniając ich do wątpienia w obietnicę Księcia Pokoju: że to tylko dzięki Niemu mamy dostęp do Ojca. Prawdziwy pokój, który przekracza nasze pojmowanie, nie dotyczy tylko relacji między ludźmi, ale przede wszystkim tych, które łączą ludzi z ich Stwórcą; podczas gdy w tej kluczowej kwestii zadanie ludzi nie zostało wypełnione. I naprawdę nie jest to zaskakujące, że w świecie, który odrzucił Boga, taka kwestia została zapomniana.

„Ludzie, zwiedzeni przez swoich uwodzicieli, są przekonani, że zjednoczenie narodów jest najwyższym dobrem tego życia, zapominając o słowach Zbawiciela, który nie przyszedł przynieść pokoju, ale miecz, i że drogą cierpień można wejść do Jego Królestwa.

„Należy zatem przede wszystkim zaprowadzić pokój między człowiekiem a Bogiem; z tego wyniknie zjednoczenie między ludźmi. Szukajcie najpierw – mówi Jezus Chrystus – Królestwa Bożego, a wszystko inne będzie wam dodane.

„Przede wszystkim potępiamy i anatemizujemy poglądy tych, którzy nauczają i wierzą w coś przeciwnego do tego, czego my nauczamy i w co wierzymy; dlatego ponawiamy potępienia nałożone przez naszych poprzedników na wszystkie stowarzyszenia, organizacje i wspólnoty, które zostały utworzone w celu promowania jedności na zupełnie innej podstawie niż ta boska, i przypominamy naszym dzieciom na całym świecie o zakazie przystępowania, wspierania i aprobowania w jakikolwiek sposób wszelkich stowarzyszeń objętych tymi potępieniami”.

Percy poruszył się nieco na krześle, ogarnięty lekkim uczuciem niecierpliwości... Sposób wypowiedzi był bez wątpienia wspaniały, spokojny i majestatyczny jak nurt rzeki, ale treść wydała mu się czymś więcej niż tylko frazesem: stare potępienie masonerii odnowione w zwyczajowej formule!

„Po drugie – kontynuował stanowczo ten głos – pragniemy poinformować was o naszych zamiarach na przyszłość. I tu wkraczamy na teren, który wielu uważało za niebezpieczny”.

Szepty znów się rozległy; Percy zauważył, że kilku kardynałów pochyliło się do przodu, przyciskając dłoń do ucha, by lepiej słyszeć: był to wyraźny znak, że za chwilę usłyszą coś naprawdę ważnego.

„Istnieje kilka kwestii – kontynuował głos – o których nie zamierzamy teraz mówić, ponieważ niektóre z nich są z natury tajne lub powinny zostać omówione przy innej okazji. Jednak to, co tutaj mówimy, kierujemy do całego świata. Tak jak ataki naszych wrogów są jawne lub tajne, tak samo muszą być nasze środki obronne. Oto zatem nasze zamiary”.

Papież ponownie zamilkł; nieświadomie przyłożył dłoń do piersi i chwycił wiszący tam krzyż.

„Armia Chrystusa, choć stanowi jedną całość, składa się z wielu oddziałów, z których każdy ma swoją funkcję i swój cel. W minionych czasach Bóg powołał grupy swoich sług do wykonania tego czy innego dzieła; synów św. Franciszka do głoszenia ubóstwa, synów św. Bernarda do pracy połączonej z modlitwą, wraz ze świętymi kobietami, które poświęciły się temu samemu celowi; Towarzystwo Jezusowe do wychowania młodzieży i nawracania niewiernych. A wraz z nimi inne zakony, dobrze znane wszystkim. Każda z tych wspólnot powstała i rozkwitła w innym czasie, zgodnie z potrzebą, i wszystkie szlachetnie wypełniły swoje powołanie. Szczególną chwałą każdej z nich, dla pewniejszego osiągnięcia celu, było zrezygnowanie z wszelkich działań (zawsze dobrych same w sobie), które mogłyby przeszkodzić w dziele, do którego Bóg je przeznaczył, zgodnie ze słowami Pana: Każdą gałąź, która wydaje owoce, przycina, aby wydawała więcej owoców. W obecnych okolicznościach takie zakony (które chwalimy i błogosławimy) nie wydają się Naszej Pokorze bardziej odpowiednie, zgodnie z regułami ich założycieli, do potrzeb nowych czasów. Nasza walka nie jest już skierowana przeciwko ignorancji, w szczególności tej pogan, którzy nie przyjęli Ewangelii, ani tych, których ojcowie ją odrzucili; ani przeciwko zwodniczym bogactwom tego świata, ani przeciwko fałszywej nauce; ani wreszcie przeciwko tym twierdzom niewierności, z którymi walczyliśmy w przeszłości. Wydaje się raczej, że nadeszła wreszcie ta pora, o której mówi Apostoł: Nie nastąpi to, dopóki nie nastąpi bunt i nie objawi się człowiek grzechu, syn zatracenia, który sprzeciwia się i wywyższa się ponad wszystko, co nazywa się Bogiem. Nie musimy już walczyć z tą czy inną

siły, ale raczej z ogromem tej Mocy, której czasy zostały przepowiedziane, a której klęska jest ustalona od wieczności”.

Głos zamilkł ponownie, a Percy chwycił się balustrady przed sobą, by powstrzymać drżenie rąk.

Nie słysząc było nawet najcichszego szmeru: tylko grobowa cisza przeszywała uszy. Papież, po głębokim westchnieniu, powoli obrócił głowę z prawej strony na lewą i kontynuował jeszcze bardziej stanowczym i zdecydowanym tonem:

„Naszej Pokorze wydawało się słuszne, aby Namiestnik Chrystusa sam wezwał dzieci Boże do nowej walki; i zamierzamy wpisać do Nowego Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego imiona wszystkich tych, którzy zgłoszą się do Jego najwyższej służby. Czyniąc to, jesteśmy w pełni świadomi nowości naszego podejścia i pragniemy również pominąć wszystkie te środki ostrożności, których musieliśmy używać w przeszłości. W tej sprawie nie zasięgamy rady nikogo poza Tym, który nas do tego zainspirował.

„Po pierwsze pragniemy powiedzieć, że chociaż od tych, którzy zostaną przyjęci do Zakonu, wymaga się najpokorniejszego posłuszeństwa, naszym głównym zamiarem przy jego ustanawianiu było zwracanie większej uwagi na Boga niż na człowieka, zwracanie się do Tego, który prosi o naszą hojność, bardziej niż do tych, którzy są skłonni ją odmawiać; oraz po raz kolejny poświęcić, poprzez formalny i świadomy akt, duszę i ciało woli Bożej oraz służbie Temu, który jako jedyny ma prawo domagać się takiej ofiary, racząc przyjąć nasze skromne dary.

„Krótko mówiąc, stawiamy następujące warunki:

„Nikt nie będzie mógł zostać przyjęty do Zakonu, jeśli nie ukończył siedemnastu lat. Żadna ozdoba, żaden strój, żadna odznaka nie będzie mu przysługiwać. Trzy rady ewangeliczne będą stanowić fundament Reguły; a do nich dodajemy czwartą intencję, a mianowicie: pragnienie męczeństwa i postanowienie, by je przyjąć.

„Biskup każdej diecezji, o ile wyrazi zgodę na wstąpienie do Zakonu, będzie pełnił funkcję przełożonego w granicach swojej jurysdykcji i zostanie zwolniony z ślubu ścisłego ubóstwa na cały okres sprawowania urzędu. Biskupi, którzy nie poczują się do tego powołani, pozostaną na swoich stanowiskach na zwykłych warunkach, ale nie będą mogli rościć sobie żadnych praw zakonnych wobec członków Zakonu.

«Następnie sami ogłaszamy nasz zamiar wstąpienia do Zakonu jako Najwyższy Przełożony i złożenia naszych ślubów w ciągu kilku dni.

Oświadczamy ponadto, że podczas naszego pontyfikatu nikt nie będzie mógł zostać wyniesiony do godności kardynała, kto nie złożył ślubów w Zakonie, oraz że jak najszybciej poświęcimy Bazylikę św. Piotra i Pawła na kościół centralny tego Zakonu i bez wątpienia wyniesiemy na ołtarze te błogosławione dusze, które poświęciły życie, wytrwale pozostając w swoim powołaniu.

„A co do tego powołania, ograniczamy się do stwierdzenia, że będzie można je realizować w najróżniejszych warunkach narzuconych przez przełożonych”.

„W odniesieniu do nowicjatu pokrótce przedstawimy wytyczne: każdy przełożony diecezjalny – ponieważ żywi się głęboką nadzieją, że nikt nie zechce pozostać poza tym – będzie posiadał zwyczajne prawa przysługujące przełożonym zakonnym i będzie upoważniony do angażowania podległych mu członków w każde dzieło, które według jego osądu może służyć chwale Boga i zbawieniu dusz; zamierzamy też powołać do naszej służby wszystkich, bez wyjątku, którzy złożyli śluby”.

Papież ponownie podniósł wzrok, nie okazując widocznego wzruszenia, a następnie kontynuował:

„Tak postanowiliśmy! W pozostałych kwestiach niezwłocznie zasięgniemy rady; pragniemy jednak, aby nasze słowa zostały ogłoszone całemu światu, aby bezzwłocznie stało się wiadome, czego Chrystus za pośrednictwem swojego Namiestnika żąda od wszystkich, którzy wzywają Jego święte Imię. Nie oferujemy żadnej innej nagrody poza tą, którą sam Bóg obiecuje tym, którzy Go kochają i poświęcają swoje życie dla Niego; żadnej innej obietnicy pokoju, poza tym, że będą pogardzani przez świat ludzki; żadnej innej ojczyzny poza tą, która przystoi pielgrzymom i wędrowcom, którzy spoglądają na Miasto, które ma nadejść; żadnego innego zaszczytu, jak tylko pogardę ze strony świata, żadnego innego życia, poza tym, które jest ukryte wraz z Jezusem Chrystusem w Bogu”.

ROZDZIAŁ CZWARTY I.

Siedząc w swoim prywatnym gabinecie w Whitehall, Oliviero Brand czekał na wizytę. Zbliżała się już dziesiąta, a za pół godziny musiał być w Parlamencie. Miał więc nadzieję, że ten pan Francis, kimkolwiek był, nie zatrzyma go zbyt długo; nawet teraz każda minuta była tylko stratą czasu, ponieważ w ciągu ostatnich dwóch tygodni praca stała się ogromna.

Nie musiał jednak czekać ani chwili dłużej: rozległo się ostatnie uderzenie zegara w Tower of Victoria, a na dole otworzyły się drzwi, a głos uprzejmie zapowiedział gościa.

Oliviero, rzucając szybkie spojrzenie na nieznajomego, na jego opadające powieki i lekko zwisające usta, zdołał go dokładnie ocenić w chwili, gdy obaj siadali; po czym energicznie przeszedł do rzeczy.

- Za dwadzieścia dwie minuty, proszę pana, muszę opuścić ten pokój; potem... – i wykonał niewielki gest.

- Dziękuję, panie Brand, to właśnie tyle czasu nam potrzeba. Proszę mi wybaczyć, że pozwalam sobie na taką swobodę!... – i sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągając z niej obszerną paczkę.

- Wychodząc stąd, zostawię panu tę paczkę; zawiera ona szczegółowe informacje o naszych prośbach i naszych nazwiskach. Oto, proszę pana, to, co mam panu do przekazania ustnie.

Oparła się plecami, skrzyżowała nogi i kontynuowała nieco niespokojnym tonem.

- Proszę wiedzieć, że przychodzę jako przedstawiciel wielu innych osób, które mają do Pana prośby i coś do zaoferowania. To ja jestem pełnomocnikiem, ponieważ to ja wpadłem na ten pomysł. Czy mogę najpierw zadać Panu jedno pytanie?

Oliviero skinął głową na znak zgody.

- Nie chciałbym pytać o coś, o czym nie mam prawa wiedzieć, ale czy to prawda, że kult boski zostanie przywrócony w całym kraju?

Oliviero uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że tak. Propozycja została przedstawiona po raz trzeci i, jak pan wie, prezydent ma dziś wieczorem wydać ostateczną decyzję.

- I nie zgłosi *weta*?

- Myślę, że nie, skoro zatwierdził to samo w Niemczech.

- Dokładnie!... A jeśli zostanie zatwierdzona, to czy należy sądzić, że natychmiast nabierze mocy prawnej?

Oliviero pochylił się nad stołem i podniósł zieloną kartkę, na której znajdował się tekst tego projektu.

- To oczywiście pan wie... – powiedział Oliviero – Cóż, tak, natychmiast stanie się prawem, a pierwsze święto będzie obchodzone w październiku; wydaje mi się, że to Święto Ojcostwa... tak, to Święto Ojcostwa.

- Tego dnia będzie wielki ruch! – powiedział drugi z pasją – a mamy tylko tydzień czasu.

- To nie jest sprawa, która dotyczy mojego ministerstwa – odparł pan Brand, odkładając kartkę – ale słyszałem, że rytuał będzie taki sam, jak ten stosowany w Niemczech: nie ma sensownego powodu, by wprowadzać jakieś szczególne zmiany.

- A czy skorzystamy z opactwa?

- Tak, bez wątpienia!

- Cóż, panie Brand; nie ulega wątpliwości, że komisarze rządowi dokładnie wszystko zbadali i opracowali swoje plany; wydaje mi się jednak, że będą musieli w tym celu wykorzystać całe swoje doświadczenie.

- Oczywiście!

- Widzi pan, panie Brand, stowarzyszenie, które reprezentuję, składa się wyłącznie z mężczyzn, którzy kiedyś byli księżmi katolickimi; jest nas około stu w całym Londynie. Jeśli mi pan pozwoli, zostawię panu rękopis, który dotyczy naszych ideałów, naszych statutów i tak dalej. Wydaje nam się, że w tej kwestii nasze dotychczasowe doświadczenie może z pożytkiem służyć rządowi. Ceremonie kultu katolickiego są, jak pan dobrze wie, bardzo skomplikowane; a niektórzy z nas studiowali je kiedyś dogłębnie. Mówi się, że mistrzami ceremonii się rodzi, a nie staje: mamy wśród nas sporą ich liczbę... nie licząc tego, że każdy ksiądz jest z natury ceremonialistą.

- I co z tym, panie Franciszek?..

- Oto jest; jestem pewien, że rząd zrozumiał, jak ogromne znaczenie ma to, by wszystko przebiegało zgodnie z porządkiem. Gdyby bowiem nabożeństwo rozpoczęło się w sposób chaotyczny i groteskowy, nie osiągnęłoby swojego celu. Dlatego też mam za zadanie zwrócić się do pana, panie Brand, aby polecić panu grupę mężczyzn (w sumie dwudziestu pięciu), którzy posiadają szczególne doświadczenie w tej dziedzinie i są zdecydowanie gotowi do służby na rzecz rządu.

Oliviero z trudem powstrzymał śmiech, który łaskotał go w usta: w tych propozycjach tkwiła obrzydliwa ironia; ale w gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę okoliczności, nie było w nich nic nierozsądnego.

- Doskonale rozumiem, panie Francis, jak mądre i trafne są pańskie sugestie; ale nie uważam się za osobę kompetentną w tej kwestii... Proszę posłuchać pana Snowforda.

- Tak, proszę pana, wiem! Ale to właśnie przemowa, którą wygłosił pan niedawno, zainspirowała nas wszystkich... kiedy ujawnił nam pan, co naprawdę kryje się w naszych sercach, i stwierdził, że świat nie mógłby istnieć bez kultu, i że w końcu poznaliśmy, kim jest prawdziwy Bóg!... Oliviero przerwał mu, machając ręką: nie mógł znieść nawet najmniejszej pochlebstwa.

- Zbyt miło, zbyt miło, panie Francis! Porozmawiam o tym z panem Snowfordem; i, jeśli dobrze zrozumiałem, zgłaszacie się jako... mistrzowie ceremonii...

- Tak, proszę pana; i jako zakrystianie! Dokładnie przeanalizowałem niemiecki rytuał; jest on znacznie bardziej skomplikowany, niż sądziłem, i będzie wymagał największej biegłości. Szacuję, że w opactwie potrzeba co najmniej dwunastu ceremoniarzy, a kolejna tuzin w zakrystiach nie będzie zbyt wielką liczbą.

Oliviero zgodził się bez wahania, przyglądając się z żywą ciekawością rozpalonej i pełnej pasji twarzy mężczyzny stojącego przed nim: dostrzegał w niej coś w rodzaju maski duchownej, którą zdawało mu się zawsze dostrzegać u ludzi z jego środowiska: to musiała być bez wątpienia maska bigota!

- Z pewnością jest pan masonem – rzekł Oliviero.

- Oczywiście, panie Brand!

- Świetnie!... Porozmawiam dzisiaj z panem Snowfordem, jak tylko go zobaczę. Oliviero spojrzał na zegarek: pozostały jeszcze trzy lub cztery minuty.

- Czy słyszał pan o nowych wyborach, które odbyły się w Rzymie, panie Brand? Oliviero pokręcił głową: na razie sprawy rzymskie nie interesowały go szczególnie.

- Kardynał Martin – kontynuował Francis – zmarł w środę, a jego następca został już mianowany.

- Naprawdę?

- Tak; nowo wybrany był kiedyś moim przyjacielem: Franklin!... Nazywał się Percy Franklin...

- Jak to?

- Co to jest, panie Brand? Czy pan go zna? Oliviero zmrużył oczy i zbladł.

- Tak, znałem go – odpowiedział spokojnie – a przynajmniej wydaje mi się, że go znałem!

- Przebywał w Westminsterze jeszcze kilka miesięcy temu.

- Tak... tak... – powiedział Oliviero, wciąż patrząc na swojego rozmówcę

– A pan, panie Francis, znał go...

- Oczywiście, że go znałem!

- Och! W takim razie chętnie dowiedziałbym się czegoś o nim – tu przerwał: miał nie więcej niż minutę czasu.

- Czy ma pan mi coś jeszcze do przekazania? – zapytał Oliviero.

- – Na razie nic więcej – odparł Francis. – Ale proszę pozwolić mi wyrazić wielki szacunek, jakim darzymy pańską pracę, panie Brand!... Myślę, że tylko my jesteśmy w stanie zrozumieć, co oznacza brak kultu! Na początku wydawało nam się to dziwne.

Jego głos zaczął drżeć, a potem zamilkł. Oliviero skorzystał z okazji, by wstać.

- A więc, panie Francis?

Te pełne melancholii oczy ponownie zwróciły się ku Oliviero.

- Oczywiście, to była iluzja... to była nasza iluzja, panie! Ale w każdym razie śmiem mieć nadzieję, że z dawnych aspiracji, pokut i modlitw nie wszystko zostało utracone. Złudzenie nas co do naszego Boga, ale one i tak do Niego dotarły, znajdując swoją drogę do Ducha Świata, który uczy nas, że jednostka jest niczym, a On jest wszystkim. A tymczasem...

- – Och, tak... – wymamrotał Oliviero, również wzruszony, podczas gdy jego rozmówca rozchylił zachwycony oczy i wykrzyknął:

- A tymczasem przybył Felsemburgh! Tak, Giuliano Felsemburgh!

Ten łagodny głos zawierał w sobie świat naglej namiętności i znalazł oddźwięk w sercu Oliviero.

- Rozumiem to, panie; dobrze wiem, co pan ma na myśli...

- Och! W końcu mamy Zbawiciela!... – wykrzyknął Francis – Zbawiciela, którego można zobaczyć, modlić się do niego twarzą w twarz! To jak sen, zbyt piękny, by w to uwierzyć.

Oliviero ponownie spojrzał na zegarek i natychmiast wstał, wyciągając rękę.

- Przepraszam, proszę pana, nie mogę dłużej zostać; głęboko mnie pan poruszył... tak, porozmawiam ze Snowfordem. A czy ma pan tutaj swój adres? – zapytał, wskazując na dokumenty.

- Tak, panie Brand; teraz mam do pana ostatnie pytanie!

- – To niemożliwe, proszę pana – rzekł Oliviero, potrząsając głową.
- Jedno słowo: czy to prawda, że nowe weto będzie obowiązkowe? Oliviero skinął głową potwierdzająco i zebrał swoje dokumenty.

II.

Tego wieczoru Mabel, siedząc na galerii za fotelem przewodniczącego, spojrzała na zegarek co najmniej dziesięć razy w ciągu godziny, mając nadzieję, że godzina dwudziesta pierwsza nadejdzie szybciej, niż się spodziewała. Dobrze wiedziała, że przewodniczący Europy nie przyspieszy ani nie opóźni o minutę ustalonej godziny: jego niezrównana punktualność była znana na całym kontynencie. Jeśli więc wyznaczył godzinę dwudziestą pierwszą, bez wątpienia przybędzie dokładnie o dwudziestej pierwszej. Z dołu rozległ się ostry dźwięk dzwonka, a głos mówcy, który ciągnął się powoli, natychmiast ucichł. Mabel ponownie spojrzała na zegarek i zobaczyła, że pozostało pięć minut; pochyliła się więc nieco do przodu, aby przyjrzeć się zgromadzeniu.

W sali nastąpiło wielkie poruszenie na ten dźwięk: wszyscy członkowie Parlamentu, którzy już zajmowali brązowe siedzenia, przyjęli na nich bardziej dostojną pozycję; rozkrzyżowali nogi i wrzucili kapelusze pod skórzane frędzle. Zobaczyła jeszcze przewodniczącego Izby schodzącego z trzech stopni swojego siedzenia, ponieważ za pięć minut miał go zastąpić inny przewodniczący.

Sala była wypełniona po brzegi od jednego końca do drugiego; wyobraźcie sobie! Spóźniony, który wszedł z półmroku południowych drzwi, rozglądał się zdezorientowany, nie mogąc odnaleźć w pełnym świetle swojego pustego miejsca! W dolnej części galerii były zajęte aż do miejsca, gdzie Mabel nie mogła znaleźć miejsca. A jednak z tego tak zatłoczonego pomieszczenia nie dochodził hałas, lecz stłumiony szept.

Po raz drugi rozbrzmiał dzwon za wejściem, a korytarze rozjaśniły się; na zewnątrz, na Placu Parlamentu, ponownie rozległ się zgiełk tłumu, który milczał przez ostatnie dwadzieścia minut. Kiedy ucichł, Mabel zrozumiała, że On przyszedł. Cóż za niespotykane czarowanie – znaleźć się tam, tej nocy, w tym szczególnym miejscu, gdzie prezydent miał właśnie wygłosić przemówienie! Miesiąc wcześniej zatwierdził podobny projekt w Niemczech i wygłosił przemówienie na ten sam temat w Turynie; jutro miał udać się do Hiszpanii. Nikt jednak nie wiedział, gdzie przebywał przez ostatni tydzień; krążyła plotka, że jego statek powietrzny widziano szybującego nad jeziorem Como, ale plotka ta została szybko zdementowana.

Nikt nie wiedział, co powie tej nocy: mogły to być trzy słowa lub tysiąc; w projekcie były klauzule – zwłaszcza ta

w szczególności ten, który nakładał obowiązek uczestnictwa w nowym kulcie na obywateli powyżej siódmego roku życia – które mógł odrzucić, zgłaszając weto. W takim przypadku klauzule te musiałyby zostać zrewidowane, a projekt wycofany, chyba że Izba natychmiast przyjąłaby jego poprawki przez aklamację.

Mabel bardzo odpowiadały te klauzule; stanowiły one, że chociaż nowy kult miał być odprawiany w każdym kościele parafialnym w Anglii od pierwszego października, to jednak nie stał się obowiązkowy aż do nowego roku. Natomiast Niemcy, przedstawiając projekt miesiąc wcześniej, uczynili go obowiązkowym natychmiast, zmuszając w ten sposób poddanych katolików do opuszczenia kraju bezzwłocznie lub poniesienia kary. Le które zresztą były dość łagodne: za pierwsze przestępstwo – tydzień aresztu, za drugie – miesiąc więzienia, za trzecie – rok, a za czwarte – pobyt w więzieniu trwał do momentu, aż sprawca nie uznałby się za pokornego. Mabel wydawały się to dość łagodne warunki.

W rzeczywistości uwięzienie sprowadzało się do zwykłego zamknięcia we własnym domu z obowiązkiem pracy na rzecz rządu. Nie było tu okropności średniowiecza! A poza tym sam akt kultu wymagał tak niewiele!

Wystarczyła zwykła obecność w kościele podczas czterech nowych świąt: Macierzyństwa, Życia, Solidarności, Ojcostwa, obchodzonych pierwszego dnia każdego kwartału, przy czym uczestnictwo w niedzielnych nabożeństwach było całkowicie dobrowolne.

Mabel nie mogła pojąć, jak człowiek mógłby odmówić oddania takiego hołdu: chodziło tu o fakty rzeczywiste, które bardziej niż inne ujawniały Ducha Świata. Jeśli komuś podobało się nazywać tego Ducha Bogiem, nie mógł nie uznać tych faktów za działania samego Boga. Gdzie więc były trudności? Przecież nie zakazano kultu katolickiego w jego zwyczajowych przejawach!... Katolicy mogli nadal chodzić na mszę!

Niemniej jednak w Niemczech działy się rzeczy bardzo przykre: dwanaście tysięcy osób wyruszyło już do Rzymu, a mówiło się, że kolejne czterdzieści tysięcy odmówiło pięć dni wcześniej tego prostego aktu hołdu. Mabel była przerażona i rozdrażniona na samą myśl o tym: w nowym kulcie widziała ukoronowanie triumfu ludzkości, po tym jak wielokrotnie wzruszała się, marząc o wydarzeniach podobnych do publicznego i zbiorowego wyznania tego, co obecnie stanowiło przedmiot powszechnej wiary. Zawsze ubolewała nad bezsensownością tych, którzy zajmowali się życiem, nigdy nie zastanawiając się nad jego źródłami. Niewątpliwie te pragnienia jej serca nie mogły być błędne: pragnęła

przebywać wraz z bliźnimi w miejscu pełnym pobożności, poświęconym nie przez błogosławieństwo kapłana, lecz przez wolę człowieka; czerpać inspirację z łagodnych pieśni i potężnych akordów organów; dać upust swojemu smutkowi wraz z tysiącem innych bliskich jej osób, które podobnie jak ona są delikatnymi ofiarami złożonymi Uniwersalnemu Duchowi; śpiewać głośno chwałę życia i składać modlitwami i kadzidłem symboliczny hołd wielkiej Całości, która obdarzyła ją istnieniem i która pewnego dnia je jej odbierze.

- Ach! Ci chrześcijanie! – myślała wielokrotnie. – Jakże dogłębnie znali naturę ludzką! Co prawda ponizyli ją, gasząc światło, zatruwając myśli, depcząc instynkty....., ale dobrze rozumieli, że człowiek ma potrzebę wielbienia... wielbienia, by nie stać się zwierzęciem!

Ze swojej strony postanowiła udawać się, przynajmniej raz w tygodniu, do małego kościołka oddalonego o pół mili od domu i klękać przed jasnym sanktuarium, by rozmyślać nad słodkimi tajemnicami w obecności tego Ducha, który uczył ją kochać i upajać się wciąż nowymi powiewami mocy i życia.

- Ach! Gdyby tylko ten projekt przeszedł za pierwszym razem!...

Mabel zacisnęła dłonie na balustradzie i spojrzała na rzędy głów, otwarte przejścia oraz wielkie berło na stole, a bardziej niż okrzyki z zewnątrz i cichy szum wewnątrz czuła bicie własnego serca.

Wiedziała, że stamtąd nie będzie mogła go zobaczyć; z dołu, przechodząc przez prywatne drzwi, udałby się bezpośrednio pod tron. Jednak usłyszałaby jego głos, a to wystarczyło, by napełniło ją radością.

W tym momencie wszyscy zamilkli również na zewnątrz, a w sali ucichł cichy szept. On więc przybył! Błądząc wzrokiem, ujrzała długie rzędy głów unoszących się w dole, a jej wciąż oszołomione uszy usłyszały tupot kroków, podczas gdy wszystkie twarze zwracały się w tym samym kierunku; Mabel patrzyła na nie, by ujrzeć w nich odbicie światła Jego obecności, jak w lustrze. Lekki szloch przebiegł przez powietrze... czy pochodził od niej, czy od innych wokół niej? Potem rozległo się trzasknięcie drzwi, następnie ciche westchnienie, a potem emocje goniły emocje, gdy dzwon uderzył trzy razy; dreszcz przebiegł po bladych twarzach zgromadzonych, jakby burza namietności wstrząsnęła ich duszami; tu i ówdzie niejasne ruchy zakłócały spokój zgromadzenia. W końcu czysty i spokojny głos wypowiedział trzykrotnie następujące słowa w esperanto:

- Anglicky, zatwierdzam wasz projekt kultu.

III.

Oliviero i Mabel spotkali się ponownie dopiero następnego dnia w południe. Oliviero przenocował w mieście, a o jedenastej zadzwonił, że wraca, zabierając ze sobą gościa. Tak więc Mabel, tuż przed dwunastą, usłyszała w salonie głos gościa i męża.

Francis, przedstawiając się jej, sprawiał wrażenie osoby nieszkodliwej lub mało atrakcyjnej, pomimo poważnej postawy, jaką przyjął po zatwierdzeniu projektu; ale dopiero pod koniec śniadania dowiedziała się, kim on jest.

- Zostań, Mabel – powiedział Oliviero, gdy żona zamierzała wyjść – to sprawa, która spodoba się również tobie – a potem dodał – między mną a moją żoną nie ma tajemnic.

Francis skinął głową z uśmiechem.

- – A więc – kontynuował Oliviero – pozwolisz mi, abym opowiedział jej o tobie?

- Oczywiście!

Wtedy Mabel dowiedziała się, że Francis był księdzem katolickim jeszcze pięć miesięcy temu i że naradzał się ze Snowfordem w sprawie ceremoniału, jaki należy przyjąć w opactwie.

Gdy to usłyszała, nagle ogarnęła ją ogromna ciekawość.

- – Och! Mów, mów! – powiedziała Mabel – opowiedz mi wszystko!

Tego ranka Francis odbył rozmowę z nowym ministrem kultu i otrzymał ostateczne zadanie przejęcia odpowiedzialności za uroczystości pierwszego października. Kolejnych dwunastu jego kolegów zostało przydzielonych, przynajmniej tymczasowo, do grona ceremoniarzy; a po uroczystościach mieli udać się do różnych ośrodków na serię wykładów dotyczących organizacji kultu narodowego. Oczywiście, mówił Francis, w takich sprawach nie da się od razu osiągnąć doskonałości; ale mieli nadzieję, że w nowym roku wszystko będzie dobrze zorganizowane, przynajmniej w katedrach i głównych miastach.

- I trzeba się spieszyć, jak tylko się da – dodawał Francis – bo trzeba jak najszybciej wyrzucić dobre wrażenie na ludziach. Są tysiące ludzi, którzy mają instynkt uwielbienia, choć nie wiedzą, jak go zaspokoić.

- „Dokładnie tak!” – potwierdził Oliviero. „Ja też od dawna to odczuwam! Moim zdaniem jest to instynkt najbardziej zakorzeniony w człowieku”.

- Jeśli chodzi o ceremonie... – i z miną pełną powagi, rzuciwszy szybkie spojrzenie dookoła, wyciągnął z kieszeni elegancko oprawioną książeczkę – oto

ceremoniał na święto Ojcostwa: dodałem do niego kilka kartek i zrobiłem notatki – I zaczął przeglądać strony, podczas gdy Mabel, wyraźnie wzruszona, przysunęła krzesło, by lepiej słyszeć.

- – Brawo, proszę pana – powiedział Oliviero – teraz z przyjemnością przeczyta nam pan coś.

Francis włożył palec między strony książeczki, przysunął nieco swój talerz i rozpoczął coś w rodzaju wstępu.

– Przede wszystkim należy pamiętać, że ten rytuał w większości wywodzi się z masonerii; trzy czwarte uroczystości zajmują te obrzędy, a ceremoniarze zajmą się nimi jedynie, upewniając się, że insygnia są gotowe w zakrystiach, a następnie odpowiednio założone. Do tego momentu ceremonię prowadzą właściwi urzędnicy... i nie ma potrzeby, abym o tym mówił. Trudności zaczynają się w ostatniej części.

W tym miejscu przerwał, rzucił przepraszające spojrzenie i zaczął układać sztucce i kieliszki na obrusie.

- – Oto – rzekł – mamy tu dawną kaplicę opactwa. W miejscu, gdzie obecnie znajduje się ołtarz i mensa, powstanie wielki ołtarz, o którym mowa w rycie, wraz z odpowiednimi stopniami. Za ołtarzem, mniej więcej na wysokości starej relikwii świętego, zostanie umieszczony postument, na którym spocznie symboliczna figura; a ta, z tego co słyszałem, odkąd nie sprawuję kierownictwa, pozostanie na swoim miejscu aż do wigilii najbliższego święta kwartalnego.

- „Co to za figura?” – zapytała młoda kobieta. Francis spojrział na Oliviero.

- Wiem, że zlecieli to Markenheimowi... On zaprojektuje i wyrzeźbi posągi, po jednym na każde święto. Ten przedstawia Ojcostwo...

Francis znów zamilkł.

- Czy tak jest, panie Francis?

- Ta o Ojcostwie – tak mi powiedziano – ma przedstawiać nagiego mężczyznę...

- Wiesz, kochana, coś w rodzaju Apolla lub Jowisza – dodał Oliviero. Oczywiście! To było słuszne, pomyślała Mabel.

- Po przemówieniu w tym miejscu wkracza nowa procesja; i tutaj trzeba zachować najsurowszy porządek. Przypuszczam, że pozwolą nam na kilka prób!

- – Tylko kilka – odparł z uśmiechem Oliviero.

Mistrz ceremonii westchnął z ulgą.

- Obawiałem się, że nie! Na szczęście!... Musimy zatem podać w druku jak najdokładniejsze instrukcje.

Ci, którzy w tym uczestniczą, wycofają się, jak sędzę, podczas hymnu do starej kaplicy Santa Fede; tak mi się wydaje najlepsze – i mówiąc to, wskazał na kaplicę. Po wejściu procesji wszyscy zajmą swoje miejsca po obu stronach, podczas gdy celebrans, w towarzystwie świętych sług...

- Co?...

Na twarzy Franciszka pojawił się lekki grymas; zarumienił się nieco; po czym kontynuował:

- Prezydent Europy... – i tu znów przerwał – Ach!... Widzi pan? O to właśnie chodzi. Czy prezydent weźmie udział w ceremonii? Z rytuału nie wynika to jasno.

- Wierzmy, że tak, ponieważ zamierzamy go zaprosić.

- Świetnie! W przeciwnym razie, jak sędzę, funkcję celebransa pełni Minister Kultu: ten wraz ze swoimi asystentami kieruje się prosto do schodów ołtarza.

Pamiętaj, że figura jest przykryta, a świece zapalono podczas przemarszu procesji. W tym momencie rozpoczynają się modlitwy zawarte w rytuale, po których następują odpowiedzi; śpiewa je chór i będą one, jak sędzę, najbardziej sugestywną częścią całej uroczystości. Następnie celebrans samotnie wchodzi na ołtarz i stamtąd wygłasza tzw. inwokację, a pod koniec inwokacji, czyli w miejscu oznaczonym tutaj gwiazdką, czterech kadzielniczych wychodzą razem z kaplicy. Jeden z nich wchodzi na ołtarz, pozostawiając pozostałych, by machali kadzielnicami przy schodach, podaje swoją kadzielnicę celebransowi, a następnie wycofuje się. Na dźwięk dzwonu zasłony są zdejmowane ze statuy, a celebrans w ciszy okadza obraz czterema podwójnymi pociągnięciami; a po zakończeniu okadzania chór intonuje przewidzianą antyfonę.

Francis wykonał gest ręką.

- Reszta – kontynuował – jest łatwa i nie ma potrzeby, abyśmy ją analizowali. Rzeczywiście, Mabel również wspomniane ceremonie wydawały się bardzo proste, ale musiała się rozczarować...

- Nie ma pan pojęcia, panie Brand, z jakimi trudnościami spotyka się nawet w tak prostej sprawie jak ta: głupota ludu ma w sobie coś niezwykłego!

Przewiduję, że będzie to dla nas poważna sprawa... Kto wygłosi przemówienie, panie Brand?

Oliviero potrząsnął głową.

- – Nie wiem – odpowiedział – Przypuszczam, że zajmie się tym pan Snowford.

Francis spojrzał na swojego rozmówcę niepewnym wzrokiem.

- Jaka jest pańska opinia na temat całej tej sprawy?

- Wydaje mi się – powiedział Oliviero po krótkiej ciszy – że jest to absolutnie konieczne. Nie byłoby takiego zamieszania wokół kultu, gdyby nie była to naprawdę odczuwalna potrzeba. Uważam również, że ogólnie rzecz biorąc, rytuał jest bardzo sugestywny i nie widzę, jak można by go ulepszyć.

- Naprawdę, Oliviero? – wtrąciła się z wątpliwością żona.

- Nie! Ale to nie ma znaczenia! Najważniejsze, żeby ludzie to rozumieli!

- – Ach, drogi Panie – zaczęła ponownie Francis – kult wiąże się z poczuciem tajemnicy, jeśli dobrze pamiętasz. To właśnie brak tego poczucia sprawił, że epoka imperialna przeminęła w minionym stuleciu. Dla mnie jest to cudowne: wszystko zależy, jak wiadomo, od sposobu, w jaki się to przedstawi. Widzę, że rytuał pozostawia pewne szczegóły do ustalenia, na przykład kolor zasłon i inne, ale ogólny plan jest wspaniały, a przede wszystkim prawdziwy w swoim głębokim znaczeniu.

- A jak Pani to rozumie?

- Jako hołd złożony życiu w jego czterech aspektach. Macierzyństwo, odpowiadające Bożemu Narodzeniu w chrześcijańskiej legendzie, jest świętem rodziny, miłości, wierności... Potem jest samo Życie z jego młodzięcym ożywieniem wiosną; Solidarność, w samym sercu lata, wyraża obfitość, dobrobyt, bogactwo... i odpowiada katolickiemu Bożemu Ciału; wreszcie Ojcostwo, które oznacza prokreację, obronę, panowanie... gdy zbliża się zima. Myślę, że to niemiecki pomysł! Oliviero zgodził się z tym.

- Na pewno! – powiedział – I to mówca będzie musiał to wszystko wyjaśnić.

- Tak to rozumiem; i wydaje mi się to bardziej sugestywne niż uczynienie przedmiotem kultu Obywatelstwa, Pracy itp., ponieważ one przecież podlegają Życiu.

Francis mówił, starając się nieco powstrzymać swój niezwykle zapał. Nigdy nie wydawał się tak bardzo księdzem jak w tej chwili... on również odczuwał potrzebę oddania czci!

Mabel nagle złożyła ręce i powiedziała cichym głosem:

- Myślę, że to jest piękne, a jednocześnie prawdziwe!

Francis spojrzał na nią swoimi płonącymi brązowymi oczami.

- Ach! Dokładnie tak, Pani!... Tutaj nie ma miejsca na tak zwaną wiarę, ale na widok faktów, co do których nie może być żadnych wątpliwości. A kadzidło ukazuje życie jako jedyną boskość, a jednocześnie jego tajemnicę.

- Z jakiego materiału są wykonane posągi? – zapytał Oliviero.

- Na razie nie da się zrobić posągu z kamienia; tymczasowo będą z gliny. Markenheim od razu zabrał się za ich modelowanie; a jeśli zostaną zaakceptowane, wyrzeźbi je potem w marmurze.

Mabel zauważyła z kobiecą powagą:

- To właśnie tego potrzebowaliśmy! Tak trudno jest wyjaśnić nasze zasady, nie ucieleśniając ich w czymś... Potrzebny jest jakiś wyraz! Zamilkła.

- Wierzysz w to, Mabel?

- – Nie chcę przez to powiedzieć – odparł – że niektórzy nie potrafią bez tego żyć, ale wielu z pewnością nie potrafi. Ideału nie da się wyrazić inaczej niż poprzez konkretne obrazy, które służą jako nośnik ludzkich aspiracji... Nie wiem, czy się wyraziłem...

Oliviero uspokoił ją krótkim skinieniem głowy; wydawał się również pogrążony w tej samej myśli.

- Oczywiście! – powiedział – służą one również do przyzwyczajania ludzi do wyrażania swoich idei i eliminowania wszelkiego niebezpieczeństwa przesądów.

Francis zapytał nagle:

- Co pan sądzi o nowym zakonie, który założył papież?

Na te słowa twarz Oliviero przybrała wyraz okrucieństwa.

- Uważam, że było to najgorsze, co mógł zrobić. W rzeczywistości albo będzie to skuteczny środek i wywoła ogromną reakcję, albo okaże się nic nieznaczącym, a wtedy posłuży jedynie do jego zdyskredytowania.

- „Dlaczego mnie o to pytasz?” – zapytał Oliviero.

- Zastanawiałem się nad jakąś straszną awanturą w opactwie

- Nie chciałbym znaleźć się w sytuacji kogoś, kto odważyłby się to sprowokować!

W słuchawce rozległo się głośnie dzwonenie; Oliviero natychmiast to zauważył. Mabel obserwowała go, jak naciska przycisk, podaje swoje imię i przykładą ucho do słuchawki.

- – To sekretarz Snowforda – powiedział od razu do dwojga czekających osób. – Snowford musi być nieobecny. Ach!... Proszę!...

Ponownie podał swoje nazwisko i znów zaczął słuchać. Następnie przekazał im jedno lub dwa dość sugestywne zdania.

- Ach!... Przykro mi... oczywiście! Ale zawsze to lepsze niż nic!... Tak, jest tutaj!... Świetnie!... Zaraz do niej pójdziemy.

Spojrzał na rurkę, ponownie nacisnął przycisk, a potem wrócił na swoje miejsce.

- – Przykro mi – powiedział – Prezydent nie weźmie udziału w uroczystości! Nie wiemy nawet, czy pojawi się na przyjęciu. Pan Snowford pragnie się z nami natychmiast spotkać, panie Francis; będzie tam również Markenheim.

Mabel, choć rozczarowana, miała wrażenie, że Oliviero był poważniejszy, niż wynikało to z samego rozczarowania.

ROZDZIAŁ PIĄTY I.

Percy Franklin, nowy kardynał protektor Anglii, wychodził z apartamentów papieża, idąc powolnym krokiem korytarzem wraz z kardynałem protektorem Niemiec Hansem Steimannem, który dyszał u jego boku. Weszli do windy i wyszli z niej bez słowa; obaj byli przystojnymi i energicznymi postaciami kardynałów, jeden wyprostowany i męski, drugi nieco zgarbiony, otyły i niemiecki, od okularów aż po czubki butów.

Przy drzwiach swojego mieszkania Anglik zatrzymał się, wykonał niewielki ukłon i wszedł w milczeniu.

Sekretarz, młody pan Brent, który niedawno przybył z Anglii, wstał, gdy wszedł jego pan.

- - Wasza Eminencjo – powiedział – nadeszła poczta z Anglii.

Percy wyciągnął rękę, a po odebraniu paczki przeszedł do gabinetu i usiadł. Oto, co tam było: ogromne nagłówki nad czterema kolumnami tekstu, przeplatane tu i ówdzie zwięzłymi zdaniami napisanymi wielkimi literami, zgodnie z modą wprowadzoną przez Amerykę sto lat wcześniej; nie znaleziono jeszcze lepszego sposobu na dostarczanie nieprawdziwych wiadomości ludowi, który nic nie rozumie!

Percy przyjrzał się nagłówkowi tej gazety. Było to angielskie wydanie „*L'Epoca*”; następnie przeczytał następujące nagłówki:

Kult narodowy – Poruszający blask – Religijny entuzjazm – Opactwo i nowy bóg – Fanatyczny katolik – Byli kapłani ceremonialni. Przeglądał stronę, zatrzymując się na najbardziej wyrazistych zdaniach, tworząc w ten sposób z całości coś w rodzaju impresjonistycznego obrazu wydarzeń, które miały miejsce dzień wcześniej w opactwie, o których dowiedział się już z telegramu i które były przedmiotem dyskusji podczas jego poprzedniej rozmowy z Ojcem Świętym. Najwyraźniej nie było tu żadnych ważnych wiadomości, o których by nie wiedział, i już miał odłożyć gazetę, gdy jego wzrok przykuło jedno imię.

„Zostaliśmy poinformowani, że pan Francis, główny ceremoniarz, któremu wszyscy powinniśmy złożyć podziękowania i wyrazy uznania za pełną szacunku gorliwość i wyjątkowe umiejętności, wkrótce uda się do miast na północy, aby wygłosić wykłady na temat rytuału. Warto zauważyć, że pięć miesięcy temu ten szanowny pan pełnił posługę przy ołtarzu katolickim. Był on

wypełnianiu swoich obowiązków wspierany przez dwudziestu czterech współbraci, którzy mieli takie samo doświadczenie jak on”.

- Boże mój!... – wykrzyknął Percy i upuścił gazetę z ręki...

Ale natychmiast porzucił myśl o odstępczym księdzu, by ponownie zastanowić się nad powagą całej tej sytuacji oraz nad tym, że powinien o tym poinformować, zgodnie ze swoim obowiązkiem, Ojca Świętego.

Podsumowując, kult panteistyczny bez wątpienia rozpoczął się pod najlepszymi znakami zarówno w Anglii, jak i w Niemczech. We Francji, co zrozumiałe, ludzie wciąż zbyt przywiązani do kultu własnego ja nie potrafili pojąć szerszych idei w kwestii religii, ale Anglicy wykazali się większą dojrzałością umysłu; i wbrew przewidywaniom nielicznych wszystko przebiegło bez cienia śmieszności czy groteski: Anglię nazywano wówczas krajem *humoru* i powagi!

Dlatego nigdy nie widziano widowiska podobnego do tego z poprzedniego dnia. Głośnie okrzyki entuzjazmu rozbrzmiały od jednego końca opactwa do drugiego, gdy po odsłonięciu zasłon pojawiła się ogromna, naga statua Ojcostwa, majestatyczna i imponująca, wymodelowana z niezwykłą sztuką, w blasku światła na tle zasłony, która zakrywała jej gablotę.

Markenheim dobrze wykonał swoje zadanie, a płomienne słowa Oliviero Branda odpowiednio nastroiły serca słuchaczy na wielkie objawienie. W swojej mowie końcowej zacytował liczne fragmenty z pism proroków żydowskich, które zapowiadały miasto Pokoju, którego mury wznosiły się teraz na oczach wszystkich.

„Powstań i świeć, bo przyszło twoje światło, a chwała Pańska rozbłysła nad tobą... Bo oto tworzę nowe niebiosy i nową ziemię, a tych, co były, nie będzie się już pamiętać, ani nie przyjdą na myśl...

W twoim królestwie nie będzie już słyhać przemocy, ani spustoszenia, ani zniszczenia w twoich granicach. O ty, od tak dawna uciśniona, miotana burzą i pozbawiona pociechy... przygotuję ci kamienie o najżywych barwach i fundamenty z szafiru...Zrobię ci okna z agatów, drzwi z rubinów i obwód z kamieni szlachetnych. Powstań, rozjaśnij się, bo przyszło twoje światło”.

W międzyczasie łańcuszki kadzielnic brzęczały w ciszy, a ten ogromny tłum padał jednocześnie na kolana i pozostawał w pokłonie, podczas gdy dym unosił się spiralnie z rąk apostatów, którzy machali kadzielnicami. W tym samym czasie rozbrzmiewały organy; a z liczego chóru zgromadzonego w nawach bocznych zabrzmiała antyfona, przzerwana krzykiem przerażenia jakiegoś nierozsądnego katolika... Ale natychmiast uciszono go...

- Wydaje się to niewiarygodne!... Absolutnie niewiarygodne!... – mówił do siebie Percy. A jednak to, co niewiarygodne, stało się, a Anglia odzyskała swój kult, niezbędne zwięźcenie wolnej duchowości.

Z prowincji napływały doniesienia o tych samych wydarzeniach... a wszystkie katedry były świadkami tych samych zjawisk.

Arcydzieło Markenheima, wykonane cztery dni po zatwierdzeniu projektu, zostało powielone maszynowo, a cztery tysiące jego kopii wysłano do głównych ośrodków. Liczne telegramy przyniosły do Londynu wiadomość, że nowy ruch nieodparcie porywa wszędzie masy i że ideały ludzkie znalazły wreszcie doskonały wyraz. Percy przypomniał sobie wtedy sentencję Woltera, że gdyby Bóg nie istniał, należałoby Go wymyślić! Był również zdumiony zręcznością, z jaką wymyślono nowy kult. Żaden jego element nie budził kontrowersji, żadna różnica poglądów politycznych nie mogła przeszkodzić w jego sukcesie; nie było też żadnych pytań o jego zasadność ze strony tych, którzy w tajemnicy byli indywidualistami lub konserwatystami. Życie, jedyne źródło nowego kultu, przybrało wspaniałe szaty starożytności. Było to w rzeczywistości dzieło Felsemburga, choć mówiono, że ma niemieckie pochodzenie: rodzaj pozytywizmu, katolicyzmu bez chrześcijaństwa, sublimacja ludzkości, adoracja nie człowieka, ale idei człowieka pozbawionej wszelkich nadprzyrodzonych zasad. Uznawano również ofiarę, ale jako naturalny instynkt poświęcenia się, a nie jako pokutę wymaganą przez transcendentną władzę za grzech pierworodny człowieka... W gruncie rzeczy, myślał Percy, wszystko to było tak pomysłowe jak diabeł i tak stare jak Kain! A w zawiadomieniu przekazanym Ojcu Świętemu sam nie wiedział, czy doradził nadzieję, czy rozpacz. Wydano zatem surowy dekret, który zakazywał katolikom wszelkiego rodzaju przemocy; mieli oni wykazać się cierpliwością, trzymać się z daleka od nowego kultu, nie mówić nic, jeśli nie zostaną zapytani, i z radością znosić kajdany.

Zarówno Percy, jak i kardynał Steinmann prosili o powrót do swoich krajów, aby dodać otuchy wahającym się chrześcijanom; papież jednak odpowiedział, że ich obecnym obowiązkiem jest pozostanie w Rzymie, o ile nie pojawią się nieprzewidziane okoliczności.

Niewiele wiadomo było o Felsemburghu; krążyły pogłoski, że przebywa na Wschodzie, ale nie znano żadnych dalszych szczegółów.

Percy dobrze uzasadnił powody swojej nieobecności podczas inauguracji nowego kultu. Po pierwsze, nie wiedział, komu dać

z dwóch narodów, które wspólnie go wprowadzały; po drugie, jako doświadczony polityk, chciał trzymać się z dala od wszelkich możliwych niepowodzeń; po trzecie, naprawdę miał coś do załatwienia na Wschodzie. Ten ostatni punkt pozostawał raczej niejasny, ponieważ nie mówiono o tym publicznie, ale wydawało się, że ruch zapoczątkowany rok wcześniej nie przebiegał zbyt pomyślnie. W rzeczywistości nie można było wyjaśnić nowej i długiej nieobecności Felsemburga w jego przybranej ojczyźnie, chyba że zakładając, że coś wymagało jego absolutnej obecności gdzie indziej. Jednak wrodzona ostrożność mieszkańców Wschodu oraz skrupulatne środki ostrożności Imperium nie pozwoliły na ujawnienie żadnych informacji. Mówiono, że w grę wchodzi kwestie religijne, a także krążyły pogłoski o cudach, prorocत्वach... i ekstazie...

Percy dostrzegł w swoim nastroju niewielką zmianę; nie śmiał wzbić się na skrzydłach nadziei, ale nie poddawał się też rozpacz. Odprawił mszę, przeczytał liczną korespondencję i odbył swoją codzienną medytację. Nie odczuwał już w swojej wierze najmniejszej cienia wątpliwości, ale nie znajdował w niej już ani emocji, ani uczuć; czuł się jak ktoś, kto pracuje w głębi ziemi z wyschniętą wyobraźnią, ale świadomy jednak, że gdzieś tam wciąż śpiewają ptaki, świeci słońce i płyną wody. W tym rozpoznał nowy stan czystej wiary, wiary, która jest prostym pojmowaniem tego, co duchowe, wolnej jednak od niebezpieczeństwa fałszywych pociech i fantastycznych wizji. Zdał sobie z tego sprawę, rozważając trzy drogi, którymi Bóg zwykle objawia się duszom. Pierwsza to droga wiary zewnętrznej, która wyraża zgodę na prawdy przedstawione do uwierzenia przez właściwy autorytet, realizuje się w praktykach religijnych, ale bez szczególnych atrakcji i jeszcze bez wątpliwości. Druga to droga zmysłowych i emocjonalnych zdolności duszy, która zaczyna się od pociech, pragnień, porywów, mistycznych wizji, nie wykluczając jednak niebezpieczeństw. Właśnie na tej drodze podejmuje się postanowienia, rozróżnia powołania, a także doświadcza się rozczarowań. Trzecia droga, tajemnicza i niepojęta, to duchowa sublimacja wszystkiego, co spotkało się na poprzednich drogach (po których następuje jak dramat po próbach); i na tej drodze Bóg się oddaje, ale nie jest odczuwalny, łaska jest wchłaniana, ale nie jest smakowana, a duch, porzucając sferę emocji i pojęć, schodzi stopniowo w głąb swojej istoty, aby zjednoczyć się z duszą i osobą Chrystusa.

Tak właśnie rozmyślała ta wysoka i dostojna postać w purpurze, siedząca w szkarłatnej szacie na wielkim fotelu, z oczami skierowanymi ku Świętemu Miastu, ledwo widocznemu przez jesienną mgłę. Jak długo jeszcze potrwa pokój? Ale w jej oczach nawet powietrze miało mroczny odcień śmierci. W końcu Percy zadzwonił dzwonkiem.

- – Proszę mi przynieść ostatni list od ojca Blackmore'a – powiedział do sekretarza.

II.

Percy posiadał od natury bystrą intuicję, którą z czasem doskonalił dzięki długoletniej praktyce; dlatego nie zapomniiał o proroczych uwagach, jakie rok temu skierował do niego ojciec Blackmore: a jego pierwszym posunięciem jako kardynała protektora było włączenie tego księdza do grona swoich angielskich korespondentów. Do tej pory otrzymał tuzin listów, z których każdy zawierał ziarno złota; ale w szczególny sposób został ostrzeżony, że wszyscy tam bardzo się martwią z powodu jakiejś prowokacji, która prędzej czy później nadejdzie ze strony angielskich katolików. To właśnie wspomnienie tych ostrzeżeń zainspirowało go tego samego ranka do gorących próśb skierowanych do Ojca Świętego. Podobnie jak podczas prześladowań w Rzymie i Afryce w pierwszych trzech wiekach, tak i teraz największe zagrożenie dla katolików nie polegało już na niesprawiedliwych postanowieniach rządu, ale na nadgorliwości samych wiernych: świat nie czekał na nic lepszego, by podnieść miecz; pochwa już opadła. Kiedy sekretarz przyniósł mu cztery gęsto zapisane strony z datą Westminster, Percy natychmiast spojrzał na ostatni akapit poprzedzający zwyczajowe zalecenia.

„Pan Philipps, były sekretarz Oliviera Branda, którego Wasza Eminencja mi polecił, odwiedził mnie dwa lub trzy razy. Znajduje się on w naprawdę osobliwym stanie umysłu: nie ma żadnej wiary, ale teoretycznie nie ma innej nadziei poza Kościołem katolickim. Złożył nawet wniosek o przyjęcie do Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego, na co oczywiście nie można było mu zgodzić; ale jego szczerość nie budzi wątpliwości, bo gdyby nie był szczery, już dawno zostałby katolikiem. Skontaktowałem go z wieloma katolikami w nadziei, że otrzyma od nich pomoc i radę. Bardzo bym chciał, aby Wasza Eminencja z nim porozmawiała”.

Zanim opuścił Anglię, Percy interesował się nieco nowym znajomym, którego poznał w tak dziwny sposób dzięki nawróceniu starszej pani Brand; i choć sam nie wiedział dlaczego, polecił księdzu pana Philippsa. Oczywiście ten człowiek nie miał w sobie nic szczególnego: okazywał się nieśmiały, niezdecydowany, pomimo niewątpliwie hojnego czynu, którym zaryzykował swoją posadę; jednak z pewnością posiadał w sobie załazek dobroci. Dlatego Percy postanowił go wezwać; być może sama atmosfera Rzymu przyspieszyłaby jego nawrócenie, a przynajmniej rozmowa z sekretarzem Oliviero Branda dostarczyłaby mu cennych informacji.

Ponownie wezwał sekretarza i powiedział mu:

- Panie Brent, kiedy będzie pan pisał do ojca Blackmore'a, proszę mu przekazać, że muszę spotkać się z tym panem Philipppsem, którego już wcześniej proponował mi wysłać.
- Eminencjo, tak.
- Ale bez pośpiechu; proszę robić to w swoim własnym tempie!
- Eminencjo, tak.
- Wystarczy, że pojawi się tutaj na początku stycznia; jest wystarczająco dużo czasu, o ile nie pojawią się pilniejsze sprawy.
- Eminencjo, tak.

Zakon Chrystusa Ukrzyżowanego osiągnął niezwykle postępy. Wezwanie papieża skierowane do ludzkości wywołało burzę. Świat chrześcijański osiągnął taki stopień napięcia, że sam odczuwał potrzebę całkowitej reorganizacji swojej natury; w ten sposób udzielił odpowiedzi, która zadziwiła nawet największych optymistów. W Rzymie i na przedmieściach ludzie przybywali do bazyliki św. Piotra, aby się zapisać, niczym głodni do jedzenia i niczym zdesperowani szturmujący wyrwę w murze. Przez kilka kolejnych dni papież musiał pozostawać na tronie obok katedry (wspaniała i majestatyczna postać, coraz bledsza i bardziej zmęczona pod wieczór), aby niemyym znakiem krzyża błogosławić wiernych, którzy roili się wśród balustrad, a którzy po poście i komunii przychodzili złożyć przysięgę posłuszeństwa swojemu nowemu przełożonemu i ucałować pierścień. Warunki były tak surowe, jak wymagały tego okoliczności. Każdy kandydat musiał wyznać grzechy przed wyznaczonym w tym celu kapłanem, który dokonywał skrupulatnej i wnikliwej oceny jego motywów i szczerości: w ten sposób przyjęto jedynie jedną trzecią kandydatów. Ten odsetek (a władze wskazywały na ten fakt z pogardą) nie był nadmierny; należy bowiem pamiętać, że większość z tych, którzy się zgłaszali, przeszła już próbę ognia; spośród tych trzech milionów co najmniej dwa miliony znajdowały się na wygnaniu z powodu swojej wiary, woląc żyć w ukryciu i pogardzie w cieniu skrzydeł Boga, niż w ohydny blasku swoich niewiernych krain. Piątego wieczoru podczas przyjmowania nowicjuszy doszło do wzruszającej sceny: stary król Hiszpanii (syn, drugi syn królowej Wiktorii), już u progu grobu, wstając z kolan, zaczął chwiać się u stóp swojego pana: wydawało się, że zaraz upadnie, gdy sam papież, szybkim ruchem wstał, podtrzymał go, przyjął w swoje ramiona i ucałował. Następnie, stojąc z rozpostartymi ramionami, wygłosił

krótką modlitwę, jakiej podobnej w historii bazyliki jeszcze nie słyszano. „*Benedictus Dominus!...*” – zawołał z twarzą zwróconą ku niebu i błyszczącymi oczami; „*Niech będzie błogosławiony Pan Bóg Izraela, ponieważ nawiedził i odkupił swój lud. Ja, Jan, Namiestnik Chrystusa, sługa sług i grzesznik wśród grzeszników, zachęcam was wszystkich, abyście mieli dobre serca w imię Boga. W imię Tego, który wisi na krzyżu, obiecuję życie wieczne wszystkim, którzy wytrwają w tym Zakonie. On sam powiedział: Temu, kto zwycięży w próbie, dam koronę życia. Moi synowie, nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało; oni nie mogą zrobić nic więcej... Jezus i Jego Matka Maria są z nami*”.

Tak rozchodziła się mowa papieża, przypominająca przerażonym tłumom o krwi przelanej na ziemi, po której stąpali; o ciele Apostoła, które leżało tam, zaledwie kilka kroków dalej, dodając im otuchy, pobudzając i inspirując. Przypominał, jak poświęcili się śmierci, jeśli taka była wola Boża; w przeciwnym razie ich zamiar zasługiwałby przed Nim na tyle samo, co sam czyn: przypominał, że teraz podlegają posłuszeństwu; ich wola nie należała już do nich, ale do Boga; podlegają czystości, ponieważ ich ciała zostały wykupione za wielką cenę; podlegają ubóstwu, a ich królestwem jest Królestwo Niebieskie.

Papież zakończył wielkim, niemym błogosławieństwem dla Miasta i świata; a wśród wiernych nie brakowało nawet sześciu czy siedmiu osób, które twierdziły, że widziały postać podobną do gołębia, unoszącą się w powietrzu, podczas gdy papież przemawiał, białą jak mgła, przezroczystą jak woda.

Wydarzenia, które nastąpiły potem w mieście i na przedmieściach, były tak niezwykle, że nie miały sobie równych: tysiące rodzin rozwiązało za wspólną zgodą więzy małżeńskie. Mężczyźni wycofali się do przestronnych rezydencji na Kwirynale, a kobiety na Awentyn; podczas gdy dzieci, ożywione tym samym zapalem co rodzice, zostały zgromadzone u sióstr św. Wincentego, które otrzymały od papieża domy na trzech całych ulicach, aby je przyjąć.

Na każdym placu płonęły ogniska, niszcząc przedmioty luksusu, które stały się bezużyteczne w wyniku ślubowania ubóstwa i zostały wrzucone do ognia przez samych właścicieli. Każdego dnia z dworców poza murami miasta odjeżdżały długie pociągi z nowymi ludźmi, biegłymi w swoich obowiązkach, których papież wysyłał jako swoich delegatów, aby byli solą ziemi i zaczynem, który miał przeniknąć rozległe obszary niewiernego świata; a świat ten witał ich przybycie śmiechem i pogardą.

Z każdej części chrześcijaństwa napływały pocieszające wieści. Przy przyjmowaniu do nowego Zakonu stosowano te same środki ostrożności

jak w Rzymie, ponieważ w tej kwestii zasady były precyzyjne i bezwzględne. A jednak dzień po dniu napływały długie listy nowych zakonników przekazywane przez ordynariuszy diecezjalnych. W ciągu ostatnich pięciu dni nadeszły listy jeszcze bardziej chwalebne: towarzyszące im relacje nie tylko informowały, że Zakon rozpoczął już swoje dzieło, że przywrócono dawno przerwane kontakty, że gorliwi misjonarze organizowali się, a nadzieja odradzała się w najbardziej zniechęconych sercach; ale, co więcej, ogłaszały triumfy odniesione na szlachetniejszym polu. W Paryżu czterdziestu braci z nowego Zakonu zostało spalonych żywcem w ciągu jednego dnia w Dzielnicy Łacińskiej, zanim rząd zdążył interweniować. Z Hiszpanii, Holandii i Rosji napływały kolejne nazwiska męczenników.

W Dusseldorfie osiemnastu mężczyzn i chłopców, zaskoczonych podczas śpiewu Prima w kościele św. Wawrzyńca, zostało wrzuconych do kanału, a każdy z nich, aż do momentu zanurzenia, powtarzał:

Christe, fili Dei vivi, miserere nobis!

I z tej ciemności unosił się ten sam śpiew, aż kamienie uciszyły go.

W międzyczasie niemieckie więzienia wypełniały się pierwszymi zatrzymanymi, którzy odmówili służby wojskowej.

Świat wzruszał ramionami, twierdząc, że to oni sami są przyczyną swojego nieszczęścia; i choć potępiał przemoc tłumów, domagał się uwagi władz i zdecydowanego stłumienia tej nowej pułapki bałwochwalstwa! Tymczasem w Bazylice św. Piotra robotnicy zajmowali się budową nowych ołtarzy, wykuwając na kamiennych dyptykach nieprzemijające imiona tych, którzy złożyli śluby i zdobyli koronę. To były pierwsze słowa, którymi Bóg odpowiadał na prowokacje świata!

W miarę zbliżania się świąt Bożego Narodzenia ogłoszono, że Papież odprawi uroczystą mszę w Bazylice św. Piotra w ostatnim dniu roku, zgodnie z intencją Zakonu; i już trwały przygotowania.

Była to swego rodzaju publiczna inauguracja nowego przedsięwzięcia; ku zdumieniu wszystkich wysłano również specjalny rozkaz do członków Świętego Kolegium rozsianych po całym świecie, aby tego dnia znaleźli się w Rzymie, o ile nie byli chorzy. Wydawało się, że papież chciał dać światu do zrozumienia, iż wojna została wypowiedziana; ponieważ, choć to zaproszenie do Rzymu nie

oznaczało dla każdego kardynała nieobecności dłuższej niż pięć dni w swojej prowincji, mogło to pociągać za sobą wiele innych niedogodności.

W tym roku Boże Narodzenie obchodzono z niezwykłą uroczystością. Percy, któremu powierzono zadanie asystowania papieżowi podczas drugiej mszy, odprawił swoje trzy pasterki o północy w prywatnym oratorium. Po raz pierwszy w życiu był świadkiem widowiska, o którym wielokrotnie słyszał, a mianowicie wielkiej procesji papieskiej przy blasku pochodni z Lateranu do kościoła św. Anastazji, gdzie papież pięć lat wcześniej przywrócił zwyczaj przerwany ponad sto lat temu. Wnętrze małej bazyliki było zarezerwowane dla nielicznych uprzywilejowanych, ale ulice na całej trasie od katedry do tego kościoła, a także inne, które tworzyły jakby dwa boki rozległego trójkąta, stanowiły zwartą i cichą masę ludzkich głów i płonących pochodni. Ojciec Święty odprawiał mszę, jak zwykle, w asyście władców; a Percy rozmyślał ze swojego miejsca nad boskim dramatem Męki Pańskiej, który się teraz rozgrywał, zapowiadany w scenie Narodzenia przez ręce starego Angelica, jego Namiestnika. Nic tutaj nie przypominało Kalwarii: powietrze, samo światło mówiły o Betlejem, a nadprzyrodzona ciemność rozprzestrzeniała się wokół prostego ołtarza. W starych rękach Papieża spoczywało cudowne Dziecię, bardziej niż umęczony człowiek boleści. *Adeste fideles*, śpiewał chór z trybuny, Przyjdźcie, aby wielbić, a nie płakać; radujmy się, weselmy się, stańmy się i my dziećmi: jeśli On stał się mały dla nas, stańmy się i my mali dla Niego!

Założmy szaty dzieciństwa i obujmy sandały pokoju, ponieważ „*Pan króluje i przyodział się w majestat; przyodział się i przepasał się mocą; On założył świat, a ten nie upada, Jego królestwo trwa od wieków. On jest od wieczności. Raduj się więc wielce, córko Syjonu; wesel się, córko Jerozolimy: oto przychodzi do ciebie Król, Ten, który sam jest święty, Zbawiciel świata!*”. Nadejdzie czas cierpienia, gdy księżę tego świata powstanie przeciwko Królowi Niebios.

Tak rozmyślał Percy, siedząc w swoim fotelu, starając się nawet w majestacie swojej pompy stać się małym i pokornym.

Z pewnością nic nie było niemożliwe dla Boga: czyż takie mistyczne Narodzenie nie mogło dokonać starożytnego cudu, aby swoją słabością złamać każdą wyniosłą pychę, zwłaszcza tę, która nazywa się Bogiem? Kiedyś przyciągnęła do siebie Mędrców i prostych pasterzy od ich stad; dziś również miała wokół siebie królów, klęczących razem z ubogimi i pokornymi; królów, którzy

Po złożeniu koron nieśli złoto wiernych serc, kadzidło czystej wiary, mirrę upragnionego męczeństwa. Czyż republiki nie mogłyby również zrzec się swojego przepychu, narody stać się pokorne, wyrzec się egoizmu, a nauka wyznać własną niewiedzę?

Ale nagle przypomniał mu się Felsemburgh i na tę myśl serce mu się ścisnęło.

III.

Sześć dni później Percy wstał o zwykłej porze, odprawił mszę, zjadł śniadanie, zaczął odmawiać modlitwy i pozostał przy nich, aż sługa poinformował go, że ma się przygotować do mszy pontyfikalnej.

Był już tak przyzwyczajony do złych wiadomości – o śmierci, odstępstwach, skandalach – że spokój poprzedniego tygodnia był dla niego jak nieoczekiwany powiew świeżości. Prawie łudził się, że jego fantazje o świętej Anastazji zaczynają się spełniać i że łagodność dawnego święta Bożego Narodzenia nadal oddziałuje na świat, który jednak odrzucił jego przedmiot.

W rzeczywistości żadne nowe wydarzenie nie budziło niepokoju.

Odnotowano wprawdzie kolejne akty męczeństwa, ale były to przypadki odosobnione, a z samego Felsemburga nie napływały już żadne wiadomości: Europa przyznawała już, że sprawy tego miasta są jej całkowicie obce.

Z drugiej strony Percy wiedział, że jutro będzie dniem wielkiego oczekiwania zarówno dla Anglii, jak i dla Niemiec; w Anglii bowiem właśnie wchodziła w życie ustawa nakładająca obowiązek wyznawania nowej religii, podczas gdy w Niemczech miała ona swoje drugie zastosowanie. Dla wszystkich, mężczyzn i kobiet, nadszedł czas podjęcia decyzji.

Poprzedniego wieczoru wpadła mu w ręce kopia posągu, który miał być czczony pierwszego dnia roku w opactwie: Percy, w przypływie gniewu, rozbił go na kawałki. Przedstawiała ona nagą kobietę, wielką i majestatyczną, o czarującej urodzie, z głową i ramionami lekko odchylonymi do tyłu, jakby w akcie kontemplacji niezwykle niebiańskiej wizji, z rozpostartymi ramionami, dłońmi nieco uniesionymi, palcami rozłożonymi niczym u ekstazy; a z jej stóp i złączonych kolan wynikał wyraz oczekiwania, nadziei i zachwyty. Z prawdziwie diabelską ironią jej długie włosy nosiły koronę z dwunastu gwiazd! Ojcostwo znalazło więc oblubienicę w tym wyobrażeniu matczynego ideału, który oczekiwał swojego syna...

Kiedy wszystkie fragmenty spadły mu do stóp jak zatruty śnieg, Percy pobiegł do klęcznika i upadł na niego z bolesną tęsknotą po zadośćuczynieniu.

– Och! Matko, o Matko! – wołał do wielkiej Królowej Niebios, która spoglądała na niego z wysokości piedestału, trzymając w ramionach swojego prawdziwego Syna. Ach! Matko!... – i więcej nie był w stanie powiedzieć.

Jednak tego ranka wydawał się znów spokojny; uczcił świętego Sylwestra, papieża i męczennika, ostatniego w chrześcijańskim kalendarzu, z pewnym spokojem ducha. Widok ostatniej nocy, z tym tłumem celebransów, nieznanymi kardynałami, którzy przybyli ze wszystkich stron świata, uspokoił go: bezzasadnie, owszem, jak dobrze wiedział, ale jednak naprawdę. Samo powietrze wydawało się nasycone oczekiwaniem na uroczystość i radość; przez całą noc plac był zatłoczony cichym tłumem, który czekał na otwarcie świątyni.

Również w tej chwili plac i kościół pękały w szwach od ludzi, a na dole, na ulicy, aż do rzeki, dostrzegał nieustanny kłębiec ludzkich głów, które tworzyły nawet ciemną frędzelkę na dachach kolumnady i okolicznych domów, pomimo chłodu tego pogodnego poranka, ponieważ wiadomo było, że po mszy i po przemarszu członków Zakonu przed tronem papieskim Ojciec Święty udzieli uroczystego błogosławieństwa miastu i światu.

Percy skończył *trzecią*, zamknął brewiarz i rozsiadł się w fotelu, czekając z minuty na minutę, aż sługa przyjdzie po niego.

W międzyczasie jego myśli krążyły wokół zbliżającej się uroczystości, a on sam rozważał, że weźmie w niej udział całe Kolegium Kardynałów (z wyjątkiem kardynała protektora Jerozolimy, którego powstrzymała choroba), liczące sześćdziesięciu czterech członków. Miało to być widowisko jedyne w swoim rodzaju na całym świecie.

Przypominał sobie, że osiem lat wcześniej, po wyzwoleniu Rzymu, zgromadziło się tam podobne zgromadzenie, ale wtedy kardynałów było tylko pięćdziesięciu sześciu, a brakowało czterech.

W międzyczasie usłyszał rozmowę w przedpokoju, a potem szybkie kroki i energiczne naleganie angielskiego głosu; z ciekawością nasłuchiwał i usłyszał odpowiedź swojego sługi:

- Jego Eminencja musi się przygotować; w tej chwili to niemożliwe!

Nastąpiła nieco bardziej ożywiona replika, lekka sprzeczka, a w końcu gwałtowne przekręcenie klamki. Wydało mu się to nieprzystojne; wstał, zrobił trzy długie kroki w kierunku drzwi i otworzył je w pośpiechu.

Pojawił się mężczyzna, którego nie rozpoznał od razu, blady i zdezorientowany.

- „Co to za maniery?” – zaczął Percy i już miał się cofnąć.

- – Pan Philipps! – rzekł ten drugi.

Percy podał mu rękę.

- To ja, panie... Ekscelencjo, właśnie przybywam do Rzymu; chodzi o życie lub śmierć!... a wasz sługa tutaj powiedział mi...

- Kto pana wysłał?
- Ojciec Blackmore.
- Dobrze czy złe wieści?

Mężczyzna spojrzał na sługę, który stał dwa kroki dalej, wyraźnie zmartwiony; Percy zrozumiał, wziął Philippsa za rękę i wprowadził go do pokoju.

- Giovanni – rzekł do sługi – przyjdź po mnie za dwie lub trzy minuty. Przemierzając lśniąca podłogę, Percy powrócił na swoje miejsce przy oknie, opuścił okiennice i zwrócił się do wciąż dyszącego mężczyzny:

- Proszę mi w dwóch słowach opowiedzieć, panie, co się dzieje!
- Katolicy spiskowali, zamierzając jutro wysadzić opactwo za pomocą materiałów wybuchowych. Wiedziałem, że papież... Percy jednym szybkim ruchem odebrał mu głos.

ROZDZIAŁ SZÓSTY I.

Tego wieczoru stacja tramwajowa była stosunkowo pusta, gdy przybyła tam windą niewielka grupa naszych sześciu podróżnych. Nie nosili na sobie niczego, co odróżniałoby ich od innych: dwaj kardynałowie z Niemiec i Anglii mieli na sobie proste futra, bez żadnych szczególnych oznak swojego rangi; za nimi szli dwaj kapelani, podczas gdy słudzy wyprzedzali ich z bagażami, aby zapewnić sobie prywatny przedział.

Czwórka czekała teraz w milczeniu, patrząc bez zainteresowania na szybką krzątanie pracowników pokładowych wokół tego gładkiego i lśniącego potwora, który leżał tam uwięziony w stalowej siatce, z wielkimi antenami na razie złożonymi, ale które za chwilę miały rozciąć powietrze z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę.

W międzyczasie Percy odsunął się od pozostałych, podszedł do okna od strony Rzymu, oparł łokcie na parapecie i zaczął się rozglądać.

Przed nim rozciągał się niezwykle widok.

Zbliżała się pora zachodu słońca; a niebo, jasnozielone w górnej części, przechodziło w ponurą żółć w kierunku horyzontu, z dwoma krwistymi smugami na krańcach; podczas gdy na dole, nad miastem, rozciągał się ponury fiolet wieczoru, przerywany tu i ówdzie czernią cyprysów i przecinany nagimi iglicami ludowego cmentarza zbudowanego poza murami.

Ale ze środka obrazu wyrastała ogromna kopuła o nieokreślonym kolorze, raz szarym, raz fioletowym, w zależności od spojrzenia; a nadając tymi barwami pozory powietrznej bańki temu solidnemu kolosowi, na południu niebo lśniło bladą pomarańczą. Ta kopuła wydawała się centrum najwyższej władzy: ząbkowana linia wież, dzwonnicy, iglic, dachów stłoczonych w Dolinie Piekła, a dalej wzgórza o czarującym pięknie nie mogły być niczym innym jak tylko przybudówkami tego najwyższego Tabernakulum Boga. Lampy zaczynały się zapalać i świeciły teraz tak, jak świeciły przez trzydzieści wieków; delikatne słupy dymu unosiły się prosto w kierunku ciemniejącego nieba.

Również zgiełk w Mieście-Matce cichł, ponieważ zimno zatrzymywało mieszkańców w domach; a na dole wieczorny spokój zstępował, kończąc dzień i rok.

W wąskich uliczkach Percy dostrzegł kilka malutkich postaci, spieszących się niczym spóźnione mrówki; trzask bata, krzyk kobiety, płacz dziecka docierały do niego niczym osobliwe odgłosy z innego świata: one również ucichłyby, pozostawiając wszystko w spokoju. Jednak przy powolnych i smutnych uderzeniach dzwonu półspiące miasto zdawało się budzić, by szepnąć „dobranoc” wielkiej Matce Bożej. Z tysiąca dzwonnicy powoli rozchodziła się melodia między ziemią a niebem w tysiącu akcentów: wyróżniał się dzwon św. Piotra, ponury i uroczysty, a po nim wyższy i delikatniejszy dzwon Lateranu, następnie bardziej surowy dzwon starych kościołów oraz drażliwe brzęczenie klasztorów i kaplic. Wszystko to, otulone tajemnicą w spokojnym powietrzu tego zimowego wieczoru, opowiadało o połączeniu czystego dźwięku i czystego światła. W górze czyste, pomarańczowe niebo, na dole łagodna i ekstatyczna melodia dzwonów.

„*Alma Redemptoris Mater...*” – szeptał Percy ze łzami w oczach – „O wielka Matko Odkupiciela, brama nieba i gwiazdo morza, zmiłuj się nad grzesznikami! Anioł Pański zwiastował Marii, a ona poczęła z Ducha Świętego... Wlej, o Panie, łaskę w nasze serca, abyśmy my, którzy poznaliśmy Wcielenie, poprzez mękę i krzyż doszli do zmartwychwstania, przez Chrystusa, Pana naszego”.

Tuż obok rozległ się kolejny ostry dźwięk dzwonka, przywołujący Percy'ego z powrotem na ziemię, do trosk, obowiązków i zmartwień. Spojrzał jeszcze raz na ten nieruchomy statek, również lśniący jasnym światłem, podczas gdy dwaj księża wraz z niemieckim kardynałem zbliżali się do wejścia.

Wybrali ostatnią kabinę; a gdy stary kolega wygodnie się rozgościł, Percy wyszedł bez słowa na centralny korytarz, by po raz ostatni spojrzeć na Rzym.

Drzwi wejściowe były zamknięte, a gdy Percy z przeciwległego okna patrzył na wysoki mur, który wraz z wznoszeniem się statku miał zniknąć pod nim, poczuł wibracje silnika elektrycznego rozchodzące się po całym tym pomysłowym urządzeniu. Po głosowym ostrzeżeniu na podłodze rozległy się szybkie kroki, dzwonek zadzwonił raz, potem dwa razy, a po nim rozbrzmiał melodyjny akord. Dzwonek zadzwonił ponownie, wibracje ustały, a krawędź muru, który zasłaniał mu niebo, zniknęła jak nagle opadająca bariera, podczas gdy Percy poczuł, że traci oparcie pod stopami.

Chwilę później oto wysoko ponownie pojawiła się kopia, podczas gdy miasto (pas wież na ciemnej masie dachów) opadało nisko, wyróżnione światłem i wirujące niczym turbiny. Po kolejnym

harmonijnym krzyku gigantyczna maszyna uderzyła mocniej skrzydłami, ustaliła swoją wysokość i sycząc w zderzeniu z cichym powietrzem, odleciała na północ.

Miasto oddalało się coraz bardziej, stopniowo zamieniając się w szary krajobraz na ciemnym tle. Niebo wydawało się rozszerzać w miarę jak ziemia zanurzała się w ciemności i niczym ogromna szklana kopuła lśniło, nie dając światła.

Kiedy Percy rzucił ostatnie spojrzenie z najdalszego zakątka kanału, miasto było już tylko linią na horyzoncie... linią, która malała... linią, a potem niczym.

Wypuścił głębokie westchnienie i ruszył, by odnaleźć swoich towarzyszy podróży.

II.

- Proszę mi to wyjaśnić nieco dokładniej – rzekł stary kardynał, gdy obaj usiedli naprzeciwko siebie, podczas gdy kapelani przebywali w innym przedziale – Kim jest ten człowiek?

- Kto? Pan Philipps? Był sekretarzem Oliviero Branda, jednego z naszych posłów; to on wprowadził mnie do łoża śmierci starej pani Brand, tracąc w konsekwencji pracę. Teraz jest dziennikarzem; to szlachetny człowiek, nie jest katolikiem, ale pragnie nim zostać. Być może to jest powód, dla którego powierzyli mu tę tajemnicę.

- A oni?

- To banda zdesperowanych ludzi! Mają wystarczająco dużo wiary, by działać, ale za mało, by wykazać się cierpliwością... Ten człowiek z pewnością zyskał ich sympatię, ale na ich nieszczęście jest człowiekiem sumienia i doskonale rozumie, że zamach tego rodzaju oznaczałby koniec wszelkiej dalszej tolerancji. Czy nie widzi Wasza Eminencjo, jak gwałtowne są uczucia wszystkich wobec nas? Starzec z bólem potrząsnął głową.

- Oczywiście, że widzę! Czy w ten spisek zamieszani są również moi Niemcy? Czy jest Pan tego pewien?

- Eminencjo, chodzi o bardzo rozległy spisek, przygotowywany od kilku miesięcy; spotykali się co tydzień i znakomicie potrafili zachować tajemnicę. W Niemczech jednak odłożono wykonanie zamachu, aby poczekać na Anglików i wyrzucić w ten sposób większe wrażenie. A jutro...

– Percy potrząsnął głową w geście rozpaczy.

- A co z Świętym Ojcem?

- Pobiegnę do niego dziś rano, zaraz po zakończeniu mszy. Nie sprzeciwił się moim propozycjom i natychmiast posłał po Waszą Eminencję. Nie ma innego wyjścia, Wasza Eminencjo!

- Czy uda nam się zażegnać niebezpieczeństwo?

- Nie wiem, co powiedzieć, ale nie widzę innego wyjścia. Natychmiast pobiegnę do arcybiskupa i opowiem mu wszystko. My dotrzemy, jak sądzę, o trzeciej, a pani o piątej według czasu niemieckiego. Nabożeństwo w opactwie rozpocznie się o jedenastej: do tego czasu zrobimy więc wszystko, co w naszej mocy. Rząd zostanie poinformowany i dowie się również, że w Rzymie jesteśmy niewinni; wyobrażam sobie, że ogłosi obecność kardynała, arcybiskupa i koadiutorów w zakrystiach, podwoi straż, zorganizuje przelot samolotów nad opactwem... a potem... a potem wszystko pozostaje w rękach Boga!

- Ale czy naprawdę, jak pan sądzi, dokonają tego zamachu?
- Co mam powiedzieć? – odpowiedział Percy.
- Wydaje mi się, że mają dwa różne plany...
- Dokładnie!... Jeśli dobrze zrozumiałem, zamierzają zrzucić z góry ładunki wybuchowe na opactwo; w przeciwnym razie co najmniej trzech mężczyzn zgłosiło się, poświęcając własne życie, aby sami wrzucić je do środka... Czy ma Pan jakieś przeczucia, Eminencjo?

Starzec, patrząc prosto w twarz kolegi, odpowiedział:

- Pańskie poglądy są moimi!... Ale, Ekscelencjo, czy rozważył Pan wszystkie możliwe konsekwencje naszego działania? A jeśli, na przykład, nic się nie wydarzy?

- – Och!... W takim razie oskarżą nas o inscenizację zbrodni, by się wywyżżyć; jeśli jednak coś się wydarzy, oboje staniemy przed obliczem Boga! I niech tak się stanie, jeśli taka jest Jego wola! – dodał z zapalem.

- Przynajmniej będzie to łatwiejsze do zniesienia! – zauważył starzec.

- Wybacz mi, Ekscelencjo, nie powinienem był mówić w ten sposób!

Nastąpiła chwila ciszy między nimi, podczas której słychać było jedynie nieustanne wibracje śmigła i atak kaszlu z sąsiedniego przedziału.

Percy, z brodą opartą na dłoni, patrzył przez okno. Ziemia wydawała się ciemna w głębokiej pustce; wysoko na niebie błyszczało niepewne światło, od czasu do czasu odsłaniając jakąś gwiazdę przez lodowate mgły, podczas gdy statek płynął, lawirując pod wiatr.

- W Alpach robi się zimno! – mruknął Percy. A potem, wracając do tematu: – Gdybym tylko miał choćby najmniejszy dowód!... Nic, poza słowem jednego człowieka!

- A on jest o tym przekonany?

- Przekonany!

- Eminencjo – rzekł Niemiec, wpatrując się w twarz rozmówcy – proszę mi wierzyć, że podobieństwo jest wręcz niezwykle!

Percy uśmiechnął się ledwie zauważalnie: ta uwaga zaczynała go irytować.

- „Co to za znak?” – nalegał ten drugi.

- To pytanie zadawano mi już wiele razy, ale naprawdę nie mam żadnej wskazówki!

- Myślę natomiast, że kryje się tu ręka Boga!... – kontynuował Niemiec, wciąż wpatrując się w kolegę.

- – W jaki sposób, Ekscelencjo?

- W pewnego rodzaju antynomii, w odwrotnej stronie medalu... a co ja tam wiem? Nastąpiła kolejna cisza. Niemiecki kapelan, zwyczajny, niewielki mężczyzna o niebieskich oczach, podszedł, by spojrzeć na witraż, a potem znów się wycofał.

- Eminencjo – zaczął nagle stary kardynał – musimy jeszcze porozmawiać o planach, które należy zrealizować...

Percy potrząsnął głową.

- „Nie ma co planować!” – odparł. „Znamy tylko fakt: żadnego imienia, nic więcej nie możemy wskazać. Znajdujemy się dokładnie w sytuacji dzieci w klatce tygrysa, któremu ktoś już wykonał gest w kierunku pyska”.

- Miejmy nadzieję, że uda nam się porozumieć!

- O ile przeżyjemy!

Ciekawe było obserwować, jak Percy dominował nad swoim starszym kolegą. Tylko trzy miesiące temu otrzymał purpurę, a ten drugi już od dwunastu lat; mimo to to ten młodszy wskazywał i kierował tym, co należy zrobić. On jednak w ogóle tego nie zauważał! Już od momentu otrzymania strasznych wiadomości tego ranka o nowej minie podłożonej pod i tak już chwiejnym Kościołem, po tym, jak uczestniczył w uroczystej ceremonii w przepychu i obserwował dostojne i spokojne ruchy papieża i dworu z tajemnicą, która paliła mu serce i umysł; ale przede wszystkim po zakończeniu krótkiej rozmowy z papieżem, która zburzyła dawne plany i zmusiła do podjęcia natychmiastowych decyzji, po udzielonym i otrzymanym błogosławieństwie oraz pożegnaniu wyrażonym samym spojrzeniem (a wszystko to w ciągu zaledwie pół godziny!), cała jego natura skoncentrowała się w żywym wysiłku, napięta jak sprężyste ciało. Czuł, jak energia płynie mu aż do czubków palców, energia połączona z mdłością ogromnej rozpacz. Każde oparcie upadło, każda więź została zerwana; on, miasto Rzym, Kościół katolicki, a nawet samo nadprzyrodzone nie wydawały się już opierać na niczym innym, jak tylko na jednym: na palcu Boga. A gdyby ten zniknął, wszystko byłoby stracone!

Czuł, że zmierza albo ku hańbie, albo ku śmierci: nie było żadnego kompromisu, chyba że spiskowcy zostaliby schwytani wraz ze swoimi narzędziami zniszczenia; ale wydawało mu się to niemożliwe.

A zatem: albo zrezygnują, rozważając, że słudzy Boży zginą wraz z nimi, co pociągałoby za sobą hańbę udawanego oszustwa, podłej próby zdobycia uznania; albo też nie zrezygnują, biorąc pod uwagę śmierć kardynała i kilku

biskupów jako cenę za swoją zemstę: a w takim przypadku czekała ich śmierć i sąd...

Ale Percy już się nie bał. Żadna hańba nie mogła być większa od tej, którą już znosił: izolacji i dyskredytu; a śmierć wydawała mu się pełna słodyczy. Przynajmniej przyniosłaby mu mądrość i spokój; był jednak gotów zaryzykować wszystko dla Boga.

Ten drugi, wykonując krótki gest przeprosin, wziął brewiarz i zaczął się modlić. Percy patrzył na niego z ogromną zazdrością. Och! Dlaczego nie był tak stary jak on! Uważał się za wystarczająco silnego, by wytrzymać jeszcze rok lub dwa, ale nie kolejne pięćdziesiąt lat pośród tych nieszczeń. Nawet gdyby mu się to udało, przed nim wciąż rozciągała się droga usiana walkami, wyrzeczeniami, wysiłkami i oszczerstwami ze strony przeciwników. Kościół z dnia na dzień upadał! Czymże był ten niedawny entuzjazm, jeśli nie ostatnim błyskiem umierającej wiary? I jak mógłby on to wszystko znieść? Fala ateizmu będzie narastać coraz groźniej, po tym jak Felsemburg nadał jej taki impuls, że nie można przewidzieć konsekwencji. Nigdy wcześniej nie widziano przykładu samotnego człowieka, który sprawuje pełną władzę w pełnej demokracji! I po raz kolejny jego myśli pobieżyły ku jutru. Ach! Gdyby tylko śmierć mogła położyć kres tym wszystkim cierpieniom! *Beati mortui, qui in Domino moriuntur!*

Ale nie! To było tchórzostwo, myśleć w ten sposób: Bóg, w końcu był Bogiem... tym Bogiem, który unosi wyspy jak najmniejsze rzeczy.

Percy wziął brewiarz, odszukał *godzinę przed północą* oraz święto św. Sylwestra, przeżegnał się i zaczął się modlić.

Minutę później obaj kapelani wrócili do przedziału. Panowała cisza, przerywana jedynie szumem śmigła i świstem powietrza uderzającego o kadłub statku.

III.

Około dziewiątej pilot samolotu, blondyn z Anglii, pojawił się w przedziale i, budząc Percy'ego, który lekko drzemał, powiedział:

- Panowie, za pół godziny będzie gotowy obiad; dziś wieczorem nie zatrzymujemy się w Turynie.

Zamknął drzwi i przeszedł cały korytarz, ogłaszając to samo w każdym przedziale.

W takim razie, pomyślał Percy, nie było pasażerów jadących do Turynu; a przecież telegraf ogłosił, że nikt nie czeka na wejście na pokład.

To dobra wiadomość! Zyskali czas na podróż do Londynu, a kardynał Steinmann mógłby szybciej złapać jeden z pociągów z Paryża do Berlina; nie był jednak do końca pewien, jak działa ten połączenie. Szkoda, że kardynał nie złapał pociągu bezpośredniego o trzynastej z Rzymu do Berlina! Tak właśnie rozmyślał z pewną powierzchowną obojętnością.

Potem wstał, rozprostował się nieco i przechodząc korytarzem, podszedł do umywalki, aby umyć ręce.

Zatrzymał się jak zahipnotyzowany przed umywalką znajdującą się w tylnej części statku, który właśnie przepływał nad miastem Turyn. Kłębiąca się, oślepiająca jasność świeciła nisko w mrocznych otchłaniach, by następnie rozpylić się w ciemnościach na południu, w miarę jak pociąg zbliżał się do Alp. Jakże małe wydawało się to miasto z tej wysokości! A jednak, pomyślał Percy, jak wielka była jego potęga!

Z tego blasku, oddalonego już o pięć mil, rządzono całą Italią; w jednym z tych małych domków, z których teraz nie widać było nic poza migotliwym światłem, ludzie zasiadali, rozporządzała duszami i ciałami, znosili Boga i kpili z Jego Kościoła; a Bóg pozwalał na to wszystko, nie dając żadnego znaku... Felsemburgh był tam miesiąc lub dwa wcześniej, Felsemburgh... ten jego tak niepokojący sobowtór! I znów poczuł, jakby serce przeszło mu ostrze sztyletu.

Niedługo potem czterej duchowni siedzieli przy okrągłym stole w małej części jadalni znajdującej się na dziobie. Obiad był wyśmienity, przygotowany zgodnie z tradycją przez pokładową kuchnię i podawany po kolei z delikatnym szumem na środek stołu. Dla każdego z biesiadników była butelka wina; a stół i krzesła kołysały się

spokojnie, w rytmie łagodnego kołysania konwoju. Nie rozmawiali zbyt wiele, ponieważ odejście od pierwotnego tematu było niemożliwe, a kapelani nie zostali jeszcze wtajemniczeni w całą tajemnicę.

Zimno narastało, a grzejniki i ogrzewacze do stóp nie wystarczały, by ochronić przed lodowatymi podmuchami, które zaczęły świszczeć z Alp, do których statek zbliżał się, poruszając się po pochyłej płaszczyźnie: trzeba było wspiąć się jeszcze tysiąc metrów powyżej normalnego poziomu, aby przekroczyć Moncenisio, a jednocześnie zwolnić z powodu zbyt rzadkiego powietrza, które nie zapewniało wystarczającego oporu śrubie napędowej.

- „Będzie mglista noc” – powiedział ktoś w korytarzu, podczas gdy drzwi lekko kołysały się w rytm ruchu statku.

Percy wstał i natychmiast ją zamknął.

Pod koniec obiadu niemiecki kardynał stał się nieco niespokojny.

- – Muszę się wycofać – powiedział, wstając – Będę czuł się lepiej pod moim kocem.

Kapelan grzecznie poszedł za nim, zostawiając potrawę na stole; w ten sposób Percy został sam ze swoim angielskim kapelanem, ojcem Corkranem, który niedawno przybył ze Szkocji. Wypił resztę wina, zjadł kilka fig, a potem zaczął patrzeć przez szyby okna.

- – Ach! – rzekł – przepraszam, ojcze, jesteśmy właśnie nad Alpami.

Przednia część statku była podzielona na trzy sekcje: w środkowej znajdował się sternik, który patrzył w górę, trzymając ręce na kole sterowym; dwie boczne sekcje, oddzielone od siebie aluminiowymi płytami, tworzyły dwa małe przedziały, wyposażone w okrągłe okna umieszczone na wysokości twarzy, z których rozciągał się teraz zachwycający widok.

Percy udał się do jednego z nich, idąc korytarzem i dostrzegając przez uchylone drzwi inne grupy siedzących przy stołach. Pchnął sprężynowe drzwi przedziału po lewej stronie i wszedł do środka.

Wcześniej w swoim życiu kilkakrotnie przemierzał Alpy i dobrze pamiętał wspaniałe wrażenie, jakie na nim wywarły, zwłaszcza gdy mógł je oglądać z dużej wysokości przy bezchmurnym niebie: wieczne i bezkresne morze lodu, na którym najwyższe i najslynniejsze szczyty tam w dole wyglądały jak piaszczyste łąchy i skały; a dalej sferyczna krzywizna ziemi tonęła w bezkresnej mgle. Tym razem jednak Alpy wydawały się piękniejsze niż kiedykolwiek, a on zaczął je obserwować niczym chory, by choć na chwilę zapomnieć o własnym cierpieniu.

Statek szybko wspiął się w kierunku przełęczy ponad nierównym zboczem, nad skałami i wąwozami, które leżały w dole niczym fortece ogromnej

mur; widziane z tej wysokości nie wydawały się niczym wielkim, ale przynajmniej sugerowały ogrom tej twierdzy, której były naturalnymi przyporami.

Podnosząc wzrok, Percy ujrzał niebo bez księżyca, z gwiazdami nieco zasłoniętymi; brak jasnego światła nadawał tej scenie jeszcze bardziej uroczysty charakter, ale gdy ponownie spojrzał, zauważył, że nieco się ona zmieniła. Sama atmosfera wydawała się zamieniona w szkło. Aksamitna czerń lasów sosnowych ustąpiła miejsca ponurej szarości; blady blask wody i lodu zniknął w jednej chwili, a nagie, potworne skały, zbocza i szczyty, które wcześniej wyciągały się ku niemu, by następnie zniknąć w szybkim, falistym ruchu, utraciły swoje kontury, zasłonięte przez niewyraźną biel. W górze, po prawej i po lewej stronie, scena nabierała przerażającego charakteru: majestatyczne urwiska, które zbiegły się ku sobie, gigantyczne, fantastyczne kształty górujące ze wszystkich stron zanurzały się w zasłonie chmur, widoczne jedynie dzięki blaskowi, który triumfalnie emanował ze świetlistego rydwanu.

Zobaczył dwa wiązki światła rzucające się do przodu niczym dwa rogi, podczas gdy światło elektryczne rozchodziło się od dziobu, a statek, który już płynął z połową prędkości, zwolnił do jednej czwartej tej prędkości i zaczął łagodnie kołysać się na boki, podczas gdy wielkie skrzydła przecinały gęstą mgłę, w którą już wniknęły dwie świetliste anteny. Statek wciąż się wznosił i poruszał z taką prędkością, że Percy mógł dostrzec wielki szczyt, który unosił się, wydłużał, zaostrzał jak igła, a potem zniknął sto metrów niżej. Ruch stawał się coraz bardziej nieprzyjemny, podczas gdy statek płynął pod ostrym kątem, utrzymując swój poziom, jednocześnie wznosząc się, posuwając naprzód i kołysząc się.

Nagle z odległości dwudziestu metrów rozległ się szum niezamarzniętego potoku, ponury i donośny jak głos dzikiej bestii, i natychmiast ucichł.

Również rogi zaczęły wypełniać bezkresną pustynię nowym smutkiem swoimi długimi i ponurymi wycie, niczym jęki zagubionych dusz; i gdy Percy, przerażony ponad wszelkie słowa, wycierał zaparowaną szybę i znów wyjrzał na zewnątrz, wydawało mu się, że zostaje porwany przez jedyną siłę, która naciskała pod jego stopami, w świat bieli, równie odległy od ziemi, jak i od nieba, zawieszony w pustynnej przestrzeni, nieskończonej, ślepej, pustej, zamarzniętej, zagubionej w białym i strasznym piekle.

W pewnym momencie jego zdumione spojrzenie przykuł ogromny biały obiekt, który poruszał się ukośnie przez mgłę; a gdy statek

zmieniał kurs, pojawiła się gigantyczna, gładka jak olej pochyła płaszczyzna, z której wyłaniała się grupa skał przypominających palce człowieka, który macza dłoń w górskim nurcie.

Wtedy, gdy z łodzi rozległ się głośny dźwięk alarmu, w odległości zaledwie dziesięciu metrów odpowiedziały mu najpierw jeden, potem dwa, a następnie wiele innych krzyków daremnego przerażenia. Usłyszano dzwonienie jakiegoś dzwonu, potem dzwonienie w chórze, podczas gdy otaczające powietrze wypełniło się dudnieniem.

IV.

Minęły straszne chwile, między dźwiękiem dzwonka, po którym rozległ się krzyk alarmowy, a gwałtownym skrętem statku, który świadczył o tym, że sternik był naprawdę czujny. Nagle statek spadł w dół jak kamień, a Percy musiał trzymać się krat okiennych, by złagodzić przerażające uczucie spadania w próżnię. Usłyszał za sobą trzask naczyń, kołysanie cięższych mebli, a kiedy wielka maszyna zatrzymała się na skrzydłach, nagle rozległ się tupot kroków, któremu towarzyszyły krzyki przerażenia. Tymczasem na zewnątrz coraz bardziej zbliżały się te dźwięki przypominające wycie; w pewnym momencie powietrze wypełniło się nimi, a Percy w mgnieniu oka zorientował się, że nie jedna, ale co najmniej dwadzieścia łodzi odpowiadało na wezwanie, płynąc nad nimi. Niewidzialne otchłanie i skały odbijały echem te długie i przerażające wycie, które następnie stopniowo cichły w oddali wśród dźwięków dzwonów rozbrzmiewających we wszystkich kierunkach: z góry i z dołu, z przodu i z tyłu, z prawej i z lewej.

Statek wznowił bieg, wykonując długi zakręt na skraju góry, po czym ponownie się zatrzymał, zawisając na skrzydłach, a Percy z drzwi wejściowych dostrzegł przez zaporowane szyby, w świetle reflektorów, skałę w kształcie iglicy wyłaniającą się z mgły oraz śnieżny, gładki występ, który wygiął się i zniknął.

Teraz wszędzie pojawiały się obrzydliwe ślady nagłego zatrzymania: wszystkie drzwi przedziałów restauracyjnych były otwarte; szklanki, talerze, dzbany z winem, przewrócone miski z owocami toczyły się tam i z powrotem wraz z kołysaniem podłogi; mężczyzna siedzący na podłodze zwrócił ku Percy'emu oczy otępiałe ze strachu! Wyjrzał przez drzwi, przez które wcześniej wszedł, podczas gdy

P. Corkran wstał niepewnie z krzesła i zataczając się, podszedł do niego. W tym samym czasie panował chaotyczny ruch w kierunku przeciwnych drzwi, prowadzących do przedziału, w którym grupa Amerykanów spożywała obiad.

Percy, potrząsając głową, skierował się w stronę rufy, ale zastał wąskie przejście całkowicie zablokowane przez pasażerów, którzy przybyli w tę stronę. Zamieszanie słów i krzyków uniemożliwiało zadawanie jakichkolwiek pytań; tak więc Percy, z kapelanem za sobą, chwycił się aluminiowej przegrody i zaczął krok po kroku torować sobie drogę, by powrócić do swoich towarzyszy. Z wielkim trudem prawie tam dotarł, gdy nagle rozległ się głos, który zagłuszył zgiełk, a w ciszy, która nastąpiła po nim, znów rozległy się odległe okrzyki z innych statków.

- Na swoje miejsca, panowie! – mówił ten głos.

- Natychmiast ruszamy!

Na te słowa tłum się rozproszył, przewodnik przeszedł z rozpromienioną i zdecydowaną miną, a Percy miał za sobą szeroko otwartą drogę w kierunku rufy.

Stary kardynał nie czuł się gorzej; mówił, że spał i obudził się w samą porę, by nie upaść na ziemię; ale jego twarz kurczyła się, gdy mówił.

- Ale co się stało? O co tu chodzi? – pytał kardynał.

Ojciec Beclin twierdził, że widział jedną z tych łodzi zaledwie cztery lub pięć metrów od okna: była wypełniona ludźmi od dziobu po rufę; po czym gwałtownie wzbiła się w powietrze i zniknęła w wirze mgły.

Percy potrząsnął głową, nic nie mówiąc: nie potrafił tego wyjaśnić.

- – Proszę o wyjaśnienia – dodał ojciec Beclin – – Przewodnik jest już w telegrafii.

Z okna nie widać było już niczego, co ponownie przyciągałoby wzrok;

Percy, wciąż oszołomiony nagłym zatrzymaniem, dostrzegł jedynie tę ostrą skałę przypominającą iglicę, unoszącą się niczym obiekt widziany przez wodę, oraz wysokie śnieżne wzniesienie, które najpierw uniosło się, a potem powoli opadło. Na zewnątrz panowała cisza; stado już przeleciało, a tylko gdzieś w odległych zakątkach nieba rozbrzmiewał pojedynczy krzyk, niczym śpiew wędrownego ptaka, zagubionego w przestrzeni.

- To zawsze znak latających! – pomyślał Percy.

Nie wysuwał przypuszczeń ani nie dawał wskazówek; jednak fakt ten wydawał mu się złowieszczy: spotkanie stu statków powietrznych było czymś niespotykanym, a do tego zmierzających na południe... Nazwisko Felseburgh ponownie przemknęło mu przez głowę: czyżby to nie była kolejna manifestacja tego zgubnego człowieka?

- Eminencjo... – zaczął stary kardynał, ale w tej samej chwili statek wznowił lot.

Zabrział dzwon, rozległ się cichy szmer; po czym wielki statek, lekki jak płatek śniegu, zaczął się unosić, a jego ruch ujawniło nagłe opadnięcie tej ostro zakończonej skały, na którą Percy wciąż patrzył.

Zasypane śniegiem pole oddalało się stopniowo; na chwilę w polu widzenia pojawiła się matowa szczelina, po czym zniknęła; a po kilku chwilach statek, już utrzymujący równowagę w ogromnej przestrzeni, wspinał się po zboczu powietrza, po którym chwilę wcześniej gwałtownie zjeżdżał w dół. Nowe harmonie rozbrzmiewały w

atmosferze; ale tym razem odpowiedź była tak słaba i odległa, że wydawała się krzykiem dochodzącym z innego świata.

Prędkość rosła, a równomierny obrót śmigła zastąpił falujący wir skrzydeł. Jeszcze jeden ostry świst rozległ się poniżej, nad ponurą i skalistą pustynią, a statek powietrzny z nagłym pędem wzbił się wyżej; poruszał się następnie, opisując szerokie łuki, ostrożnie wspinając się, zaznaczając wznoszenie powtarzającymi się okrzykami, badając niebezpieczeństwa tej ciemnej przestrzeni. I oto znów w zasięgu wzroku, oświetlone reflektorami, pojawiło się białe zbocze, które zanurzało się coraz szybciej, to zbliżając się, to oddalając, aż w pewnym momencie szorstki rząd skał zdawał się pokazywać swoje zęby pośród mgły, a potem zniknęła, opadając nisko; podczas gdy przy dźwięku dzwonów i ostatnim sygnale ostrzegawczym, drżenie śmigła przechodziło od pierwszego buczenia do coraz wyższej nuty, a od tej nuty do ciszy. Wtedy ta potężna maszyna, uwolniona od szczytów granicy, znów zaczęła machać skrzydłami, szybując pewnym lotem, świszcząc, przez przestrzeń....

Wszystko zniknęło już w gęstej ciemności. Tymczasem z wnętrza pociągu dochodził szum żywych, zdyszanych głosów, które pytały i narzekały, zagłuszając suche i autorytatywne odpowiedzi konduktora.

Usłyszawszy kroki na korytarzu, Percy wstał, by wyjść mu na spotkanie; jednak gdy sięgał po kule, zobaczył, jak ktoś wypycha go za drzwi, podczas gdy ku jego zdziwieniu angielski przewodnik wszedł prosto do środka, zamykając za sobą drzwi.

W tym momencie rzucił znaczące i niespokojne spojrzenie na czterech księży.

- – A więc? – wykrzyknął Percy.

- – Panowie – zaczął przewodnik – moim zdaniem lepiej będzie, jeśli zjedzą państwo do Paryża; wiem, że są państwo księżmi... i choć nie jestem katolikiem...

- Na litość boską, panie! – wykrzyknął Percy.

- Złe wieści, panowie! Sto łodzi płynie w kierunku Rzymu: w Londynie odkryto spisek katolików.

- I co z tego?...

- ...aby zniszczyć opactwo, a oni tam jadą...

- Dokąd?

- Zniszczyć Rzym, panowie! I

tak mówiąc, zniknął.

ROZDZIAŁ SIÓDMY I.

Około szesnastej tego samego dnia, ostatniego w tym roku, Mabel udała się do pobliskiego kościółka.

Powoli zapadał wieczór. Na zachodnią stronę dachu padały łagodne promienie zimowego zachodu słońca, wciąż rozjaśniając wnętrze świątyni gasnącym światłem.

Tego popołudnia, po krótkiej drzemce w fotelu, obudziła się z niezwykle jasnością umysłu i ducha, która czasami następuje po niektórych snach.

Później dziwiła się, że mogła zasnąć w takiej chwili, a przede wszystkim, że nie zauważyła burzowej chmury strachu i furii, która już wisiała nad miastem i okolicą.

Pamiętała też niezwykle zamieszanie, które widziała z okien wzdłuż szerokich alei, przy akompaniamencie dziwnej muzyki rogów i gwizdków; nie zwróciła jednak na to uwagi, a godzinę później udała się do kościoła, aby odbyć zwyczajową medytację.

Coraz bardziej kochała spokój tego miejsca i często tam chodziła, aby utwierdzić swoje myśli, skoncentrować je na głębokim znaczeniu, które kryje się pod każdym przejawem natury, aby ponownie połączyć je z tymi najwyższymi zasadami, które stanowią fundament życia uniwersalnego i są uważane za pewne i niepodważalne prawdy.

Zresztą tego rodzaju pobożność rozprzestrzeniała się już wśród ludu: tu i ówdzie wygłaszano na ten temat kazania, a nawet drukowano przewodniki po życiu duchowym, które wykazywały ciekawe podobieństwo do starych katolickich podręczników modlitwy myślowej.

Mabel, po przyjściu na swoje zwyczajowe miejsce, usiadła, złożyła ręce i przez minutę lub dwie kontemplowała to stare kamienne sanktuarium, białą figurę i okno, które stopniowo ciemniało. Następnie rozpoczęła medytację zgodnie z następującą metodą:

W pierwszym punkcie ponownie skoncentrowała uwagę na sobie, odrywając się od wszystkiego, co czysto zewnętrzne i przemijające, starając się wniknąć w głąb swojej istoty, aż odkryła tajemniczą iskrę, która pod indywidualnymi czynami i niedoskonałościami czyniła ją faktycznym członkiem boskiego człowieczeństwa.

Drugi punkt polegał na działaniu intelektu i wyobraźni. Wszyscy ludzie, myślała, posiadają tę iskrę... Następnie uruchomiła swoje zdolności, rozglądając się oczami

Duch unosił się nad światem, który płonął, i ujrzał pod słońcem oraz w mroku obu półkul niezliczone rzesze ludzi: dzieci przychodzące na świat, starców odchodzących z niego, silnych i zdrowych dorosłych, którzy się nim cieszyli. Spoglądając w przeszłość, rozważał wieki barbarzyństwa i zbrodni, a następnie przejście człowieka od dzikości i przesądów do pełnej świadomości samego siebie; zapuścił się nawet w przyszłe wieki, kiedy kolejne pokolenia doprowadzą rasę ludzką do takiego stopnia doskonałości, że on sam, nie będąc jej częścią, nie mógł tego w pełni pojąć. Pocieszał się jednak myślą, że idealny typ już się narodził, a bóle porodu minęły: czyż nie przyszedł Ten, który miał być spadkobiercą czasów?

W trzecim punkcie intensyfikował swoje rozmyślania, wyobrażając sobie jedność wszystkich rzeczy jako centralny ogień, którego każda iskra była promieniowaniem; jako istotę ogromną, wieczną i niewzruszoną, urzeczywistnioną przez wieki, jedną i wielu jednocześnie; tę istotę, którą ludzie nazwali Bogiem, teraz już niepoznawalną, ale znaną jako całość transcendentna w stosunku do nich samych: w skrócie, tę, która wraz z nadejściem nowego Zbawiciela urzeczywistniła i objawiła się jako Jedność. Tak Mabel kontemplowała wizję swojego ducha, angażując to jedną, to inną cnotę w kolejnych aktach zjednoczenia, dostrzegając własne braki i rozważając w integralnej jedności spełnienie wszystkich aspiracji, podsumowanie ludzkich nadziei. W tej jedności widziała Ducha Pokoju, który długo tłumiony i nieustannie odradzany przez cierpienia świata, ograniczony w swoim istnieniu, zatrzymany w swoim stawaniu się, w końcu potwierdził się swoimi drganiami, potężny, spokojny, widoczny i triumfujący. I kontynuowała swoje pobożne ćwiczenie, starając się zanurzyć swoją indywidualność w konkretnej, całkowitej tożsamości, pijąc, jak jej się wydawało, wielkimi łykami ducha życia i miłości....

Jakiś szmer (zauważyła to dopiero później) wyrwał ją z zamyślenia i otworzyła oczy: przed nią rozciągała się samotna, słabo oświetlona w półmroku posadzka, schody prowadzące do sanktuarium, trybuna po prawej stronie, spokojna i ponura atmosfera nad posągami Matki Boskiej oraz stare gotyckie okna. Tutaj ludzie czcili Jezusa, krwawego człowieka cierpienia, który przyszedł, jak sam powiedział, nie z pokojem, ale z mieczem; tutaj klękali ci ślepi i zdesperowani chrześcijanie... Ach! Ileż przygnębiającego pesymizmu w naśladowaniu doktryny, która przecież chciała wyjaśnić sens cierpienia, i w barbarzyńskim kulcie Boga, który zachęcał do jego znoszenia!

Hałas ponownie zakłócił jej skupienie, choć nie potrafiła wyjaśnić jego przyczyny; a gdy zbliżał się coraz bardziej, patrzyła ze zdumieniem na ciemną nawę.

Wysłuchiwała się: niezwykle zgiełk głosów raz narastał, raz cichł.

Wstała z pewnym niepokojem w sercu; tylko raz, przedtem, słyszała podobny zgiełk na placu, gdzie ludzie tłoczyli się wokół przewróconego wozu...

Wstał z krzesła i powolnym krokiem przeszedł przez nawę, rozsunął zasłony drzwi po lewej stronie, odblokował zamek i wyjrzał na zewnątrz.

Ulica przylegająca do balustrady chroniącej wejście do świątyni była niezwykle pusta i ciemna. Po prawej i lewej stronie rysowały się sylwetki domów, a wysoko na niebie widać było różową poświatę; z pewnością zapomniano o oświetleniu ulicznym i nie widać było żywej duszy.

Już miała ruszyć, gdy nagły tupot sprawił, że zawahała się, a mała dziewczynka biegła jej na spotkanie, zdyszana i przestraszona.

- „Już idą! Już idą!” – szlochała dziewczynka, patrząc na młodą panią; po czym przywarła do balustrady, oglądając się za siebie.

Mabel natychmiast otworzyła drzwi, a dziewczynka podskoczyła i uderzyła o nie; następnie chwyciła się jej spódnicy, przytulając się coraz mocniej.

Mabel zamknęła drzwi.

- Co się stało, dziewczynko? Kim są ci, którzy nadchodzą?

Jednak dziewczyna ukrywała twarz w fałdach tej eleganckiej sukni, podczas gdy z zewnątrz dochodził zgiełk głosów i podekscytowany tupot kroków.

Stało się to minutę lub dwie przed przejściem heroldów tej makabrycznej procesji.

Przemierzała ulicę latająca grupa chłopców z uśmiechem i przerażeniem na twarzach, krzyczących jak opętani, oglądających się za siebie przy każdym kroku, z kilkoma szczekającymi psami pośród nich i kilkoma kobietami, porwanymi przez ten tłum wzdłuż chodników.

Mabel, podnosząc przerażone oczy, ujrzała w oknie naprzeciwko twarz bladego i zaniepokojonego mężczyzny: z pewnością był to jakiś inwalida, który z ciekawości doczołgał się do okna. Elegancko ubrany mężczyzna w szarym garniturze, dwie kobiety z dziećmi i młody chłopak o surowej twarzy stali obok niej przy balustradzie; wszyscy rozmawiali, nie zwracając uwagi na to, co mówią, z oczami skierowanymi na ulicę, na której z każdą chwilą narastał łoskot kroków i krzyki.

Chciała zadać pytanie, ale nie mogła; poruszała ustami, ale słowa nie wychodziły: wyglądała jak uosobienie strachu! I pomimo ogromnego napięcia w duszy, w jej wyobraźni krążyły najdrobniejsze obrazy: Oliviero, który był na śniadaniu, jego elegancko tapetowany pokój, ciemny kościółek i biały obraz, który podziwiała chwilę wcześniej!

Tłum gęstniał: po jezdni przechodziła ramię w ramię gromada młodych ludzi, którzy rozmawiali i krzyczeli, niczym się nie przejmując; a za nimi, niczym fala w potoku kamieni, narastał tłum, w którym mężczyźni i kobiety ledwo wyróżniali się w tym chaotycznym zgromadzeniu twarzy, pod niebem, które stopniowo ciemniało.

Gdyby nie te głosy, których Mabel nie rozumiała, tak bardzo były zagmatwane i ogłuszające, i gdyby nie skupiła całej swojej uwagi na tym, co widziała, mogłaby sądzić, sądząc po błyskawicznej i nieodpartej gwałtowności, że to armia widm maszerująca przez jakąś ranę świata duchowego, która nagle się otworzyła, by znów zniknąć w ciemności.

Ulica, o ile mogła dostrzec, była wypełniona po brzegi; grupa młodzieży (nie potrafiła stwierdzić, czy szła, czy biegła) skręcała w prawo; a przestrzeń pozostawiona za nimi była morzem głów i twarzy, które napierały z taką siłą, że uderzając w prety balustrady, wyrzywały je jak kępki trawy i zmiatały bez śladu. A tymczasem dziewczynka nadal trzymała się kurczowo szat Mabel.

Nad tłumem zaczęły pojawiać się pewne rzeczy, których nie można było rozróżnić z powodu braku światła: przedmioty o fantastycznych kształtach, kawałki materiału przypominające flagi, które, zawieszone na słupach, wirowały to w prawo, to w lewo, jakby były żywe.

Twarze wykrzywione z podniecenia spoglądały na nią w przelocie i krzyczały do niej, ale ona widziała niewiele lub nic. Patrzyła jednak na te dziwne symbole i wyteżała wzrok w ciemności, próbując zrozumieć te podarte i powiewające przedmioty... niemal domyślając się i bojąc się domyślić.

Kiedy nagle z lamp ukrytych pod okapami wyskoczyło światło, to potężne, słodkie i znajome światło, wytworzone przez wielką podziemną maszynę, o którym w zamęcie tego katastrofalnego dnia wszyscy zapomnieli; w mgnieniu oka ten zagmatwany zbiór cieni i postaci zmienił się w straszną rzeczywistość życia i śmierci.

Przed nią przechodziło wielkie krzyż z postacią ludzką, której ramiona zwisały z przybitych do niego dłoni, kołysząc się przy każdym kroku, a bandaż powiewał na wietrze z powodu szybkiego biegu.

Za nim podążało ciało chłopca, nabite na pal, białe i zakrwawione, z głową opadającą na pierś i ramionami, które kołysały się bezwładnie.

W końcu, ubrane w czarną sutannę i pelerynę, z czapką na głowie, szło zwłoki mężczyzny przywiązane za szyję, które wiły się wraz z liną, na której wisały.

II.

Tego samego wieczoru Oliviero Brand wrócił do domu około jedenastej. Wrażenie wywołane wydarzeniami tego dnia było wciąż zbyt żywe i świeże, by mógł je ocenić z zimną krwią. Z okien swojego gabinetu w Whitehall widział *Plac Parlamentu* tak zatłoczony, jak nigdy wcześniej nie widziano w Anglii od pierwszych dni ery chrześcijańskiej. Był to tłum ogarnięty furją, której źródła nie mogły leżeć w granicach ludzkich uczuć.

Trzykrotnie, w ciągu godziny, która nastąpiła po odkryciu spisku katolickiego i wybuchu reakcji ludowej, zapytał premiera, czy można podjąć jakieś środki w celu stłumienia zamieszek, otrzymując za każdym razem mało satysfakcjonującą odpowiedź, że należy zrobić wszystko, co możliwe, ale nie należy stosować siły w takiej sytuacji, a policja wypełnia swoje obowiązki.

Jeśli chodzi o wyprawę przeciwko Rzymowi, zatwierdził ją w milczeniu, podobnie jak wszyscy inni członkowie zgromadzenia.

Był to, jak twierdził Snowford, akt sprawiedliwości karnej, godny ubolewania, ale konieczny, ponieważ w tej sytuacji nie można było zapewnić pokoju inaczej niż poprzez działania wojenne; a raczej, skoro wojny już nie było, poprzez działania w ramach wymiaru sprawiedliwości doraźnej. Ci katolicy okazali się wrogami społeczeństwa: dlatego społeczeństwo musiało, choć raz, się bronić. W końcu człowiek to zawsze człowiek! A Oliviero słuchał, nie znajdując nic do zarzucenia.

Lecąc nad Londynem, wracając do domu jednym z rządowych statków, miał okazję zobaczyć więcej niż tylko fragment tego, co się obecnie działo. Na oświetlonych jak w dzień ulicach widać było nieustanny ruch, a stamtąd dochodził zgiełk głuchych i ostrych głosów, podkreślony krzykami. Tu i ówdzie pojawiał się dym pożarów; a przelatując nad jednym z wielkich placów na południe od Battersea, ujrzał coś przypominającego rozproszoną gromadkę uciekających mrówek, przestraszonych i ściganych. Zrozumiał, o co chodzi... Ach tak!... człowiek nie był jeszcze w pełni ucywilizowany!

Nie mógł też bez niepokoju myśleć o scenie, która czekała go w domu: już przed piątą Mabel zadzwoniła do niego, niemal skłaniając go do porzucenia wszystkiego i natychmiastowego przybycia do niej; ale nie czuł się jeszcze wystarczająco przygotowany na takie spotkanie.

Wszedł więc do salonu, gdzie panowała cisza; słyszeć było jedynie zgiełk dochodzący z tętniących życiem ulic wokół.

W pokoju panował niezwykły chłód i nie było w nim żadnego światła poza tym, które wpadało przez okno z odsłoniętymi zasłonami, przy którym, rysując się na tle jasnego światła, stała kobieta wyprostowana i nieruchoma, jakby wbijała wzrok i nasłuchiwała.

Oliviero nacisnął przycisk światła, a Mabel powoli odwróciła się w jego stronę; była w szlafroku, z płaszczem na ramionach, a jej twarz wyglądała jak twarz nieznajomej osoby: blada, z zaciśniętymi ustami i oczami pełnymi nieokreślonego uczucia, wyrażającego gniew, smutek i przerażenie. I stała tam, nieruchomo, w spokojnym blasku okna, patrząc na męża.

Przez chwilę Oliviero nie odważył się odezwać; najpierw podszedł do okna, zamknął je, zaciągnął zasłony; następnie delikatnie chwycił za ramię tej skamieniałej postaci.

- - Och, Mabel! – powiedział – Mabel!

Dała się pociągnąć w stronę kanapy, milcząca i obojętna na jego dotyk. Oliviero usiadł, patrząc na nią z rozpaczliwym niepokojem.

- Moja droga, jestem zrozpaczony!

Mabel patrzyła na niego: w jej postawie było coś z tej nieugiętości, którą udają aktorzy na scenie, ale Oliviero wiedział, że ona nie kłamie; pamiętał też, jak innym razem pozostawała skamieniała pod wpływem przerażenia, zwłaszcza wtedy, gdy zobaczyła, że jeden z jej butów jest poplamiony krwią.

- Moja droga, proszę, usiądź!

Posłuchała go bez namysłu i usiadła, nie spuszczając z niego wzroku. W cichej sali wciąż dochodził i ginał szum tłumu, który burzył się na ulicach.

Oliviero dobrze wiedział, że w niej walczyły ze sobą wierność jej przekonaniom i nienawiść do tych zbrodni popełnionych w imię sprawiedliwości; a patrząc na jej twarz, zauważył, że te dwa uczucia toczyły śmiertelny pojedynek, w którym nienawiść przeważała w tej duszy, która stała się niemal polem bitwy.

Ale potem, gdy w pewnym momencie wrzawa tłumu wzrosła, a następnie ucichła jak długie wycie wilka, nie mogła już dłużej się opierać i poddała się Oliviero, który trzymał ją za nadgarstki, pozostając w jego ramionach, z twarzą i piersią opartymi na jego kolanach, całkowicie poruszona tą gwałtowną emocją.

I milczała jeszcze przez kilka minut; Oliviero wszystko rozumiał, ale teraz brakowało mu słów. Tymczasem przyciągał ją bliżej do siebie i podtrzymywał, wielokrotnie całując jej włosy, zastanawiając się, co mógłby jej powiedzieć.

Lecz ona na chwilę podniosła rozpromienioną twarz, rzuciła mężowi pełne uczucia spojrzenie, po czym opadła mu na pierś, szepcząc słowa przerywane łkaniem.

Oliviero zdołał uchwycić tylko kilka pojedynczych zdań, ale dobrze rozumiał, co ona mówiła.

Te wydarzenia były zgubą jej nadziei i końcem jej wiary: niech więc umrze, niech skończy się wraz z nimi; a to ludzie tej samej wiary, w przypływie zbrodniczej namiętności, doprowadzili do ich upadku i zniszczyli je! Nie!... Nie byli lepsi od chrześcijan!... W końcu okazali okrucieństwo równe tym, na których mścili się; i wędrowali w ciemnościach nawet po przybyciu zbawiciela Felsemburga!

Wszystko było stracone... Wojna, nienawiść, zbrodnia nadal pozostawały w ciele, z którego, jak sądziła, zniknęły na zawsze..... Kościoły spalone, zamordowani katolicy, zniszczenie kaplic i klasztorów... Te słowa wylewały się z jej ust bez ładu i składu, przerywane szlochem, obrazami grozy, lamentami, wyrzutami; towarzyszyło im potrząsanie głową i skręcanie rąk na kolanach Oliviero. Upadek był całkowity!

Oliviero podjął ją pod pachy i uniósł; choć zmęczony całodzienną pracą, czuł, że konieczne jest uspokojenie jej w tym kryzysie, znacznie poważniejszym od wszystkich poprzednich; zresztą dobrze znał jej skłonność do powrotu do spokoju.

- Usiądź, moja droga! Tutaj... daj mi rękę i posłuchaj mnie!

W rzeczywistości przedstawił zręczną apologię wydarzeń, powtarzając jej to, co recytował sobie przez cały dzień. Ludzie nie byli jeszcze doskonali, a w ich żyłach płynęła krew ponad stu pokoleń chrześcijan. Ale nie było powodu do rozpacz: istota religii polegała na wierze w człowieka, wierze w poprawę, jaką osiągnie w przyszłości, a nie w to, czym był obecnie. Nowa religia znajdowała się w początkach, a nie w dojrzałości: nic więc dziwnego, że owoce młodości miały raczej cierpki smak... Ale trzeba było też wziąć pod uwagę prowokacjęi przypomnieć sobie

, którą katolicy zaplanowali, by uderzyć w samo serce nowej wiary....

- Moja droga, człowiek nie zmienia się w jednej chwili! Pomyśl tylko, jakie byłyby konsekwencje, gdyby katolicy zrealizowali swój nikczemny plan! Głęboko potępiam te ekscesy, tak samo jak ty... Dzisiaj wieczorem przeczytałem dwie lub trzy gazety, które są o wiele bardziej złowrogie niż sami chrześcijanie: wyobraź sobie, że cieszą się z popełnionych zbrodni, nie myśląc nawet o tym, że zatrzymają one rozwój tej idei na co najmniej kolejne dziesięć lat! Czy wierzysz, że nie ma tysięcy ludzi, którzy tak jak ty nienawidzą i gardzą takimi aktami przemocy?... Ale... co to znaczy mieć wiarę, jeśli nie być pewnym, że dobro zwycięży? Wiara, nadzieja, cierpliwość: oto nasza broń!

Mówił z żarliwą przekonaniem, patrząc na nią i starając się przyciągnąć ją do swoich uczuć oraz uchronić się przed wszystkim, czego Mabel nienawidziła, mimo że widział rzeczy, których ona nie mogła dostrzec... Ale w końcu trzeba było jej współczuć, bo była kobietą.

Wyraz szaleńczego przerażenia zniknął stopniowo z jej oczu, ustępując miejsca wyrazowi głębokiego bólu, podczas gdy Oliviero przemawiał, dominując nad nią magiczną siłą swojej osobowości; jednak kryzys nie wykazywał oznak zakończenia.

- Ale te ulotki... – wykrzyknęła Mabel – te ulotki wysłane przeciwko Rzymowi!... To jest akt przemyślany i zaplanowany, a nie efekt ludowego podniecenia!...

- Moja droga! Nie jest to bardziej przemyślane i celowe niż inne działania; wszyscy jesteśmy ludźmi i wszyscy wciąż niedojrzali. Dobrze, że Parlament na to pozwolił... ale... tylko pozwolił, rozumiesz? Nawet rząd niemiecki musiał wyrazić zgodę: musimy powoli, krok po kroku, uginać naturę, ale nie łamać jej:

I dalej ją przekonywał, uspokajał, dodawał jej otuchy swoimi argumentami, niemal wierząc, że już ją dla siebie zdobył; gdyby nie to, że ona powróciła do jednego z jego ostatnich słów:

- Pozwoliłeś na to, prawda? I ty też, Oliviero, pozwoliłeś na to!...

- Moja droga, nie powiedziałem ani słowa ani za, ani przeciw; ale zapewniam cię, że gdybyśmy temu zapobiegli, rzezi byłoby jeszcze więcej, a naród straciłby swoich władców. Zachowaliśmy bierność, ponieważ nie mogliśmy postąpić inaczej!

- Ach!... Lepiej byłoby umrzeć!... Och, Oliviero, przynajmniej mnie, pozwól mi umrzeć!... Nie, nie zniosę takich rzeczy!

Oliviero przyciągnął ją bliżej siebie i zaczął do niej mówić z pewną powagą.

- Czy ty, moja ukochana, możesz mi choć trochę zaufać? Gdybym opowiedział ci o tym, co nas dzisiaj spotkało, zrozumiałabyś wszystko; nie myśl, nie, że jestem człowiekiem bez serca! A poza tym jest jeszcze Giuliano Felsemburgh!...

Zauważył chwilowe wahanie spowodowane konfliktem, jaki toczył się w niej między czułą ufnością w mężu a przerażeniem z powodu wydarzeń; ale w końcu zwyciężyła miłość: imię Felsemburgha przechyliło szalę, a zaufanie potwierdziło się w strumieniu łez.

- O tak, Oliviero, mogę ci zaufać! Ale jestem taka słaba, a te wydarzenia są tak straszne!... Ale On, który jest taki silny i hojny, będzie jutro z nami, prawda?

Z odległej wieży rozległ się dźwięk północy, podczas gdy oni rozmawiali. Mabel wciąż zmagала się z wewnętrznym konfliktem, ale uśmiechała się do męża, trzymając jego dłonie w swoich. Oliviero zrozumiał, że w końcu nastąpiła przemiana.

- Szczęśliwego Nowego Roku, mój drogi mężu! – I wstała, przyciągając do siebie Oliviero, cały czas trzymając się jego ramienia.

- Życzę ci najpiękniejszego z lat!... Och!... Podtrzymaj mnie... Oliviero!... I całowała go, robiąc kilka kroków razem z nim, ścisłała jego dłonie i patrzyła na niego oczami pełnymi łez...

Oliviero, muszę ci to powiedzieć!... Nie wiesz, o czym myślałam, zanim przyszedłeś?

On pokręcił głową, patrząc na nią z wielką miłością. Jakże była piękna! Czuł, jak mocniej ścisła jego dłonie.

- Myślałam – kontynuowała z westchnieniem – że już nie dam rady, że położę kres temu wszystkiemu!... Rozumiesz mnie, Oliviero?

Gdy usłyszał te słowa, poczuł, jak serce mu zamiera, i czule ją objął.

- Ale teraz wszystko już minęło, wiesz? Wszystko minęło!... Nie powiedziałbym ci nic, gdyby nie było to prawdą.

I gdy ich usta znów się spotkały, z sąsiedniego pokoju dobiegł dźwięk elektrycznego dzwonka.

Oliviero, domyślając się przyczyny tego nagłego wezwania, poczuł ucisk w sercu; jednak uśmiechnął się i puścił dłonie swojej żony.

- „Wezwanie o tej porze!” – wykrzyknęła Mabel z cieniem podejrzenia. A Oliviero odpowiedział jej:

- Nie ma już między nami nic, prawda?

Twarz ta wyrażała w tej chwili jedynie zaufanie i uczucie.

- – Och! Nie, nie! – odparła Mabel. A ponieważ dzwony znów zaczęły niecierpliwie bić:

- Idź! – dodała – idź, Oliviero, będę tu na ciebie czekać.

Minutę później wrócił z dziwnym spojrzeniem, bladą i zszokowaną twarzą oraz zaciśniętymi ustami.

Pobiegł prosto do panny młodej, ponownie ujął jej dłonie, wpatrując się w jej oczy, które już wpatrywały się w niego.

W sercach obojga podjęta decyzja i wzajemna wierność powstrzymywały emocje, które nie zniknęły całkowicie.

Oliviero westchnął głęboko, a potem powiedział spokojnym głosem:

- A więc to już koniec!

Wargi Mabel zadrżały, a na jej policzkach pojawiła się śmiertelna bladość; Oliviero mocno ją przytulił,

- – Posłuchaj – rzekł w końcu – musisz pogodzić się z tą wiadomością: to już koniec: Rzym przestał istnieć! Teraz nasza kolej, by zbudować coś piękniejszego i trwalszego!

Mabel opadła, szlochając, w jego ramiona.

ROZDZIAŁ ÓSMY I.

Na długo przed świtem nowego roku okolice opactwa były już zablokowane. Ulice Victoria, Great-George, Whitehall, a nawet Milbank, były tak zatłoczone, że uniemożliwiało to jakikolwiek ruch. Ogromne sanktuarium, podzielone pośrodku przez zagłębiony mur z szyn, zostało rozdzielone na kwadratowe grupy ludzi przez kordony policji, które utrzymywały swobodny przejście dla wybitnych osobistości.

Palace Yard był ściśle oczyszczony z ludzi, z wyjątkiem części zajmowanej przez trybunę, która była wypełniona od góry do dołu. Nawet na dachach i balkonach, z których widać było opactwo, gromadził się tłum. Wysoko, piękne jak księżycy, świeciły lampy elektryczne.

O której godzinie ludzie zaczęli się celowo przemieszczać, wiedzieli tylko nieliczni, zmęczeni kontrolerzy, którzy stali przy bramach wzniesionych tymczasowo poprzedniego wieczoru.

Już tydzień wcześniej ogłoszono, że ze względu na ogromną liczbę zgłoszeń każda osoba, która przedstawiła zaświadczenie o wyznaniu w specjalnym urzędzie i zastosowała się do poleceń policji, miała być uznana za osobę, która wypełniła swój obywatelski obowiązek; i powszechnie wiadomo było, że z rozkazu rządu wielki dzwon zabrzmi na początku ceremonii oraz w momencie okadzania posągu, aby w tym czasie wszyscy obecni wewnątrz zachowali, na ile to możliwe, ciszę.

Cały Londyn ogarnęło szaleństwo, gdy tylko po południu poprzedniego dnia odkryto spisek katolicki. O czternastej wiadomość była już powszechnie znana; godzinę później złożono oficjalne sprawozdanie panu Snowfordowi. Życie gospodarcze Londynu natychmiast zamarło.

Tuż po piętnastej wszystkie magazyny, urzędy publiczne, giełda i fabryki zostały zamknięte: wszyscy, pod wpływem niepohamowanego impulsu, zawiesili swoje sprawy, a od szesnastej do północy, kiedy to policja, odpowiednio wzmocniona, mogła wkroczyć do akcji, całe bandy mężczyzn, grupy rozgniewanych kobiet, oddziały opętanych młodych ludzi biegły ulicami, krzycząc, oskarżając, mordując.

Liczby ofiar śmiertelnych nie udało się ustalić, ale na niemal wszystkich ulicach widoczne były ślady rzezi. Katedra westminsterska została splądrowana, wszystkie ołtarze zniszczone, a w jej wnętrzu popełniono najstraszniejsze profanacje.

Ksiądz, który właśnie spożywał Najświętszy Sakrament, został schwytany i uduszony. Arcybiskup wraz z jedenastoma księżmi i dwoma innymi biskupami powieszono na północy kościoła, zniszczono trzydzieści pięć klasztorów, a katedra św. Jerzego zamieniła się w kupę dymiących gruzów. A wieczorne gazety donosiły, że po raz pierwszy od czasu wprowadzenia chrześcijaństwa w Anglii w promieniu dwudziestu mil wokół opactwa nie pozostał ani jeden tabernakulum: „Londyn” – tak pisał „*Nuovo Popolo*” wielkimi literami.

„*W końcu pozbyto się tego brudnego i absurdalnego przesądu!*”. O wpół do piątej wszyscy wiedzieli, że pięćdziesiąt latających statków wyruszyło w kierunku Rzymu, a Berlin wysłał kolejne sześćdziesiąt. O północy, kiedy na szczęście policja przywróciła nieco porządku, również po to, by wyrzucić nieco ponure wrażenie, na tablicach ogłoszeń pojawiła się elektrycznie wyświetlana wiadomość o zniszczeniu Rzymu. Poranne gazety dodawały niewiele szczegółów, zwracając oczywiście uwagę na zbieżność tego wydarzenia z końcem roku... i jak przez cudowny zbieg okoliczności wszyscy przywódcy hierarchii katolickiej znaleźli się zgromadzeni w Watykanie, głównym celu ataku... i jak ci, ogarnięci poczuciem rozpacz, odmówili opuszczenia miasta, gdy dotarła do nich telegraficznie wiadomość, że ekspedycja mściwa jest już w drodze.

W Rzymie nie było ani jednego budynku, który uniknąłby zniszczenia: samo miasto, miasto Leonine, Trastevere, przedmieścia, wszystko zostało zrównane z ziemią; ponieważ statki, utrzymując się na dużej wysokości, dokładnie podzieliły miasto między siebie, zanim zrzuciły ładunki wybuchowe; a pięć minut po pierwszym huku i pierwszej eksplozji dymu i gruzu zadanie zostało wykonane.

Samoloty rozproszyły się następnie we wszystkich kierunkach, ścigając samochody i inne pojazdy, którymi ludność próbowała uciekać, gdy tylko dowiedziała się o zdarzeniu: przypuszcza się, że w ten sposób zginęło nie mniej niż trzydzieści tysięcy osób, zaskoczonych podczas ucieczki.

„*To prawda – zauważał magazyn „Studio” – że zniszczono niezliczone skarby sztuki o nieocenionej wartości; ale należy to uznać za niewielką cenę za ostateczne i całkowite wyeliminowanie katolickiej zarazy. Nadchodzi moment – kontynuował – w którym zniszczenie jest jedynym możliwym lekarstwem w domu zaatakowanym przez szkodliwe bakterie*”, a kontynuując swoje uwagi, stwierdzał, że „*papież, całe kolegium kardynałów, wszyscy obaleni królowie Europy, wszyscy przedstawiciele światowego bigoterii, którzy schronili się w Świętym Mieście,*

zniknęli w mgnieniu oka i że nigdzie indziej nie należało się obawiać nawrotu przesądów. Nie należało jednak dać się ponieść uczuciom pobłażliwości. Katolicy (gdyby w ogóle jacyś zostali, zdolni do takiej zarozumiałości) musieli być całkowicie wykluczeni z życia publicznego we wszystkich cywilizowanych krajach”.

Zgodnie z wiadomościami napływającymi ze wszystkich stron świata, ten czyn skierowany przeciwko nim spotkał się z powszechną aprobatą. Jedynie w kilku gazetach ubolewano nad tym bolesnym incydentem, a raczej nad nastawieniem, które go potajemnie sprowokowało. Nie można było zaakceptować, by humanitaryzm uciekał się do przemocy; jednak wszyscy musieli odczuwać satysfakcję z powodzenia i jego konsekwencji. Pozostała tylko Irlandia do uporządkowania i nie zwlekano z podjęciem działań.

Powoli świtało, a nad rzeką przez zimową mgłę zaczęły pojawiać się różowe smugi. Wszystko spoczywało w cudownej ciszy, ponieważ ludzie, zmęczeni długim czuwaniem, zmarznięci intensywnym chłodem i z myślami skupionymi na sytuacji, czuli, że nie mają już energii do marnowania. Jedynie z zatłoczonego placu, z ulic i zaułków dochodził ponury, jednolity szmer, podobny do odgłosu odległego morza, przerywany od czasu do czasu hukiem i gwałtowną ucieczką jakiegoś samochodu, który omijał sanktuarium i znikał w kierunku centrum. Światło dnia narastało, stopniowo przyćmiewając lampy elektryczne, a mgły nieco się rozrzedzały, odsłaniając nie brązowe i czyste niebo, którego spodziewała się po chłodzie nocy, ale niebo wyblakłe od chmur, które pokryły się lekką warstwą szarości i purpury, gdy słońce pojawiło się, czerwone jak miedziany dysk, nad rzeką.

Około dziewiątej tłum zaczął się poruszać z coraz większą niecierpliwością. Strażnicy ustawieni w podwójnym szeregu na trybunach wzdłuż odcinka drogi od Whitehall do Opactwa wypatrywali uważnie za żelaznymi barierkami, a kilka minut później policyjny wóz przejechał przez wolne przejścia na placu i zniknął za wieżami Opactwa. Tłum szmerzał, rozpraszał się i nie mógł usiedzieć w miejscu, aż w końcu mógł powitać gromkimi brawami przybycie czterech rządowych powozów, które zniknęły w tym samym kierunku; wiozły one urzędników do Deans Yard, gdzie miała się zebrać procesja.

Około dziesiątej tłum zgromadzony na końcu Via Vittoria zaintonował śpiew; a gdy ucichł, a dzwony opactwa zaczęły bić na dzwon, wszędzie rozeszła się wieść, że Felsemburg weźmie udział w uroczystości. Nie było jednak na to żadnego sensownego wyjaśnienia ani wtedy, ani później; a „*Stella del Mattino*” widziała w tym fackie „*kolejny przykład cudownych instynktów społeczności*”. W rzeczywistości sam rząd został poinformowany dopiero godzinę później; a jednak nie ulegało wątpliwości, że o dziesiątej trzydzieści rozległ się nieustanny zgiełk, zagłuszający nawet dźwięk dzwonów, rozbrzmiewający wokół Westminsteru i wołający imienia Giuliano Felsemburgha! A przecież w ciągu ostatnich piętnastu dni nie wiadomo było nic o Prezydencie Europy, poza całkowicie bezpodstawną informacją, że przebywa on gdzieś na Wschodzie.

W międzyczasie z każdej strony napływały samochody i znikwały pod łukiem Deans Yard, przewożąc tych szczęśliwców, którzy posiadali kartę wstępu do Świątyni.

Głośnie okrzyki „hurra” rozbrzmiewały i powtarzały się przy przejściu wybitnych osobistości. Lord Pemberton, Oliviero Brand z małżonką, pan Caldecott, Maxwell, Snowford wraz z delegatami europejskimi, a nawet pan Francis, wielki ceremoniarz rządu o nieco mdłej twarzy, zostali powitani w sposób szczególny.

O dziesiątej czterdzieści pięć, gdy ucichło bicie dzwonów, wszyscy zgromadzeni byli na swoich miejscach; usunięto przeszkody chroniące przejazd powozów oraz żelazne bariery; tłum natychmiast przestał hałasować i z westchnieniem ulgi mógł swobodnie rozproszyć się po publicznej przestrzeni. Wtedy rozległy się nowe okrzyki, domagające się pojawienia się Giuliano Felsemburgha.

Słońce, już wysoko na niebie, ukazywało swój miedziany dysk nad Wieżą Wiktorii, nieco bledszy niż wcześniej; a biel opactwa, ponura szarość Pałacu Parlamentu, nieskończona różnorodność barw domów, flag, plakatów i ludzi ujawniły się w swoim prawdziwym świetle.

Dzwon bił samotnie przez pięć minut. Chwile mijały, dzwon zamilkł; i wtedy wszyscy, którzy znaleźli się przy wielkiej zachodniej bramie opactwa, usłyszeli pierwsze akordy kolosalnych organów, potęgowane dźwiękami trąb, po których natychmiast zapadła głęboka, grobowa cisza.

II.

W ciągu tych pięciu minut, kiedy dzwon bił, rozbrzmiewając głębokim, nieprzerwanym dźwiękiem w szerokich łukach, Mabel westchnęła głęboko i opadła na krzesło, po tym jak przez pół godziny stała, wpatrując się w ten cudowny widok. Wydawało jej się, że znalazła już pokój ze światem zewnętrznym, że jest znów tą samą osobą, którą była kiedyś, że wypila do ostatniej kropli kielich piękna i zwycięstwa; czuła się jak ktoś, kto w pięknej porze roku patrzy na morze następnego ranka po burzliwej nocy; a najpiękniejszy moment jeszcze nie nadszedł!

Od jednego końca do drugiego, z jednej strony na drugą, opactwo wyglądało jak gigantyczna mozaika złożona z ludzkich postaci: wszędzie żywe zbocza, ściany, sekcje i ożywione krzywizny. Południowe ramię nawy, które pozostało przed nią, aż do szklanego rozety, było niczym innym jak rozległą przestrzenią twarzy. Przez obszar świątyni przebiegał szkarłatny dywan, zaczynający się od Kaplicy św. Wiary; a chór położony po drugiej stronie prezbiterium przepełniony był ludźmi ubranymi w coś w rodzaju płaszcza i białej sutanny; zajmowały one również wysoką galerię organową, pod którą usunięto parawan; a w dole, w kierunku nawy, rozciągał się ten sam biały, żywy dywan, aż do cienia padającego pod wielkim oknem.

Pomiędzy różnymi grupami kolumn, za staliami chóru, po prawej, po lewej i na końcu, wzniesiono łóż zgodnie z sugestią łóż masońskich: jedynie piękny sklepienie, wznoszące się wysoko dzięki promieniowym rozciągaczom, oferowało wzrokowi miejsce, gdzie mógł swobodnie spocząć. Ogromna przestrzeń była oświetlona jak w dzień przez sztuczne światło słoneczne zainstalowane na zewnątrz każdego okna, a przez stare witraże padały długie, kolorowe smugi przez pył zawieszony w powietrzu oraz w różnorodnych błyskach na twarzach i szatach zgromadzonych. Szept tych dziesięciu tysięcy głosów stanowił uroczysty akompaniament dla harmonijnych akordów rozbrzmiewających z góry, a w końcu tym, co najbardziej poruszało, była całkowicie pusta świątynia, pokryta dywanem, majestatyczny ołtarz ze schodami, okazała zasłona i wielkie puste krzesło. Było to rzeczywiście konieczne, by Mabel odzyskała nadzieję; bo ostatnia noc, aż do powrotu Oliviera, minęła dla niej jak czuwanie po strasznym śnie. Od pierwszego ciosu, jaki otrzymała wychodząc z małej świątyni, przez godziny oczekiwania, kiedy musiała

widzieć w wydarzeniach, które miały miejsce, potężne potwierdzenie Ducha Pokoju, aż do chwili, gdy w ramionach męża dowiedziała się o zniszczeniu Rzymu, wydawało jej się, że ten nowy świat nagle się rozpadł i uległ zepsuciu.

Jak mogła uwierzyć, że ta drapieżna bestia, z której pazurów i zębów kapłała krew, która zerwała się z rykiem w nocy, to właśnie Ludzkość, którą nazwała swoim Bogiem? Myślała, że zemsta, okrucieństwo, morderstwo są owocami chrześcijańskiego przesądu, który umarł i został pogrzebany wraz z nadejściem anioła światłości; a oto teraz te potwory są bardziej żywe i bardziej okrutne niż kiedykolwiek!

Przytłoczona przerażeniem spędziła ten wieczór to siedząc, to leżąc, to biegając po domu, wystawiając się na zimne powietrze to przy jednym oknie, to przy drugim, by z zaciśniętymi w gniewie dłońmi wsłuchiwać się w krzyki i ryki rozszalałego tłumu na ulicach, w pisk, gwizd, hałas pociągów, które z prowincji przybywały, by podsycać fanatyzm mieszkańców; oraz by obserwować słupy ognia i kłęby dymu unoszące się z podpalonych klasztorów i kaplic.

Potem zawahała się, zwątpiła, oparła się swoim wątpliwościom, dokonując najbardziej desperackich aktów wiary, by odzyskać ten spokój sumienia, który odczuwała podczas medytacji; powtarzała sobie, że zakorzenione zwyczaje i obyczaje umierają powoli; ukłękła, wzywając ducha pokoju, który powinien zawsze mieszkać w sercu człowieka, choć chwilowo przytłoczonym nadmiarem złej namiętności. I przypomniały jej się pewne wersy starożytnego poety wiktoriańskiego:

Wątpisz

*Czy ktokolwiek mógł to wymyślić
lub nakazać? Jak to się mogło
stać?*

Kto to uczynił?

Nie ludzie! Nie tutaj!

Och! Nie pod słońcem...

*...Pochodnia, która tliła się aż do zamachu,
rozpaliła gniew Boży, który jest gniewem
człowieka!* [Wahacie się uwierzyć

że ktoś

mógł pomyśleć o wydaniu mi takiego rozkazu?

Jak to się mogło stać?

Kto to uczynił?

Nie ludzie! Nie tutaj! Och!

Nie pod słońcem....

*...Pochodnia, która powoli się wypala, aż kielich przepelnia
się gniewem Boga, który jest gniewem człowieka]*

Rozważała nawet samobójstwo, jak później wyznała mężowi, rezygnując z życia, ponieważ czuła się zbyt niekomfortowo w tym świecie. Myślała o tym poważnie i przekonała się, że jest to wyjście, które wcale nie stoi w sprzeczności z wyznawanymi przez nią zasadami moralnymi. Powszechnie uznawano, że istoty bezużyteczne i umierające mogą usunąć się z drogi: dowodem na to były ośrodki *eutanazji*. Czyż więc ona nie mogła tego zrobić? Skoro życie stało się dla niej nie do zniesienia!

Ale gdy pojawił się Oliviero, odzyskała spokój i równowagę; ten ponury widmo zniknęło. Ileż mądrości, ileż pogody ducha okazał Oliviero!...

Tak myślała Mabel, czując się po raz kolejny podbita przez ogromny tłum zgromadzony w tej wspaniałej świątyni; i jak dobrze zrobił Oliviero, wyjaśniając jej, że mężczyzna wciąż dochodzi do siebie i dlatego może mieć nawroty! Powtarzała to sobie wiele razy tego wieczoru, ale z zupełnie innym skutkiem. Osobowość Oliviero znów ją pokonała, a imię Felsemburgh zrobiło resztę.

– Och, gdyby tylko przyszedł! – wzdychała Mabel, ale dobrze wiedziała, że jest daleko.

Była kwadrans przed jedenastą, kiedy zorientowała się, że zgromadzony na zewnątrz tłum wołał o Zbawiciela; ta myśl utwierdziła ją w nadziei: te dzikie tygrysy wiedziały więc, gdzie znaleźć swoje zbawienie, nie straciły z oczu swojego ideału, choć jeszcze go nie osiągnęły! Och, gdyby tylko przyszedł! Wszystkie trudności zniknęłyby, mętne fale uległyby słowu pokoju, a po burzy nastałby spokój. Ale On był daleko... w nieznanej misji! Cóż... On znał swój obowiązek! Z pewnością powróciłby jednak do swoich dzieci, które tak bardzo tego potrzebowały.

Zdarzyło się, że znalazła się jakby sama pośród tak wielu ludzi; jedynym sąsiadem był nieznany jej starszy pan z córkami u boku. Po jej lewej stronie wznosiła się balustrada pokryta czerwonym draperią, za którą widoczne było sanktuarium i kurtyna. Mabel siedziała skulona na tej trybunie, która, znajdując się na pewnej wysokości nad ziemią, uniemożliwiała jej nawiązanie rozmowy z kimkolwiek. Tyle lepiej! Nie miała bowiem ochoty na rozmowę, pragnęła jedynie w ciszy przyjrzeć się sobie, utwierdzić się w wierze, spojrzeć w górę na niezliczoną rzeszę zgromadzoną tam, by oddać hołd wielkiemu duchowi, który niedawno został zdradzony; nabrać nowej odwagi i postanowić zachować niezłomność.

Była ciekawa, co powie mówca, a przede wszystkim, czy w swojej przemowie poruszy temat skruchy. Tematem miało być macierzyństwo: macierzyństwo jako łagodny przejaw życia uniwersalnego, które jest czułością, uczuciem; cierpliwością, miłością, która przyjmuje i chroni, duchem, który bardziej łagodzi uczucia niż budzi myśli, duchem, który dokonuje najśłodszych czynów, który zapala światła i ogniska, który daje odpoczynek, pożywienie, dobrobyt.

Gdy ucichł dzwon, a jeszcze zanim zabrzmiały organy, dobrze słyszała wrzawę ludu, który zagłuszając cichy szept wewnątrz świątyni, burzył się na zewnątrz, wzywając swojego Boga. Wtedy z nagłym hukiem rozbrzmiały wielkie organy, potęgowane dźwiękami trąb i wściekłym grzmotem bębnow. Nie było tu miejsca na delikatny wstęp, nie zaczynała się tu powolna wędrówka ducha przez labirynty tajemnicy, by dotrzeć do najwznioślejszych wizji; nie! Tutaj panował pełny dzień, południowe światło wiedzy i mocy, jakby słońce wspinało się cudownie z góry na środku nieba.

Jego serce wyprzedzało wydarzenia; jego nadzieja, do tej pory rekonwalescentka, rozkwitała nowym życiem, drżała i uśmiechała się, podczas gdy z góry schodziły potężne akordy, śpiewając triumfalny hymn zwycięstwa. A więc człowiek był Bogiem!.. Bogiem, który poprzedniej nocy na kilka godzin zapomniał o sobie, ale który powrócił do świadomości tego poranka nowego roku, rozpraszając mgły, panując nad namiętnościami, zapraszając wszystkich do siebie, ukochany przez wszystkich! Człowiek był Bogiem, a Giuliano Felsemburgh jego wcieleniem! Tak musiała wierzyć... tak wierzyła! Tymczasem długa procesja przechodziła pod nawą, podczas gdy w wyniku niewidzialnej gry światło stawało się stopniowo coraz intensywniejsze i piękniejsze.

Oto więc szafarze prawdziwego kultu... poważni mężczyźni, którzy w pełni znali to, w co wierzyli; i choć w tej chwili nie ogarniały ich żadne emocje (tak z pewnością było w przypadku Oliviero wobec jego żony), wyznawali jednak zasady nowej wiary i dostrzegali w większości ludzi potrzebę wyrażania ich poprzez zewnętrzne czyny.

Prowadzeni przez marszałków w uroczystych strojach, spokojnym krokiem poruszali się czwórkami, parami, tylko przez wielobarwne światło, prezentując swoje fartuchy, mundury i masońskie klejnoty. Widok budzący nową pociechę!

W środku świątyni widniała tylko jedna postać: pan Francis, który, ubrany w uroczyste szaty, z niepokojem schodził po schodach i czekał na procesję, kierując nią za pomocą ledwo zauważalnych sygnałów do swoich akolitów, którzy przybiegali gotowi przekazać jego rozkazy w różnych punktach orszaku.

Prawie wszystkie miejsca po lewej stronie były już zajęte, gdy Mabel nagle zorientowała się, że ma się wydarzyć coś nieoczekiwanego.

Do tej pory zgłębienie tłumu wokół świątyni stanowiło dla muzyki rozbrzmiewającej w środku swego rodzaju nieustanny, niemal niezauważalny akompaniament, wyraźnie jednak wyczuwalny z daleka; teraz ten zgłębienie ucichło.

Początkowo sądziła, że ta cisza wynika z ostatniego sygnału ceremonii; ale potem, ogarnięta nieopisaną emocją, powracając do przeszłych doświadczeń, przypominała sobie, że tylko jedna rzecz mogła wywołać spokój wśród wzburzonego tłumu... Nie była jednak pewna; mogła to być iluzja; kto wie, czy z chwili na chwilę tłum nie zacznie znowu hałasować, pozostawiając ją obojętną?

Ale potem, w nadludzkim uniesieniu, zdała sobie sprawę, że ucichł szmer głosów nawet wewnątrz świątyni, że fala emocji ogarnęła te płaszczyzny i zbocza twarzy i poruszała nimi jak wiatr łodygami zboża.

Jeszcze chwila... i znalazła się na nogach, opierając się o balustradę, czując, jak serce bije jej gwałtownie niczym maszyna pod nadmiernym ciśnieniem, a fale krwi pędzą jej przez żyły: do jej uszu dotarł szept przypominający ogromne westchnienie, dochodzący z ogromnego zgromadzenia, które w całości wstało z miejsc.

Sam porządek procesji wydawał się tu i ówdzie zakłócony; wtedy zobaczyła, jak pan Francis nagle rzuca się, gestykulując; a na jego znaki długa kolejka porusza się niepewnie, potem się rozrywa i cofa, by następnie wznowić swój swobodny i regularny krok, by w końcu rozdzielić się na wiele odgałęzień wzdłuż różnych rzędów siedzeń, które w jednej chwili zostały wypełnione.

Ludzie biegali i przepychali się; fartuchy kołysały się, ręce gestykulowały, a z każdej strony padały urywane słowa.

Rozległo się tupanie stóp, potem odgłos przewracanego krzesła; a potem, jakby jakiś Bóg skinieniem nakazał ciszę, każdy hałas nagle ucichł, pozostawiając chaotyczne i nieprzyjemne echo, które wybrzmiewało i zamierało w jednej chwili.

Nastąpiło kolejne westchnienie, podczas gdy w wielobarwnym świetle, które spływało wzdłuż przejścia od zachodu na wschód pod szeroką nawą, samotnie kroczyła Osoba.

III.

Mabel nigdy nie była w stanie dokładnie przypomnieć sobie tego, co widziała, słyszała i czuła od jedenastej do wpół do pierwszej w ten pierwszy dzień nowego roku. Wyczerpana wewnętrzną walką poprzedniego dnia, chwilowo utraciła ciągłą świadomość siebie i zdolność refleksji; nie zachodził już w niej ten proces, który gromadzi, porządkuje i klasyfikuje fakty: była niczym więcej, jak tylko istotą inteligentną, zajętą ciągłą obserwacją rzeczy, choć nie mogła nad nimi świadomie rozmyślać. Wydawało się, że wzrok i słuch były jedynymi zmysłami pozostającymi w bezpośrednim kontakcie z jej rozpalonym sercem.

Nie potrafiła nawet powiedzieć, w którym momencie rozpoznała w tym mężczyźnie Felsemburga. Wydawało jej się, że zorientowała się jeszcze zanim wszedł, i czekała na niego, podczas gdy on, dumnie samotny i milczący, kroczył po czerwonym dywanie, wchodził po schodach chóru, mijając ją.

Miał na sobie czarno-szkarłatną togę angielskich prawników, ale ona ledwie zwróciła uwagę na ten szczegół: dla Mabel w tej chwili nie istniał nikt inny poza Nim; nawet ogromne zgromadzenie zniknęło, rozplynęło się i przemieniło w pulsującą, ogromną atmosferę ludzkich emocji. Wszędzie widniała tylko jedna postać: Giuliano Felsemburgh, a spokój i światło tworzyły wokół Niego chmurę chwały.

Zniknął na chwilę za amboną i natychmiast pojawił się ponownie na schodach. W końcu dotarł na swoje miejsce, a Mabel mogła dostrzec jego profil, czysty i delikatny jak ostrze brzytwy, pod białymi włosami.

Podniósł rękaw obszyty gronostajem i skinął lekko głową; po czym dziesięć tysięcy zgromadzonych osób usiadło jednocześnie. Następnie, na nowy znak, wszyscy wstali.

W zgromadzeniu panowała głęboka cisza. Nieruchomy, z rękami opartymi na balustradzie, uparcie wpatrywał się przed siebie; można by pomyśleć, że po przyciągnięciu wzroku wszystkich, po uciszeniu wszystkich głosów, pragnął jeszcze większej władzy, czekając, aż zapanuje jedna wola, jedno pragnienie, podlegające jego rozkazom.

W końcu przemówił.

Jednak Mabel musiała później przyznać, że nie pamiętała dokładnie żadnego z jego słów: zanikała w niej ta świadoma czynność, dzięki której zwykle

przyjmować, kwestionować i akceptować to, co słyszała. Najbardziej trafnym obrazem, jaki później potrafiła sobie wyobrazić, opisując swoje emocje, było to, że kiedy On mówił, wydawało jej się, jakby to ona sama mówiła! Jej myśli, uczucia, cierpienia, rozczarowania, nadzieje, wszystkie te wewnętrzne sprawy, o których sama dusza tak mało wie... najdelikatniejsze niuanse, najbardziej nieuchwytny przepływ myśli wydawały się, dzięki temu człowiekowi, wyostreć się i wznosić, rozjaśniać i nasycać. Po raz pierwszy w życiu w pełni poznała znaczenie ludzkiej natury, ponieważ to właśnie jej duch unosił się w powietrzu, niesiony przez ten potężny głos.

Po raz kolejny, podobnie jak niedawno w świątyni św. Pawła, wydawało się, że po długim jęku natura w końcu przemówiła, znalazłszy wreszcie doskonały wyraz dla myśli. Ale wtedy On przemawiał do ludzi: teraz przemawiał sam Człowiek... nie człowiek, ale Człowiek świadomy swojego pochodzenia, swojej wędrówki, swojego przeznaczenia... Człowiek, który opamiętał się po nocy szaleństwa, znający swoją potęgę, ogłaszał swoje prawo, choć jednocześnie ubolewał głosem tak wyrazistym jak dobrze nastrojony instrument, że nie potrafił mu sprostać. Była to raczej monolog niż modlitwa.

Rzym był stracony, w Anglii i we Włoszech krew płynęła ulicami, dym i płomienie wznosiły się ku niebu, ponieważ człowiek na chwilę zstąpił na poziom tygrysów.

„To jest fakt niezaprzeczalny” – wołał ten wymowny głos – „ale nie było miejsca na skruchę: przez ponad jedno pokolenie człowiek ponosiłby karę, rumieniąc się ze wstydu, pamiętając, że pewnego dnia odwrócił się plecami do światła”.

Żadnych ponurych aluzji, żadnej wzmianki o zawałających się pałacach, uciekających mieszkańcach, strasznych wybuchach, drzeniu ziemi, śmierci tak wielu nieszczęśników. Przypomniawszy sobie natomiast te gwałtowne duchy, które wiwatowały na ulicach Anglii i Niemiec, dziką pasję, która szalała we Włoszech, podczas gdy statki powietrzne, zajmując swoje pozycje, miały właśnie dokonać zemsty, odpłacając spisek spiskiem, przemoc przemocą. „*Tam – krzyczał ten głos – odżył człowiek z dawnych czasów, który na chwilę cofnął się do epoki barbarzyństwa, kiedy nie znał jeszcze ani swojego pochodzenia, ani swojego przeznaczenia.*

„*Ale nie było potrzeby żadnej skruchy* – powtarzał głos – *było coś lepszego*”; i gdy głos złagodził swój przenikliwy i surowy ton, Mabel poczuła, że jej oczy, dotąd suche z upokorzenia, napęłniły się łzami.

„Było coś lepszego: mianowicie świadomość zbrodni, które człowiek mógł jeszcze popełnić, oraz chęć wyciągnięcia wniosków z pierwszego smutnego doświadczenia”.

„Rzym był stracony... Niewyobrażalna hańba dla nowej ludzkości! Rzym był stracony!... ale w końcu powietrze stało się bardziej znośne...” i nagłym lotem, niczym orzeł, wzbił się z okropnej otchłani, w którą chwilowo zstąpił, z ruin Rzymu i innych wydarzeń hańby, ku spokojnemu powietrzu, ku światłu słońca, na którym człowiek powinien spoczywać wzrokiem. I zabierał ze sobą w tym cudownym locie rosę łez i zapach ziemi: nie szczędził słów, by obnażyć ludzkie serce, i nie szczędził ich, by podnieść to biedne, upokorzone i krwawiące serce oraz pocieszyć je w boskiej wizji miłości....

Trwało to około czterdziestu minut, zanim zwrócił się do zasłoniętego wizerunku nad ołtarzem, wołając: – O Macierzy! O Matko nasza!... I wtedy, dla tych, którzy rozumieli ten język, dokonał się najwyższy cud... Albowiem nie wydawało się, by tak przemawiał człowiek, ale Ktoś, kto osiągnął sferę nadludzką.

Zasłona się podniosła i oto nad ołtarzem pojawiła się twarzą w twarz Matka, śnieżnobiała, majestatyczna i opiekuńcza, podczas gdy Syn, płomienne wcielenie miłości, wołał ze swojej trybuny:

- O Matko nasza! Ty jesteś moją Matką!...

A przed Nią celebrował wzniosłą zasadę życia, głosił jej chwałę, wielkość, nieskalaną kobiecość; wspominał siedem mieczy wbitych w jej serce przez ślepych i zbłąkanych synów... I składał jej najwspanialsze obietnice: wdzięczność całej niezliczonej potomstwa, miłość i posłuszeństwo przyszłych pokoleń, pozdrowienia tych, którzy wkrótce opuszczają łono matki. Potem nazywał Ją Mądrością Najwyższego, który silnie i łagodnie kieruje wszystkim, Bramą Nieba, Wieżą z Kości Słoniowej, Pocieszycielką Zrozpaczonych, Królową Wszechświata; a w zachwyconych oczach zgromadzonych wydawało się, że Matka uśmiecha się do niego...

Ogromna tęsknota, jakby istoty nieziemskiej, wypełniała powietrze, podczas gdy tłum poruszał się za Nim, z którego ust wylewała się ta rzeka słów. Fala emocji opadała i unosiła się wśród okrzyków i westchnień: w końcu ktoś wykrzyknął obok Niego, ławka przewróciła się wśród zatłoczonych siedzeń, i

tak stopniowo, aż zgromadzeni zaczęli wylewać się na przejścia: nie mógł już dłużej trzymać ich biernie w słuchaniu, po tym jak pociągnął ich do najwyższego czynu. Tymczasem fala narastała i zbliżała się: twarze nie patrzyły już na Syna, ale na Matkę. Mabel rozlewała łzy na balustradę i upadała z westchnieniem na kolana.

Głos wciąż rozbrzmiewał, a dwie smukłe, śnieżnobiałe dłonie wyłoniły się z szerokich, okazałych rękawów, jakby chciały sięgnąć przez całą świątynię.

Teraz miał On do przekazania wiadomość ku swojej chwale. Powracał triumfalnie ze Wschodu, gdzie okrzyknęli Go Królem, czczonym Bogiem, jako Tego, który jako pokorny i nadludzki Syn Ludzkiej Matki przyniósł nie miecz, ale pokój; nie krzyż, ale koronę.

Tak rzekł; ale nikt z obecnych nie potrafił rozróżnić, czy to On przemawiał, czy inni, ani czy to Jego głos ogłaszał, czy ich serca wiwatowały! Na schodach świątyni wyciągał ramiona i wypowiadał słowa, podczas gdy lud huczał za Nim z łoskotem tysięcy stóp i westchnieniami tysięcy serc. Zbliżył się do ołtarza... wszedł na niego i ostatnim okrzykiem, gdy tłum wtargnął na schody, pozdrowił swoją Królową i Matkę.

Dramat zbliżał się do końca, szybko i nieuchronnie.

Kilka chwil przed upadkiem na kolana, ze łzami w oczach, młoda dziewczyna ujrzała z galerii małą postać pokorną u stóp wielkiego wizerunku, z wyciągniętymi ramionami, cichą, przemienioną, uniesioną w olśniewającym świetle. Matka w końcu odnalazła swojego Syna!

Mabel rzuciła ostatnie spojrzenie na majestatyczne kolumny, kolory, złocenia, uniesione ramiona i poruszające się głowy: przed nią rozciągało się prawdziwe morze w burzy.

Wydawało jej się, że światło to znika, to pojawia się, że okno w kształcie róży nagle zaczęło się obracać, że powietrze wypełniły duchy, że w odległym niebie błyskają błyskawice, a ziemia drży w ekstazie! Wtedy, w nadnaturalnym świetle, wśród huku bębnow, wśród przenikliwych krzyków kobiet i ogłuszającego tupotu stóp, z wybuchem religijnego entuzjazmu, dziesięć tysięcy głosów ogłosiło Giuliano Felsemburgha swoim Panem i Bogiem!

KSIEGA
TRZECIA
ZWYCIĘSTWO

ROZDZIAŁ
PIERWSZY I.

Mały pokój, w którym nowy papież czytał, był wzorem prostoty: miał bielone ściany, sufit z surowych belek i podłogę z ubitej tufu. Na środku stał kwadratowy stół i krzesło; nad szerokim paleniskiem wisiało wygaszone kociołki, a przy ścianie stała mała półka z kilkoma książkami. Pokój miał trzy drzwi, z których jedno prowadziły do prywatnej kaplicy, drugie do przedpokoju, a trzecie na mały, wybrukowany dziedziniec. Okna od strony południowej były zamknięte, ale ponieważ były w złym stanie, wpadały przez nie promienie gorącego światła tej wschodniej wiosny.

Była pora odpoczynku po południu; i poza szybkim cykaniem cykady na zboczu tuż za domem wszystko pogrążone było w najgłębszej ciszy.

Papież, który już od godziny skończył lunch, przez cały ten czas nie zmienił ani trochę pozycji: tak bardzo pochłonęła go ta lektura; na chwilę zapomniał o wydarzeniach ostatnich miesięcy, o gorzkim niepokoju chwili i o strasznym ciężarze swojej odpowiedzialności.

Książka, którą trzymał przed sobą, była wznowieniem słynnej biografii Giuliano Felsemburgha, wydanej miesiąc wcześniej, którą przeczytał prawie do końca.

Elegancka, bardzo dobrze napisana książka, której autora nie znano, choć niektórzy podejrzewali, że jest to dzieło samego Felsemburga; większość jednak uważała, że została napisana przynajmniej za jego zgodą przez kogoś należącego do elitarnego grona tych bliskich mu osób, które pod jego przewodnictwem kierowały sprawami politycznymi Wschodu i Zachodu.

Głównym tematem tej pracy było życie Felsemburga; a raczej te dwa lub trzy lata, które uczyniły go znanym światu, od jego pierwszego pojawienia się na scenie politycznej Ameryki, poprzez jego mediacje na Wschodzie, aż po wydarzenia ostatnich miesięcy, kiedy to, odnosząc sukces za sukcesem, został okrzyknięty Mesjaszem w Damaszku, czczony jako Bóg w Londynie i w końcu wybrany znaczną większością głosów trybunem obu Ameryk.

Papież pomiął te szczegóły historyczne, które zresztą dobrze znał, skupiając się z wyuczoną uwagą na fragmentach odnoszących się do jego charakteru; lub,

jak stwierdził autor, *ujawniając się światu*. Główną cechą tego Człowieka była podwójna władza nad słowami i czynami. „*Słowa, córki ziemi, łączyły się w Nim z czynami, synami nieba*”, a z tego związku rodził się Nadczłowiek. Wśród cech drugorzędnych wymieniało się jego zamięłowanie do literatury, fenomenalną pamięć oraz geniusz językowy. Posiadał on oko mikroskopowe i oko teleskopowe, dzięki czemu potrafił dostrzegać tendencje rozległego świata, jak najdrobniejsze ruchy dłoni; jego zdolność uchwycenia faktu w najdrobniejszych szczegółach była naprawdę znakomita.

Różne anegdoty ilustrują te spostrzeżenia, przytoczono też sporą liczbę eleganckich aforyzmów.

„*Człowiek nie wybaczają; kiedy mówi się, że ktoś wybaczają, nie robi on nic innego, jak tylko rozumie*”. „*Potrzeba wielkiej wiary, by zaprzeczyć istnieniu Boga transcendentnego*”. „*Człowiek, który ma zaufanie do samego siebie, jest jedynym, który może je mieć również do innych*”. To ostatnie zdanie wyrażało egoizm w sposób najbardziej wyrafinowany, sprzeczny z duchem chrześcijańskim. Następnie brzmiało: „*Wybaczenie zła jest równoznaczne z aprobatą zbrodni*”. „*Silny człowiek nie powinien być dostępny dla nikogo, podczas gdy wszyscy powinni być dostępni dla niego*”.

W tych aforyzmach było coś z patosu; ale, jak dobrze zauważył papież, nie pochodziło to od mówcy, lecz od biografa. Kto słyszał przemówienia Felsemburga, dobrze wiedział, jak brzmiałyby one z jego ust: albo przelane bez akademickiej powagi w płomienny strumień elokwencji, albo, jeśli nie, wypowiedziane z tą rzadką, przekonującą prostotą, która przyniosła mu pierwszy sukces w Londynie. W każdym razie można było nienawidzić Felsemburga, a nawet się go bać; ale nie można było z niego drwić.

Jednak pisarz czerpał największą satysfakcję z podkreślania analogii między swoim bohaterem a naturą: w jednym i w drugiej przypadku występowała ta sama pozorna sprzeczność polegająca na połączeniu największej czułości z największym okrucieństwem. „*Sila, która leczy rany, jest tą samą, która je zadaje; ta, która pokrywa ziemię drzewami i trawą, niszczy je i unicestwia suszą i burzami; ta, która skłania przepiórkę do poświęcenia życia za swoje młode, sprawia, że sroka się tym nasycą*”. Podobnie Felsemburgh: On, który opłakiwał zniszczenie Rzymu, miesiąc później uważał eksterminację za środek, który można słusznie wykorzystać dla dobra ludzkości, o ile „*stosuje się go z rozważą, a nie z namiętnością*”.

Podobne wypowiedzi wzbudziły ogromną ciekawość ze względu na swój paradoksalny charakter w ustach człowieka, który głosił pokój i tolerancję; i choć

mówił o tym na całym świecie. Jednakże, poza nawrót prześladowań wobec irlandzkich katolików i skazaniem na śmierć kilku osób, takie tezy do tej pory nie zostały wprowadzone w życie. Później jednak świat je ogólnie zaakceptował i wydawał się oczekiwać ich pełnego spełnienia.

Ponieważ, jak zauważył biograf, świat zamknięty w granicach natury fizycznej nie mógł odmówić zgody Temu, który wykazywał, że podąża za nakazami tej natury; który jako pierwszy, świadomie i bez względu na wszystko, wprowadzał wśród ludzi zasady takie jak przetrwanie najsilniejszych i niemoralność przebaczenia. Jeśli w Nim było coś niewytłumaczalnego, to było to również w naturze; i ludzie musieli to zaakceptować dla swojej pełnej ewolucji.

W osobowości tego Człowieka tkwiła tajemnica Jego sukcesu; każdy, kto Go widział, nieuchronnie był skłonny w Niego wierzyć i Mu zaufać.

„Nie możemy wyjaśnić natury ani próbować jej uniknąć za pomocą sentymentalnych wyrzutów: zając krzyczy jak dziecko, ranny jeleń roni obfite łzy, rudzik zabija swoich krewnych: życie istnieje tylko pod warunkiem, że istnieje śmierć, a wszystko to dzieje się wbrew wszystkim naszym teoriom. Musimy zaakceptować życie takim, jakim jest, i nie bać się, że postępując zgodnie z nim, stajemy się źli; tylko na tych warunkach osiągniemy spokój, ponieważ nasza wielka Matka objawia swoje tajemnice wyłącznie tym, którzy podporządkowują się jej prawom”. Tak należy postępować w obliczu Felsemburga. „Jego osobowość jest taka, że nie dopuszcza dyskusji: On jest doskonały i wystarczający sam dla siebie dla tych, którzy chętnie Mu się powierzają; dla pozostałych zawsze pozostanie nieprzyjemną i nie do rozwikłania zagadką. Świat musi przygotować się na przyjęcie wszystkich konsekwencji Jego doktryny: sentymentalizm nie może przeważać nad rozumem”.

W końcu biograf wykazał, że to Jemu należały się tytuły dotychczas przyznawane tak zwanym Istotom Wyższym; te pojawiły się w wyobraźni ludzi jako typowe postacie, które miały służyć przygotowaniu Jego dróg. Mógł więc nazywać się Stwórcą, ponieważ przyniósł ludziom życie w doskonałej jedności, za którym tak długo tęsknili na próżno, zanim zostali stworzeni na Jego podobieństwo.

Można Go było również nazwać Odkupicielem, gdyż to podobieństwo w pewien sposób uciszyło burzę wszelkich błędów i wszelkich konfliktów; dzięki Niemu człowiek został wyprowadzony z ciemności i cienia śmierci na drogi pokoju.

Z tego samego powodu był On Zbawicielem; był Synem Człowieczym, ponieważ jako jedyny był doskonale ludzki; Absolutem, ponieważ w sobie łączył wszystkie ideały; Wiecznym, ponieważ natura zawsze zawierała Go w sobie wirtualnie i zapewniała Mu doskonałą ciągłość swojego porządku; Nieskończonym, nie mogącym być częścią rzeczy skończonych, jako Ten, który był wyższy od ich całości. Co więcej, był Alfą i Omegą, początkiem i końcem, pierwszym i ostatnim; był Dominus et Deus noster – zupełnie jak Domicjan! – myślał papież. Wreszcie był prosty i złożony jak życie: prosty w istocie, złożony w działaniach.

Ale potem najwyższy dowód Jego niezwyklej misji ujawnił się w tym nieśmiertelnym przesłaniu. Nie można było nic dodać do tego, co On ujawnił; ponieważ najbardziej rozbieżne kierunki znajdowały w Nim punkt wyjścia i punkt docelowy. Nie zastanawiano się jeszcze, czy On może dać dowód swojej osobistej nieśmiertelności; z pewnością byłoby dobrze, gdyby Życie objawiło Mu najwyższą tajemnicę, ale nie było to absolutnie konieczne. Z drugiej strony Jego duch wypełniał świat: jednostka nie była już oddzielona od swoich bliźnich, śmierć była jak zmarszczka, która pojawia się tu i ówdzie na nienaruszalnym morzu. Człowiek wiedział już od dawna, że rasa jest wszystkim, a jednostka niczym; komórka uznawała w ciele swoją integralność, a najwięksi myśliciele oświadczyli nawet, że świadomość indywidualna musi ustąpić tytułu osobowości całej masie ludzi; ponieważ właśnie z powodu tego niespokojnego pragnienia jedności skłonili się oni do pogodzenia się w ramach całej ludzkości: w przeciwnym razie, jak wyjaśnić koniec konfliktów partyjnych i rywalizacji narodowych? Oto dzieło Giuliano Felsemburga!

Anonimowy pisarz kończył tę pracę następującą gorącą peroracją:

„Oto jestem z wami zawsze, teraz i aż do skończenia wieków; Pocieszyciel zstąpił pośród nas. Ja jestem Bramą, Drogą, Prawdą i Życiem, źródłem i wodą Życia. Moje imię to Cudowny, Księżę Pokoju; Ojciec Wieczny, Ja jestem Pragnieniem Narodów, najpiękniejszy spośród synów ludzkich, a moje Królestwo nie będzie miało końca”.

Papież odrzucił księgę, zamknął oczy i opadł ciężko na krzesło.

II.

A co on sam mógł przeciwstawić temu wszystkiemu?

Osobisty Bóg, który pozostawał w ukryciu, Zbawiciel, który zwlekał z powrotem, Pocieszyciel, którego nie słyszeć było w burzy, ani nie ukazywał się już w językach ognia!

Tam, w sąsiednim pokoju, stał mały drewniany ołtarz, nad nim żelazny tabernakulum, a w tabernakulum srebrna gabłota, a w gablocie znajdowało się *Coś!* Na zewnątrz, około pięćdziesięciu metrów od domu, rozciągały się kopuły i dachy małej wioski zwanej Nazaret; po prawej stronie, kilka mil dalej, wznosił się Karmel, po lewej Tabor, a naprzeciwko równina Esdraelon; z tyłu Kana i Galilea, spokojne jezioro i Hermon; a dalej, na południu, Jerozolima... Na tym niewielkim obszarze Świętych Miejsc przebywał Papież: w ziemi, gdzie dwa tysiące lat temu zrodziła się wiara i gdzie, gdyby Bóg nie sprawił, że Jego słowo znów zabrzmiało w obłokach ognia, ta sama wiara zostałaby zrównana z ziemią jak przeszkoda. Przez tę ziemię przeszedł Ten, którego wszyscy ludzie uznali za Odkupiciela Izraela; w tej wiosce czerpał wodę, budował skrzynie i krzesła... na wodach jeziora postawił stopy, na wysokim wzgórzu ukazał się w chwale przemieniony, a na górze powiedział: błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię; błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi; błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. A tymczasem doszło do tego, że wiara chrześcijańska ukrywała się daleko od Europy, jak słońce zachodzące za wzgórzami; z Wiecznego Rzymu pozostała sterta ruin; na Zachodzie i na Wschodzie człowiek uzurpował sobie tron Najwyższego, a ludzie okrzykiwali go Bogiem! Świat poszedł wielkimi krokami: wzrosło poczucie społeczne, ludzie nauczyli się z Ewangelii doktryny solidarności, ale pomijając Boskiego Mistrza; a nawet, jak mówili, wbrew Niemu! Na całym świecie mogło być jeszcze trzy miliony ludzi... może pięć... najwyżej dziesięć milionów – a zresztą, jak ich policzyć? – którzy czcili Jezusa Chrystusa jako Boga; a Jego Namiestnik siedział w międzyczasie w małym, bielonym pokoju niedaleko Nazaretu, ubrany w proste szaty jak Mistrz, czekając na koniec.

Ze swojej strony nie mógł zrobić nic więcej. Zaledwie tydzień temu, pięć miesięcy temu, miał wątpliwości co do decyzji, które należało podjąć.

Pozostało tylko trzech kardynałów: on, Steinmann i patriarcha Jerozolimy; pozostali spoczywali przygnieceni pod ruinami Rzymu. Była to

sytuacja bez precedensu. Tak więc dwaj europejscy kardynałowie wyruszyli na Wschód, w kierunku tego jedyne go miasta, gdzie nadal panował odrobinę spokoju: wraz z greckim chrześcijaństwem zniknęły wszelkie ogniska wewnętrznych sporów wśród wiernych; i, niemal dzięki milczącej zgodzie świata, cieszyli się oni pewną swobodą w Ziemi Świętej. Rosja, od której zależała ta dzielnica, przestała się nią zajmować. To prawda, że już zbezczeszczone Miejsca Święte pozostawały jedynie jako archeologiczne ciekawostki; ołtarzy już nie było, ale wciąż można było wiedzieć, gdzie się znajdowały; i choć zabronione było publiczne odprawianie Mszy, to jednak dozwolone były prywatne kaplice.

W takich warunkach trzech kardynałowie zastali Święte Miasto. Każdy z nich pilnie strzegł się noszenia znaków swojej godności i można było z całą pewnością uznać, że świat cywilizowany nie podejrzewał nawet o ich istnieniu; ponieważ trzy dni po ich przybyciu zmarł stary patriarcha, ale nie wcześniej niż Percy Franklin, w okolicznościach, które nie mają sobie równych w całej historii Kościoła, został wybrany na papieża. Wybór nastąpił w ciągu pięciu minut przy łóżku umierającego patriarchy. Dwaj starcy nalegali; Niemiec po raz ostatni odwołał się do dziwnego podobieństwa Percy'ego do Juliana Felsemburga i powtórzył szeptem swoje dawne uwagi o antynomii i palcu Bożym.

Percy, choć zdumiony uporczywym przesądem swojego kolegi, musiał się zgodzić; wybór został zatwierdzony. Przyjął imię Sylwester, ostatni święty w roku i trzeci papież noszący to imię; następnie wraz ze swoim kapelanem udał się do Nazaretu, podczas gdy Steinmann, po powrocie do Niemiec, został powieszony podczas zamieszek ludowych piętnaście dni po swoim przybyciu.

Teraz należało wybrać nowych kardynałów. Z największą ostrożnością wysłano breve do dwudziestu osób, z których dziewięć odmówiło; spośród kolejnych trzech, do których później skierowano zaproszenie, tylko jedna przyjęła. W ten sposób na całym świecie zaledwie dwanaście osób tworzyło Święte Kolegium: dwóch Anglików, w tym Corkran, dwóch Amerykanów, jeden Francuz, jeden Niemiec, jeden Włoch, jeden Hiszpan, jeden Polak, jeden Chińczyk, jeden Grek i jeden Rosjanin.

Tym osobom powierzono rozległe regiony z pełną władzą, zależną wyłącznie od władzy Ojca Świętego.

Jeśli chodzi o samo życie papieża, niewiele można było o nim powiedzieć. Zewnętrznie, nawet według jego własnego zdania, przypominało życie Leona Wielkiego, pozbawione wszelkiej ziemskiej pompy. Teoretycznie świat chrześcijański zależał od papieża; w praktyce wszystko, co dotyczyło religii, było zarządzane przez lokalne władze. Papież nie mógł z uzasadnionych

z różnych powodów nie mógł robić tego, co by chciał, aby utrzymywać kontakt z wiernymi. Tylko za pomocą bezprzewodowego aparatu telegraficznego, zainstalowanego na dachu tego domu, przysyłał on za pomocą tajnego szyfru swoje rozkazy do podobnego urzędnika znajdującego się w Damaszku, gdzie kardynał Corkran ustanowił swoją rezydencję; a z tej centralnej stacji wszystkie wiadomości były przekazywane do władz kościelnych na całym świecie. Jednak ogólnie rzecz biorąc, nie napływało zbyt wiele wiadomości. Papież jednak, mimo trudności niemal nie do pokonania, z wielką radością dowiedział się, że podjęto pewne działania w celu reorganizacji hierarchii w różnych krajach. Swobodnie wyświęcano nowych biskupów; mówiono, że na całym świecie jest ich dwa tysiące, a księży – niezliczona liczba. Zakon Chrystusa Ukrzyżowanego wytrwale kontynuował swoje święte dzieło; w ciągu ostatnich dwóch miesięcy do Nazaretu dotarło nie mniej niż czterysta relacji o męczeństwie, zadanych głównie przez tłumy.

Nowi zakonnicy, oprócz kontynuowania ideału właściwego Zakonowi, a mianowicie oferowania tym, którzy kochali Boga, możliwości służenia Mu z większą doskonałością, świadczyli jeszcze w innych okolicznościach wybitne usługi. Najbardziej niebezpieczne zadania, takie jak przekazywanie wiadomości (między różnymi dostojnikami kościelnymi), misje dyplomatyczne u osób o wątpliwej uczciwości oraz wszelkie inne sprawy, których załatwienie wiązało się z narażeniem życia, powierzano wyłącznie członkom tego Zakonu. Surowe instrukcje nadesłane z Nazaretu zabraniały biskupom narażania się na niepotrzebne niebezpieczeństwo; każdy z nich miał być uważany za serce swojej diecezji, chronione wszelkimi środkami, jakie wynikały z godności chrześcijańskiej; dlatego każdy biskup otaczał się garstką nowych Rycerzy – mężczyzn i kobiet – którzy z hojnym i nieustraszoną posłuszeństwem podejmowali się, zgodnie ze swoimi możliwościami, najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych misji. Wszyscy zrozumieli wówczas, że bez tego Zakonu działalność Kościoła pozostałaby sparaliżowana w podobnych okolicznościach.

W wielu kwestiach przyznano następnie nadzwyczajne ułatwienia. Każdy kapłan należący do Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego otrzymywał pełną jurysdykcję od biskupa diecezji, w której się znajdował; pozwolenie na codzienne odprawianie Mszy św. Pięciu Ran, Matki Bożej lub Zmartwychwstania; wszystkim przyznano przywilej korzystania z przenośnego ołtarza, który mógł być nawet drewniany. Pozostałe wymogi liturgiczne zostały zniesione; Mszę można było odprawiać przy użyciu dowolnego przyzwoitego naczynia ze szkła lub porcelany oraz dowolnego rodzaju chleba. Żadne szaty liturgiczne nie były obowiązkowe, z wyjątkiem paska zastępującego stulę; oświetlenie było opcjonalne, podobnie jak sutanna;

a różaniec, nawet odmawiany bez korony, mógł zastąpić *nabożeństwo*. W ten sposób księża mogli udzielać sakramentów i odprawiać Ofiarę Świętą przy mniejszym ryzyku; te złagodzenia okazały się już bardzo korzystne w europejskich więzieniach, gdzie tysiące katolików ponosiło karę za nieuczestniczenie w nowym kulcie.

Życie prywatne papieża było tak samo proste jak jego pokój.

Jako kapelan służył mu syryjski ksiądz, a jako słudzy – dwaj inni Syryjczycy. Każdego ranka odprawiał mszę, ubrany w białą papieską szatę, a potem uczestniczył w kolejnej mszy; następnie, po przebraniu się w lokalną tunikę i płaszcz, pił kawę i resztę poranka spędzał na pracy. O dwunastej jadł obiad, odpoczywał chwilę, a potem wyjeżdżał konno; ponieważ okolica, z powodu niepewnej sytuacji politycznej, zachowała jeszcze prostotę sprzed stu lat.

Wracał o zmierzchu, jadł kolację i wracał do pracy aż do późnej nocy.

Jego kapelan wysyłał niezbędne wiadomości do Damaszku; a służba, która nie znała jego godności, utrzymywała z zewnętrznym światem tylko absolutnie niezbędne kontakty. Tak się złożyło, że nieliczni sąsiedzi wiedzieli jedynie, że w małym domu zmarłego szejka, położonym na wzgórzu, mieszkał nieco dziwny Europejczyk, który miał przy sobie bezprzewodowy telegraf. Służba, prawdziwie gorliwi chrześcijanie, wiedziała jedynie, że jest on biskupem; powiedziano im, że istnieje papież; te słowa oraz sakramenty, które przyjmowali, sprawiały, że byli zadowoleni. Podsumowując, świat katolicki wiedział, że istnieje papież o imieniu Sylwester, a trzynaście osób z całej ludzkości wiedziało, że Franklin to jego prawdziwe imię i że tron Piotrowy pozostawał na razie w Nazarecie.

Sytuacja katolicyzmu była taka, jak przewidział to sto lat wcześniej pewien francuski pisarz: katolicyzm przetrwał, a to już było coś!

III.

A co powiedzieć o jego życiu wewnętrznym?

Siedział wygodnie rozsiadły na tym drewnianym krześle, zamyślony i ze spuszczonej oczami; ale nawet on nie potrafił sobie tego właściwie wyobrazić, gdyż tak naprawdę ledwie ją znał: teraz nadszedł czas raczej na działanie niż na rozmyślanie. Zresztą jego stan ducha opierał się na prostej wierze. Dla niego tylko religia katolicka mogła odpowiednio wyjaśnić wszechświat i, nawet jeśli nie otwierała drzwi do wszystkich tajemnic, zawsze należało ją uważać za najlepszy klucz. Był również przekonany, że chrześcijaństwo jest jedynym systemem myślowym, który zaspokaja całego człowieka, jedynym, który może dogłębnie przeniknąć jego naturę; że niepowodzenie chrześcijaństwa w doskonałym zjednoczeniu ludzi nie wynikało z jego słabości: wręcz przeciwnie, świadczyło o jego żywotności: jego drogi prowadzą ku wieczności, a nie ku czasowi. Taka była jego wiara. Jednak na tym żywym obrazie pojawiały się inne obrazy, a on nie dostrzegał ich następstwa. Porwany przez nie, gdy schodziły do jego ducha jak powiewy raju, widział, jak tło tego obrazu rozjaśnia się nadzieją i ożywa dramatem. Uważał siebie i swoich współpracowników dokładnie tak, jak musieli postrzegać siebie Piotr i inni apostołowie, gdy głosili w świątyniach, wioskach, na placach publicznych i w prywatnych domach wiarę, która wstrząsnęła światem i go przemieniła. Rozmawiali z Panem Życia, widzieli pusty grób, dotykali przebitych rąk Tego, który był ich bratem i ich Bogiem. Oto ta lśniąca prawda, choć nikt nie chciał już w nią wierzyć; ale gęsta zasłona niewiary nie mogła ukryć faktu tak realnego, jak słońce na niebie. Co więcej, była to właśnie sprawa z ludzkiego punktu widzenia przegrana, ta sama, która natchnęła apostołów. Nie mogli myśleć o poleganiu na ludzkiej sile, ponieważ tylko Bóg walczył za nich. I znaleźli w nagości swoją zbroję, w pokornej mowie swoją elokwencję; a w swojej słabości prosili o boską pomoc i ją otrzymali. Mimo to między nim a Piotrem istniała bardzo istotna różnica. Piotr miał o świecie duchowym pojęcie poparte faktami, których sam był świadkiem; widział zmartwychwstałego Chrystusa: historia potwierdzała tę ideę. Nie tak było w przypadku Sylwestra. Musiał on poznać prawdy nadprzyrodzone w wyższej sferze, która gwarantowała historyczność Wcielenia bardziej niż pewność jego własnego pojmowania. Bez wątplenia chrześcijaństwo było faktem historycznym, potwierdzonym dokumentami;

jednak aby w to uwierzyć, potrzebne było oświecenie z góry. Doświadczał w sobie mocy Zmartwychwstania; zatem Chrystus zmartwychwstał!

Bywały jednak również chwile wielkiego smutku.

Czasami budził się i znajdował się w ciemnościach; próbował zasnąć i czuł się duszony; sprawował mszę, ale nie odczuwał niewysłowionej słodczy Boskiego Chleba ani pulsowania Najcenniejszej Krwi. Innym razem ciemność gęstniała tak bardzo, że nawet przedmioty jego wiary wydawały się znikać jak cienie: jego natura stawała się na wpół ślepa nie tylko na Chrystusa, ale na samego Boga i Jego rzeczywiste istnienie... Jego strój pontyfikalny wydawał mu się oznaką szaleńca. Wtedy jego ziemski umysł pytał: jak uwierzyć, że On, wraz z dwunastoma członkami swojego kolegium i kilkoma tysiącami wyznawców, miał rację, a zgodna opinia całego oświeconego świata była w błędzie? Świat przyjął przesłanie Ewangelii; przez dwa tysiące lat nie głoszono mu niczego innego; a jednak teraz twierdził, że Ewangelia jest fałszywa... fałszywa w swoich referencjach, fałszywa w swoich duchowych wymaganiach... I wtedy Przewodnik wiernych cierpiał z powodu przegranej sprawy; był ostatnim z długiej serii, jak dymiący knot świecy, która nikomu nie dała światła, sprowadzenie do absurdu śmiesznego sylogizmu opartego na niemożliwych przesłankach... On i jego towarzysze w szaleństwie nie zasługiwali nawet na śmierć... nie, musieli pozostać, by być certyfikowanymi idiotami w szkole świata!

Czy zatem materializm był jedyną drogą do zbawienia?

Czasami czuł się tak przytłoczony przygnębieniem, że niemal wierzył, iż utracił wiarę; bunt umysłu był tak gwałtowny, że zatrzymywał każdy ruch serca; pragnienie ziemskiego spokoju tak intensywne, że dusiło wszelkie niebiańskie aspiracje; a ciemność tak gęsta, że on, mając nadzieję wbrew własnej nadziei, przeciwstawiając wiarę wiedzy i prawdzie miłości, wołał, jak już wołał ten drugi: *Eli! Eli! Lamma sabachtani?*

Jedynie w jednej rzeczy znajdował pocieszenie i wytrwałość, przynajmniej gdy jego sumienie było poruszone: w kontemplacji.

W życiu mistycznym poczynił wielkie postępy po pierwszych bolesnych próbach. Teraz jednak nie schodził już celowo w najodleglejsze zakątki ducha; chwycił się niejako za głowę, zanurzając się jakby w pozaprzestrzennej głębi. Sumienie mogło wyciągnąć go na powierzchnię jak korek; ale on starał się tam powrócić, aż

wraz z ustaniem wszelkiej aktywności, co stanowi szczyt duchowego napięcia, przemierzał tajemnicze królestwo transcendencji, gdzie Bóg objawiał mu się to sugestią, to bolesnym ukłuciem, to ożywczym tchnieniem, łagodnym jak morska bryza. Zdarzało mu się to czasem po Komunii, innym razem, gdy miał zasnąć, a także podczas pracy. Jednak takie doświadczenia nie trwały długo w jego duszy: pięć minut później mógł znów zмагаć się z namacalnymi widmami umysłu i serca.

Siedział więc, rozmyślając o nieznośnych bluźnierstwach zawartych w tej książce. Jego siwe włosy opadały rzadko na poszarzałe skronie, ręce wyglądały jak dłonie ducha, a na młodej twarzy widoczne były ślady bólu. Stopy wystawały mu nago spod lekko poplamionej tuniki, a obok na ziemi leżał stary, ciemny płaszcz...

Minęła kolejna godzina, zanim się poruszył. Słońce straciło nieco ze swojego żaru, gdy na brukowanym dziedzińcu rozległo się tętent dwóch koni. Wtedy wstał, włożył sandały i podniósł płaszcz z ziemi, podczas gdy drzwi się otworzyły i wszedł chudy, opalony słońcem ksiądz.

– Konie są gotowe, Wasza Świątobliwość – rzekł ksiądz.

Tego wieczoru papież nie wypowiedział ani słowa, aż do momentu, gdy o zachodzie słońca obaj dotarli na wąską ścieżkę między Nazaretem a górą Tabor.

Przebyli zwyczajową trasę przez Kana, wspinając się na wzgórze, z którego rozciągał się widok na długie lustrzane wody Jeziora Genezaret, a następnie, kierując się zawsze w prawo, pod cieniem Taboru, aż równina Esdraelon ponownie rozciągnęła się u ich stóp niczym szaro-zielony dywan: rozległy krąg o średnicy dwudziestu mil z białymi chatami rozrzuconymi tu i ówdzie, z widocznym naprzeciwko Naim, z Karmelem o ostrym szczycie po prawej stronie i Nazaretem, rozciągającym się kilka mil dalej na płaskowyżu, który nasi bohaterowie przemierzyli.

Był to widok spokoju jedyny na świecie, tak jakby wyjęty z albumu panoram narysowanych kilka wieków wcześniej. Nie gromadziły się tam domy, nie krzątały się tam tłumy, nie wznosiły się fabryki, nie było żadnych przerażających śladów tych gorączkowych i bezowocnych wysiłków, które charakteryzują tak zwaną cywilizację. Nieliczni Żydzi, zmęczeni światem, wycofali się do tej małej i spokojnej wioski, tak jak starcy powracają do ojczyzny, nie z nadzieją odzyskania utraconej młodości czy dawnych ideałów, ale z pewnym uczuciem, które przewyższa wszelką racjonalność.

W ten sposób tu i ówdzie do domków tej zapomnianej wioski dołączyło kilka chat, co jednak nie zmieniło jej wyglądu z czasów sprzed stu lat. Równina była w połowie ocieniona przez wzgórze Karmel, a w połowie skąpana w złocistym, pyłowym świetle. Wysoko na niebie wschodzie przejrzyste niebo mieniło się różem, tak jak ukazało się Abrahamowi, Jakubowi i synowi Dawida.

Na morzu nie widać było najmniejszej mgły, która mogłaby zwiastować ciszę lub burzę; nie słychać było odgłosów konwojów ani na ziemi, ani na niebie, tutaj, gdzie trzydzieści wieków wcześniej pojawił się latający rydwan ognia przed młodym Elizeuszem; tutaj ta sama ziemia i to samo niebo, niezmiennie i niezmiennie. Wiosna, zawsze hojna, rozsiewała na ubogiej ziemi kwiaty Betlejem, lilie polne, przy których bledła nawet purpura samego króla Salomona.

Ale żadna wiadomość nie nadeszła z tronu Boga, tak jak wtedy, gdy przez to samo niebo zstąpił Gabriel, by pozdrowić Błogosławioną wśród kobiet; żadna aura obietnicy ani nadziei poza tą, którą Bóg tchnie w każdej chwili, zwłaszcza w stworzeniu.

W międzyczasie oboje zatrzymali się; a gdy konie wahały, wpatrując się z niepokojem w bezkres powietrza i światła, rozległ się cichy, ostry gwizd pasterza, który przechodził kilka metrów dalej na zboczu wzgórza, ciągnąc za sobą swój wydłużony cień; a za nim, przy wesołym brzęku dzwonków, podążało stado złożone z grupy łagodnych owieczek i grupy upartych kóz, które pasły się i szły, szły, a potem znów pasły się, wracając do owczarni, wołane po imieniu melancholijnym głosem mężczyzny, który znał je wszystkie i zamiast je popychać, wołał je prowadzić.

Dźwięk stawał się coraz cichszy; cień pasterza rozciągnął się aż do ich stóp, gdy ten przekroczył krawędź zbocza i zniknął. Potem również jego głos cichł w oddali, aż w końcu ucichł całkowicie.

Papież podniósł rękę i przetarł oczy oraz twarz; następnie wskazał na niejasną grupę białych murów, które wyróżniały się w zmierzchovej mgle.

- Jak nazywa się to miejsce tam w dole, ojczy? Syryjczyk spojrzał najpierw w dół, potem podniósł wzrok na papieża, a następnie ponownie w kierunku wskazanego przez niego miejsca:

- Czy chodzi o to między palmami, Wasza Świątobliwość?

- Tak.

- To Megiddo; niektórzy jednak nazywają to Armagedon.

ROZDZIAŁ DRUGI I.

O dwudziestej trzeciej tej nocy syryjski ksiądz czekał na przybycie posłańca z Tyberiady. Około dwie godziny wcześniej usłyszał gwizd rosyjskiego samolotu, który obsługiwał trasę z Damaszku do Tyberiady i z Tyberiady do Jerozolimy: bez wątpienia posłaniec spóźniał się. Te środki komunikacji były dość prymitywne; ale Palestyna była uważana za kraj poza światem, ziemię bezużyteczną i w konsekwencji zaniedbaną. Każdej nocy przybywał jeździec z Tyberiady do Nazaretu, niosąc listy kardynała Corkrana do papieża i wracając z odpowiednimi odpowiedziami: było to przedsięwzięcie pełne niebezpieczeństw, które Rycerze Chrystusa Ukrzyżowanego, na rozkaz kardynała, wykonywali na zmianę. W ten sposób wszystkie sprawy, którymi papież musiał się osobiście zająć, a które nie były ani zbyt długotrwałe, ani zbyt pilne, mogły być wygodnie załatwione przez niego, który następnie przekazywał swoje komunikaty w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Była to wspaniała księżycowa noc. Wielki złoty dysk wędrował nad Taborem, rozlewając wspaniałe metaliczne światło na długie zbocza i opustoszałą równinę, która zaczynała się tuż za domem, rozpraszając ciężkie czarne cienie, znacznie bardziej wyraziste i gęstsze niż płytki skalne o błyszczącej powierzchni oraz same odłamki kwarcu i kryształu, które lśniły tu i ówdzie na kamienistej ścieżce.

W obliczu tego żywego blasku blade światło domu musiało wydawać się czymś zupełnie zbędnym i absurdalnym; a ksiądz, oparty o ościeżnicę, z oczami błyszczącymi samotnie na czarnej twarzy, upajał się, rozciągając z orientálną rozkoszą swoje chude, brązowe dłonie ku temu boskiemu blaskowi.

Był to człowiek niezwykle prosty zarówno w wierze, jak i w życiu; nie zaznał ani uniesień, ani rozpacz swojego Pana, ale odczuwał najgłębszą i najgorliwszą radość tutaj, w kraju Jezusa i w służbie Jego Namiestnika. Na zawirowania świata patrzył tak, jak żeglarz patrzy na fale uderzające o łódź; wiedział, że świat jest niespokojny, ale wiedział też, jak mówi św. Augustyn, że serce człowieka jest niespokojne, dopóki nie znajdzie w Bogu miejsca swojego odpoczynku.

„*Quare, fremuerunt gentes?... adversus Dominum et adversus Cristum eius?*”. Sam koniec tego świata nie poruszał go zbyt: łódź Piotra mogła zostać zmieciona; ale moment tej katastrofy

oznaczałby koniec wszystkich rzeczy tutaj, na ziemi. Bramy piekła nie miały zwyciężyć: kiedy upadnie Rzym, upadnie też świat; a kiedy upadnie świat, Chrystus pojawi się w swojej chwale.

Wierzył jednak głęboko, że koniec nie jest odległy: przypomniało mu się to tego wieczoru, gdy wspominał o Megiddo. Wydawało mu się właściwe, aby w dniu ostatecznym papież przebywał w Nazarecie, gdzie przyszedł jego Król; i aby Armagedon (por. Apokalipsa XVI, 16) św. Jana był niewidoczny z tego miejsca, gdzie Chrystus po raz pierwszy objął swoje ziemskie berło i gdzie powróciłby, by je ponownie przejąć.

W końcu nie byłaby to pierwsza bitwa, której świadkiem było Megiddo.

Tutaj walczyli Amalekici i Izraelici oraz Asyryjczycy; tutaj przemierzali te tereny Sesostris i Sennacheryb; chrześcijanie i Turcy spotkali się tu niczym Michał i Szatan, właśnie tutaj, gdzie Bóg spoczął swoim ciałem.

Syryjski kapłan nie miał dokładnego pojęcia, jak nastąpi koniec; wyobrażał sobie wielką bitwę; a czyż istniało bardziej odpowiednie pole bitwy niż ta ogromna, okrągła równina Esdraelon, szeroka na dwadzieścia mil, zdolna pomieścić w swoim zasięgu armie całej ziemi? Ponieważ, nie znając rzeczywistych warunków, wyobrażał sobie świat jako podzielony na dwa wielkie obozy: chrześcijański i pogański, przy czym ten drugi był znacznie liczniejszy. Gdyby pewnego dnia wrogie oddziały wylądowały w Kafie, zobaczylibyśmy armie chrześcijańskie napływające jak potoki z Tyberiady, Damaszku i najodleglejszej Azji, z Jerozolimy, Egiptu i Afryki, z Europy i odległych Ameryk. I z pewnością ten czas nie mógł trwać długo; ponieważ Namiestnik Chrystusa był tutaj; i, jak przeczytał w Ewangelii Adwentu: „*ubicumque fuerit corpus illic congregabuntur et aquilae*”.

Nie znał innych interpretacji tej przepowiedni: dla niego słowa były rzeczami, a nie tylko etykietkami na ideach. To, co powiedzieli Chrystus, św. Paweł i św. Jan, było dokładnie tak, jak to powiedzieli.

Znajdując się w izolacji od świata tak zwanej *Kultury*, nie uległ wpływowi idei Ritschla, które w minionym stuleciu skłoniły tak wielu do odrzucenia wiary opartej na rozumie. Dla nich zaakceptowanie opisanego faktu stanowiło największą z trudności, biorąc pod uwagę, że słowa nie były rzeczami, a rzeczy przez nie reprezentowane nie posiadały obiektywnej rzeczywistości. Ale dla tego człowieka, który teraz czekał w świetle księżyca, nasłuchując tętentu, który zwykle słyszał nad wzgórzem, kiedy posłaniec minąłby Kana, wiara była czymś

tak prosta jak nauka ścisła. Tutaj Gabriel zstąpił z rozpostartymi skrzydłami z tronu Najwyższego, umieszczonego ponad gwiazdami; tutaj Duch Święty tchnął promień niewysłowionego światła; tutaj Słowo stało się ciałem, gdy Maria, skrzyżowawszy ramiona, pochyliła czoło przed postanowieniami Wiecznego. I choć była to tylko prosta domysł, wierzył – i już wydawało mu się, że słyszy huk galopujących rydwanów – że właśnie tutaj ma nastąpić zgiełk armii Bożych, gromadzących się wokół obozu Świętych; i myślał, że za barierą ciemności Archanioł Gabriel przyłożył już do ust trąbę sądu, wstrząsając niebiosami w strasznym oczekiwaniu.

Mógł się tym razem mylić, tak jak wielu innych myliło się wcześniej; ale ani on, ani inni nie mogli mylić się zawsze; pewnego dnia musiała nadejść granica cierpliwości Boga, choć z natury swojej emanowała ona z wieczności.

Wstał, podczas gdy sto metrów dalej, na ścieżce skąpanej w blasku księżyca, jechał biały mężczyzna na koniu, z skórzanym workiem przy pasie.

II.

Była chyba trzecia w nocy, kiedy ksiądz, obudziwszy się w swojej małej, wyłożonej gliną izbie, sąsiadującej z pokojem Ojca Świętego, usłyszał kroki na schodach. Poprzedniego wieczoru, po tym jak zostawił swojego pana przy zwyczajowym otwieraniu listów wysłanych z Damaszku, poszedł spać. Przez chwilę leżał, na wpół śpiący, nasłuchując tych odgłosów, ale potem nagle podniósł się, gdy ktoś mocno zapukał do drzwi. Kolejne uderzenie, a on wyskoczył z łóżka, szybko podciągnął długą koszulę nocną i pobiegł otworzyć.

Był to papież, z małą lampką w jednej ręce, bo dopiero zaczynało świtać, a w drugiej z kartką.

- Wybacz mi, ojcze; mam wiadomość, którą muszę natychmiast przekazać Jego Eminencji.

Przeszli razem przez pokój papieża – ksiądz miał oczy wciąż zaspane – weszli po schodach i wyszli na świeże powietrze na dach domu.

Papież zgasił lampkę i położył ją na parapecie.

- Będzie panu zimno, ojcze; proszę pójść po płaszcz.

- A Wasza Świątobliwość?

Ten drugi pokręcił głową i poszedł prosto pod małą prowizoryczną wiatę, gdzie znajdowało się urządzenie telegraficzne.

- Proszę pójść po płaszcz, ojcze! – powtórzył papież, odwracając się do tyłu – W międzyczasie ja dam znać.

Kiedy po kilku minutach ksiądz wrócił w pantoflach i płaszczu, niosąc kolejny płaszcz dla swojego pana, ten siedział już przy aparacie.

Nie poruszył się wcale na widok księdza, ale ponownie nacisnął dźwignię, która, łącząc się z długim prętem uniesionym w połowie zbocza, przekazywała drżącą energię przez półmroczną przestrzeń dzielącą Nazaret od Damaszku na odległość osiemdziesięciu lig.

Dobry ksiądz nie był jeszcze zbyt zaznajomiony z tym cudownym urządzeniem, wynalezionym sto lat wcześniej i doprowadzonych teraz do najwyższej doskonałości; które za pomocą żelaznego pręta, szpuli drutów, skrzynki z kołami – w skrócie czegoś, co, przy zachowaniu odpowiednich proporcji, musi stanowić ostateczny element każdej materii, choć nie można tego nazwać początkiem życia organicznego – przemawiał do odbiornika dostrojonego a capella do przekazywanych drgań.

Powietrze było niezwykle chłodne, biorąc pod uwagę poprzednie upały i te, które miały nadejść; a ksiądz zaczął drzeć, stojąc tam, pod daszkiem, spoglądając to na postać papieża, nieruchomego na krześle, to na ogromną kopułę nieba, która w tej chwili przechodziła od zimnej, wyblakłej jasności do delikatnej, bladziej żółci, w miarę jak świtało za górami Tabor i Moab. Z oddalonej o pół mili wioski rozległ się śpiew koguta, czysty i przenikliwy jak dźwięk trąby... pies zaszczekał, a potem zamilkł; wówczas nagle dzwonienie dzwonka przymocowanego do urządzenia wyrwało go z zadumy, ostrzegając, że jego zadanie wkrótce się rozpocznie.

Papież ponownie nacisnął dźwignię i czekał na odpowiedź; a gdy ta nadeszła, wstał i skinął na księdza, aby zajął jego miejsce.

Syryjczyk, po ułożeniu płaszcza na ramionach swojego pana, czekał, aż ten usiądzie po drugiej stronie stolika, tak aby mogli patrzeć sobie w twarz; następnie, trzymając ciemne palce nad klawiaturą, wpatrywał się w twarz drugiego, który przygotowywał się do dyktowania.

Twarz wyłaniająca się z szerokiego kaptura wydawała mu się bledsza niż kiedykolwiek w zimnym blasku świtu; czarne brwi jeszcze bardziej podkreślały tę bladość, a usta, gotowe do dyktowania, wydawały mu się białe i wyblakłe.

Papież wpatrywał się w kartkę, którą trzymał w ręku; po czym zwrócił się do Syryjczyka:

- Najpierw upewnijcie się, czy to kardynał.

Ksiądz wpisał pytanie na klawiaturze, a następnie przeczytał z ruchu warg odpowiedź, która w magiczny sposób pojawiła się na białym pasku papieru.

- – To Jego Eminencja, Wasza Świątobliwość – powiedział spokojnie Syryjczyk – i jest sam przy aparacie.

- Świetnie! Proszę więc zacząć!

Otrzymaliśmy list od Waszej Eminencji i zapoznaliśmy się z wiadomościami... Powinny one zostać niezwłocznie przekazane telegraficznie; dlaczego tak się nie stało?

Głos ucichł; a ksiądz, który napisał telegram szybciej, niż sam by go napisał, przeczytał na głos odpowiedź:

- Myślałem, że to nie jest pilne, sądząc, że to kolejny atak, podobny do tych wielu, które już przetrwaliśmy. Zresztą zamierzałem przesłać dokładniejsze informacje, gdy tylko je otrzymam.

- „Było to jednak absolutnie pilne!” – odparł Silvestro z tym charakterystycznym spokojem, typowym dla nich podczas wysyłania telegramów. „Pamiętaj, że takie wiadomości są zawsze pilne.
- Będę o tym pamiętał. Żałuję mojego błędu!
- Niech nam pan powie – kontynuował papież, wciąż wpatrując się w kartkę
- , że jest to decyzja już podjęta i przytacza tylko trzy świadectwa; niech przytoczy inne, jeśli je ma.

Nastąpiło kilka chwil oczekiwania; potem ksiądz zaczął odczytywać kilka nazwisk.

- Oprócz trzech kardynałów, o których wspomniano już w przesłaniu, arcybiskupi Tybetu, Kairu, Kalkuty i Sydney zapytali, czy te doniesienia są prawdziwe, i poprosili o wskazówki w tej sprawie; a także inni, których nazwiska mogę podać, jeśli pozwoli mi Pan na chwilę odejść od aparatu.
- Proszę bardzo – powiedział Papież.

Tu znów nastąpiła przerwa; potem lista była kontynuowana: – Biskup Bukaresztu, Wysp Markizów i Nowej Fundlandii; franciszkanie z Japonii, bracia Krzyża z Maroka, arcybiskupi Manitoby i Portland oraz kardynał arcybiskup Pekinu. Wysłałem do Anglii dwóch członków zgromadzenia Chrystusa Ukrzyżowanego.

- Proszę nam powiedzieć, kiedy i w jaki sposób dotarły te wiadomości.
- Zostałem wezwany do telefonu wczoraj wieczorem około godziny dwudziestej. Arcybiskup Sydney zapytał za pośrednictwem naszej stacji w Bombaju, czy wiadomości są prawdziwe; odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem. Dziesięć minut później otrzymałem kolejne cztery pytania; a trzy minuty później kardynał Ruspoli przesłał mi z Turynu pierwsze potwierdzenia, a zaraz potem z Moskwy nadeszła identyczna wiadomość od ojca Petrowskiego. A więc...
- Chwileczkę! Dlaczego kardynał Dolgorowski nie wysłał telegramu samodzielnie?
- Wysłał telegram trzy godziny później.
- Dlaczego nie od razu?
- Jego Eminencja nic o tym nie wiedział.
- Proszę sprawdzić, o której godzinie dotarła ta wiadomość do Moskwy; nie od razu, ale w dogodnym dla Pana momencie w ciągu dnia.
- Wasza Świątobliwość, tak.
- W porządku, proszę.
- Kardynał Malpas wysłał telegram pięć minut po kardynale Ruspoli; pozostałe wiadomości i pytania napływały jedna po drugiej przed północą; ostatnia nadeszła z Chin o dwudziestej trzy.

- O której godzinie, według Pana, wiadomości te zostały podane do wiadomości publicznej?
- Decyzja zapadła w Londynie podczas tajnego zebrania wczoraj wieczorem o szesnastej, według naszego czasu; wydaje się, że pełnomocnicy zatwierdzili ją natychmiast... po czym została przekazana całemu światu. Tutaj opublikowano ją o północy.
- Czy więc Felsemburgh był w Londynie?
- Nie jestem jeszcze tego pewien; ale kardynał Malpas twierdzi, że Felsemburgh wyraził swoją ewentualną zgodę dzień wcześniej.
- No dobrze! Czy to wszystko, co pan wie?
- Godzinę temu zadzwonił do mnie kardynał Ruspoli i powiedział, że obawia się buntu we Florencji i że kto wie, czy nie posłuży on jako bodziec dla wielu innych.
- Nie prosi o więcej?
- Tylko instrukcje.
- Powiedz mu, że przesyłamy mu nasze błogosławieństwo i że otrzyma instrukcje w ciągu dwóch godzin. Wybierz dwunastu członków Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego do natychmiastowej służby.
- Wasza Świątobliwość, tak.
- Poinformuj o tym również wszystkich członków Świętego Kolegium i nakazuj im, aby z najwyższą ostrożnością powiadomili metropolitów i biskupów, aby księża i lud wiedzieli, że nosimy ich w naszym sercu.
- Wasza Świątobliwość, tak.
- Powie im w końcu, że my przewidzieliśmy to wszystko już dawno temu i że powierzamy ich Ojcu Przedwiecznemu, bez którego Opatrzności nie ma nawet ptaka, który spadłby na ziemię. Zachęcam ich, by zachowali spokój i ufność oraz by nie czynili nic innego, jak tylko wyznawali czystą wiarę, gdy zostaną o to zapytani. Dalsze wskazówki zostaną jak najszybciej przekazane ich pasterzom.
- Wasza Świątobliwość, tak.

Nastąpiła kolejna przerwa.

Papież mówił z największym spokojem, jakby odgrywał rolę w dramacie, z oczami utkwionymi w kartce i nieruchomym jak posąg.

Ksiądz, który słuchał i stukał na telegrafie łańciskie, choć nie rozumiał dokładnego znaczenia tych wiadomości, pomyślał, że zbliża się jakieś nowe, większe niebezpieczeństwo. Wydawało mu się, że samo powietrze drży; i choć nie mógł wywnioskować nic konkretnego z niezaprzeczalnego faktu, że cały świat katolicki gorączkowo nawiązał łączność z Damaszkiem, przypominał sobie myśli, które przyszły mu do głowy

wspominał poprzedni wieczór, kiedy czekał na posłańca. Był przekonany, że światowe mocarstwa knują nowy atak... ale nie pragnął dowiedzieć się więcej.

W tym momencie papież zwrócił się do niego tonem zwykłej rozmowy.

- Ojcie – powiedział – to, co teraz powiem, niech pozostanie między nami jako tajemnica spowiedzi; rozumiesz? Dobrze; więc zaczynaj.

I z tym samym tonem, co wcześniej, kontynuował swoje dyktowanie.

- Eminencjo! Za godzinę odprawimy Mszę Świętą w intencji Ducha Świętego; potem sprawimy, że całe Święte Kolegium będzie w kontakcie z nami, czekając na nasze rozkazy. Ta ostatnia sprawa ma większą wagę niż poprzednie: teraz i Ty jesteś o tym przekonany! Wymyśliliśmy różne plany, choć nie wiemy, którego naprawdę pragnie Pan; po Mszy wskażemy Ci ten, który wyda nam się zgodny z Jego wolą.

Prosimy o odprawienie Mszy św. w naszej intencji. Niech z największą troską zajmie się Pan wszystkim, czego wymaga obecna sytuacja. Sprawą kardynała Dolgorowskiego może Pan zająć się później, ale o wynikach swoich dochodzeń, zwłaszcza w Londynie, chcemy wiedzieć przed południem. *Niech błogosławi cię Wszechmogący Bóg: Ojciec i Syn, i Duch Święty.*

- Amen! – wymamrotał ksiądz, czytając odpowiedź wydrukowaną na taśmie.

III.

Mała kapliczka wyglądała nieco przyzwoiciej niż pozostałe pomieszczenia i nie miała żadnych ozdób poza tymi, które były absolutnie niezbędne do liturgii i modlitwy. Na ścianach, w tynku, wryto czternaście stacji *Drogi Krzyżowej*; w rogu stała figura Matki Bożej z świecznikiem przed nią; a na ołtarzu z surowego kamienia, opartym na równie kamiennym stopniu, stało sześć żelaznych świeczników i krucyfiks. Pod krzyżem znajdowało się żelazne tabernakulum, osłonięte płóciennymi zasłonami; a marmurowa płyta wystająca ze ściany służyła za kredens.

Jedyne okno wychodziło na dziedziniec, uniemożliwiając w ten sposób obcym zajrzenie do środka.

Kiedy syryjski ksiądz zabierał się do codziennych obowiązków – rozkładania szat liturgicznych na ławce w zakrystii, która otwierała się przy ołtarzu, przygotowywania ampułek, zdejmowania nakrycia – wydawało mu się, że nawet ta łatwa praca nadmiernie go męczy: w samym powietrzu czuł coś przytłaczającego.

Nie sądził jednak, by wynikało to z przerwane go snu, lecz pomyślał, że zapowiada się kolejny dzień z wiatrem sirokiem.

Żółtawy odcień świtu nie zniknął wraz ze wschodem słońca; a gdy krążył boso między predellą a klęcznikiem, gdzie papież w ciszy i bez ruchu przygotowywał się do mszy, od czasu do czasu dostrzegał na dachu i na dziedzińcu mdłe promienie piaskowego światła, które zapowiadały nieznosny upał i duszność.

W końcu zapalił świece, uklęknął i z pochyloną głową czekał, aż Ojciec Święty wstanie; na dziedzińcu rozległy się kroki kogoś idącego na mszę, podczas gdy papież wstał i udał się do zakrystii, gdzie przygotowano na Świętą Ofiarę czerwone szaty Boga, który ukazał się w językach ognia. Silvestro zachowywał podczas odprawiania Mszy dostojną i skromną postawę: zwinny w ruchach jak młody ksiądz, mówił wyraźnie i czystym głosem, a kroczył bez pompy i pośpiechu.

Zajmowało mu to pół godziny – jak mówią rubrycyści – *ab amictu ad amictum*; a nawet w swojej małej i puste j kaplicy zwykł trzymać wzrok nieustannie spuszczone j. I żaden syryjski ksiądz nie odprawiał tej Mszy bez odczuwania czegoś podobnego do strachu; nie tylko dlatego, że znał wzniosłą godność celebransa, ale także, choć nie potrafił tego wyjaśnić, ponieważ wokół tego odzianego kapłana rozchodziła się woń

Wzruszenie, które oddziaływało na niego niemal fizycznie. Wydawało mu się, że podczas sprawowania liturgii ta osoba zniknęła, ustępując miejsca Najświętszej Osobie, i że tak wielka skupienie w każdym najmniejszym ruchu mogło być właściwe jedynie absolutnej doskonałości.

W samym Rzymie ojciec Franklin przyciągał ludzi na swoją mszę jak na widowisko; a seminarzyści byli tam wysyłani w przeddzień święceń, aby dać im przykład doskonałego sposobu sprawowania liturgii.

Msza tego poranka przebiegała jak zwykle aż do konsumpcji Hostii, kiedy to ksiądz został zmuszony do spojrzenia, niemal przez jakiś głos lub nagły gest: serce biło mu mocno, a jego bicie było widoczne aż pod szyją, choć nic nowego nie działo się wokół.

Celebrans pozostał z opuszczoną głową, z brodą opartą na złączonych palcach, a jego postać była nadal wyprostowana, jakby ciężar tej dziwnej atmosfery nie spoczywał na nim. Ale dobry sir czuł coś w głębi serca, choć nie potrafił tego wyjaśnić: później przypominał sobie, że w tych chwilach oczekiwał objawienia światła i dźwięku. Boska siła, która w oczach duszy rozpalala całą czerwoną planetę i białą sutannę, mogła wyzwolić się w promieniach żywego światła, rozjaśniając nie tylko ciemną głowę z siwymi włosami, ale także surową, wyblakłą i poplamioną tkaninę, która okrywała pozostałe części ciała; albo objawiać się w długim akordzie altówek i organów, tak jakby z mistycznego zjednoczenia tej świętej duszy z Człowiekiem-Bogiem rodził się taki koncert, tak jak z tronu Baranka nieustannie wypływa źródło życia; albo też mógł rozchodzić się czysty i najśłodszy zapach z tego surowego tabernakulum, upajając obecnych jak woń niebiańskich róż.

Te chwile minęły w ekstazie czystości i pokoju. Oddało się echo jakiegoś odległego hałasu; zgrzyt wozu, pierwsze cykanie cykad pośród dzikiej zieleni w pobliżu kaplicy. Służący, klęczący za księdzem, ciężko dyszał, jakby pod ciężarem gwałtownego wzruszenia, podczas gdy celebrans pozostawał spokojny i pogodny, nie naruszając w najmniejszym stopniu rzeźbionej nieruchomości fałd swojej sutanny ani doskonałego opanowania stóp w białych obuwii.

Kiedy zaś poruszył się, by odsłonić kielich, złożyć ręce na ołtarzu i oddać cześć, wyglądał jak posąg, w którym tchnęło życie; a sługa odniósł z tego bolesne wrażenie.

Po podniesieniu Przenajświętszej Krwi znów pojawiło się to pierwsze wzruszenie; człowiek zdawał się znikać w boskim uścisku z nowym spokojem, łagodnością i żarliwością.

...A kiedy ten niebiański zapach powrócił do swojego źródła, Sylwester podał kielich, z drżącymi kolanami, z oczami wciąż otwartymi w oczekiwaniu, ksiądz wstał, skłonił się i podszedł do kredensu.

Zgodnie ze zwyczajem, po mszy papieskiej ksiądz syryjski miał odprawić mszę w jego obecności; ale tego dnia, gdy tylko złożył szaty na surowej ławce, Silvestro szepnął do księdza:

- Ojcie, proszę natychmiast wejść na dach i powiedzieć kardynałowi, żeby był gotowy. Za pięć minut będę u was.

- Bez wątpienia czeka nas dzień z wiatrem scirocco! – pomyślał ksiądz, gdy tylko dotarł na dach.

Wysoko na niebie, zamiast jasnoniebieskiego koloru, charakterystycznego dla tej pory porannej, powietrze miało bladożółty odcień, coraz ciemniejszy w kierunku horyzontu; w oddali, przez tę niewyczuwalną, piaskową atmosferę, wyłaniał się Tabor; a z tyłu, na równinie, poza białą smugą wioski Naim, nie widać było nic poza wyblakłymi konturami wzgórz wznoszących się ku niebu.

Duszną i nie do zniesienia atmosferę zakłócała jedynie lekka bryza z południowego zachodu, która, wiejąc przez tysiące mil piasku z odległego Egiptu, zbierała całe ciepło rozległego i suchego kontynentu, a następnie wylewała je, z wyjątkiem fragmentu morza, który ledwie łagodził jego surowość, na ten nędzny skrawek ziemi.

Karmel ukazywał swój bok spowity mgłą, częściowo wilgotną, częściowo suchą, nad którą wznosił się wysoki szczyt w kształcie głowy byka, rzucając wyzwanie niebu.

Blat i metalowa dźwignia, już suche i gorące, stałyby się nie do zniesienia w dotyku.

Nacisnął dźwignię i czekał; nacisnął jeszcze raz i znów czekał. Gdy nadeszła sygnał zwrotny, wysłał telegram przez osiemdziesiąt mil powietrza, że obecność kardynała jest absolutnie i natychmiastowo konieczna. Minęło kilka minut; następnie, po drugim sygnale, na białej taśmie odbił się pasek tekstu.

- Proszę! Czy jest Jego Świątobliwość?

W tym momencie Siro poczuł dłoń na ramieniu; odwrócił się i dostrzegł Silvestra w białym kapturze, stojącego za krzesłem.

- Niech odpowie „tak” i zapyta, czy są jakieś inne wiadomości.

Papież usiadł, a ksiądz, coraz bardziej poruszony, po udzieleniu odpowiedzi odczytał:

- W tej chwili jestem zasypywany pytaniami; wszyscy oczekują, że Wasza Świątobliwość rzuci publiczne wyzwanie. Moi sekretarze pracują od czwartej rano. Niepokój jest nie do opisania! Niektórzy posunęli się nawet do stwierdzenia, że papież nie istnieje... Należy zatem podjąć natychmiastowe działania.

- To wszystko? – zapytał papież.

Ksiądz odczytał nową odpowiedź:

- Tak i nie! Wiadomość jest prawdziwa, a prawo zostanie natychmiast wprowadzone w życie; bez zdecydowanego kroku wzrośnie zamieszanie i liczba odstępstw.

- Oczywiście!... – mruknął papież tonem odpowiednim do powagi chwili. Proszę teraz uważnie słuchać, Ekszelencjo!

Papież pozostał przez chwilę zamyślony, z rękami złożonymi na brodzie, tak jak przed chwilą podczas mszy; po czym rzekł:

- Oddajemy się bez zastrzeżeń w ręce Boga, ponieważ ludzka ostrożność nie może nas już powstrzymywać. Nakazujemy wam przekazać z największą możliwą ostrożnością i w ścisłej tajemnicy nasze pragnienia następującym osobom i nikomu innemu, kimkolwiek by nie były. W tym celu proszę wybrać dwóch członków Bractwa Chrystusa Ukrzyżowanego na każdą wiadomość, która musi być przekazana wyłącznie ustnie. Proszę powiadomić członków Świętego Kolegium, w liczbie dwunastu; metropolitów i patriarchów z całego świata: dwudziestu dwóch; przełożonych zakonów, Towarzystwo Jezusowe, braci zakonnych, mnichów zwyczajnych i kontemplacyjnych. Ci trzydziestu ośmiu, wraz z kapłanem Waszej Eminencji, który będzie pełnił funkcję sekretarza, oraz moim kapłanem, który będzie mu służył jako asystent, a także z samą Waszą Eminencją, w sumie czterdziestu jeden, powinni znaleźć się tutaj, w naszym pałacu w Nazarecie, nie później niż w wigilię Zielonych Świąt. Nie chcemy bowiem podejmować żadnych decydujących kroków w sprawie nowego dekretu bez uprzedniego wysłuchania opinii naszych doradców i zapewnienia im możliwości swobodnej narady między sobą. Te słowa, tak jak je wypowiedzieliśmy, niech zostaną przekazane wszystkim osobom, które wskazaliśmy; a Wasza Eminencja niech również poinformuje, że nasze obrady nie potrwają dłużej niż cztery dni.

W sprawie zaopatrzenia i innych przygotowań do Soboru, Wasza Eminencja niech wyśle dziś swojego kapłana, który zajmie się tym wraz z moim. Nie później niż za cztery dni przybędzie również Wasza Eminencja, po tym jak Ojciec Marabout zostanie wyznaczony do pełnienia jej obowiązków.

Wreszcie, wszystkim tym, którzy prosili o wyraźne instrukcje dotyczące postępowania w obliczu nowego prawa, przekazcie tę decyzję i nic więcej: „Nie traćcie wiary, a otrzymacie wielką nagrodę: bo jeszcze tylko krótki czas, a Ten, który ma przyjść, przyjdzie i nie zwleka.
Sylwester, biskup, sługa sług Bożych”.

ROZDZIAŁ TRZECI

W piątek wieczorem, gdy zaledwie zakończyło się zgromadzenie, a pełnomocnicy wstali ze swoich miejsc, Oliviero Brand wyszedł z Sali Rady w Westminsterze bardziej zaniepokojony wrażeniem, jakie nowy dekret wyrzuci na Mabel, niż na całym świecie.

Dostrzegał w swojej żonie głęboką przemianę, której początki sięgały pięciu miesięcy wstecz, do tego dnia, kiedy Prezydent Świata po raz pierwszy ogłosił wytyczne swojej polityki; i podczas gdy Oliviero stopniowo akceptował możliwe sposoby ich zastosowania, a wręcz, broniąc ich, przekonał się o ich konieczności, Mabel od samego początku wykazywała uparte sprzeciwy. Młoda kobieta wydawała się pogrążona w pewnego rodzaju szaleństwie; oświadczenie Felsemburga, ogłoszone kilka tygodni po przemówieniu w opactwie Westminster, wydało jej się wręcz niewiarygodne; ale potem, gdy dowiedziała się na pewno, że Prezydent zapowiedział eksterminację Nadprzyrodzonych jako ewentualną konieczność, między nią a mężem rozegrała się bolesna scena. Powiedziała, że ją oszukano, że nadzieja świata okazała się potworną mistyfikacją, że królestwo pokoju jest dalej niż kiedykolwiek, że Felsemburgh zdradził swoją wiarę i złamał dane słowo. Scena była naprawdę bolesna; a Oliviero robił wszystko, by wymazać to wspomnienie. Mabel na chwilę odzyskała spokój; ale argumenty, które Oliviero przedstawiał jej z ogromną cierpliwością, nie przyniosły prawie żadnego skutku. Długo milczała, a gdy ją pytano, odpowiadała ledwie słowem; poruszało ją jedynie, gdy Oliviero mówił o prezydencie. Musiał w końcu dojść do wniosku, że jego żona była w gruncie rzeczy kobietą, obdarzoną wprawdzie silną osobowością, ale nieuchwytną dla logiki. Był tym poważnie zaniepokojony, mając jednak nadzieję, że czas przywróci jej rozsądek.

Rząd Anglii natychmiast zastosował najskuteczniejsze środki, aby zachęcić tych, którzy, podobnie jak Mabel, cofali się przed nieuniknionymi konsekwencjami nowej polityki. Cała armia mówców przemierzała kraj, aby ją wyjaśnić i bronić, podczas gdy prasa działała z największą zręcznością; tak więc ani jedna osoba spośród wielu milionów Anglików nie mogła zignorować argumentów na rzecz stanowiska rządu.

W skrócie: pomijając wszelkie retoryczne sztuczki, mówcy i dziennikarze argumentowali w ten sposób, udając się niemal zawsze w przekonywaniu nawet najbardziej zszokowanych i opornych serc.

Pokój stał się w końcu powszechną rzeczywistością w historii świata; żadne państwo, nawet najmniejsze, nie mogło pochwalić się interesami odmiennymi od tych, które reprezentowała jedna z trzech wielkich mocarstw, do których należało: pierwszy etap humanitaryzmu osiągnięty już pół wieku temu.

Ale drugi etap, to znaczy zjednoczenie trzech mocarstw pod jednym przywódcą – przedsięwzięcie nieskończenie większe, ponieważ sprzeczne interesy były znacznie szersze – został osiągnięty dzięki działaniu jednego człowieka, którego ludzkość wyłoniła właśnie w momencie, gdy poczuła, dla swojego istnienia, potrzebę istnienia takiej postaci.

I naprawdę nie było zbytnią prośbą ze strony tych, którzy otrzymali takie dobrodziejstwa, aby zgodzili się na wolę i osąd Dobroczyńcy; ten pierwszy argument odwoływał się do wdzięczności.

Drugi argument odnosił się do rozumu. Prześladowanie, jak przyznawali już najbardziej oświeceni umysły, polegało na narzucaniu się bezdusznej większości mniejszości, która nie zgadzała się dobrowolnie z jej poglądami. Złośliwością charakterystyczną dla prześladowań w minionych czasach było nie tyle użycie, co nadużycie siły. To, że jakiegokolwiek państwo chciało, na przykład, narzucić poglądy religijne mniejszości swoich poddanych, było potworną tyranią; ponieważ żadne państwo nie mogło przywłaszczyć sobie przywileju ustanawiania uniwersalnych praw, skoro sąsiednie państwo mogło ustanowić prawa przeciwne. Tak wyglądał, choć ukryty, indywidualizm narodów: herezja jeszcze bardziej katastrofalna dla ludzkości niż sam indywidualizm osobisty.

Jednak wraz z nadejściem powszechnej wspólnoty interesów sytuacja uległa całkowitej zmianie: zjednoczona osobowość rasy zastąpiła odrębne jednostki; a ta zamiana, którą można było uznać za przejście do wieku dojrzałego, dała początek nowym prawom. Rasa ludzka była teraz postrzegana jako pojedyncza całość, mająca najwyższą odpowiedzialność wobec samej siebie: zniknęły zatem prawa jednostki, słusznie uznawane w poprzednich epokach. Człowiek miał teraz najwyższą władzę nad każdą komórką swojego Ciała Mistycznego; a tam, gdzie jakaś komórka działała na szkodę Ciała, prawa Całości były nieograniczone.

Jedynie jedna religia rościła sobie prawo do równie uniwersalnych uprawnień: religia katolicka. Sekty Wschodu, choć zachowały swoje charakterystyczne cechy, odnalazły jednak w Nowym Świecie ucieleśnienie swoich ideałów i w konsekwencji podporządkowały się władzy wielkiego Ciała, którego uznanym przywódcą był Felsemburgh.

Katolicyzm natomiast zasadniczo zaprzeczał samej idei człowieka: chrześcijanie kłaniali się wyobrażonej istocie, którą uważali nie tylko za oddzieloną od świata, ale i za nadrzędną wobec samego świata. Chrześcijanie zatem – nie biorąc pod uwagę głupiej legendy o wcieleniu, która sama w sobie wystarczyłaby, by obalić ich szaloną wiarę – celowo odłączali się od tego Mistycznego Ciała, którego z natury byli częścią; byli jak martwe członki, które, podlegając wpływowi siły zewnętrznej, która nie mogła ich ożywić, narażały na niebezpieczeństwo życie całego Ciała. To była jedyna głupota, która zasługiwała teraz na miano zbrodni. Morderstwo, kradzież, rabunek, a nawet anarchia wydawały się drobnymi przewinieniami w porównaniu z tą potworną niegodziwością, ponieważ raniły ciało, ale nie serce; sprawiały cierpienie jednostkom i zasługiwały dlatego na stłumienie, ale nie uderzały naprawdę w życie. Tylko chrześcijaństwo niosło ze sobą śmiertelną truciznę; a każda komórka, w którą została zaszczerpiona, zarażała same włókna, które łączyły ją ze źródłem życia. To i tylko to było największą zbrodnią zdrady stanu przeciwko Człowiekowi; zbrodnią, która nie wymagała innej pokuty niż całkowite wykorzenienie chrześcijaństwa. Takie były główne argumenty skierowane do tych, którzy pozostawali sceptyczni wobec jednoznacznego oświadczenia Felsemburga; i odniosły one znaczny sukces. Oczywiście ich logiczna treść, ubrana w najżywiejsze barwy, złożona najwykwintniejszą retoryką, ożywiona pasją, wywarła taki efekt, że na początku lata Felsemburgh mógł prywatnie wyrazić zamiar jak najszybszego przedstawienia projektu ustawy, który doprowadziłby jego system polityczny do skrajnych konsekwencji. Ten zamiar stał się faktem.

II.

Gdy tylko dotarł do domu, Oliviero pobiegł prosto do pokoju Mabel, chcąc osobiście przekazać jej najnowszą wiadomość; jednak ona wyszła już prawie godzinę temu.

To wprawiło go w zamyślenie. Dekret podpisany pół godziny wcześniej na prośbę lorda Pembertona nie był nawet utrzymywany w tajemnicy, lecz natychmiast przekazany prasie. Dlatego Oliviero spieszył się, aby pani usłyszała tę nowinę z jego ust; a teraz Mabel, będąc poza domem, z pewnością dowiedziałyby się o tym z publicznych ogłoszeń! Czuł się niezwykle nieswojo i przez kolejną godzinę pozostawał niezdecydowany, co powinien zrobić. Następnie udał się do portierki i zadał kilka pytań pokojówce, która odpowiedziała, że nie wie, dokąd udała się pani: być może do kościoła, jak to czasami bywało o tej porze.

Wypuścił kobietę i stanął przy oknie w pokoju panny młodej, patrząc ze smutkiem na rozległą przestrzeń dachów w złocistym świetle zachodu słońca, które tego wieczoru wydawało mu się niezwykle piękne.

Niebo nie miało już tego odcienia czystego złota, jaki towarzyszył mu w ostatnich nocach, ale przybrało delikatny różowy odcień, który rozciągał się na całe niebo; od zachodu po wschód; a Oliviero powrócił myślami do starej książki, którą przeczytał kilka dni wcześniej, w której napisano, że wyeliminowanie dymu z pewnością pogorszyło kolory zachodu słońca.

W Ameryce miały miejsce dwa poważne trzęsienia ziemi; Oliviero zamyślił się, zastanawiając się... czy może istnieć jakiś związek między tymi zjawiskami a... Ale potem powrócił myślami do Mabel.

Dziesięć minut później w końcu usłyszał jej kroki na schodach i ruszył jej na spotkanie.

Wyraz jej twarzy zdradził mu, że wie o wszystkim; a Oliviero poczuł, jak mdleje na widok tej surowej bladości. Nie okazywała gniewu, a jedynie ogromną rozpacz i niezachwianą determinację, widoczną w sztywno zaciśniętych ustach i w oczach, skurczonych jakby od ukłucia, pod białym letnim kapeluszem.

Mabel, po zamknięciu drzwi, stała w miejscu, nie zbliżając się ani o krok do męża.

- – Czy to naprawdę prawda? – zapytała bez wahania. Oliviero westchnął i ponownie usiadł.

- Co masz na myśli, moja droga?

- Czy to prawda, że wszyscy będą pytani, czy wierzą w Boga, a jeśli przyznają się do wiary, zostaną skazani na śmierć?

Oliviero oblizał usta.

- – Używasz nieco ostrych słów! – odparł. – Chodzi raczej o to, czy świat ma prawo...

- Więc to prawda! I podpisałeś tę uchwałę?

- Mabel!... Na litość boską, nie róbmy scen! Nie mam już siły! Pozwól mi odpowiedzieć dopiero wtedy, gdy wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia.

- No to mów.

- No, usiądź.

- Nie!

- Rób więc, jak chcesz... Cóż, sprawa wygląda tak. Świat jest teraz jeden i nie jest już podzielony; indywidualizm umarł, odkąd Felsemburgh został przewodniczącym Ligi Narodów; rozpoczęła się zupełnie nowa epoka historyczna, która nie ma precedensu w przeszłości. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Mabel ponownie wykonała gest niecierpliwości.

- Słuchaj, zrób mi przysługę i wysłuchaj mnie do końca!... – wznowił Oliviero poważnym tonem. – A więc po tym wydarzeniu potrzebna jest nowa moralność, tak jak u dziecka, gdy osiąga ono wiek rozumu. Musimy zatem czuwać, aby idea ta szła naprzód, a nie zatrzymywała się ani nie cofała... aby wszystkie członki zachowały zdrowie. „*Jeśli twoja ręka cię gorszy, odetnij ją*” – mawiał Jezus Chrystus! Właśnie to robimy!... Teraz ci, którzy wierzą w Boga – o ile jeszcze tacy są i rozumieją, co to znaczy – ci, którzy twierdzą, że istnieje Bóg, popełniają największą zbrodnię: zdradę stanu. Ale bądź pewna, że nie uciekniemy się do przemocy, lecz do spokojnej i łagodnej metody eliminacji. Już teraz jesteś zwolenniczką *eutanazji*, tak jak my wszyscy; cóż więc: skorzystamy z niej i...

Mabel wykonała kolejnym ruchem głowy, wyrażającym niecierpliwość, pozostając w pozostałych częściach ciała sztywna jak posąg.

- „I masz czelność mi to mówić?” – zapytał, nie ruszając się z miejsca. Oliviero wstał; nie mógł już dłużej znieść bolesnego tonu tych słów.

- Mabel!... moja ukochana!...

Usta młodej kobiety drgnęły nagle; potem spojrzała na męża lodowatym wzrokiem.

- Nie! Oszczędź mi tego! Nie ma takiej potrzeby. Powiedz mi raczej, podpisałeś czy nie?

Oliviero poczuł straszliwą rozpacz, podnosząc na nią wzrok: wolałby widzieć ją przed sobą wściekłą i płaczącą.

- Och!... Mabel!... – wykrzyknął ponownie.

- Więc podpisałeś?

- Tak! – powiedział w końcu Oliviero.

Mabel odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, a Oliviero rzucił się za nią.

- Mabel!... Dokąd idziesz?...

Wtedy, po raz pierwszy w życiu, skłamała mężowi całkowicie i świadomie.

- Idę trochę odpocząć... – powiedziała – Za chwilę zobaczymy się przy kolacji. On się wahał, ale te oczy, choć zmęczone, wydawały mu się tak uczciwe i szczerze, że pozwolił jej odejść.

- Idź sobie!... ale, proszę cię, moja droga, postaraj się, by cię nie przekonano.

Pół godziny później zszedł na kolację uzbrojony w logikę i rozpalony entuzjazmem; argumenty, które miał teraz przedstawić, wydawały mu się wręcz niepodważalne. Biorąc pod uwagę te zasady, które oboje przyjęli i według których żyli, wniosek był absolutnie konieczny, nieunikniony.

Począł minutę lub dwie; potem pobiegł do portierki i zapytał służącą:

- Gdzie jest pani?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym padła następująca odpowiedź:

- Wyszła pół godziny temu, proszę pana; myślałem, że pan o tym wie.

III

Tego samego wieczoru pan Francis był w gabinecie, bardzo zajęty opracowywaniem poszczególnych elementów uroczystości *Solidarności*, która miała odbyć się pierwszego lipca. Pozostało tylko zainaugurować tę uroczystość, a on pragnął odnieść taki sam sukces jak podczas poprzednich. Różnice nie były duże, ale uważał za konieczne, aby ceremoniarze mieli o nich pełną wiedzę.

Mając przed sobą model – miniaturową reprodukcję wnętrza opactwa z małymi figurkami, które można było przenosić w różne miejsca – wypełniał swoim eleganckim kościelnym pismem adnotacje na marginesie kopii *porządku uroczystości*.

Kiedy po dwudziestej pierwszej portier zadzwonił do niego, informując, że pewna pani pragnie z nim porozmawiać, odpowiedział dość szorstko, że o tej porze nie może.

Ale dzwonek zadzwonił ponownie; i na nowe, niecierpliwe pytanie odpowiedziano tym razem, że na dole czeka pani Brand, która pragnie porozmawiać z nim tylko przez dziesięć minut.

Sprawa nabrała zupełnie innego obrotu! Pan Brand był osobą wybitną, a co za tym idzie, również pani. Pan Francis przeprosił, polecił portierowi, by przepuścił ją do przedpokoju, i opuścił Opactwo wraz z marionetkami, wzdychając z zadowoleniem. Mabel nie okazała najmniejszych oznak zmieszania, ściskając dłoń pana Francis; miała opuszczony welon, który zakrywał prawie całą twarz, a jej głos stracił zwykłą żywiołowość.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Francis – zaczęła od razu – ale jeśli pan pozwoli, chciałabym zadać panu kilka pytań.

Francis uśmiechnął się do niej, jakby chciał ją zachęcić.

- Pan Brand bez wątpienia...

- Nie, to nie on mnie wysłał; chodzi o sprawę wyłącznie moją i powiem panu o tym od razu, aby nie zatrzymywać pani zbyt długo.

Dziwna sprawa! – pomyślał Francis, przygotowując się do wysłuchania.

- Po pierwsze, wiem, że był pan przyjacielem ojca Franklina; został on kardynałem, prawda? Pan Francis skinął głową z uśmiechem.

- I czy on jeszcze żyje?

- Nie! Ojciec Franklin nie żyje! Był w Rzymie wraz z innymi kardynałami, kiedy miasto zostało zniszczone.

- Ach!... Ale czy jest pan tego pewien?

- Całkowicie pewien! Uciekł tylko kardynał Steinmann, który został potem powieszony w Berlinie.

- Dobrze!... Niech będzie!... Mam więc do pana ciekawą pytanie, z moich własnych powodów, których nie mogę wyjaśnić... Rozumie mnie pan!... A brzmi ono: dlaczego katolicy wierzą w Boga?

Te słowa zaskoczyły go tak nagle, że przez chwilę stał z szeroko otwartymi oczami.

- Oczywiście – kontynuowała spokojnie Mabel – to dość dziwne pytanie, ale... – i tu przerwała, wahając się.

- Cóż, powiem panu: mam przyjaciółkę, która znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie po wprowadzeniu tej nowej ustawy. Chcąc z nią dyskutować, muszę poznać powody jej wiary. Pan, proszę pana, jest jedynym księdzem – chciałam powiedzieć jedynym mężczyzną, który był księdzem, jakiego znam, poza ojcem Franklinem; i dlatego mam nadzieję, że nie odmówi mi pan, by mnie nieco wprowadzić w temat.

Jej głos brzmiał zupełnie naturalnie, bez cienia wahania czy drżenia. Francis uśmiechnął się, delikatnie pocierając dłonie.

- – Ach! – rzekł. – Rozumiem! Ale... widzi pani, to bardzo obszerna kwestia; czy nie byłoby tak samo, gdyby jutro, w dogodnym dla pani czasie...

- Zadowolę się najkrótszą odpowiedzią; muszę ją znać natychmiast, ponieważ, jak pani dobrze wie, nowa ustawa wchodzi w życie.

Skinął głową na znak zgody i zaczął:

- A więc... w skrócie, katolicy twierdzą, że istnienie Boga można udowodnić za pomocą rozumowania; że z porządku świata można wywnioskować istnienie Stwórcy... Umysłu, rozumie pani? Z tego wywodzą następnie inne wnioski dotyczące Boga... na przykład, że jest On miłością i źródłem szczęścia, że...

- A co z cierpieniem? – przerwała Mabel.

- Właśnie! Oto trudność... oto słaby punkt!

- A jak to wyjaśniają?

- Mówi się, że ból jest konsekwencją grzechu...

- A grzech? Widzi pan, panie Franciszek, że jestem zupełnie zagubiony!

- Grzech to nic innego jak bunt człowieka przeciwko woli Bożej.

- A co to znaczy?

- Oto: ponieważ Bóg chce być kochany przez swoje stworzenia, uczynił je wolnymi, w przeciwnym razie nie mogłyby Go naprawdę kochać; a skoro są wolne, oznacza to

to znaczy, że mogą też odmówić kochania i służenia Bogu; i właśnie to chrześcijanie nazywają grzechem. Widzi pan, jaka to absurdalna sytuacja...

- Tak! Dobrze! – wtrąciła Mabel, towarzysząc swoim słowom niewielkim gestem – ale chciałabym zrozumieć, co myśłą ci katolicy... To wszystko? Francis zmarszczył usta.

- Och! To nie wszystko! To tylko to, co nazywają religią naturalną; katolicy wierzą w wiele innych rzeczy!

- A w co?

- Ech!... droga pani, nie da się tego wyjaśnić w kilku słowach. Wierzą ponadto, że Bóg stał się człowiekiem, że Jezus jest Bogiem i że umarł, aby uwolnić nas od grzechu...

- Cierpiąc za nas, prawda?

- Oczywiście! Cierpiąc i umierając. To, co nazywają Wcieleniem, jest punktem centralnym; z tego wywodzą się wszystkie ich wierzenia. I to naturalne, że skoro uznają Wcielenie, reszta przychodzi sama... wszystko, aż po szkaplerze i wodę święconą!

- Panie Franciszku, już nic nie rozumiem!

Uśmiechnął się do niego łagodnie.

- No jasne! To niewyobrażalne bzdury!... A pomyśleć, że kiedyś ja też w to wierzyłem!

- Ale są sprzeczne z rozumem!

Francis wydał z siebie dość niejednoznaczny okrzyk.

- Oto: w pewnym sensie można, a nawet należy je uznać za sprzeczne z rozsądkiem, ale w innym sensie...

W tym momencie Mabel nagle pochyliła się do przodu, tak że nie mógł dostrzec błysku jej oczu pod białą zasłoną.

- Ach! – wykrzyknęła, niemal tracąc oddech. – Bardzo chciałabym to wiedzieć! Proszę mi powiedzieć, jak oni uzasadniają swoje przekonania! Francis zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał.

- Oto: – zaczął spokojnie – o ile pamiętam, uważają oni, że istnieją inne zdolności poza rozumem; serce, według nich, odkrywa czasem to, czego rozum nie widzi, ma swoje własne intuicje, rozumie pan?

Mówi się na przykład, że pewne rzeczy, takie jak poświęcenie, wyrzeczenie, honor, a nawet sama sztuka, płyną z serca; że rozum wkracza dopiero później, ustalając zasady postępowania i techniki, ale nie może ich udowodnić, ponieważ są one ponad nim.

- Wydaje mi się, że rozumiem!...
- Cóż, religia jest podobna do tych rzeczy. Innymi słowy, uznają, że jest to po prostu kwestia emocji.

Tu znów zamilkł, mając wrażenie, że nie wypowiedział się właściwie.

- Być może nie wyrażyliby się dokładnie w ten sposób na temat wyznawanych przez siebie doktryn, ale... w sumie...

- Więc?

- W każdym razie mówią, że istnieje coś, co nazywa się wiarą – rodzaj przekonania głębszego niż wszystkie inne – o charakterze nadprzyrodzonym, które Bóg obdarza tych, którzy tego pragną, którzy modlą się o to, którzy prowadzą dobre życie i tak dalej...

- A co z tą wiarą?

- Wiara ta, oddziałując na tak zwane argumenty przemawiające za jej wiarygodnością, świadectwa itp., daje absolutną pewność, że Bóg istnieje, że stał się człowiekiem, że założył Kościół i tak dalej. Prawdy te, według nich, znajdują potwierdzenie w skutkach, jakie religia katolicka wywarła na świecie, oraz w sposobie, w jaki potrafi ona wyjaśnić naturę ludzką. Widzi Pani, że w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do pewnego rodzaju autosugestii!

Usłyszał, jak Mabel westchnęła, i zamilkł.

- Czy teraz widzi pani to nieco jaśniej, proszę pani?

- O tak!... Bardzo panu dziękuję, panie Francis. Ale czy to prawda, że chrześcijanie umierali za tę wiarę, prawdziwą czy fałszywą?

- Ach! Oczywiście! Tysiące! Tak samo jak muzułmanie umierali za swoją.

- Czy muzułmanie też wierzą w Boga?

- Kiedyś w to wierzyli; ale teraz pozostało ich niewielu, naprawdę niewielu; większość stała się, jak to sami określają, *ezoterykami*.

- A które narody są według Pana bardziej zaawansowane, te ze Wschodu czy z Zachodu?

- Och! Bez wątplenia te z Zachodu! Wschodni człowiek myśli o wielu rzeczach, ale niewiele z nich realizuje; a to prowadzi do pomieszania idei, a nawet do ośpienia umysłu.

- A czyż chrześcijaństwo nie było religią Zachodu jeszcze sto lat temu?

- Oczywiście!

Młoda dama nie zadawała już żadnych pytań, a pan Francis miał chwilę, by przemyśleć tę dość osobliwą sytuację. Bez wątplenia ta chrześcijańska przyjaciółka musiała być jej bardzo bliska!

W końcu wstała, a wraz z nią wstał również pan Francis.

- Bardzo dziękuję, proszę pana... Wyjaśniłby mi pan zatem istotę chrześcijaństwa.

- Oczywiście! Na tyle, na ile mogłem, w kilku słowach.

- Jeszcze raz dziękuję! Nie chcę Pana dłużej zatrzymywać.

Francis odprowadzał ją do drzwi, ale po kilku krokach zatrzymała się.

- A pan, który został wychowany w chrześcijaństwie, czy nigdy nie wraca do niego myślami? Francis uśmiechnął się.

- Nigdy!... Chyba że jak do snu!

- Ale... jeśli to wszystko jest tylko autosugestią, to jak pan wyjaśnia fakt, że udało się panu trwać w tym przez ponad trzydzieści lat?

Francis, w tej chwili, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Jak wyjaśniliby to jego dawni współwyznawcy?

- Powiedziałiby, że porzuciłem światło albo że wiara się ode mnie odwróciła.

- A pan... jak?

Francis przez chwilę się zastanowił.

- Powiedziałbym, że narzuciłem sobie silniejszą autosugestię w innym sensie!

- Rozumiem!... Dobranoc, panie Francis!

Nie pozwoliła Wielkiemu Ceremoniarzowi odprowadzić się do windy; a tak więc, gdy ten zobaczył, jak gładka klatka cicho opada w dół, powrócił do swojego opactwa i swoich drewnianych kregli. Ale zanim kazał im wznowić przerwane manewry, usiadł na chwilę z zamkniętymi ustami i wybałuszonymi oczami.

ROZDZIAŁ CZWARTY I.

Tydzień później, obudziwszy się o świcie, Mabel nie pamiętała już, gdzie się znajduje; zawołała głośno Oliviero, rozejrzała się ze zdziwieniem po tej niezwyklej komnacie... po czym opamiętała się i zamilkła.

W ciągu ośmiu dni spędzonych w tym schronieniu została poddana próbie; dziś mogła już zrealizować to, po co tu przybyła. W sobotę poprzedniego tygodnia przeszła badanie przed specjalnym sędzią, ujawniając mu, zgodnie z obowiązującymi zasadami poufności, swoje imię, wiek, miejsce zamieszkania oraz powody, dla których wnioskuje o zastosowanie *eutanazji*. Nie trzeba dodawać, że zdała egzamin znakomicie.

Wybrała następnie Manchester, jako miasto wystarczająco odległe i wystarczająco duże, by ukryć ją przed poszukiwaniami Oliviero: w rzeczywistości nikt nie był w stanie odkryć śladów jej ucieczki. Nie miała żadnego pojęcia o podejrzeniach męża, ponieważ w podobnych przypadkach policja zajmowała się ochroną uciekinierów: indywidualizm był dopuszczalny wyłącznie w zakresie, w jakim pozwalał porzucić życie tym, którzy odczuwali jego znudzenie. Mabel bez wątpienia skorzystała z tego prawnego wybieg, nie mogąc oprzeć się na niczym innym: sztylet wymagał odwagi i zdecydowania; broń palna budziła w niej odrazę; a trucizna, pod nowym reżimem rygorystycznej policji, była niezwykle trudna do zdobycia. Ale chciała poddać swój plan poważnej próbie i upewnić się, że nie pozostało jej żadne inne wyjście.

Teraz czuła się pewniejsza niż kiedykolwiek. Myśl o śmierci, która po raz pierwszy zrodziła się w niej wśród potwornych cierpień, jakie sprawiły jej gwałtowne wydarzenia ostatniego dnia roku, została szybko odrzucona przez przekonujący argument, że niedojrzały człowiek wciąż narażony jest na nawroty; ale później ta myśl powróciła do niej niczym kuszący demon, właśnie w świetle południa, które otoczyło ją po oświadczeniach Felsemburga. A demon ten stał przed nią nieustannie, choćby jak bardzo próbowała mu się oprzeć, łudząc się, że to oświadczenie, które nappełniło ją przerażeniem, nigdy nie stanie się faktem dokonanym. W końcu, gdy teoria polityczna stała się uchwaloną ustawą, Mabel poddała się pokusie z całej duszy.

Od tamtej pory minęło osiem dni, a ona ani razu nie zwątpiła w swoje postanowienie. Przestała jednak potępiać, przekonana już, że wszelkie wyrzuty są bezcelowe: wiedziała, że nie zdoła pogodzić się z faktem, iż nie potrafi pojąć nowej wiary, i że dla niej – niezależnie od tego, jak wygląda sytuacja innych – nie ma już nadziei... Poza tym nie pozostawiła po sobie dzieci...

Te osiem dni, ustalone przez prawo, minęło dość spokojnie. Mabel zabrała ze sobą wystarczającą ilość pieniędzy, by zamieszkać w jednym z tych prywatnych *domów opieki*, wyposażonych we wszystkie wygody odpowiednie dla życia w stylu arystokratycznym. Pielęgniarki okazały się miłe i troskliwe, tak że nie miała na co narzekać.

Oczywiście najpierw musiała cierpieć z powodu nieuniknionych reakcji: pierwszą noc spędziła w stanie budzącym litość, leżąc w dusznej ciemności tego pokoju, podczas gdy cała jej wrażliwa natura protestowała i walczyła z losem, który tak postanowił. Tęskniła za tym, co znane, za obietnicą pożywienia, powietrza, ludzkiego towarzystwa; i cofała przerażoną twarz przed mroczną otchłanią, ku której nieodwracalnie zmierzała.

W tej gorączkowej walce zdarzały się chwile spokoju, tylko wtedy, gdy głębszy głos szeptał jej, że śmierć nie jest końcem wszystkiego. O świcie odzyskała przytomność; a gdy wola odzyskała swoją moc, ostatecznie wymazała wszelką skrytą nadzieję na życie. Musiała ponadto cierpieć z powodu bardziej namacalnego strachu, przypominając sobie skandaliczne rewelacje, które dziesięć lat wcześniej wyróciły do góry nogami całą Anglię i sprawiły, że ośrodki *eutanazji* znalazły się pod nadzorem rządu. Było faktem potwierdzonym, że przez lata w wielkich laboratoriach wiwisekcji do eksperymentów wykorzystywano ludzi; wielu, którzy podobnie jak ona, aby odejść z tego świata, udali się do prywatnych ośrodków *eutanazji*, podano gaz, który zawieszał funkcje życiowe zamiast je unicestwiać... Ale wszystko minęło wraz z nadejściem nowego dnia: takie rzeczy nie mogły się powtórzyć pod nowym reżimem, przynajmniej w Anglii. Właśnie z tych powodów nie pośpieszyła szukać śmierci na kontynencie europejskim; tam, gdzie logika przeważała nad uczuciami, materializm posuwał się do samego dna: jeśli ludzie byli niczym więcej niż zwykłymi zwierzętami... wniosek nasuwał się sam.

Była jeszcze tylko jedna niedogodność natury fizycznej: nieznośny upał zarówno w dzień, jak i w nocy.

Naukowcy twierdzili, że wynikało to z... nieznanego prądu cieplnego; i tu pojawiały się tysiące hipotez, które wzajemnie się zaprzeczały. To wstyd, myślała Mabel, że ludzie, którym powierzono świat, pozostawali w ten sposób rozczarowani.

Sam stan atmosfery wiązał się z katastrofami: trzęsienia ziemi i cyklony o niespotykanej dotąd sile zniszczyły w Ameryce co najmniej dwadzieścia pięć miast; dwie wyspy zostały zalane, a niepokojący Wezuwiusz wydawał się szykować do kolejnego wybuchu; ale takie zjawiska

nikt nie potrafił jej tego wyjaśnić. Jakiś zacofaniec wspomniał o kataklizmach wywołanych przez centralny ogień... Mabel dowiedziała się o tym od pielęgniarki, ale wszystko to niepokoiło ją tylko do pewnego stopnia. Jedynie nudziło ją to, że nie mogła wyjść do ogrodu i musiała pozostawać w gorącym cieniu tego pokoju na drugim piętrze.

Chciałaby też dowiedzieć się o czymś jeszcze, mianowicie o wpływie nowego dekretu na świat; pielęgniarka mogła jednak przekazać jej jedynie skąpe informacje; tu i ówdzie doszło do aktów przemocy, ale prawo nie zostało zastosowane w pełnym zakresie. Zresztą tydzień to zbyt krótki okres, a chociaż dekret wszedł w życie natychmiast, sędziowie ograniczali się na razie do przeprowadzania nakazanych spisów ludności.

Tego ranka, leżąc bezsennie i wpatrując się w kolory sufitu oraz różne meble w pokoju, wydawało jej się, że upał stał się bardziej niż kiedykolwiek nie do zniesienia. Początkowo sądziła, że przespała się, ale jej budzik zapewnił ją, że była dopiero czwarta. Zostało więc tylko kilka godzin cierpienia! O ósmej położy temu kres! Musiała tylko napisać do Oliviero i poczynić kilka innych przygotowań.

Nie miał najmniejszych wątpliwości co do moralności czynu, który zamierzał popełnić, a mianowicie co do związku między tym czynem a codziennym życiem ludzi: wierzył, podobnie jak wszyscy humaniści, że tak jak cierpienia fizyczne uzasadniają w razie potrzeby samobójstwo, tak samo uzasadniają je cierpienia duchowe. Kiedy cierpienie osiągało stopień, który czynił jednostkę bezużyteczną dla siebie samej i dla innych, samobójstwo stawało się najbardziej miłosiernym czynem, jaki można było popełnić. Oczywiście, nigdy nie myślała, że w swoim życiu znajdzie się w podobnej sytuacji; czuła się wręcz zbyt przywiązana do życia... A jednak teraz właśnie w niej była: konieczność zakończenia tego wszystkiego była więc poza dyskusją.

W tym czasie wielokrotnie wracała myślami do rozmowy z panem Francisem. Udając się do niego niemal pod wpływem instynktownego impulsu, Mabel chciała wysłuchać również drugiej strony; chciała bowiem wiedzieć, czy chrześcijaństwo jest tak śmieszne, jak zawsze sądziła. Z pewnością nie było śmieszne; wydawało jej się wręcz niezwykle wzruszające... urzekającym dramatem, przepięknym fragmentem poezji! I byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła w to uwierzyć; ale czuła, że nie jest w stanie. Nie! Transcendentny Bóg był absurdalny, choć nie mniej absurdalna była Nieskończona Ludzkość. Ale potem... wcielenie... Dość! Nie czuła się na to gotowa!... A więc nie było wyjścia: religia humanitarna była jedyną prawdziwą, człowiek był

Bogiem, a przynajmniej jego najwyższym przejawem; ale z tym Bogiem nie chciała już mieć nic wspólnego!

I w tej tajemniczej impulsywności, która przewyższała zarówno rozum, jak i uczucia, Mabel wkrótce rozpoznała emocję bardziej wyrafinowaną i głęboką.

Wspominając Felsemburga, zdziwił się, że żywi teraz zupełnie inne uczucia. Był on bez wątpienia najbardziej reprezentatywnym człowiekiem, jaki pojawił się na świecie; mogło być tak, że był on, jak sam twierdził, ucieleśnieniem idealnego człowieka, pierwszym doskonałym przejawem ludzkości; ale dla Mabel logika jego postępowania była zbyt straszliwie konsekwentna. Był spójny w potępianiu zniszczenia Rzymu i w wydaniu, siedem dni później, takiego oświadczenia...

Logicznie potępił przemoc człowieka wobec drugiego człowieka, królestwa wobec królestwa, sekty wobec sekty; przemoc, która prowadzi do samobójstwa rasy: przemoc, a nie samo działanie. Równie logiczny był jego ostatni dekret, jako akt sądowy zjednoczonego świata przeciwko niewielkiej mniejszości, która podważała same zasady życia i wiary... a ponadto miał być wykonany z najwyższą dobrocią; nie było tu żadnego szantażu, żadnej przemocy sekciarskiej, chyba że za szantażystę lub osobę stosującą przemoc uznałoby się człowieka, który poddaje się amputacji ramienia dotkniętego gangreną... W tej kwestii Oliviero naprawdę ją przekonał. Tak! To było logiczne, spójne! Niemniej jednak nie mogła się z tym pogodzić! Ach! Jakież to wzniosły człowiek, ten Felsemburgh! I jaka to radość wspominać jego osobę i jego elokwencję! Och! Gdyby tylko mogła go znów zobaczyć!... Ale może to nie byłoby dobrze... Tak mogłaby spokojniej stawić czoła śmierci: po czym świat, ten świat, który ją przerażał, kontynuowałby swoją drogę, nawet bez niej.

Wśród tych myśli ogarnęła ją lekka drzemka; a po pięciu lub sześciu minutach ujrzała pochyloną nad sobą łagodną i uśmiechniętą twarz pielęgniarki ubranej w biały fartuch.

– Niedługo będzie szósta, moja droga! To godzina, którą ustaliliśmy. Przyszłam zapytać, czy chce pani śniadanie.

Mabel westchnęła głęboko, po czym zerwała się z łóżka i wyjęła kilka kartek papieru listowego.

II.

Mały zegar nad kominkiem wybił wpół do siódmej, gdy Mabel odłożyła pióro. Zebrała napisane kartki, usiadła wygodnie w fotelu i przeczytała jeszcze raz:

„Dom Schronienia – nr 3a – Manchester.

„Ukochany mężu,

przesyłam Ci smutną wiadomość, że powróciłam do dawnego szaleństwa; nie mogę już dłużej wytrzymać i dlatego postanowiłam odejść jedyną drogą, jaka mi pozostała.

„Spędziłam dość spokojne dni w Domu, gdzie traktowano mnie z wszelką troską: nagłówek listu jasno wskazuje, o jaki dom chodzi...

„Zawsze cię kochałam i nadal cię kocham, nawet w tej chwili; muszę więc wyjaśnić ci powody mojej decyzji. Trudno ci będzie je zrozumieć, ale mimo wszystko wyznaję, że nie mogę już dłużej żyć. Byłam szczęśliwa i pełna entuzjazmu, zwłaszcza gdy On przyszedł; ale miałam nadzieję, że potem nastąpią zupełnie inne wydarzenia.

„Nie rozumiałem wtedy, tak jak rozumiem teraz, do jakich konsekwencji nieuchronnie doprowadziłby ten system; mogłem się z tym pogodzić, myśląc, że pospółstwo mordowało w przyptywie emocji... Teraz wiem, że zrobią to samo, i to nie pod wpływem impulsu!...

„Nie rozumiałem wtedy, że pokój ma swoje prawa i prawo do samoobrony; ale, mój drogi, nie wiem jak, ale to nie jest pokój dla mnie. Nie, wierzę, że to właśnie w nim tkwi przyczyna mojego nieszczęścia.

„Ale to nie wszystko: dobrze wiem, jak bardzo odpowiada ci ten nowy stan rzeczy; i to naturalne, skoro jesteś silniejszy i rozsądniejszy ode mnie. Ale jeśli masz żonę, to konieczne jest, by podzielała twoje zdanie... a ja już nie jestem z tobą, przynajmniej w uczuciach, choć widzę, że masz rację...

Rozumiesz, mój drogi?

„Gdybyśmy mieli syna, mogłabym pogodzić się z życiem z miłości do niego, ale dla ludzkości... och! Oliviero, nie mogę! Nie mogę!

Widzę, że się mylę, a ty masz rację... ale oto: nie potrafię zmienić siebie; to utwierdza mnie w konieczności zakończenia.

„Chcę ci jeszcze powiedzieć, że wcale się nie boję; i naprawdę nie rozumiem, jak ludzie mogą bać się śmierci, chyba że są chrześcijanami...

Och! Gdybym była chrześcijanką, to ten krok nigdy nie byłby

! Ale my jesteśmy pewni, że po drugiej stronie nie ma nic: to życie, a nie śmierć, budzi we mnie strach!

«Co najwyżej mogłabym się obawiać, gdyby towarzyszył temu ból; ale lekarze zapewniają mnie, że nie ma nawet najmniejszych cierpień, zupełnie tak jak podczas zasypiania. Nerwy umierają przed mózgiem.

„Postanowiłam zrobić wszystko sama, bez żadnej pomocy. Za kilka minut pielęgniarka, siostra Anna, moja ostatnia przyjaciółka, przyniesie mi urządzenie, a potem zostawi mnie samą.

„Nie mam żadnych życzeń, które chciałabym ci przekazać na czas po śmierci: rób tak, jak ci się podoba.

„Kremacja odbędzie się jutro w południe i możesz w niej uczestniczyć, jeśli chcesz; w przeciwnym razie poproś o urnę, a zostanie ci ona wysłana.

Pragnęłam, by urna mamy znalazła się w ogrodzie; być może zechcesz, by obok niej stała również moja.

„Nie muszę chyba mówić, że wszystko, co posiadam, zostawiam tobie.

„Jedna rzecz mnie smuci: to, że sprawiłam ci przykrość i okazałam się tak głupia. Twoje argumenty, jak dobrze wiesz, zawsze mnie przekonywały, ale w głębi serca nie chciałam dać się przekonać. Dzięki temu zrozumiesz powód kłopotów, jakie musiałeś znosić z mojej winy.

„Oliviero! Moja miłości!... Byłeś dla mnie zbyt dobry! Tak! Nawet przez łzy mówię ci, że czuję się naprawdę szczęśliwa... szczęśliwa w ostatnich chwilach. Żałuję niepokoju, jaki musiałam ci sprawić w tym tygodniu, i tego, że cię okłamałam; wiedziałam, że gdybyś mnie odkrył, odradziłbyś mi to, a wtedy kto wie, czy nie stałoby się coś gorszego. Ale, naprawdę, okłamałam cię po raz pierwszy i ostatni!

„A teraz wydaje mi się, że nie mam już nic więcej do powiedzenia.

„Oliviero, ukochany mężu, żegnaj! Przesyłam ci moją miłość wraz z ostatnimi uderzeniami mojego serca.

„Mabel”.

Po przeczytaniu listu pozostała nadal siedząca, ze łzami w oczach; a jednak czuła się szczęśliwsza niż przedtem, mając nadzieję na wycofanie się ze swojego postanowienia. Nie mając już celu w życiu, śmierć wydawała się jej jedyną ucieczką i pragnęła jej z całej duszy, jak zmęczone ciało pragnie odpoczynku.

Pewną ręką napisała adres, położyła zamkniętą kopertę na stole i usiadła w fotelu, patrząc na nienaruszone śniadanie.

W międzyczasie przypomniawszy sobie rozmowę z panem Francisem i, przez dziwny zbieg okoliczności, przypomniawszy sobie katastrofę samolotu w Brighton, krzątanię tego księdza i miotły eutanazji...

Siostra Anna, która wróciła pięć minut później, była zdumiona: Mabel, pochyłona nad parapetem okna, patrzyła w niebo z wyraźnym przerażeniem.

Siostra Anna po odłożeniu przedmiotu na stół przeszła przez pokój i poklepała młodą kobietę po ramieniu.

- Co się dzieje, moja droga?

Mabel wyprostowała się z westchnieniem, odwróciła się do pielęgniarki i przyciągnęła ją do siebie jedną ręką, wskazując drugą na odległy punkt na niebie.

- Tam... proszę spojrzeć... tam...

- Tam? Ale tam nic nie ma... nic... tylko trochę ciemno!

- Ciemno?... Ciemno, mówi pani?... Ależ pani nie widzi?... Jest czarne! Jest czarne!

Pielęgniarka delikatnie odciągnęła ją od okna w stronę fotela. Rozpoznała w tym strachu jedynie zwykły objaw napadu, nic więcej; Mabel wyrwała się z jej uścisku i znów pobiegła do okna.

- Powiedziała, że jest ciemno!... ale proszę spojrzeć, siostró Anno, proszę spojrzeć!...

W rzeczywistości nie było tam nic, co szczególnie przyciągało wzrok. Przed oknem wznosiła się liściasta korona drzewa; po przeciwnej stronie dziedzińca widać było nadal zamknięte okna i dach; a wysoko w górze pojawiała się poranne niebo, nieco ponure i mroczne, jak przed burzą: nic więcej!

- Tak! Moja droga!... ale przecież nic tam nie ma! Co pani widzi?

- Ale spójrz!... ale spójrz!... Posłuchaj!... nie słyszałaś?...

Rozległ się niejasny pomruk grzmotu, przypominający odległy łoskot wozu; był jednak tak cichy, że wydawał się złudzeniem słuchowym. Dziewczyna jednak zakrywała uszy, a jej wybałuszone oczy wyrazisto kontrastowały z twarzą tak bladą, jakby zasłoniętą przerażającą maską.

Pielęgniarka objęła ją w pasie.

- Moja droga, opamiętaj się! To tylko cichy grzmot, spowodowany upałem. Usiądź i uspokój się!

Czuła, jak ciało dziewczyny drży w jej ramionach, ale bez oporu zdołała ją odciągnąć w stronę fotela.

- Światło! Światło! – wykrzyknęła Mabel, łkając.

- Ale... obiecuje mi, że potem się uspokoi?

Mabel skinęła głową, a pielęgniarka pobiegła do rogu pokoju, uśmiechając się czule: takie sceny nie były dla niej niczym nowym!

Chwilę później pokój wypełnił się cudownym światłem; jednak młoda kobieta obróciła fotel w stronę okna i, zaciskając dłonie, wciąż wpatrywała się w niebo ponad dachami; wydawała się jednak spokojniejsza. Pielęgniarka objęła ją ramionami.

- Jest pani zbyt podekscytowana, moja droga!... Proszę mi zaufać, nie ma się czego obawiać: to tylko napad nerwowy. Mam opuścić rolety?

Mabel odwróciła twarz. Z pewnością światło było dla niej pocieszeniem: wciąż była blada i oszołomiona, ale jej oczy odzyskały naturalny wyraz, choć nawet gdy mówiła, uparcie błędziły poza oknem.

- Siostro Anno – powiedziała spokojnym głosem – proszę spojrzeć jeszcze raz i powiedzieć mi, czy coś widzi; jeśli nic nie widzi, to znaczy, że oszalałam!... Nie!... proszę zostawić okiennice!

W rzeczywistości nie widać było nic poza ciemnym niebem, jak przed burzą. Co najwyżej można było dostrzec kontury kilku chmur dryfujących w powietrzu przepełnionym melancholią; nic więc poza zjawiskami zwiastującymi wiosenną ulewę. Pielęgniarka starała się to jej wyjaśnić.

- Ma pani rację, siostro Anno!... W takim razie...

Podszedł do stołu, na którym pielęgniarka położyła ten przedmiot.

- W takim razie... proszę mi to trochę wyjaśnić! Ale pielęgniarka się wahała.

- Kochana dziewczynko, czy możesz mi zapewnić, że się nie boisz? Chcesz coś zjeść przedtem?

- Nie potrzebuję już niczego! – odpowiedziała stanowczo Mabel – Proszę mi więc wyjaśnić!

Siostra Anna podeszła do stolika.

Na stole stało coś w rodzaju emaliowanego na biało pudełka, delikatnie pomalowanego kwiatami; z pudełka wychodziła biała, elastyczna rurka, zakończona szerokim ustnikiem, wyposażonym w dwa stalowe uchwyty, pokryte skórą; a z przodu wystawał porcelanowy uchwyt.

- Oto, moja droga!... – zaczęła spokojnie siostra Anna, obserwując oczy Mabel, które nieustannie krążyły w stronę okna – Proszę spojrzeć: siada się tak, jak teraz, ale z głową lekko odchyloną do tyłu, jeśli nie ma pani nic przeciwko; kiedy jest gotowa, przykładą się to do ust i zapina dwie sprężyny z tyłu głowy... to bardzo proste!

Potem przekręca kłamekę, aż... i... wystarczy!

Mabel, odzyskawszy panowanie nad sobą, wszystko zrozumiała, choć jej wzrok wciąż błędził w stronę okna.

- Wystarczy!... – powtórzyła Mabel – ale... co potem? Pielęgniarka spojrzała na nią z niepokojem.

- Zrozumiałam!... ale... co potem?...

- Nic więcej!... Oddychaj naturalnie: prawie natychmiast poczujesz senność, a wtedy... zamknij oczy... i gotowe!

Mabel odłożyła rurkę na stolik i wstała: całkowicie odzyskała przytomność.

- Pocałuj mnie, siostró Anno!

W drzwiach pielęgniarka odwróciła się, by ją pożegnać i ponownie uśmiechnąć się do niej, ale młoda kobieta ledwie to zauważyła: wciąż wpatrywała się w okno.

- – Wróć za pół godziny – powiedziała siostra Anna – i widząc na stole zamkniętą kopertę, zapytała:

- – Czy to ten list?

- – Tak – odpowiedziała młoda kobieta niemal bez zainteresowania.

Pielęgniarka wzięła list, spojrzała na adres, a potem na Mabel!... Nie mogła się od niego oderwać.

- Za pół godziny... – powtórzyła – ale nie ma pośpiechu: to... zajmie mniej niż pięć minut. Do widzenia, moja droga!

Ale młoda kobieta znów odwróciła się do okna i nie odpowiedziała.

III.

Mabel poczekała, aż drzwi zostaną dobrze zamknięte i wyjęty klucz; następnie wróciła do okna i oparła się o parapet. Stamtąd spojrzała najpierw w dół, na dziedziniec z zielonym klombem, z którego wyrastały dwa lub trzy drzewa, oświetlone światłem z wnętrza przez okno; potem na dachy, a wysoko w górze na przerażającą czarną i czerwonawą zasłonę.

Scena wydawała się jeszcze bardziej ponura w kontraście tych dwóch elementów: było tak, jakby ziemia stała się zdolna do świecenia, teraz, gdy niebo zgasło.

Wokół panowała wielka cisza. Dom o tej porze zwykle był cichy: lokatorzy nie mieli wprawdzie ochoty na hałasowanie; ale ciszę tej chwili można było nazwać ciszą śmierci; tą ciszą, która poprzedza nagłe huki niebiańskiej artylerii.

Jednak chwile mijały, a żaden z tych grzmotów nie dał o sobie znać.

Powróciło jedynie dudnienie, ponure jak hałas wielkiego, odległego wozu; tym razem jednak niezwykle imponujące, sprawiające wrażenie, jakby w uszach młodej kobiety towarzyszył mu szum niezliczonych radosnych i oklaskujących głosów.

Potem znów zapadła cisza, niczym opadająca wełna...

Mabel zaczynała rozumieć, że ten dźwięk i ciemność nie były przeznaczone dla wszystkich oczu ani dla wszystkich uszu.

Pielęgniarka bowiem nie słyszała ani nie widziała niczego niezwykłego, podobnie jak reszta ludzi: dla wszystkich były to jedynie oznaki zbliżającej się burzy. Mabel nawet nie próbowała oddzielić elementu subiektywnego od obiektywnego w swoich odczuciach; nie obchodziło jej zbytnio, czy wizje i odgłosy pochodziły z jej mózgu, czy też z jakiejś nieznanej dotąd zdolności. Czuła się odseparowana od otaczającego ją świata, który już się od niej oddalał, a raczej pozostawał, ale przekształcał się, przechodząc w inny sposób istnienia...

Tak więc niezwykłość tej sytuacji nie poruszyła jej bardziej niż mogłaby poruszyć jakakolwiek inna rzecz... na przykład ta mała, pomalowana skrzynka, stojąca tam, nad stołem...

I wtedy, niemal nie wiedząc, co mówi, z oczami zwróconymi ku niebu, zaczęła mówić:

- O Boże! Czy to Ty jesteś tam w górze? Czy naprawdę istniejesz?

Poczuła, że głos jej słabnie, i chwyciła się parapetu, by nie upaść; dziwiła się, że wypowiedziała te słowa, które nie były podyktowane ani rozumem, ani uczuciem. Jednak kontynuowała:

- Boże!... Jestem pewna, że nie ma Cię tam w górze! Nie ma Cię nigdzie! Ale gdybyś tam był, och! Dobrze wiedziałabym, co chciałabym Ci powiedzieć! Powiedziałabym Ci, jak wielka jest moja nuda i gorycz!... ale nie... nie byłoby to potrzebne, bo sam byś to dostrzegł! Powiedziałabym Ci wtedy, że wszystko, co robię, nienawidzę z całej duszy!... ale Ty widziałbyś to również, nawet gdybym Ci tego nie powiedziała!... O Boże! co Ci więc powiedzieć? Ach! Powiedziałabym Ci, byś czuwał nad moim Oliviero i nad Twoimi biednymi chrześcijanami. Och! ileż strasznych prób będą musieli przejść!... A Ty, mój Boże, zrozumiałbyś mnie, wysłuchałbyś mnie?

Znów rozległ się ponury huk, któremu towarzyszył majestatyczny bas niezliczonych głosów, które wydawały się zbliżać...

- No już! – rzekł – Żegnajcie!... Żegnajcie wszystko!... Następnie opadł na fotel.

- Dajcie mi... ustnik!...

I denerwowała się, że drżą jej ręce: dwukrotnie wypadły jej spinki z warkoczy; w końcu udało jej się je zapiąć; i natychmiast, jakby pod wpływem ożywczej bryzy, poczuła się ożywiona. Oddychała bez najmniejszych trudności, myśląc, że nawet później nie będzie groziło jej uduszenie. Wyciągnęła rękę i dotknęła klamki, nie zauważając jej chłodu pośród tego naprawdę nieznośnego upału, w którym pokój wydawał się niemal nagle zanurzyć.

Czuła bicie tętna i szept tych fantastycznych głosów... Ale puściła klamkę, by obiema rękami zdjąć biały płaszcz, który założyła tego ranka.

Teraz czuła się swobodniej i łatwiej jej się oddychało. Ponownie sięgnęła dłonią i odnalazła klamkę, ale z powodu potu spływającego z palców nie mogła jej od razu przekreślić. Wtedy nagle ustąpiła...

W pierwszej chwili delikatny i zmysłowy zapach ogarnął ją jak cios, ponieważ wiedziała, że to zapach śmierci; potem wola, która doprowadziła ją do tego miejsca, utwierdziła ją w postanowieniu. Tak więc, opuszczając dłonie na kolana, oddychała spokojnie i głęboko.

Zamknęła oczy, gdy przekreślała klamkę, ale teraz je ponownie otworzyła, ciekawa, jak wygląda świat w chwili jej odejścia: już od pierwszych dni postanowiła, że nie przegapi żadnego szczegółu tego jedyne, ostatecznego doświadczenia.

Na początku wydawało jej się, że nic się nie zmieniło: przed nią wciąż widniały liściaste korony wiązu, ołowiany dach; a wysoko w górze – przerażające niebo. Zobaczyła jedynie białego gołębia szybującego w ciemnym powietrzu i znikającego w jednej chwili. W końcu nastąpiły rzeczy podobne do tych: Mabel poczuła ekstatyczną lekkość we wszystkich członkach; chciała podnieść rękę, ale zdała sobie sprawę, że nie może: ta ręka nie należała już do niej. Próbowwała odwrócić wzrok od tego ponurego pasma nieba, ale poczuła, że jest to równie niemożliwe. Zrozumiała wtedy, że wola utraciła wszelką łączność z jej członkami i że świat przemijający oddalił się już na nieskończoną odległość: czego, prawdę mówiąc, się spodziewała, choć wprowadzała ją w zakłopotanie żywa i nieustanna aktywność ducha. I choć świat, który znała, wymknął się już spod panowania jej świadomości, podobnie jak jej ciało – z wyjątkiem słuchu, który nie stracił swojej naturalnej ostrości – zachowała jeszcze wystarczającą pamięć, by przynajmniej pamiętać, że świat istnieje, że istnieją inni ludzie, że ludzie zajmują się swoimi sprawami, nie wiedząc nic o tym, co obecnie dzieje się w tym pokoju; ale twarze, imiona, miejsca zniknęły. W rzeczywistości doświadczała świadomości siebie innej niż ta z dawnych czasów; wydawało jej się, że w końcu wniknęła w najgłębsze zakamarki swojej natury, których za życia nie mogła dostrzec inaczej niż jakby przez matowe szkło.

A wszystko to było dla niej jednocześnie nowe i znajome: czuła, że znalazła się teraz w centrum, którego obwód przemierzała przez całe swoje życie; nie był to jednak zwykły punkt, lecz odrębna, osłonięta i zamknięta przestrzeń... Wtedy zdała sobie sprawę, że zaczyna tracić również słuch. Potem wydarzyło się coś niezwykłego; wydawało jej się jednak, że zawsze wiedziała, iż tak się stanie, choć nigdy o tym nie myślała ani nie mówiła. A zjawisko to było następujące: osłony tej centralnej przestrzeni opadały z dźwiękiem przypominającym coś, co się rozbija, po czym powstała inna przestrzeń, ale żywa, aktywna, nieokreślona: żywa jak ciało, które oddycha i porusza się; oczywista i niezrozumiała, jedna i wieloraka, niematerialna i rzeczywista... rzeczywista w sposób nigdy niepojęty ani nieintuicyjny. A jednak i to było jej znane, jak przestrzeń często odwiedzana w snach. W końcu, niczym błysk, coś, co było jednocześnie światłem i dźwiękiem, i co natychmiast rozpoznała jako jedyne w swoim rodzaju, przeleciało przez tę przestrzeń...

Wtedy Mabel ujrzała i zrozumiała...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po zniknięciu Mabel Oliviero przeżył dni nieopisanej udręki. Nie mógł jednak zrobić nic więcej: śledził ruchy uciekinierki od stacji Croydon do stacji Victoria, gdzie stracił jej ślad; skontaktował się z policją, otrzymując jedynie urzędową odpowiedź, że nie ma żadnych wiadomości.

We wtorek po ucieczce pan Francis, dowiedziawszy się przypadkiem o tym smutnym wydarzeniu, poinformował Oliviero o rozmowie, jaką odbył z jego żoną w piątek wieczorem; ale to wróżyło raczej źle niż dobrze:

Oliviero nie mógł bowiem nie być zaniepokojony, gdy dowiedział się, o czym była ta rozmowa, chociaż pan Francis zapewnił go, że Mabel wcale nie była skłonna do obrony chrześcijan.

Pozostały tylko dwie hipotezy, po odrzuceniu wszystkich pozostałych: albo Mabel udała się, by chronić jakąś nieznaną katoliczkę; albo – co potęgowało jego cierpienie – udała się do jakiegoś ośrodka *eutanazji*... jak groziła jakiś czas temu. W takim przypadku znajdowała się pod ochroną ustawy obowiązującej od 1998 roku, kiedy to przyjęto jednogłośnie *Akt Cesji*, który sam Oliviero niestety zatwierdził.

Tego wtorkowego wieczoru, gdy siedział zamyślony w swoim pokoju, próbując po raz setny odnaleźć właściwą nić w gąszczu wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich miesiącach między nim a jego żoną, wyrwało go z zadumy nagłe dzwonicie telefonu. Połączenie pochodziło z Whitehall; w tej chwili poczuł, jak serce podskakuje z radości, mając nadzieję na wieści o Mabel, ale pierwsze słowa rozczerowały go.

- - Czy rozmawiam z panem Brandem? – zapytał przenikliwy, ale uprzejmy głos. – Tak, tu Snowford. Potrzebuję pana natychmiast... natychmiast, rozumie pan? O dwudziestej musi się zebrać nadzwyczajne posiedzenie Rady; będzie tam również prezydent; chodzi o sprawę najwyższej wagi; proszę natychmiast przyjść do mojego biura:

Nawet ten niezwykle telefon nie zdołał odwrócić jego uwagi od dręczących myśli. Jak zresztą wszyscy inni, nie dziwił się już nagłym decyzjom pana przewodniczącego. Ten nieustannie krążył tu i tam, podróżując i pracując z niesamowitą energią, nie tracąc przy tym swojej zwyczajowej spokojności. Była godzina dziewiętnasta; Oliviero zjadł kolację i kwadrans przed dwudziestą znalazł się w gabinecie Snowforda wraz z dwunastoma innymi kolegami, którzy się tam zebrali.

Minister wyszedł mu na spotkanie, a na jego twarzy malowało się niezwykle wzruszenie; po czym, odciągając go na bok, rzekł:

- Proszę posłuchać, panie Brand; będzie pan przemawiał jako pierwszy, po sekretarzu prezydenta, który otworzy posiedzenie. Przybyli oni z Paryża, niosąc ze sobą oszałamiającą nowinę: odkryli rezydencję papieża... Tak! Wygląda na to, że wciąż mamy papieża! Za chwilę pan usłyszysz!... A propos!... – kontynuował, patrząc na zszokowaną twarz Oliviero – składał panu najszczerze kondolencje z powodu tego smutnego wydarzenia!... Dowiedziałem się o tym właśnie dzisiaj od Pembertona.

Oliviero gwałtownie podniósł rękę.

- Proszę więc, aby to pan zasugerował mi, co mam odpowiedzieć.

- Oto: prezydent, jak sądzę, przedstawi propozycję; a pan, wyrażając nasze odczucia, określi stanowisko, jakie powinniśmy zająć wobec katolików.

Oczy Oliviero zwęziły się tak bardzo, że wyglądały jak dwa świecące punkty pod rzęsami; jednak zgodził się.

Następnie wystąpił Cartwright, krępy, zgarbiony mężczyzna o pomarszczonej twarzy, jak przystało na lorda prezesa sądu:

- A propos, panie Brand: czy zna pan niejakiego Philippsa? Mówi się, że zasłynął.

- Był moim sekretarzem – odpowiedział spokojnie Oliviero – Co się z nim teraz dzieje?

- Myślę, że oszaleje! Sam zgłosił się do sędziego, prosząc o natychmiastowe poddanie go badaniu. Sędzia zwrócił się do nas, aby dowiedzieć się, jak postąpić: widzi pan, że egzekwowanie prawa nie wkroczyło jeszcze na pierwsze tory.

- Ale... co takiego zrobił Philipps?

- W tym właśnie tkwi problem! Twierdzi, że nie może zaprzeczyć istnieniu Boga, ale nie może też go potwierdzić. I był twoim sekretarzem?

- Tak mi się wydaje! Zauważyłem, że darzył chrześcijaństwo sympatią, więc się go pozbyłem.

- Dobrze! Zostanie odesłany; być może za tydzień będzie w stanie podjąć decyzję!

W tym momencie rozmowa zmieniła temat; podeszło jeszcze dwóch lub trzech mężczyzn, patrząc na Oliviero z pewną ciekawością: rozeszła się już plotka, że Mabel go porzuciła, i chcieli zobaczyć, jak zachowa się w obliczu takiej przygody.

Pięć minut przed dwudziestą, na dźwięk dzwonka, otworzyły się drzwi prowadzące do korytarza.

- Proszę wejść, panowie – powiedział premier.

Sala Rady była wysokim i przestronnym pomieszczeniem, położonym na pierwszym piętrze, z ścianami od góry do dołu pokrytymi książkami.

Podłogę pokrywał cichy dywan gumowy; nie było okien, a pomieszczenie było oświetlone sztucznym światłem. Wzdłuż sali biegł szeroki stół z ośmioma fotelami z podłokietnikami po obu stronach, a fotel przewodniczącego znajdował się na podwyższeniu po jednej ze stron.

Wszyscy w milczeniu zajęli swoje miejsca i czekali. Wyjątkowa świeżość tej sali, pomimo braku okien, stanowiła niezwykle kontrast z upałem na zewnątrz, przez który musieli przejść zgromadzeni. Oni również, po wyrażeniu największego zdziwienia tą niezwykle temperaturą i po żartowaniu z nieomyślności astronomów, siedzieli teraz w milczeniu i skupieniu; przybycie przewodniczącego zawsze uciszało nawet najbardziej rozmownych; co więcej, wiedzieli, że tym razem chodzi o sprawę niezwykle poważną. Na minutę przed dwudziestą dzwonek zadzwonił cztery razy, a na ten sygnał wszyscy zwrócili wzrok na drzwi, znajdujące się za fotelem przewodniczącego.

Panowała grobowa cisza zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, ponieważ rozległe pomieszczenia rządowe były bogato wyłożone materiałami tłumiącymi dźwięk; tak więc nawet największe samochody, przejeżdżające pięćdziesiąt metrów dalej, nie były w stanie przeniknąć wibracjami przez warstwę gutaperki pokrywającą ściany. Tylko jeden dźwięk mógł się tam przedostać: grzmot; technicy bezskutecznie próbowali go wyeliminować! Ale w tej chwili wydawało się, że cisza była chroniona jeszcze gęstszą zasłoną. Wtedy drzwi się otworzyły i weszła postać, a zaraz za nią kolejna, ubrana w szkarłatno-czarną szatę.

II.

Prezydent udał się prosto na swoje miejsce, w towarzystwie sekretarza skłonił się lekko w prawo i w lewo, a następnie usiadł, wykonując niewielki gest ręką. Wtedy również ministrowie zajęli miejsca, gotowi słuchać z najwyższą uwagą.

Oliviero po raz setny, delikatnie mówiąc, przyglądał się prezydentowi, nieustannie zadziwiony tą cudownie pogodną osobowością. Tego dnia miał na sobie starożytny strój angielskich prawników, w kolorze czarnym i szkarłatnym, z rękawami z gronostaju i szkarłatnym pasem, strój, który wybrał jako prezydent Wielkiej Brytanii. Ale to, co budziło zdumienie, to właśnie jego osoba i duch, który z niej emanował. Podobnie jak powiew morza na naszą fizyczną naturę, Felsemburg oczyszczał, ożywiał, upajał, czarował; pociągał nieodparcie jak kwitnący sad, wzruszał jak melodia altówek, a jednocześnie porywał z siłą burzy. Tak mówili literaci.

Porównywali go jednak również do strumienia czystej wody, do blasku klejnotu, do miłości dziewicy... Ich porównania osiągały czasem poziom groteski; mówili nawet, że potrafił dostosować się do wszystkich tonów harmonii niczym wodospad... i w końcu wielokrotnie ogłaszali go doskonałym wcieleniem Boskiej Natury.

W tym miejscu Oliviero przerwał swoje rozważania, ponieważ Prezydent, ze spuszczonej oczami i wyprostowaną głową, skinął lekko na rumianego sekretarza siedzącego po jego prawej stronie; a ten, nie tracąc spokoju, zaczął mówić jak aktor odgrywający rolę, która mu nie pasuje.

- Panowie! – zaczął równym i donośnym głosem – Prezydent właśnie przybywa z Paryża; dziś wieczorem Jego Ekscelencja był w Berlinie, a dziś rano w Moskwie. Wczoraj był w Nowym Jorku. Tej nocy musi udać się do Turynu, a jutro rozpocznie swoją podróż do Hiszpanii, Afryki Północnej, Grecji i stanów południowych.

Tak brzmiało zwyczajowe wprowadzenie. Prezydent mówił niewiele, ale starał się dokładnie informować podwładnych o swoich zajęciach. Sekretarze byli w tym doskonale wyszkoleni i tym razem nie było inaczej.

Po krótkiej przerwie kontynuował:

- Oto, panowie, o co chodzi:

„W miniony czwartek, jak panowie dobrze wiedzą, pełnomocnicy podpisali w tej sali *Akt Profesji*, który następnie został ogłoszony całemu światu. O szesnastej Jego Ekscelencja otrzymał wiadomość od niejakiego Dolgorowskiego, jednego z kardynałów Kościoła katolickiego: przynajmniej za takiego się podawał; jednak dochodzenie wyjaśniło prawdziwość jego twierdzeń. Informacje, które nam przekazał, potwierdzają to, co już od dawna podejrzewaliśmy, a mianowicie: że istnieje człowiek, który twierdzi, że jest papieżem, i który mianował (zgodnie z przyjętym zwyczajem) innych kardynałów, wkrótce po zniszczeniu Rzymu i po tym, jak został wybrany w Jerozolimie. Wydaje się, że ten papież, dzięki niezwyklej zręczności, zdołał ukryć swoje imię, a nawet miejsce swojego pobytu przed wszystkimi wyznawcami, z wyjątkiem dwunastu kardynałów. Dzięki temu, a także dzięki współpracy jednego ze swoich kardynałów w szczególności oraz Nowego Zakonu w ogóle, z powodzeniem zreorganizował Kościół katolicki; a teraz żyje odizolowany od świata i w pełnym bezpieczeństwie.

„Jego Ekscelencja ubolewa, że w ogóle podejrzewał coś takiego, zwiedziony przekonaniem, że gdyby papież nadal istniał, dowiedziałby się o tym z innych źródeł; ponieważ, jak wiadomo, cała struktura Kościoła chrześcijańskiego opiera się na papieżu niczym na kamieniu węgielnym. Jego Ekscelencja uważa zatem, że należy podjąć poszukiwania, aby ustalić dokładne miejsce pobytu tego papieża.

„Imię tego człowieka, panowie, brzmi Franklin...

Oliviero mimowolnie wzdrygnął się, ale natychmiast powrócił do pierwotnej uwagi po spojrzeniu, jakie rzucił mu przewodniczący z tą swoją marmurową niewzruszoną powagą.

„Franklin...” – kontynuował sekretarz – „mieszka w pobliżu Nazaretu, gdzie, jak się mówi, sam założyciel chrześcijaństwa spędził młodość.

„Jego Ekscelencja dowiedział się o tym w miniony czwartek i natychmiast nakazał przeprowadzenie dochodzenia: w piątek rano dowiedział się jeszcze od Dolgorowskiego, że papież zwołał w Nazarecie sobór kardynałów i innych duchownych z całego świata, aby obradować nad postawą, jaką powinni przyjąć chrześcijanie wobec nowego *Prawa Zawodu*.

„Taki pomysł, zdaniem Jego Ekscelencji, świadczyłby o skrajnej nierozwadze, która źle współgra z dotychczasową taktyką. Wszystkie te osoby, za pośrednictwem specjalnych zaproszeń, zostaną wezwane do Nazaretu w najbliższą sobotę i zasiądą na naradzie następnego ranka, po kilku ceremoniach swojego kultu.

„Z pewnością, panowie, zechcielibyście poznać powody, które skłoniły Dolgorowskiego do tych wyznań. Jego Ekscelencja jest przekonany o ich prawdziwości. Człowiek ten utracił wszelką wiarę w swoją religię; a ponieważ naprawdę zrozumiał, że stanowi ona największą przeszkodę w umocnieniu rasy ludzkiej, uznał za swój obowiązek poinformować o wszystkim Jego Ekscelencję.

„Bardzo znaczącym podobieństwem historycznym jest fakt, który niegdyś dał początek chrześcijaństwu, identyczny z tym, który, jak mamy nadzieję, doprowadzi do jego końca; mianowicie: sposób usunięcia głównego bohatera, zaproponowany w obu przypadkach przez jednego z głównych wyznawców. Równie znaczące jest to, że miejscem jego śmierci jest to samo miejsce, w którym się urodził...

„Teraz Jego Ekscelencja ma do Państwa następującą propozycję, zgodnie ze swoją poprzednią deklaracją, którą wszyscy zatwierdziliśmy: w sobotę wieczorem do Palestyny zostanie wysłana flota statków powietrznych, a w niedzielę rano, gdy ci ludzie zostaną zgromadzeni, armia ta będzie musiała jak najszybciej i w jak najmniej bolesny sposób wykonać dzieło zniszczenia, w które zaangażowane są obecnie wszystkie mocarstwa świata. Jak dotąd zgoda rządów, z którymi się skonsultowaliśmy, była jednogłówna i nie wątpimy, że uzyskamy zgodę wszystkich pozostałych. Jego Ekscelencja nie chciał podjąć tak poważnej decyzji na własną rękę: nie jest to kwestia lokalna; jest to akt międzynarodowej sprawiedliwości, który przyniesie skutki przewyższające nasze nadzieje.

„Nie ma potrzeby zagłębiać się w szczegółowe poglądy Jego Ekscelencji: wszystkie są wam znane, panowie; jednak zanim poproszę was o opinię, zlecił mi on, abym poinformował was – na wypadek, gdybyście również wy wyrazili zgodę

- – w jaki sposób pragnie, aby przeprowadzono tę akcję.

„Każdy rząd będzie musiał wziąć udział w ostatecznym uderzeniu, aby walka nabrała w ten sposób symbolicznego znaczenia; w tym celu trzy części świata przygotowują tyle statków powietrznych, ile jest poszczególnych państw w każdej z nich: łącznie sto dwadzieścia jeden. Statki nie będą płynąć razem: w przeciwnym razie wiadomość o wyprawie mogłaby dotrzeć do Nazaretu, ponieważ wiadomo, że Nowy Porządek Chrystusa Ukrzyżowanego posiada własny, wspaniale zorganizowany system szpiegowski. Jedynym miejscem spotkania będzie zatem sam Nazaret, nie później niż o dziewiątej według czasu palestyńskiego. Szczegóły te zostaną zresztą ustalone i przekazane, gdy tylko zostanie podjęta konkretna decyzja w sprawie całości.

„Jeśli chodzi o sposób przeprowadzenia akcji, Jego Ekscelencja uważa za bardziej humanitarne, aby nie angażować się w negocjacje z tymi ludźmi; mieszkańcom wsi zostanie jedynie zaoferowana dowolna możliwość ucieczki, jeśli zechcą; następnie, dzięki materiałom wybuchowym, które ekspedycja zabierze ze sobą, koniec będzie niemal natychmiastowy.

„Jego Ekscelencja zamierza osobiście wziąć udział w tej operacji i pragnie, aby decydujący ładunek materiałów wybuchowych został wystrzelony właśnie z jego łodzi. I rzeczywiście słuszne jest, aby Świat, powołał Jego Ekscelencję do prezydenckiego zaszczytu, działał jego rękami, dając w ten sposób pewne świadectwo honoru temu przesądowi, który, choć haniebny, okazał się jedynym zdolnym do opierania się do samego końca prawdziwemu postępowi człowieka;

„Jego Ekscelencja obiecuje wam, panowie, że po zakończeniu tego przedsięwzięcia nie będziemy już narażeni na żadne prześladowania ze strony chrześcijaństwa. Już sam moralny wpływ nowej *ustawy o wyznaniu* był ogromny: dziesiątki tysięcy katolików, w tym członkowie nowego fanatycznego zakonu, wyrzekli się w ostatnich dniach swoich szaleństw. Teraz ostatni cios, zadany prosto w głowę i serce Kościoła katolickiego, eliminujący życiodajne centrum jego organizacji, sprawi, że nigdy więcej nie będzie mógł on odrodzić się. W rzeczywistości, po zlikwidowaniu linii papieskiej, niezbędnej dla jej niezawodności, nikt, nawet najbardziej nieświadomy, nie będzie mógł wątpić, że same roszczenia Jezusa Chrystusa stały się już niemożliwe i absurdalne; a Zakon, który przygotował jej siły do ostatniego ruchu, zniknie sam z siebie.

„Istnieje jednak pewna trudność ze strony Dolgorowskiego, ponieważ nie jest do końca pewne, czy jeden kardynał może przywrócić ciągłość linii. Z tego powodu, choć niechętnie, Jego Wysokość proponuje, aby po zakończeniu przedsięwzięcia również Dolgorowski został łaskawie uwolniony od niebezpieczeństwa nawrotu...

„A teraz, panowie, Jego Ekscelencja prosi krótko o waszą opinię na temat różnych punktów, które miałem zaszczyt wam przedstawić.

W tym momencie monotonny mówca zamilkł i zakończył tak samo, jak zaczął: ze spuszczonej oczami, spokojnym i stłumionym głosem oraz surową miną.

Zapadła chwilowa cisza, podczas której wszyscy obecni wpatrywali się w tę nieruchomą postać ubraną na czarno i szkarłatnie, o twarzy z kości słoniowej.

Wtedy wstał Oliviero. Miał twarz bladą jak papier, a oczy błyszczące i zapadnięte.

- Panie! – rzekł – Jestem pewien, że wszyscy tutaj podzielamy to samo uczucie; nie ma więc potrzeby, abym w imieniu moich kolegów mówił, że przyjmujemy propozycję, pozostawiając również szczegóły sprawy woli Waszej Ekscelencji.

Przewodniczący podniósł wzrok i szybko rozejrzał się po twarzach nieruchomo wpatrujących się w niego; następnie, w ciszy, w której wydawało się, że nawet oddechy ucichły, wypowiedział ten dziwny głos, który stał się teraz bezlitosny jak lodowy potok:

– Czy są jeszcze jakieś propozycje?

Nastąpił szmer zaprzeczenia, a zgromadzeni zaczęli wstawać.

- – Dziękuję państwu! – zakończył sekretarz.

III.

W sobotę rano, tuż przed siódmą, Oliviero, wysiadłszy z samochodu na Wimbledon Common, zaczął wspinać się po schodach starej stacji Volanti, opuszczonej pięć lat wcześniej. Aby lepiej zapewnić tajemnicę tej wyprawy, delegaci z Anglii postanowili wyruszyć z miejsca, które nie rzucało się w oczy; w tym celu wybrali starą stację, która służyła już tylko do testowania nowych łodzi rządowych.

Ponieważ nie było już windy, Oliviero musiał pokonać pieszo sto pięćdziesiąt stopni.

Zgodził się raczej niechętnie wziąć udział w wyprawie, nie wiedząc jeszcze nic o swojej żonie: strasznie dręczyło go to, że musi opuścić Londyn w tej niepewności.

Biorąc wszystko pod uwagę, skłaniał się teraz mniej niż kiedykolwiek ku hipotezie samobójstwa poprzez *eutanazję*; niektóre przyjaciółki Mabel, wtajemniczone w sprawę, powiedziały mu, że ona nigdy nie wyrażała chęci zakończenia życia w ten sposób.

Ale z drugiej strony, choć wiedział o przewidzianym przez prawo ośmiodniowym okresie próby, nawet zakładając, że Mabel zdecydowała się na ten krok, nie miał żadnej pewności, że wciąż przebywa w Anglii; co więcej, nawet w przypadku samobójstwa, bardzo prawdopodobne było, że wyjechała za granicę, gdzie przepisy były mniej rygorystyczne. W końcu dał się przekonać: pokusa bycia obecnym przy tym ostatecznym akcie sprawiedliwości, który usunąłby z drogi tych, którzy byli pośrednią przyczyną jego domowej tragedii, w tym Franklina... – Franklin, ta osobliwa parodia Władcy Świata – namowy kolegów, to niewytłumaczalne, coraz silniejsze pragnienie oddania, być może, życia za ideę Felsemburga, wszystkie te powody zwyciężyły w nim.

I wyruszył, uprzedzając sekretarza, by nie szczędził wydatków, aby przekazać mu każdą wiadomość o żonie, która mogłaby nadejść podczas jego nieobecności.

Tego ranka panował nieznośny upał; Oliviero, dotarłszy na szczyt schodów, ujrzał potwora już uwięzionego w białej aluminiowej klatce, w której pracowały wentylatory. Przeszedł do salonu, odłożył walizkę, zamienił słowo lub dwa z przewodnikiem, który wciąż nie wiedział, jaki jest cel tej podróży; a dowiedziawszy się, że jego koledzy jeszcze nie przybyli,

wrócił na taras, aby odszukać odrobinę chłodu i swobodniej oddać się swoim myślom.

Rozwahał tymczasem dziwny wygląd, jaki prezentowało Londyn tego ranka; w dole plac, spalony przez intensywne upały poprzedniego tygodnia:

płaszczyzna o długości około pół mili, całkowicie zdeformowana i pokryta tu i ówdzie suchą trawą, z wysokimi drzewami dookoła, które wydawały się przykrywać dachy pierwszych domów niczym pergola. Dalej rozciągały się, jedna po drugiej, zwarte rzędy budynków, przerwane w jednym miejscu przez półbłyszczący pas rzeki, a potem ginęły w oddali. Ale szczególne zdumienie budziła gęstość powietrza, które znów stało się mgliste jak w czasach dymu; atmosfera nie miała ani świeżości, ani przejrzystości tej porannej godziny. Nie dało się też wskazać, w którymkolwiek kierunku, źródła tej dusznej mgły, ponieważ była ona taka sama wszędzie. Nawet niebo ukrywało swój kolor: wyglądało, jakby pomalowano je błotnistą miotłą, a słońce rzucało swoje zwyczajowe czerwonawą poświatę.

Wszystko to – i Oliviero również tak uważał – sprawiało wrażenie szkicu drugorzędnego; nie budziło tajemniczego wrażenia miasta spowitego mgłą, ale raczej iluzję miasta rzeczywistego, z tymi niewyraźnymi cieniami oraz nieregularnymi konturami i skupiskami. Mogło to być oznaką burzy, a nawet trzęsienia ziemi w jakiejś części świata, co wspaniale ilustrowało kosmiczną jedność, wywołując tę niezwykłą presję atmosferyczną w innych częściach... .

No cóż!... Tak czy inaczej, dzień został dobrze wybrany, choćby po to, by obserwować zjawiska meteorologiczne; pod warunkiem jednak, że upał nie stanie się nie do zniesienia po przekroczeniu południa Francji.

I tu powróciły mu na myśl smutne wydarzenia, które dręczyły jego serce. Jednak dziesięć minut później dostrzegł czerwony samochód Ministerstwa, który z odsłoniętymi zasłonami migał na jezdni, jadąc z Falhau; a po kolejnych pięciu lub sześciu minutach na platformie pojawili się, w ślad za służbą, Maxwell, Snowford i Cartwright, ubrani, podobnie jak Oliviero, w białe płótno od szyi do stóp.

Nie powiedzieli ani słowa o wyprawie, uznając za rozsądne unikać nawet najmniejszej niedyskrecji w obecności robotników na pokładzie, którzy krzatali się w tę i z powrotem. Kierowca, uprzedzony już o konieczności zaopatrzenia się w prowiant na trzy dni, wiedział jedynie, że pierwszym etapem tej podróży będzie centrum południowych wydm; tam zatrzymają się na co najmniej jeden dzień i jedną noc.

Dzień wcześniej nadeszły dalsze instrukcje od Prezydenta, który zakończył swoją podróż, uzyskując pełną zgodę poszczególnych rządów zwołanych w trybie pilnym na całym świecie. Snowford przekazywał to szeptem swoim współpracownikom, dodając kolejne szczegóły, podczas gdy cała czwórka spoglądała z góry na miasto.

Krótko mówiąc, przynajmniej jeśli chodzi o statek angielski, plan był następujący: miał wpłynąć do Palestyny od strony Morza Śródziemnego, łącząc się ze statkami francuskim i hiszpańskim dziesięć mil od wschodniej granicy Krety. O dwudziestą trzecią, według czasu wschodniego, miał wyświetlić sygnał nocny: szkarłatny pas na białym tle. A w przypadku, gdyby pozostałe dwa statki nie pojawiły się w zasięgu wzroku, miał manewrować wokół tego punktu na wysokości ośmiuset stóp do czasu ich przybycia lub do otrzymania nowych instrukcji. Aby przeprowadzić operację z najwyższą starannością, statek Prezydenta miał przybyć jako ostatni z południa, w towarzystwie innego statku pomocniczego, o największej prędkości, którego sygnały miały być traktowane jako wydane przez samego Felsemburga. Wszystkie łodzie, tworząc okrąg o środku w Esdraelon i promieniu pięćset czterdziestu mil, miały płynąć, stopniowo schodząc do wysokości pięćset stóp nad poziomem morza, zmniejszając początkową odległość dwudziestu pięciu mil między sobą, aż do zbliżenia się na tyle, by uniknąć zderzenia. W ten sposób, poruszając się z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę zaraz po utworzeniu kręgu, dotarli by w zasięg wzroku Nazaretu około godziny dziewiątej w niedzielny poranek.

Kierowca podszedł do czterech delegatów, którzy w milczeniu spoglądali w dół.

- – Panowie, są państwo gotowi? – zapytał.

- Co sądzicie o tej pogodzie? – zapytał Snowford.

Prezenter lekko zmarszczył usta, po czym odpowiedział:

- Będą grzmoty, proszę pana!

A Oliviero, patrząc na niego z ciekawością, zapytał:

- – I nic więcej?

- Być może, kilka burz! – odparł przewodnik.

- – No cóż – rzekł Snowford – ruszajmy natychmiast; będziemy mieli mnóstwo czasu do stracenia, jeśli tylko zechcemy!

Kilka minut później wszystko było gotowe do wyjazdu. Z rufy dochodził delikatny zapach kuchni, ponieważ śniadanie miało być podane natychmiast

podano; kucharz w białej czapce wychylił się na chwilę, by zapytać przewodnika.

Czwórka siedziała w okazałym salonie na dziobie; Oliviero siedział w milczeniu, nieco na uboczu, podczas gdy pozostali rozmawiali szeptem. Konduktor wrócił do swojej kabiny na rufie, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a chwilę później zabrzmiał sygnał do odjazdu.

Wtedy wibracja silnika rozeszła się po całym statku – najszybszym w Anglii – podczas gdy Oliviero, patrząc przez szyby okna, widział, jak opadają kraty i nagle pojawia się długa panorama Londynu, biała pod tym złowrogo zabarwionym niebem.

Szybkim spojrzeniem dostrzegł małą grupę ludzi, którzy patrzyli w górę, a potem zniknęli jak w wirze; zniknęła wielka, zakurzona łąka, podczas gdy zaczęła się rozszerzać powierzchnia dachów, a wszędzie kręciły się rzędy ulic jak promienie gigantycznego koła. Potem nawet ta powierzchnia stała się cieńsza, ukazując ślady zieleni, jak to bywa na ziemi, między kamieniem a kamieniem.

W końcu wszystko zniknęło, ustępując miejsca rozległej i wyschniętej wsi.
- – Lepiej – rzekł – powiadom teraz woźnicę; dzięki temu nikt nie będzie nam przeszkadzał podczas podróży.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Syryjski ksiądz obudził się ze snu, w którym wydawało mu się, że widzi tysiące twarzy, które patrzyły na niego z gniewem i przerażeniem w tym kącie tarasu, i wyprostował się cały spocony i zdyszany.

W tej chwili wydawało mu się, że jest na skraju śmierci i już ma kontakt ze światem niewidzialnym; ale potem, z wielkim wysiłkiem, opamiętał się, wydychając z pełnych płuc ciężkie powietrze tej nocy.

Wysoko w górze niebo wyglądało jak ogromna, czarna i pusta przestrzeń: nie było ani śladu światła, mimo że księżyc już wzeszedł; widział go bowiem cztery godziny wcześniej w kształcie czerwonego sierpa, powoli krążącego za górą Tabor.

Na płaskowyżu panowała pustka; kilka kroków dalej, ponad stromym zboczem, wylaniało się zakrzywione światło uchylonego okna, a potem już nic. Na północy nic; na zachodzie błądy blask, jak skrzydło ómy, wskazywał dachy Nazaretu; na wschodzie znowu nic. Mógłby sądzić, że znajduje się na szczycie wieży pośrodku pustyni, gdyby nie ten pas i to słabe światło, które wymykało się z pola widzenia.

Na dachu jednak można było coś dostrzec; ponieważ lukarna na szczycie schodów była otwarta i wpadało tam trochę światła z dołu schodów. W kącie leżał biały pakunek: poduszka benedyktyńskiego opata; właśnie tam położył się nieco wcześniej; – ale czy minęły cztery godziny, czy cztery wieki? – Szara postać leżała przy ścianie: prawdopodobnie mnich; a inne nieregularne kształty przerywały tu i ówdzie z każdej strony linię balustrady. Powoli – znając dobrze kaprysy snu – udał się na drugą stronę tarasu, chcąc się upewnić, że wciąż przebywa w świecie ciała i krwi. Ależ tak!... On wciąż był w tym świecie! Wśród burzliwych fal dostrzegł jasne i wyraźne światło; a przed tym światłem, delikatne jak miniatura, pojawiały się głowa i ramiona mężczyzny zajętego pisaniami. Wokół niego inne blade postacie leżały na łóżkach; kilka słupów wbitych w ziemię, prawdopodobnie podtrzymujących namiot; stos walizek przykrytych podróżnym kocem; a poza kręgiem tego światła inne kształty i kontury ginęły w przerażającej ciemności.

W pewnym momencie mężczyzna piszący poruszył głową, a potworny cień przemknął po podłodze.

Za plecami księdza rozległ się krzyk przypominający skomlenie duszonego psa; gdy się odwrócił, ujrzał osobę, która wyginała się na ziemi, jęcząc i szlochając, budząc się; inny wstrząsnął się na ten krzyk; a gdy pierwszy, wzdychając, opadł z powrotem na ścianę, ksiądz powrócił do swojego legowiska, wciąż wątpiąc w otaczającą go rzeczywistość, podczas gdy cisza okrywała ją swoim trumiennym całunem.

Ksiądz obudził się po spokojniejszym śnie i zobaczył, że scena nieco się zmieniła. Z swojego kącika, podnosząc senne oczy, ujrzał zbliżające się oślepiające światło, które natychmiast rozjaśniło się w zapaloną świecę, a za nią białe rękaw, a jeszcze wyżej białą szyję i twarz.

Od razu zrozumiał i wstał, chwając się na nogach: był to posłaniec z Tyberiady, który przyszedł go obudzić zgodnie z ustaleniami.

Przechodząc przez taras, rozejrzał się dookoła i wydawało mu się, że nadeszła pora świtu: w końcu to ponure niebo stało się widoczne. Niegdyś ogromne, matowe, w kolorze dymu, opadało w kierunku upiornego horyzontu po drugiej stronie równiny, z której odległe wzgórza wyrastały w ostrych kształtach, jakby były wyrzeźbione na papierze.

Przed nim wyłaniał się Karmel – przynajmniej tak mu się wydawało, że to ta góra – rodzaj szyi i głowy byka wysuniętej do przodu, opadającej gwałtownie w dół; a tam, po drugiej stronie, znów słabe światło nieba.

Nie było żadnych przemijających chmur, które swoimi konturami przerywałyby ogromny, ponury i jednolity sklepienie, w samym środku którego zdawało się znajdować dom. Odwróciwszy się w prawo, zanim zszedł po schodach, ujrzał rozciągające się tuż przed balustradą Esdraelon, ponure i smutne, w tej szaro-metalicznej atmosferze.

Wszystko wydawało się dalekie od zwykłej rzeczywistości, jak fantastyczny obraz namalowany przez kogoś, kto nigdy nie widział rzeczy w świetle słonecznym; a cisza była absolutna, głęboka.

Szybko zszedł po schodach, mijając falujące cienie za tym mężczyzną w białym ubraniu; następnie ruszył wąskim korytarzem, potykając się o stopy śpiącego, który miotał się jak zmęczony pies; stopy te cofnęły się automatycznie, a w ciemności rozległo się ciche jęczenie. Ksiądz minął posłańca, który ustąpił na bok, i wszedł do pokoju.

Zgromadzonych było tam sześciu mężczyzn ubranych na biało, milczących i stojących w pewnej odległości od siebie. Gdy papież wszedł przez przeciwległe drzwi, wszyscy

, a następnie podnieśli się, kierując blade twarze w stronę papieża z pobożną uwagą.

Ksiądz spojrzał na nich po kolei, po tym jak stanął za tronem swojego Pana; rozpoznał dwóch, których widział poprzedniego wieczoru, mianowicie kardynała Ruspoli i chudego arcybiskupa z Australii, a także kardynała Corkrana, który siedział po prawej stronie papieskiego tronu, trzymając w ręku plik dokumentów.

Silvestro usiadł, gestem zachęcając wszystkich pozostałych, by również zajęli miejsca. Następnie od razu zaczął tym zmęczonym, ale spokojnym głosem, który jego kapelan znał tak dobrze:

– Ekscelencje, oto wszyscy zebraliśmy się tutaj... przynajmniej ci, którzy dotarli!... W każdym razie nie mamy czasu do stracenia. Kardynał Corkran ma wam coś do przekazania – i zwrócił się do kapelana – Proszę usiąść, ojcze; to zajmie trochę czasu.

Ksiądz usiadł na parapecie okna, skąd mógł patrzeć prosto w twarz papieża w świetle dwóch świec stojących na stole między nim a kardynałem sekretarzem.

Wtedy kardynał zaczął, wpatrując się w dokumenty:

„Wasza Świątobliwość, sądzę, że powinienem cofnąć się nieco w narracji; Wasze Eminencje nie znają dokładnych szczegółów.

.....
„W piątek: w zeszłym tygodniu otrzymałem w Damaszku liczne pytania od różnych prałatów z różnych części świata, dotyczące tego, jak należy postępować w obliczu nowego prawa o prześladowaniach. Początkowo nie mogłem udzielić żadnej odpowiedzi, ponieważ dopiero po dwudziestej kardynał Ruspoli przesłał mi z Turynu pozytywną wiadomość na ten temat. Kardynał Malpas potwierdził ją pięć minut później, a kardynał arcybiskup Pekinu o dwudziestej trzeciej.

„W sobotę, przed południem, posłańcy wysłani do Londynu przekazali mi ostateczne potwierdzenie.

„Byłem początkowo zdziwiony, że kardynał Dolgorowski nie przesłał żadnej wiadomości; ponieważ niemal równocześnie z wiadomością z Turynu dotarła do mnie kolejna z Moskwy, wysłana przez księdza należącego do zgromadzenia Chrystusa Ukrzyżowanego, na którą, oczywiście, nie zwróciłem uwagi. Naszym obowiązkiem, Ekscelencje, jest tak postępować w przypadku nieautoryzowanych komunikatów. Jego Świątobliwość nakazał mi przeprowadzenie dochodzenia; wtedy dowiedziałem się od ojca Petrowskiego i innych, że rząd opublikował dekret o dwudziestej, według naszego czasu. Należało przypuszczać, że kardynał nie miał o tym wiadomości, ponieważ w przeciwnym razie jego obowiązkiem było natychmiast mnie powiadomić.

„Jednak od tego dnia wyszły na jaw następujące fakty: jest w pełni potwierdzone, że kardynał Dolgorowski przyjął w godzinach popołudniowych wizytę nieznanego. Jego kapelan, którego działalność na rzecz Kościoła w Rosji jest Waszym Eminencjom dobrze znana, poinformował nas o tym prywatnie.

Co więcej: kardynał twierdzi, usprawiedliwiając swoje milczenie, że w tych godzinach pozostawał sam i wydał polecenie, by nikogo do niego nie wpuszczać, chyba że w pilnej sprawie. Wszystko to potwierdzało wątpliwości Jego Świątobliwości; ja jednak, zgodnie z jego poleceniem, zachowałem się tak, jakby nic się nie stało, nakazując jednak kardynałowi, by stawiał się tutaj wraz z pozostałymi członkami Świętego Kolegium. Odpowiedział mi, że na pewno się pojawi. Wczoraj otrzymałem kolejną wiadomość, w której napisano, że Jego Eminencja miał niewielką niedogodność, która jednak nie uniemożliwi mu przybycia tutaj na czas na obrady. Od wczoraj nie otrzymałem żadnych dalszych wiadomości!”. Po tych słowach zapadła martwa cisza. Papież zwrócił się do syryjskiego księdza i rzekł:

- Ojcze, to ty otrzymałeś przesłania Jego Eminencji; czy masz coś do nich do dodania?

- Wasza Świątobliwość, nie.

Papież odwrócił się w inną stronę.

- Synu mój – rzekł – powtórz tutaj, w obecności wszystkich, to, co powiedziałeś już tylko nam.

Z cienia wyszedł niewielki mężczyzna o bystrych oczach.

- Wasza Świątobliwość, to ja przekazałem wiadomość kardynałowi Dolgorowskiemu. Początkowo nie chciał mnie przyjąć; kiedy jednak udało mi się uzyskać audiencję i przekazać mu polecenie Waszej Świątobliwości, przez chwilę milczał. Potem uśmiechnął się i powiedział, abym przekazał w Damaszku, że nie zawiedzie oczekiwań. Papież nie dodał nic więcej.

Wtedy wstał ten wysoki i szczupły Australijczyk i powiedział:

- Wasza Świątobliwość, przez długi czas byłem blisko związany z tym człowiekiem i odegrałem znaczącą rolę w jego przyjęciu do Kościoła katolickiego. Miało to miejsce czternaście lat temu, kiedy losy Kościoła wydawały się stawać coraz lepsze... Jednak nasze relacje całkowicie ustały dwa lata temu i z tego, co udało mi się dowiedzieć o nim, nie miałbym trudności przyznając, że...

Jego głos drżał ze wzruszenia i wahał się, czy kontynuować. Sylwester podniósł rękę i powiedział:

- Eminencjo, nie czas na wzajemne oskarżenia! Nawet udowodnienie tego faktu nic teraz nie dałoby, gdyż stało się to, co musiało się stać. My również nie mamy żadnych wątpliwości co do czynu popełnionego przez tego człowieka... Jezus Chrystus podał mu własnoręcznie kawałek chleba, mówiąc: „*To, co masz uczynić, uczynić jak najszybciej*”; a on, *po przyjęciu kawałka, natychmiast wyszedł; a zapadła już noc...*”.

Nastąpiła kolejna cisza. W międzyczasie z korytarza dobiegł długi jęk, który powtarzał się, gdy budził się któryś ze zmęczonych mężczyzn, leżących tam i śpiących, i przypominał krzyk duszy przechodzącej ze światła do ciemności.

Wtedy Sylwester znów zabrał głos, niemal nieświadomie rozrywając duży arkusz, na którym zapisano imiona wszystkich, którzy mieli być obecni.

- Eminencje, jest trzecia w nocy; za dwie godziny odprawimy Mszę w Waszej obecności i udzielimy Wam Komunii Świętej. W międzyczasie przekażcie te decyzje wszystkim zgromadzonym. Udzielamy każdemu z was nieograniczonej jurysdykcji i przyznajemy odpust zupełny wszystkim, którzy w tym dniu przystąpią do spowiedzi i komunii. Ojciec – rzekł do Syryjczyka – wystaw Najświętszy Sakrament w kaplicy, a potem biegnij do wsi i ostrzegaj mieszkańców, że jeśli chcą ocalić życie, niech natychmiast uciekają... ale natychmiast, zrozumiałeś?

Siro patrzył na papieża z tego kamienia; potem, gdy zorientował się, co ten robi rękami, zerwał się z okrzykiem:

- Listy! Listy, Wasza Świątobliwość!...

Ale Sylwester, uśmiechając się, zbierał ich fragmenty na stole.

Następnie papież wstał.

- Nie martw się tym, mój synu! Teraz już ich nie będziemy potrzebować!... Jeszcze jedno słowo, Ekscelencje... jedno słowo, gdyby tu były jakieś drżące i niepewne serca.

I zamilkł z najbardziej spontaniczną powagą; następnie spojrzał na twarze zwrócone ku Niemu.

- Otrzymałem objawienie od Boga. I zakończył z doskonałym spokojem:

- Nie krocę już w wierze, ale w wizji.

III.

Godzinę później, w dusznym zmierzchu, syryjski ksiądz w pośpiechu wracał ścieżką z wioski do domu, a tuż za nim podążało sześć lub siedem osób, bardziej ciekawskich niż wierzących.

Widział jeszcze kilku oszołomionych ludzi przy wejściach do swoich nędznych chat, podczas gdy około stu rodzin, obładowanych swoim dobytkiem, uciekało kamienistą drogą w kierunku Kaify.

Niektórzy obrzucali go wyzwiskami i grozili mu, inni patrzyli na niego krzywo; większość wyśmiewała go. Fanatycy twierdzili, że chrześcijanie sprowadzili na ziemię przekleństwo Boże, a na niebo ciemność; słońce umierało, aby te psy nie mogły już dłużej żyć ani na nie patrzeć. Inni natomiast nie dostrzegali niczego niezwykłego w warunkach atmosferycznych.

Niebo wyglądało tak samo jak godzinę wcześniej, choć było nieco jaśniejsze dzięki słońcu, które wznosiło się za nieprzeniknioną, mroczną zasłoną.

Wzgórza, trawy, twarze ludzi wydawały się przed księdzem tracić swoją rzeczywistość, jak rzeczy widziane we śnie, przez powieki ciężkie jak ołów.

Również pozostałe zmysły odczuwały to samo wrażenie nierealności; wydawało mu się, że śni tak jak przedtem, ciesząc się jednak, że nie ma już przed sobą tego widoku grozy.

Jednak cisza nie była już tylko brakiem dźwięków, ale czymś istniejącym samym w sobie, czymś pozytywnym i rzeczywistym, czego nie zakłócał ani hałas kroków, ani wycie psów, ani wrzawa głosów.

Wydawało się, że cisza wieczności zstąpiła, by ogarnąć świat, a ten, w desperackiej próbie obrony własnej egzystencji, podjął uparty, niemy, pełen tęsknoty i nieruchomy wysilek, by trwać w swoim istnieniu.

Syryjczykowi działało się to samo, co Sylwestrowi: kontakt z pylistą ziemią, gorące kamyczki pod jego bosymi stopami, znajdowały się poza polem zwykłej świadomości, która uważa przedmioty zmysłowe za bardziej realne i oczywiste niż te duchowe. Dla niego materia nadal istniała, zajmowała przestrzeń, ale przybrała całkowicie subiektywny charakter, jakby była wytworem wewnętrznych zdolności, a nie wynikała z zewnętrznych zmysłów. Uważał, że stał się niczym więcej niż wolnym i aktywnym duchem i że tylko cienka nić łączyła go z ciałem i otaczającym światem.

Czuł ten duszny upał; wciąż przed jego oczami pękała i skwierczała ziemia nad ścieżką, jak woda w kontakcie z rozgrzanym do czerwoności żelazem; czuł, jak pali go głowa i dłonie,

całe ciało miał skapane w jeziorze potu, ale było to tak, jakby to wszystko nie należało do niego, podobnie jak u człowieka cierpiącego na zapalenie nerwów, który odczuwa ból nie w kończynach, ale w łóżku, na którym spoczywa. Tak wyglądały rzeczy dla wzroku i słuchu; podobnie dla ospałego i gorzkiego zmysłu węchu i smaku.

Nie czuł już ani strachu, ani nadziei: sam siebie, świat, a nawet tego strasznego, Wszechmocnego Ducha uważał za rzeczywistości, które nie miały z nim większego związku, jakby były obce jego myślom; i nie martwił się tym.

Tabor, który wznosił się przed nim – a przynajmniej to, co kiedyś nazywano Taborem – był teraz jedynie mroczną, okrągłą postacią, która, oddziałując na siatkówkę, informowała mózg o swoim istnieniu i konturach, choć samo to istnienie nie wydawało się bardziej realne niż znikający duch.

I wydawało mu się to czymś niemal naturalnym – a przynajmniej tak naturalnym, jak wszystko inne

- gdy, przechodząc przez dziedziniec i otwierając drzwi kaplicy, ujrzał zgromadzonych tam ludzi, leżących na ziemi, nieruchomych. Byli ubrani w białe płaszcze, które on sam rozdał poprzedniego wieczoru; a z czołem opartym na ramionach, jak podczas śpiewania Litani do Świętych podczas świętej ordynacji, stała postać mężczyzny, którego znał najlepiej ze wszystkich i którego kochał bardziej niż kogokolwiek innego na świecie: z białymi ramionami i włosami wznosił się ponad wszystkich, opierając się o jedyny stopień ołtarza.

Na ołtarzu płonęło sześć świec, a pośrodku, pod małym tronem, lśniła srebrna monstrancja z Białą Środkową. Wtedy i on upadł na twarz, nieruchomy...

Nie zorientował się, ile czasu minęło, zanim jego świadomość ponownie poszerzyła granice, ustało powolne płynienie obrazów i uporczywość utrwalonych idei, a wszystko w jego duszy powróciło do spokoju i naturalności, jak na tafli stawu, gdy kamień, który ją uderzył, już dawno leży na dnie. Ale w końcu nadeszła ta rozkoszna cisza, możliwa tylko wtedy, gdy zdolności ducha są fizycznie przebudzone; ten punkt absolutnego spokoju, który Bóg pozwala doświadczyć przynajmniej raz w życiu w sercu Tego, który jest źródłem wszelkiego istnienia, i który będzie niezawodną nagrodą dla dusz Jego dzieci, które z ufnością po nią tęsknią. Nie zamierzał jednak opisywać tego doświadczenia ani analizować jego elementów, ani poruszać jednej z tych

strun wibrujących ekstatyczną radością. Czas introspekcji dobiegł końca: to doświadczenie wystarczało mu bez refleksyjnej świadomości samego siebie. Z sfery wewnętrznego doświadczenia przeszedł do sfery najwyższej błogości, coraz bliżej tego centrum, z którego ona promieniuje; a pierwszą rzeczą, która ponownie wskazała mu upływ czasu, był szmer słów wyraźnie słyszanych i rozumianych, choć bez angażowania się w nie, tak jak senny człowiek odbiera wiadomość o posłaniu nadeszłym z daleka; słów słyszanych jakby przez zasłonę, która przepuszczała jedynie ich istotne znaczenie.

„*Spiritus Domini replevit orbem terrarum*. Duch Pański nappełnił cały wszechświat, Alleluja... A to, co wszystko zawiera, ma świadomość Jego głosu. Alleluja, alleluja, alleluja!...

„*Exurgat Deus*” – i głos stawał się coraz głośniejszy. „Niech powstanie Pan, niech rozproszą się Jego wrogowie, a ci, którzy Go nienawidzą, niech uciekają przed Nim.

„*Gloria Patri...*”.

Ksiądz podniósł głowę: przed ołtarzem stała nadludzka postać, owinięta w czerwone szaty, która wydawała się nie spoczywać nieruchomo na ziemi, lecz unosić się w powietrzu w blasku rozlewającym się od świec, z wyciągniętymi smukłymi dłońmi i czapką na siwych włosach. Na stopniu klęczał ubrany na białą sługa.

Kyrie eleison... Gloria in excelsis Deo....

Nabożeństwo toczyło się przed nim niczym spektakl cieni; widział ceremonie, słyszał szept modlitwy, ale dostrzegał jedynie światło, które łączyło je w jedną całość. *Oremus, Deus qui hodierna die...* rozbrzmiewało biernie w jego uszach, nie pozostawiając śladu ani w wyobraźni, ani w umyśle, aż wyrwały go z tego słowa *Dziejów Apostolskich*. *Cum complerentur dies Pentecostes...* Gdy nadszedł dzień Pięćdziesiątnicy, wszyscy uczniowie byli zgromadzeni w tym samym miejscu; i nagle rozległ się z nieba szum, jakby zbliżała się gwałtowna burza, i wypełnił cały dom, w którym siedzieli.

Wtedy przypomniał sobie i zrozumiał: to był dzień Pięćdziesiątnicy! A wraz z pamięcią na chwilę powróciła do niego również refleksja: Gdzie była teraz burza, płonący ogień, trzęsienie ziemi i nieznany głos? Milczał uparty świat w najwyższym wysiłku samostwierdzenia; żadne drżenie ziemi, by pokazać, że Bóg pamięta... żadnego promienia światła, który rozjaśniłby straszliwy, ciemny sklepienie, rozciągające się nad ziemią i morzami, aby objawić

Tego, który jaśniej tam w górze, wieczny, transcendentny, wszechmocny; ani nawet głosu Ale tu zrozumiał: ten świat, o którym sen poprzedniej nocy przedstawił mu jako potworną parodię, nie był taki, jak się obawiał: był łagodny, a nie straszny; przyjazny, a nie wrogi; spokojny, a nie mroczny... był ojczyzną, a nie miejscem wygnania!

Widział tu zgromadzonych braci, a nie chciwe i okrutne potwory, o których śnił....

Ponownie oparł głowę na dłoniach, zdeorientowany, ale spokojny; i ponownie zanurzył się w świetlistych głębinach wewnętrznego spokoju.

Nie dostrzegł od razu ani nie pomyślał o tym, co działo się kilka kroków dalej, na stopniu przed ołtarzem: podczas pierwszego chrześcijańskiego Pięćdziesiątnicy burza płomieni i dźwięków przetoczyła się nad czystym morzem, niczym wschodząca gwiazda, rysując linię ognia na nieruchomej powierzchni wody i niczym łagodna harmonia struny wibrującej w cichej głębi nocy; w ostatnie Zielone Świątki, o tej samej porze, widział w zamęcie, jak natura niższa żyje przez chwilę zjednoczona z naturą Boską

.....A potem, nowo, cisza, która ogarniała wszystko, nowe poczucie najgłębszej rzeczywistości... aż w końcu, klęcząc przy balustradzie, ujrzał Jedyne, który przeżył prawdziwe życie na tej ziemi, zbliżającego się z szybkością myśli i z ogniem boskiej miłości....

Pod koniec Mszy, gdy jego pokorne serce radowało się, błogie z otrzymania ostatniego daru od Boga, z korytarza dobiegł krzyk, nagły zgiełk; na progu kaplicy zatrzymał się mężczyzna, bełkocząc w języku arabskim niezrozumiałe słowa.

IV.

Lecz gdy tylko ten krzyk i ten widok poruszyły delikatną nić łączącą włókna jego ciała ze światem zewnętrznym, ujrzał i usłyszał zamieszanie na korytarzu, rozgorączkowane twarze i otwarte usta; a także, w osobliwym kontraście, blade, zachwycone oblicza tych dostojników Kościoła, którzy na chwilę zwrócili się w tę stronę. Jednak w duchowej komnacie jego duszy, gdzie dwie istoty: Bóg wcielony i człowiek uwolniony od więzów ciała łączyły się w uścisku, procesy umysłowe w pewien sposób powróciły do swojego biegu; ale wszystko to było od niego oddzielone, jak scena i dramat od roztargnionego widza. Świat materialny, zredukowany już do rozmiarów mirażu, toczył się dalej swoją drogą, ale dla duszy Syryjczyka, którą oczekiwanie zupełnie innych wydarzeń sprawiało, że nie był on pewien samej rzeczywistości tego świata, nie mógł on być niczym więcej niż iluzją. Odwrócił się ponownie ku ołtarzowi: tam, jak dobrze wiedział, wśród blasku świec, wszystko było w spokoju. Celebrans, widziany jakby przez płynne szkło, cichą modlitwą oddawał cześć Tajemnicy Słowa Wcielonego i padał na kolana, przechodząc obok.

Wtedy wszystko w pełni zrozumiał; ponieważ jego myśli nie przebiegały już w kolejnych etapach, ale dzięki natychmiastowej intuicji czystych duchów, wszystko zrozumiał i z nieodpartym impulsem otworzył usta, by zaśpiewać, niczym kwiat, który po raz pierwszy rozkwita w słońcu:

O salutaris hostia.

które otwierasz bramy niebios.

I wszyscy teraz śpiewali; nawet katechumen muzułmański, który chwilę wcześniej przybiegł z krzykiem, śpiewał razem z innymi, z wychyloną do przodu, wychudzoną twarzą i rękami skrzyżowanymi na piersi. Mała świątynia rozbrzmiewała czterdziestoma głosami, a rozległy świat na zewnątrz drżał...

Śpiewając, księdzu wydawało się, że widzi ducha rozciągającego welon na ramionach Papieża; potem ruch, falowanie podobizn: same cienie wokół prawdziwej Istoty.

...Uni Trinoque Domino....

Papież wstał, blada wizja w blasku światła, z jedwabnym welonem opadającym z ramion w fantastycznych fałdach, owijającym jego dłonie, a pochylone czoło skryte promieniami monstrancji i Hostii, którą ona nosiła.

*Qui vitam sine termino
nobis donet in patria.*

Asystenci odeszli od ołtarza. Kapłanowi wydawało się, że w nich odradza się świat życia. On również wyszedł z korytarza, wśród bladych i drżących twarzy, które z otwartymi ustami wpatrywały się w widok tych kapłanów śpiewających *Pange lingua* i aureolę tych, którzy przechodzili do życia wiecznego....

Z rogu korytarza spojrział jeszcze przez chwilę na sześć żywych płomieni, które lśniły na ołtarzu niczym ostrza włóczni u boku króla, a pośrodku – na srebrną monstrancję i Białą Zastawę Miłości Bożej.

...Następnie wyszedł na dziedziniec... bitwa już się rozpoczęła.

Niebo przeszło od ciemności pełnej światła do światła przepelnionego mrokiem; od blasku nocy do czerwieni dnia gniewu...

Od lewej do prawej, od Taboru po Karmel, na okolicznych wzgórzach rozciągała się ogromna krwawa kopuła; nie było żadnego przejścia od zenitu do horyzontu w tej tajemniczej szkarłatnej barwie, podobnej do rozżarzonego żelaza. Był to kolor, który zabarwia zachód słońca po deszczu, kiedy chmury, stając się coraz bardziej przezroczyste, przepuszczają promienie słońca, których nie są w stanie wchłonać,
Tam, na górze Przemienienia, blado wznosił się dysk słońca, a na skrajnym zachodzie, gdzie niegdyś ludzie na próżno wołali do Baala, wisiała księżyc w kształcie bladego sierpa. Wszystko było kolorowym światłem, jakby przechodziło przez szkło...

In supremæ nocte coenæ...
śpiewały teraz miriady głosów

*leżąc z braćmi,
przestrzegając w pełni
prawa w sprawach
pokarmowych,
cibum turbae duodenæ
Se dat suis manibus.*

Zobaczył wówczas, podobne do atomów pływających w świetle, te postacie w kształcie ryb, białe jak mleko, z wyjątkiem części oświetlonych złowrogimi refleksami, unoszące się z rozpostartymi skrzydłami niczym ogromne ćmy; i wszystkie ułożone w kręgu od małego punktu oddalonego na południu aż po straszliwego potwora, który wydawał się nimi kierować z niewielkiej odległości; i patrząc oraz śpiewając,

zdał sobie sprawę, że krąg zbliżał się coraz bardziej, ale te postacie leciały i nie wiedziały dokąd...

*Verbum caro, panem verum verbo
carnem efficit.*

...Oto są jeszcze bliżej, aż u jego stóp ujrzał przemykający po podłodze mroczny i zniekształcony cień potwornego ptaka, podczas gdy pod wyblakłym słońcem unosiła się ohydna postać, która chwilę wcześniej wisiała nad wirami Otchłani... Teraz cofała się i wydawała się czaić w zasadzce....

*A jeśli brakuje rozumu,
do potwierdzenia szczerego
serca wystarczy sama
wiara.*

...Wróciwszy do swoich towarzyszy, zatrzymał się i rozejrzał się dookoła, poruszony akordem harfy i nagłym hukiem grzmotu.

Sześć pochodni lśniło w przestrzeni, niczym wyprostowane stalowe ostrza, cudownie zawieszone między ziemią a niebem; a pośrodku – promienny blask i biel Tajemnicy Boga, który stał się człowiekiem...

...Potem nowy huk grzmotu rozbrzmiał tam w górze, rozchodząc się kręgiem po kręgu wśród potężnych Mocy Tronów i Panowań – istot przed światem, cieni również pod najwyższym szczytem i wewnątrz ogromnego kręgu Absolutnej Boskości....

Grzmot rozbrzmiewał i wstrząsał ziemią ostatnimi drzeniami rozpadu.

*Tantum ergo sacramentum
veneremur cernui
et antiquum documentum
novo cedat ritui.*

Ach! Tak!.. Oto nadeszła godzina Człowieka, na którego czekał Bóg! Z góry, w cieniu tej drżącej sklepienia, które przybrało nieoczekiwany kolor, On nadjeżdżał w swoim szybkim rydwanie, nieznany nikomu oprócz Niego, przeciwko któremu tak długo kierował swoje dążenia, i nie zdawał sobie sprawy, że świat rozpadł się przed nim, a jego cień błąkał się jak biała mgła, tu, nad ziemią umarłych, gdzie Izrael zwyciężył, a Sennacheryb śpiewał tylko o zwycięstwie.

Teren ten płonął teraz jeszcze gorętszym żarem, podczas gdy niebiosy, coraz piękniejsze w blasku błogosławionych duchów, wciąż powstrzymywały połączone Moce, by ostateczne objawienie zabłysło w całej swojej chwale. A tymczasem po raz ostatni śpiewały głosy:

*Praestet fides supplementum
sensuum defectui*

...Oto jeszcze szybszy Dziedzic wieków doczesnych, ale wygnany z wieczności, nieszczęsny Książę buntowników, Stworzenie przeciwko Bogu, ślepiejszy od samego słońca, które bledło, i od ziemi, która drżała. A gdy On nadchodził, przechodząc od ostatniego rzeczywistego pojawienia się do ulotności widmowej zjawy, jego ofiary wirowały za Nim, poruszając się jak fantastyczne ptaki w ślad za statkiem-widmem.

...On nadchodził... a ziemia, ponownie rozdarta przez sprzeczne wierzenia, chwiała się z przerażeniem w agonii dwóch kultów.

Oto *Władca Świata!*...

Ale już jego cień cofał się, oddalając się od ziemi. I znikał.

Gdy białe skrzydła jego statku zatrzymały się, uwięzione w sieci, a wielki dzwon zabrzmiał, długo rozbrzmiewały harmonie sygnałów: były to jednak już tylko syki ginące w majestatycznym huku wiecznej pieśni.

*Chwała i radość dla
rodziców i potomstwa,
niech będzie zdrowie, cześć,
cnota i błogosławieństwo.*

*Procedenti ab Utroque
compar sit laudatio.*

i ponownie:

*Niech pochwała płynie od
ojojga rodziców.*

I tak kończył się ten świat, tak przemijała jego chwała.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie

Przedmowa.

PROLOG

KSIĘGA PIERWSZA: PRZYJŚCIE

KSIĘGA DRUGA: STARCIE.

KSIĘGA TRZECIA: ZWYCIĘSTWO.

Uwagi

1 Termin ten oznacza w języku hebrajskim górę Mageddo. Jest on używany jako synonim wojny narodów, po której następuje spustoszenie. W Mageddo zostali pokonani i zginęli Sisara, król Kanaanu, Ocozo i Jozjasz, król Judy. Zob. Księga Sędziów, IV, 7, 16, 19; IV Księga Królewska, IX, 21; Księga Zachariasza, XII, 2.